



Góralka i mafioso #1

# CZARNE *i białe*

Córka rodowitych górali ugości w swoim pensjonacie mafiosa z Florydy.

Czy ich światy naprawdę tak bardzo się różnią?

LILIANA WIĘCEK



# CZARNE I BIAŁE



Copyright © 2021

Liliana Więcek

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Anna Adamczyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-763-5

# SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Podziękowania

Przypisy

*Dla moich Aniołów...*

*W głębi leśnej tatrzańskiej otchłani*

*stara kapliczka stała, ma Pani.*

*Samotna i skryta jak krzyż na jej na ścianie*

*o leżkę prosiła i wysłuchanie.*

*Zbolale serce się wtem pojawiło*

*i w pustej ścianie wzrok zawiesiło.*

*Bywało codziennie okryte w szlochanie,*

*aż biały anioł zawisł na ścianie.*

*Strugany uczuciem w drewnianej bieli*

*patrzył, czy serce się rozweseli.*

*Gdy duszę rozpacz i smutek dławi,*

*więcej aniołów się zewsząd zjawi...*

*Bielutkich aniołków wiele przybyło,*

*drewniane ściany nimi pokryło.*

*Śluchały z bliska, jak nadzieja mała,*

*patrzac, jak serce miłością pała.*

*Białe anioły zasmuciło skrycie,*

*że ciężkie ma ich serce życie.*

*Czarną pustką kaplicę okryło,*

*gdy serce się więcej nie pojawiło*

*Białe anioły gorzyc okryła,*

*czarną bliznę w szatach wryła.*

*Co młodym zegarem bielą się mieni – stary zegar czernią zamieni.*



# Rozdział 1

Zakopane, Polska

Majka

– Dzień dobry! I przepraszam za spóźnienie. Czekałam na nowych gości – usprawiedliwiłam się krótko, zajmując przy rodzinnym stole swoje miejsce pod oknem. Niedzielny obiad był świętem rodzinnym pielęgnowanym od pokoleń. Nieważne, co by się działo, wspólne niedzielne siorbanie zupy było dla ojca melodią, bez której nie można rozpocząć tygodnia. Zaczynamy więc ucztę.

– Tako wyucono, a na zegarek popatrzeć nie umie, żeby zjeść ze swoimi – skomentował zdenerwowany ojciec. Nieistotne argumenty. Zdecydował, że ten jebany kwadrans spóźnienia będzie startem do rozpoczęcia serii uszczypliwości. Za chwilę może być tylko gorzej. Na szczęście znam schemat niedzielnych obiadków. Moja reakcja mogła być tylko jedna – złać i czekać aż wyschnie. Siedziałam oparta na drewnianym, rzeźbionym krześle, zastanawiając się, jakie tematy prócz mojego przyniesie niedzielny posiłek w towarzystwie taty, mamy, trzech braci i przyszłej bratowej. – Kryśka! Pewnaś, że to moje dziywka<sup>1</sup>? – Ojciec wytarł brodę z resztek, zwracając się do mamy.

*A jaki kolor ma kupa i czy jesteś pewna, mamo, że to mój ojciec? Powinam iść za ciosem i powiedzieć to na głos. Ale tatuś dziś dowcipny, aż Aneczka zachichotała. Widzę, że skupiamy się dziś tylko na mnie.* Sama kiedyś rozważałam pomyłkę na oddziale noworodkowym, niestety wizualne podobieństwo jest. Wszyscy mamy jasne włosy i niebieskie oczy. Bracia są do siebie tak podobni, że różnią się jedynie wzrostem. Od najwyższego Grześka, do najniższego i najmłodszego Maćka. Zwizualizowana tendencja spadkowa jakości nasienia... Czy coś w tym stylu. W każdym razie – zapytał ją, wiedząc, że nie usłyszy złośliwej odpowiedzi. Dobra żona dla góralka to darowana góralka. A dobry mąż dla góralki to obiecany góral. To jego strategiczne motto. Ułożyć dzieciom życie i zadbać o ulokowanie majątku. Nie można mu zarzucić, że nie jest dumny. Mój ojciec jest bardzo dumny. Przynajmniej z większej części swoich potomków – synów. Ma nas, gospodarstwo, cztery domy agroturystyczne, kilka koni i gromadę owiec w Zakopanem. Typowy konserwatysta z krwi i kości. Niezlomnego ducha pracy dziedziczonego z dziada pradziada, sukcesywnie chce przekazać nam – dzieciom. Ale mniejsza o mnie, chodzi o braci. Bo syn, jak to mówi ojciec, to przedłużenie życia ojca. Ja natomiast jestem jego skróceniem. Coś w typie wady produkcyjnej, która nawet nie używa gwary, a do której dawno już stracił cierpliwość.

– Tadek, jydz te zupe w spokoju – odparła mama, stawiając na stole omaszczone ziemniaki na półmisku i gulasz ledwo wyciągnięty z piekarnika. Ona też wie, że strategia milczenia wygrywa w starciu z uszczypliwością męża i takie uwagi były dla niej chlebem powszednim. Kawał życia spędzony z ojcem nauczył ją, że sprawy można załatwiać bez słów, co dla mnie było swoistym przejawem inteligencji przekazanej dzieciom. No... może nie wszystkim. Aż dziwne, że jad, który przyjmuje przez te wszystkie lata, nie odbił się na jej zdrowym wyglądzie.

– Gzesiek kces<sup>2</sup> jesse scawiu? – Dało się słyszeć piskliwy, drażniący ucho pełen troski głos przyszłej żony dolewającej sobie hojną repętę zupy.

– Nie, nie, Anuśka. Starcy – odpowiedział Grzesiek, mój dwudziestosześcioletni

braciszek, który za kilka miesięcy ożeni się z Aneczką, córką górala Stanisława, najlepszego przyjaciela ojca.

Przypadek? Oczywiście, że nie. Aneczce do Miss Polonii daleko. Do Miss powiatu jeszcze dalej. Ale to nieważne. Majątkową ustawką ojciec oddaje syna, który miał czas, by pogodzić się z losem. W końcu od dziecka mu wmawiano, że ożeni się z Anką, jak ta skończy liceum, obiecując wyprawkę od ojca w postaci dobrze zlokalizowanego pensjonatu w centrum Zakopanego – i drugiego od jej ojca. Natomiast Anka jest wpatrzona w Grześka jak w obrazek, bo lepiej nie mogła trafić. Na obrazku widzi przystojnego Janosika, do którego wzdycha niejedna śliczna turystka. A z końcem maja i ona na tym obrazku stanie. Aseksualna kontemplacja. Niższa o dwie głowy z rudawymi warkoczami opadającymi na krągłości, jakich jej w niektórych miejscach można pozazdrościć. Dobrze też, że obrazy nie mogą mówić, bo tu Aneczki przebić nie można.

– Dobrze to mama nagotowała – Anka, dorównując siorbanii przyszłego teścia, sięgała po trzecią dokładkę pierwszego dania. – U nas w domu mateńka zawsze godała, że zupe można jeść bez limitu.

*Naprawdę, Aniu? Naprawdę?* Pytałam w duchu, spoglądając na nią.

– Jydz Anka, bo z chudego zepaku... mało oleju! – Ze śmiechem komentował ojciec, ponownie wycierając resztki zupy z posiwiłej brody. – Pożrej<sup>3</sup> na pani magister! Jako nikcemna<sup>4</sup>... Nic z tego dobrego nie będzie... Chłopa dla niej w okolicy ciężko będzie przekonać, żeby kości broł. Syćkie<sup>5</sup> majontki pójdą na wymianę!

*Brawo, tatku. Słabe i już wielokrotnie słyszane.* Pomimo to śmiech domowników rozniósł się po drewnianej jadalni. Najbardziej jednak donośnym mógł pochwalić się Szczepan – druga duma ojca. Jeśli chodzi o podobieństwo, to był jego wierną kopią charakteru. Zuchwały, pewny siebie dominat o skrajnie staroświeckich poglądach. Niemniej jednak Szczepan był bardzo przystojnym mężczyzną. A i obok Szczepana niebawem miała zasiąść wybranka Kaśka, o ironio, moja bardzo dobra koleżanka ze szkolnej ławki.

– Zakónicy<sup>6</sup> nie mamy w rodzinie, to może to ociec<sup>7</sup> ozwozy<sup>8</sup>! – przemówił najniższy, ale największy dowcipniś rodzinny, najmłodszy brat. – Ino<sup>9</sup> jak Majka pociągnie za sobą do zakonu Kaśke, to casu ci zabraknie, żeby się na jegomościa<sup>10</sup> wyświyncować<sup>11</sup> i Gześkowi ślubu udzielić w maju! – dodał Maciek, dławiąc się ze śmiechu zupą.

*Nabijanie się z mojego odwlekania tatusiowych planów... Zniosę.*

Śmiech narastał i rozniósł się już nie tylko po jadalni, ale też po całym domu. Najmniej subtelna była Anka, bo poczerwieniała, trzymając śmiech między ziemniakami a gulaszem w zamkniętych ustach. Odcień twarzy wpasowywał się w kolor jej włosów. Nawet nie reagowałam. Patrzyłam, słuchałam, obserwowałam i nie zdążyłam nałożyć sobie zupy. Utrzymywali swój poziom. Jedyne, do czego nie mogłabym przywyknąć, to to, by którakolwiek z wybranki ojca dla swoich synów, zaskarbiała sobie względy przyszłego teścia moim kosztem.

– Smacznego – powiedziałam krótko, powielając oszczędność słów matki. Wyglądało na to, że rodząc bandę Rumcajsów, cały pokład matczynego spokoju i cierpliwości zarezerwowany był tylko dla mnie.

Śmiech Szczepana nie ustawał. Odbiło mu.

*Jak ktoś taki mógł urodzić się w tym samym roku co ja?* Ewidentnie w tamtym czasie ojciec chciał sobie odbić jak najszybciej pokrzyżowane plany na drugiego syna. Biedna mama, musiała jeszcze w grudniu wydać na świat tego pajaca?

W końcu nałożyłam sobie zupy, po czym kątem oka dostrzegłam intensywną czerwień na twarzy bratowej, co oznaczało, że nadal toczy wojnę ze śmiechem odnośnie do mojej wizji w zakonie.

*Co tak rżysz... To na twoim łbie idealnie leżałby kornet.*

– Aniu, ale ty poczerwieniałaś ze złości. Nie bój się, nie zjem całej zupy... – Jeden ciąg słów wyciszył ich wesołe śmiechy przy stole. Na bladej z natury twarzy Anki, purpura zastąpiła czerwień. Tylko Maciek nie krył śmiechu, nie zważając na upokorzoną przy rodzinnym stole Annę.

– A żebyś się zakztusiła swoim jadem, źmijo jedna! – odezwał się „Grzenosik” w obronie przyszłej żony. Gdyby miał siekierkę, pewnie rzuciłby nią we mnie. W końcu to tak, jakby obrażać jego samego. Nie przejęłam się tą uwagą. Odrzuciłam na plecy długie włosy i spokojnie zaczęłam jeść pierwsze danie. Sami się o to prosili. Trzeba odrobinę cenić swoją wartość.

Wystarczy, że ojciec jej nie dostrzegał. Bolało go nawet to, że chciałam się uczyć i iść na studia, których też był przeciwnikiem. Twierdził, że to zbędny trud, i należało się zająć konkretną pracą, którą mi zlecił. Zamiast marnować czas na naukę, lepiej wyjść za kandydata, który już istniał. Rodzić własnych Rumcajsów i budować swoje zakopiańskie imperium jak dziadkowie, ojciec i bracia. Niełatwo mu jednak z córką stawiającą opór. Ojciec kochał swoje pochodzenie i kulturę, w jakiej się urodził. Wiernie w niej trwał, a moja inność w jego mniemaniu, była nie do przyjęcia. Tu nie miałam taryfy ulgowej. Jedno mu jednak wyszło – zakorzenił we mnie szacunek. Magiczna bariera nie pozwalała mi obrazić rodzica. Przejawy wczesnego buntu leczyło się mało psychologicznym podejściem i nie miało to żadnego związku z dzisiejszym bezstresowym wychowaniem. Ale działało. Do dziś czuję gorzki posmak skórzanego paska, kiedy to w wieku ośmiu lat na ognisku zaczęłam bronić matki przyjmującej złośliwe uwagi ojca. Wtedy w obecności jego przyjaciół, powiedziałam mu, że jest niewiele mądrzejszy od baranów, które pasie. Rzecz jasna, wywołało to śmiech, bo większość odebrała to jako niewinny żart dziecka, lecz ojciec uznał, że poniżyłam go celowo. Albo po prostu trafiłam w punkt. Złoił mi skórę przy wszystkich.

– No dobra, już dobra. Nie pocynojcie<sup>12</sup> znowu. Niedziela jest. Dejcie jescce pozyc – uspokajała matka, stawiając na stole strudla z jabłkami. Na tym etapie życia ograniczała się do popuszczania liny wysokiego napięcia.

– Maju, jedz, dziecko. – Postawiła przede mną miskę z ugotowaną kaszą. Wiedziała, że zdecydowanie wolę kaszę od ziemniaków. To dzięki mamie, ojciec zgodził się opłacać mój pobyt w Krakowie na czas nauki. Można uznać, że to ona przekonała go, że to sposób na zarobek. Moja nauka języków była przydatna w branży turystycznej, a on nie musiał zatrudniać obcych ludzi.

– Musimy zaklepać pewne sprawy – odezwał się ponownie ojciec. – Gzechu jest koniec stycznia i twojo zyniacka<sup>13</sup> będzie wielgim mojem<sup>14</sup>... Dlatego teraz postanowiłem dzielbe<sup>15</sup>... Napoprzodku<sup>16</sup>, odpise<sup>17</sup> wam po ślubie pensjonat Skalka na Gubałówce. Bedzie spółnikowac<sup>18</sup> z Kamykiem od ojca Anuśki, Stanisława. Następno sprawa. Teraz robie zamiane... Scepana mieniam z Majką. Od terajsa<sup>19</sup> pod opiekę biezec Okonia na Krupówkach. Jak ozenis się z Kaśką, to dostaniecie go na włóscizne<sup>20</sup>. Majka... Idzies do Jagody w Nędzówce – powiedział, dając mi przydział w postaci zaniedbanego przez Szczepana, kosztem wypasu baranów, pensjonatu w Kościelisku, którego jedynym plusem było zacisze, mała stadnina i bliska obecność lasu.

– Ale tato! – rozpoczęłam próbę sprzeciwu. – Przecież dzięki mnie Okoń ma się jak nigdy dotąd! – skomentowałam odważnym tonem.

Faktem było, że sprzedał mi niewidzialnego liścia. niesprawiedliwa decyzja zmusiła mnie do próby negocjacji. Poświęciłam mnóstwo czasu na reklamę, wystrój i organizację tamtego miejsca.

– Je<sup>21</sup>! Jak dzięki tobie moje stryśki<sup>22</sup> zacną beceć po anglicku<sup>23</sup>... to wte<sup>24</sup> wrócis do Okonia! Godom to psy świadkach... Jakoby ci się jednak udało... to i ja dotzymam słowa! –

oświadczył ojciec.

*Finezja humoru*, pomyślałam, zaciskając usta ze złości. Wiedziałam, że to było celowe zagranie. Nagradzał tych, którzy robią tak, jak on chce. Szczepanowi oczka rozbłyły z zachwytu nad zamianą.

– Maciek. Ty dalej ostajesz<sup>25</sup> na Gubałówce w Białym Niedźwiedziu. A jak się pozeniecie i... – przerwał, spoglądając na mnie. – Dostaniecie to, co wypracujecie. Psydzie na to cas. A teraz, jak macie jakieś pytania, to pytajcie, a jak ni ma, to pójde na spocynek. – Rozejrzał się po rozradowanych twarzach synów i wspaniałej synowej.

Nie mogłam nadto pokazywać poirytowania. Ucieszyłby się, widząc, że jednak ma na mnie jakiś wpływ. Nie dostrzegając i nie słysząc sprzeciwu, wstał i wyszedł z jadalni. Udał się do salonu, by tradycyjnie po posiłku zanurzyć się w wyleżanej, skórzanej kanapie. Matka poczuła większą swobodę po jego wyjściu. Pozbierała talerze, po czym usiadła przy stole, nalewając sobie herbaty do kubka.

– Szczepan, myślę, że nie będę ci musiała tłumaczyć wszystkiego odnośnie do pracy w nowym pensjonacie, tak? Patrząc na to, co się dzieje w Jagodzie... Albo co się nie dzieje... – Również poczułam więcej swobody bez obecności ojca.

Szczepan szczerzył się, jakby dostał paraliżu twarzy. Uśmiech miał jak zwykle wprost bezczelny. Od dziecka potrafił tylko podstawić nogę i bez współczucia patrzeć, która część mojego ciała najbardziej ucierpiała.

– Boculo<sup>26</sup>... ja se poradze... Gozuj z tobą... Bo na koncie Jagody byle jako jest – oświadczył.

*Nie wątpię*. Widząc zuchwałą radość brata, stwierdziłam, że już nic nie będę mówiła.

Pensjonaty miały odrębne konta bankowe. To od gospodarza mieszkającego na miejscu zależało, jakie były zarobki. Od zarobków zaś dostawaliśmy dwadzieścia procent. Okoń przynosił największe zyski spośród czterech pensjonatów, co sprawiło, że przez ostatni rok dobrze zarabiałam. Nie tylko dlatego odwlekałam zmianę zajęcia, ale również przez świadomość, że kiedyś pensjonat stanie się moją własnością. Teraz niezrozumiała decyzja ojca zmuszała mnie do zaczynania wszystkiego od zera. A Rumcajs – Szczepan miał wszystko podane na złotej tacy. Jedyne, czego mu brakowało, to chęci do wzięcia się za robotę.

Rozporządzenie majątkowe nie zdziwiło nikogo poza mną. Maciek się w ogóle tym nie przejął. Może dlatego, że to nie jego dotyczyła zmiana, a może przez to, że miał jeszcze czas na poważne myślenie. Grzesiek miał identyczne poglądy jak ojciec i ślub na głowie. Nikt nie zwrócił uwagi na moją krzywdę. Jedyne jasnoniebieskie spojrzenie Anki mówiło: „Dobrze ci, suko”.

– No, bratowie! Może zakropimy mały sukces piwem w karcmie? – zaproponował Grzesiek.

– Ba! Jasne – odpowiedział chętnie Szczepan, szczerząc wszystkie zęby. – Maciek, idzies z nami?

– A stawias? – zapytał Maciek.

– No taka okazja ino roz w zyciu sie trafia! – Roześmiał się, patrząc na mnie. – Moze i ty pódzies durkność<sup>27</sup> z nami? Tobie tez postawie! – Do śmiechu dołączyli wszyscy bracia i Aneczka. Jedyne matka nadal ignorowała cudowną niedzielną atmosferę, przeglądając piątkowe wydanie „Tygodnika Tatrzańskiego”.

– Postaw Ani za mnie. Ona na pewno nie odmówi... Prawda, Aniu? – zwróciłam się do niej.

Dało się wyczuć, że chłopaki nie nastawili się na wyjście w towarzystwie jakiegokolwiek damy. Zauważyłam, że Anka wyraźnie miała zamiar zostać z przyszłą teściową. Mało jej było

lizania ojcowskiej dupy, miała niekończący się apetyt na więcej. Spojrzałam na nią jak rzeźnik na prosię... i jednak poczuła, że nie będzie jej dobrze w moim towarzystwie, bo podbiegła do wieszaka, łapiąc za swój w chuj stylowy kożuszek.

– Ide z wami. – Szybciutko zakładała garderobę, nie zważając na zanikający śmiech chłopaków. Zdażyłam złośliwie puścić oczko Szczepanowi, któremu wyraźnie zepsułam wyjście.

– Siostrycko droga. Kiedy pakujesz swoje manatki? – zapytał podle Szczepan.

*Nim zdążysz wytrzeźwieć, gnojku.* Szkoda, że pewnych rzeczy nie mogłam powiedzieć na głos.

– Jutro o czternastej będę czekać w Okoniu z kluczami! – krzyknęłam za nim. – Może nie zaśpisz... – dodałam już tylko do siebie, spoglądając na zamknięte drzwi.

\*\*\*

– Mamo, słyszysz tę ciszę? – rozpoczęłam swobodny dialog, a ona uśmiechnęła się łagodnie, odkładając gazetę. – O co w tym wszystkim chodzi? Ojciec chce mnie odciąć od pieniędzy? Pozbawić tego, na co ciężko zapracowałam? Powiedz mi, proszę... Bo nie ogarniam – zasypałam matkę pytaniami i w geście bezsilności położyłam ręce na stole.

Jeśli w tym domu można było zadać komuś pytanie bez konsekwencji, to właśnie jej. Nawet gdy nie miała większego wpływu na decyzje ojca, to mogła mi wiele wyjaśnić.

– Wies, jaki on jest. Próbowалам mu odradzać. Nawet strasyłam, że jak ci odbieże ten pensjonat, to mozes opuścić Zakopane, wyjechać i wtej<sup>28</sup> będzie musiał płacić komuś obcemu za dogłądanie. Spominałam<sup>29</sup>, że Scepan nie ma drygu do takiej roboty. Nie pomogło. On jest sparty<sup>30</sup>, dziecko. – Pociągnęła łyk herbaty, bacznie mnie obserwując. – Mas potensjał cy jak to tam nazywajo... Ostaniesz tu, prawda? – dodała, czekając na jakikolwiek sygnał z mojej strony.

– Mamo, tak jak mówisz... Ja nie wiem, czy w ogóle się za to zabierać. Czy nie lepiej się spakować i wyjechać stąd do Warszawy, Krakowa, czy Wrocławia. Gdziekolwiek znaleźć pracę nauczyciela czy tłumacza i nie patrzeć na ten cały cyrk... Zrobić ci kawę? – zaproponowałam, czując, jak opuszczała mnie energia.

– Nie. Zrób ino sobie – odparła, kierując się za mną do kuchni i opierając swoją spracowaną dłoń na moim ramieniu. – Przecies wies, że nie wyjedziesz... A wies czemu<sup>31</sup>? – Zaprzeczyłam ruchem głowy w odpowiedzi. – Bo ty nie chadzas na skróty i pijes kawę sypaną... Bez mlyka. – Zaśmiała się, co było u niej rzadkością w obecności reszty rodziny.

– I dlatego uważasz, że podniosę z kolan pensjonat, który leży na zadupiu, a jedynymi klientami są osoby z ograniczonym budżetem, studenci lub ci, którzy nie mogą znaleźć noclegu w mieście, bo wyjechali na spontaniczny wypad w góry?

– Ano tak uwazam. Twoja babka, a moja matka, byłaby z ciebie dumna, gdybyś przywróciła dawny blask jej domu – przypomniała mi o przekochanej babci Jagodzie, u której spędziłam połowę dzieciństwa.

Serce zmięкло mi całkowicie. Babcia Jagoda zmarła w wakacje siedem lat wcześniej, tuż przed rozpoczęciem mojego pierwszego roku akademickiego. Do samego końca wspierała mnie w decyzjach i wręcz namawiała na naukę, mimo iż sama skończyła zaledwie kilka klas. Zresztą, to były ciężkie czasy. Wspominała mi o zamążpójściu mojej mamy, które było dyktowane interesami ojców. W życiu tych dwóch bliskich dla mnie kobiet uczucia nigdy nie grały pierwszych skrzypiec. Zarówno małżeństwo Jagody, jak i jej córki Krystyny, były beznamiętnymi pozorami. Myślę, że świadomie kierowała mną w przeciwną stronę niż majątki i wola ojca, bo sama wiele przeszła. Poza tym nie przepadała za zięciem Tadeuszem. Zdażyła we mnie zaszczepić wolę ducha walki o swoją wolność. Gdy jej się to udało i prawie zaczęłam studia, odeszła. Jej śmierć przyniosła ulgę ojcu, bo przestała mącić mi w głowie. Wtedy już nic

nie stało na przeszkodzie, by urządzić Szczepanowi pensjonacik z jej domu. Tak na dobry start.

– Masz rację, mammo. Zrobię to dla babci – odpowiedziałam, jednocześnie podejmując decyzję. Każdy łyk parzonej kawy rozgrzewał we mnie natchnienie do pierwszych kroków w kierunku rozwoju Jagody. – Tylko wiesz... pensjonat wymaga wkładu, którego, jak już wiemy od jej gospodarza... Nie ma.

– Może cosik na to zaradzimy. Pomówie z ojcem, a żeby dudki<sup>32</sup> zgromadzone przez ciebie w Okoniu przekazał na renowację Jagody. Scepian i tak będzie miał dużo większe zyski, bo ma rezerwacje na kielas<sup>33</sup> miesiące do przodu – zasugerowała, a entuzjastyczna perspektywa utarcia nosa bratu, poprzez zabranie pieniędzy z tamtego miejsca, napełniła mnie częściową satysfakcją.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Zgodzę się – burknął niespodziewanie ojciec z za moich pleców. Nie słyszałam jego kroków, więc szansa, że się skradał, chcąc podsłuchać naszą rozmowę, była ogromna. – Ino jak kces wiedzieć czemu, to ni ma o cym godać. – Potarł brodę, odwrócił się i wyszedł. Szczerze, to pewnie nie chciało mu się nawet na mnie patrzeć.

*Dyplomacja klasy średniej.*

– Myślę, mammo, że nie ma co tego odwlekać. Im szybciej zacznę działać, tym szybciej doprowadzę Jagodę do porządku. Pojadę do Okonia, spakuję swoje rzeczy, a jutro wymienię się kluczami ze Szczepanem – poinformowałam o swoich pierwszych planowanych poczynaniach. Szczepan właśnie przepijał swoje ostatnie oszczędności. Ależ się zdziwił. Nie miałam zamiaru go uprzedzać. – Do zobaczenia za tydzień – powiedziałam, całując policzek mamy na pożegnanie.

Nałożyłam swoją szarą puchową kurtkę, czapkę z puszystym pomponem i owinęłam szyję masywnym, wełnianym szalem, wydzierganym jeszcze przez babcię. To była jedna z tych rzeczy, których nie mogłam się pozbyć. Czuję się, jakbym wyrzucała wspomnienia do kosza.

– Do zobaczenia – odpowiedziała, obdarzając mnie jedynie oszczędnym uśmiechem na pożegnanie. Świadomość, że Tadeusz nastawia uszu niczym polujący drapieżnik, nie pozwoliła jej na nic więcej.

\*\*\*

Dwadzieścia minut później przekroczyłam próg Okonia i nie ściągając ubrań, złapałam za komórkę i wybrałam numer Kaśki. Jej rodzinny pensjonat znajdował się kilka minut od Okonia więc szansa, że nie odmówi wizyty, była ogromna.

– Cześć, pipo! Jak obiadek u tatuśka? – Odebrała telefon w pół sygnału. Jej luźne powitanie było identyczne z jej podejściem do życia. To poprawiało humor.

– No hej, kozo. Wpadniesz za chwilę? Mam półsłodkie, jak lubisz – zaproponowałam, zarzucając przynętę.

– Nie musisz mnie namawiać. Zaraz jeeesteeem – śpiewająco skończyła rozmowę.

Następnie wybrałam numer do kolejnej, najbliższej mojemu sercu przyjaciółki z byłej klasy, Renaty.

– Hej, Renia, jesteś w domu?

– Hej, Majcia. Nie. Nie ma mnie. Jesteśmy u kuzynki Kamila. Pewnie wrócę... późno. Stało się coś? – zapytała podejrzliwie.

To była jedyna osoba, jaka niemalże czytała z tonu mojego głosu. Nie tylko z tonu, ale również z niewłaściwego, w jej odczuciu, spojrzenia. Niczym wąż dostrzegający skoki temperatury ciała ofiary w postaci zmiany kolorów. Szczera do bólu, obrotna, racjonalna i w dobrowolnym związku z Kamilem. W temacie partnera rodzice dali jej pełną swobodę. A dali, bo

oni sami byli przyjezdni. Przybyli z miejskiego gąszczu, dwadzieścia pięć lat temu, kupując jednorodzinny dom w Zakopanem. Uwili swoje gniazdko, zakładając rodzinę, więc i ich poglądy były inne. Nie to, co u mnie. Stosunek mojego ojca był pełen niechęci do osoby Renaty, kiedy ta jako dziecko przychodziła do mnie w odwiedzinach. Było to niezręcznie widoczne nie tylko dla niej, ale też dla mnie. Czułam wstyd za jego zachowanie, więc z czasem widywałyśmy się tylko w jej domu.

– Właściwie... Ojciec znów coś odjechał, ale to nie na telefon.

– Dobrze się składa, bo... też mam dla ciebie nowinę – powiedziała to z nutą przybicia w głosie. – To, co? Widzimy się w Okoniu czy u mnie? – zapytała czysto formalnie.

– Może być wieczorem w Jagodzie? – zaproponowałam.

– W Jagodzie?

– No zdaje się, że teraz tam mnie zastaniesz...

– Dobra, w Jagodzie o osiemnastej. Do jutra, kochana.

– Pa.

Ledwo co dotknęłam symbolu rozłączenia, w drzwiach stanęła Kaśka. Nieokiełznana kumpela i przyszła szwagierka. Szczerzyła swoje śliczne białe zęby, wyeksponowane na tle ciemniejszej karnacji (z zamiłowania do solarium), jedwabistego czarnego kuca i brązowych oczu. Generalnie śliczna dziewczyna, dbająca o swoje ciało. Można powiedzieć, że ojcowie dobrali ich w bardzo atrakcyjną fizycznie parę. Jeśli chodzi o charaktery... Cóż. I jedno, i drugie ma wiele do powiedzenia, a Kaśkę wyraźnie to pociągało. Lubiła typowych dominatorów, choć jej samej nie dałoby się do końca ujarzmić. Chyba że... miało się wygląd i pieniądze.

– Ja pierdziele, Majkaaaa...! Co za dzień... Nie ma to jak rodzinica z trójką nadpobudliwych dzieciaków... Mimo że rano wyjechali, to do tej pory dzwoni mi w uszach od ich wrzasków! Przysięgam, że nie mam za grosz cierpliwości do bachorów! Z ulgą ich żegnałam! A w pokoju co zostawili?! Płatki kukurydziane, dropsy, czekolada... Były dosłownie wszędzie! Nienawidzę dzieci! Ej, piczko... Myślisz, że Szczepanowi zależy na dzieciach? Bo jeśli tak, to muszę kombinować z tajną antykoncepcją... – Jej lekkość przechodzenia z tematu na temat była dopracowana do perfekcji. Była jak rozregulowany karabin maszynowy.

– Szczepanowi to zależy na wielu rzeczach – skwitowałam. – Wybierz wino z gospodarczego, ja skoczę po korkociąg. – Pobiełam do kuchni, by kilka minut później, siedzieć już wygodnie w dziennym pokoju pensjonatu, znajdującym się tuż obok recepcji. Podała mi kieliszek z wybranym przez siebie półslodkim białym winem.

– No to, co świętujemy? – zapytała bez spięcia. Rozwaliła się na musztardowym uszaku jak wiejsko-miejska zdzira z lampką wina.

– Świętuje to twój porąbany przyszły mężuś ze swoimi braćmi i Anką w karczmie. Dostał Okonia.

– Że co?! – Zrobiła oczy jak pięć złotych.

– A to, co słyszysz... Tatusz zrobił zamianę. Odsyła mnie do Jagody... Szczepan będzie kierował Okoniem.

– No niezły kocioł... Był pikantny obiad doprawiony kłótnią? – dopytywała.

– Kłótnia z ojcem? Co ty... Jak zwykle zajebicie zepsuty pozór miłego, rodzinnego obiadu. Docinki uwieńczone deserem pod chmurką ogłoszeń parafialnych ojca. O co mam się kłócić?! Przecież formalnie pensjonat należy do niego i może z nim robić co zechce. A że oddał go gamoniowi najmniej przystosowanemu do takich rzeczy, to...

– Ej!!! – przerwała mi. – Mówisz o moim przyszłym mężu... Nie psuj mi smaku tego ciastka... – Roześmiała się w głos, wiedząc, o czym tak naprawdę mówiłam. Znała mnie i moją rodzinę od dziecka. Wiedziała, że Szczepan ma zgrabną dupę i niebrzydką twarz, ale głowa,

w której jest osadzona, nie nadawała się do prowadzenia pensjonatu. – A Szczepan jak na to zareagował?

– Jak to Szczepan... Darowanemu koniowi się w zęby nie patrzy. Zabrał ekipę i poszedł świętować.

– Niefajna sytuacja. A już na pewno niewiele ma wspólnego ze sprawiedliwością. Zapracowałaś na to. Jeśli chcesz, porozmawiam z nim... – zaoferowała swoją pomoc.

– Co to, to nie! Będzie miał jeszcze większą satysfakcję z tego, że to mnie ubodło i nasyłam cię w geście desperacji. Jakoś sobie poradzę. Może i mnie zaciszę dobrze zrobi. – Odstawiłam pusty kieliszek.

– Gdybym nie czuła do niego czegoś w rodzaju pociągu... Skopałabym mu to harnaśkie dupsko! Póki co... jego kołek może mi się jeszcze przydać... – wyszeptała ostatnie zdanie, wywlekając swoje fantazje.

– Fuuuj! – skomentowałam, nie mając zamiaru słuchać o bratnich kołkach. – Pomogłabym ci w skopaniu... Bo reszta mnie naprawdę nie obchodzi! – Wygięłam usta w grymasie obrzydzenia, stawiając wyraźną granicę w tym temacie.

Wino rozluźniło atmosferę i zeszliśmy na przyjemniejszy temat kolorystycznej reakcji twarzy Anki w pakiecie z jej zachowaniem. To ostatnio nie schodziło z czołówki naszej paplaniny. Anka zabiegała nie tylko o względy przyszłych teściów, ale też o uwagę Kaśki, chcąc nawiązać nić porozumienia chociaż z jedną damską częstką w przyszłej rodzinie. Kaśka zaś potrzebowała jej jedynie do pozyskiwania rodzinnych informacji.

\*\*\*

Zgodnie z planem poranek upłynął mi na pakowaniu prywatnych rzeczy. Przez prawie dwa lata nagromadziło się ich sporo w moim kierowniczym pokoju, ale były to przede wszystkim książki, albumy i ubrania. Nie chciałam odwlekać i tak nieuniknionej chwili. Żał było mi rozstawać się z tym miejscem, dopracowanym w każdym najdrobniejszym szczególe. Gdyby nie moje zamiłowanie i łatwość w nauce języków, na drugiej pozycji z całą pewnością znalazłoby się projektowanie wnętrz. Lubię połączenie góralskiego klimatu z odrobiną nowoczesnego luksusu. Jeszcze przed generalnym remontem tego pensjonatu i wprowadzeniem udogodnień, takich jak wanny z hydromasażem w każdym pokoju i apartamencie, wszystkie meble czy dodatki w postaci obrazków, figurek i kwiatków były osobiście przeze mnie dobierane do miejsca, w którym miały się znaleźć. Drewniane elementy, najpierw projektowałam własnym rysunkiem, a potem zamawiałam u lokalnych rzemieślników, co nadawało tym rzeczom niepowtarzalności i dopracowania. Normalnym jest, że za każdą zakupioną rzeczą stała walka o klienta tego miejsca, nie miałam zamiaru ich zabierać. Nie pasowałyby do nowej przestrzeni. Wiedziałam jedno – Jagoda musi przypominać przytulny dom. Tak jak kiedyś, gdy żyła babulka. Nie opuszczała mnie też nadzieja ściśle związana z Renatą. Nikt inny, tylko ona może mi pomóc w planie realizacji remontu. Od zawsze miała dryg do organizowania etapów pracy – czegokolwiek by nie dotyczyły. Spakowałam rzeczy ze swojego pokoju i zasiadłam do komputera, logując się na konto bankowe Okonia. Przetransferowałam dwieście tysięcy na konto Jagody.

– Klik i gotowe – potwierdziłam sama do siebie z pełną satysfakcją w głosie.

Przekazałam zmiany Ukrainkom pracującym w Okoniu, Oldze i Tani – matce i córce. Pracowały od rana na kuchni, przygotowując śniadanie, po czym sprzątały pokoje gości. Były bardzo pracowite i uczciwe, co w szczególności wpływało na mój stosunek do nich. Miały dobrze płatną pracę i pracowniczy pokój. Warto doceniać czyjś wysiłek i zaangażowanie. Na tym etapie nie mogłam ich zabrać ze sobą, to mogłoby rozjuszyć ojca i brata, którzy z całą



pewnością wytknęliby mi rzucanie kłód pod nogi. Spowodowałyby to kolejne konflikty. Poza tym pieniędzy nie było na tyle, by opłacić pracowników w Jagodzie. Możliwości utworzenia dla nich stanowisk po prostu tam nie było. Nie chcąc zakłócać dość pracowitej pory, krótko powiedziałam im kilka słów na temat nadchodzących zmian i zapewniłam, że z ich etatami nic nie powinno się zmienić.

Zaniosłam pudła i walizki do pojemnego bagażnika swojego starego BMW. Dochodziła umówiona czternasta i czułam, że zbliża się nieubłagalna chwila rozłąki ze swoim okoniowym dzieckiem. Wystarczyły dwa lata, bym zdążyła się przywiązać do tego miejsca. Dreptałam po recepcji, ciągle poprawiając równo już leżący długopis na rejestrze gości. Spojrzałam na gablotkę, w której wisiały tylko zapasy kluczy zajętych pokoi.

– Dzień dobry! – usłyszałam radosny kobiecy głos.

Uśmiechnięta parka nowożeńców schodziła po schodach, z taką lekkością, jaką ponoć odczuwa się po... seksie – śnie – seksie – śniadaniu – seksie – prysznicu i seksie. Wyruszyli na zimowy spacer po Zakopanem, będący kolejną przerwą... w seksie.

*A skąd to wiem? Odrobinę hałasują...*

– Dzień dobry – odpowiedziałam, przyklejając do twarzy uśmiech pełen profesjonalizmu. – Dobrze państwo spali? – dodałam do tonu trochę troski. Tego właśnie oczekiwali – TROSKI o ich świeży stan cywilny. Pytań o wygodny materac, temperaturę wody czy dodatkowy ręcznik. Wiedziałam o tym. Ewentualne potrzeby czytałam z ich twarzy. Czego nie doczytałam, to dopytałam. To dawało pewność, że moje miejsce wpisze się w ich listę pobytu na przyszłość.

– Rewelacyjnie – odparła młoda żona. – A ta wanna z masażem! A ten widok z wanny! – komplementowała zachwycona udogodnieniami.

Bo rzeczywiście, dla takich par jak ta, zakochanych i młodych, były specjalne pokoje ze specjalnymi widokami, jak ten z ich wanny wychodzący na Giewont.

– Bardzo się cieszę, że się państwu podoba. Proszę korzystać z pogody, bo dziś jest wyjątkowo piękna. Miłego dnia – powiedziałam, szczerząc zęby i modląc się w duchu, by już wyszli. Udawanie dobrego nastroju kosztowało mnie zbyt wiele energii, a nie chciałam zarazić ich swoim wzbierającym podłym humorem.

– Dziękujemy! I wzajemnie! – mówiąc to, wyszli.

– A no będzie na pewno miły... – mruknęłam pod nosem, przyłapując się ponownie na mówieniu do siebie.

\*\*\*

Stałam nadal i patrzyłam na frontowy podjazd, wypatrując srebrnej toyoty brata.

*Jak zwykle punktualny.* Dochodziła piętnasta trzydzieści i przywiózł go Maciek. Wyraźnie skacowany nowy władarz przybył. Możliwe, że nie skacowany. Bardzo prawdopodobne, że jeszcze pijany. Ten widok nie napawał mnie optymizmem, a jeszcze bardziej przygnębił.

– Gnojek... – wymamrotałam do siebie, widząc go w takim stanie.

– Do mnie coś pani mówiła? – usłyszałam głos Olgi za moimi plecami.

Schodziła po schodach, taszcząc brudną pościel w workach.

– A nie kochana... Prezes przyjechał. – Skinęłam głową w stronę okna, nasycając głos ironią. Ta wyczuwalna była we wszystkich językach. Te dziewczyny świetnie porozumiewały się po polsku, a Tania nawet po angielsku.

Drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając do wnętrza holu mroźne powietrze... I parującą woń alkoholu.

– Zdrastwujcie! – krzyknął, witając się w języku Olgi.

*Jebany lingwista*, pomyślałam.

– Ceść siostrzycko! – krzyknął i rozłożył ręce do uścisku, na co odsunęłam się do tyłu.

– Klucze... – powiedziałam krótko, wyciągając po nie rękę.

– Co?! Jakie klucze? – drażnił się z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– Daj klucze.

*Stworzyłam bardziej rozbudowane zdanie dla tego kretyna*. Nie chciałam, by którykolwiek z gości był świadkiem niekontrolowanego rozwoju sytuacji. Nie miałam zamiaru prowadzić z nim dyskusji w jego stanie, a tym bardziej przekazywać decyzji ojca odnośnie do środków, których nie było już na koncie Okonia. Zakołysał radośnie ciałem. Wyciągnął pęczek kluczy z kieszeni i zadyndał nimi przed moją twarzą. Przechwyciłam je jednym ruchem ręki. Nie mogłam dać się wciągnąć w zabawę: „Wyciągnij banknot z majtek striptizerki”.

– Maciek... Byłoby dobrze, gdybyś tu został do czasu, aż nie odzyska świadomości. – Zwróciłam się do trzeźwego brata.

– Zara tu przydzie Anka popilnować. Pzynajmniej tak sie wcoraj ugodali – odparł Maciek.

*Pięknie*. Jeszcze tej tu nie było. Bo faktycznie nie było. Odkąd tu jestem, Anka ani razu nie ośmieliła się przyjechać nawet z ciekawości, a już nie mówiąc o jakiegokolwiek sprawie do mnie.

– Halo! Halo! Paniusio siostrusio! – zwrócił się do mnie Szczepan. – Karta i loginy do konta – upomniał się, odzyskując świadomość do interesów i wręczył mi lekką kopertę z loginami, hasłami i kartą do konta Jagody.

– Wszystko jest pod kluczem w metalowej szafie w moim... Twoim pokoju – poprawiłam się. – Ale klucze zostawię u rodziców i zdam relację, jak wyglądał twój pierwszy dzień w nowym miejscu pracy.

– A kces mnie nawodzić na diabły<sup>34</sup>?! – wrzasnął Szczepan i wystartował w moim kierunku, chcąc mi wyrwać wspomniane klucze.

Maciek złapał go za ramię, stopując agresję.

– Pockaj<sup>35</sup>. Daj mnie... Obiecuje, że dam mu... po dzemce – poprosił Maciek.

*Pewnie popierdasie<sup>36</sup>, ratuj bratnią dupę Szczepanowi. Sam nie jesteś lepszy.*

– Masz! Róbcie, co chcecie – odparłam zrezygnowana, przekazując kluczyki.

Wysłałam szybko, zamykając za sobą drzwi. Przystanąłam na najwyższym granitowym stopniu, odwrócona plecami do częściowo przeszklonych dębowych drzwi wejściowych, trzymając w dłoni kopertę z nowym kontem. I nowym etapem. Zamknęłam oczy, pozwalając przez chwilę promieniom słońca rozweselić swoje przybite oblicze. Jeden mroźny wdech i ruszyłam w stronę auta.

\*\*\*

Droga do Nędzówki zdawała mi się długa. Mimo że było to niespełna siedem kilometrów krótszą trasą, to ciągle sypiący śnieg nie ułatwiał jazdy. Skręciłam na mostek i wjechałam pod lekką górkę na odśnieżony i wyłożony kamieniem podjazd. Zgasiałam silnik, nadal siedząc we wnętrzu nagrzanego samochodu. Spoglądałam na zaniedbany budynek położony w cichym i leśnym zakątku Kościeliska, u wrót jednej z najpiękniejszych tatrzańskich dolin – Doliny Kościeliskiej. Pensjonat był wykonany tradycyjnie z bali – aż wołających o zaimpregnowanie. Budynek miał stromy długi dach, a dół był wykończony kamieniem łupanym. Na pierwszy rzut oka zdawał się być mniejszy od Okonia, lecz metrażowo były podobne. Ten miał zagospodarowany poziom minus jeden, czego nie było w Okoniu. Pensjonat babci był dwupiętrowy, natomiast w Okoniu były trzy piętra. Do wnętrza prowadziły cztery szerokie

schodki z surowego kamienia i przynajmniej te nie wymagały uzupełnienia czy naprawy. W mniemaniu górali, surowy łupek z mieszanką betonu był połączeniem wiecznym. Niemniej odświeżenie by im nie zaszkodziło. To był jednak plan drugorzędny. Sama myśl, że to kiedyś był dom babci, a dzięki wnukowi popadł w swoistą ruinę, dodawała mi odrobinę motywacji do działania. Uśmiechnęłam się na wspomnienie nieistniejącej już ławeczki na zadaszonym tarasie, tuż obok frontowego wejścia, kiedy to w wakacyjnym czasie siedziałam przytulona do babci, słuchając opowieści o jej młodości. Zajadałyśmy się beztrąsko drożdżowymi pampuchami z leśnymi jagodami, popijając wszystko ciepłym mlekiem.

*Ławeczka też będzie, planowałam pod nosem.*

Ze wspomnień wyrwało mnie radosne pukanie do szyby. Nawet nie zauważyłam, kiedy obok mojego, zaparkował samochód rodziców Renaty. Otworzyłam drzwi i wpadłam w jej objęcia.

– Chodź! Jeśli będzie z czego... To zrobię ci coś do picia – zaproponowałam, wymachując kluczami do drzwi Jagody. Pociągnęłam ją za rękę w kierunku schodów. Prawie weszliśmy do środka, otwierając drzwi, i pierwsze, co w nas uderzyło, to zapach niewietrzonego pomieszczenia.

– Dobry wiecór! Dobry wiecór! Pani Maju! Dobra jest! Telem ze<sup>37</sup> skończył! – krzyczał pan Zenek z podjazdu.

Chudy pijus z wąsem koło sześćdziesiątki. Opiekował się stajnią, a raczej trzema końmi, jakie w niej zostały. Kiedyś było ich więcej, ale by płacić rachunki, utrzymać dryfujący pensjonat i siebie, Szczepan wyprzedawał jednego po drugim za cichym przyzwoleniem ojca, który widocznie doszedł do wniosku, że jeśli mają paść z głodu, to lepiej je sprzedać. A szkoda, bo warunki do hodowli były tylko w tym miejscu ze względu na spory ogrodzony teren łąk za stajnią i stodołą.

Zenek nie tylko opiekował się stajnią. Odsnieżał, woził drewno, zimą palił w piecu i generalnie za butelkę domowego bimbrowa, jaką regularnie płacił mu Szczepan, zabawiał także swoimi tatrzańskimi opowieściami nielicznych przyjezdnych.

– Do jutra, panie Zenku! – pożegnałam się, z wdzięcznością machając ręką.

– Dobra jest! – krzyknął, odwzajemniając pożegnanie.

– Że on jeszcze jest w stanie chodzić – zdumiała się Renia, widząc chwiejny krok odchodzącego mężczyzny.

– Gdyby nie procenty... On nie byłby w stanie chodzić – wyjaśniłam przyjaciółce, prowadząc ją do czegoś, co mój brat nazywał recepcją.

Zamknięty pokój tuż przy wejściu trącił zapachem porannego kaca. Bardziej kojarzył się z budką stróżującego pracownika ochrony niż z recepcją tatrzańskiego pensjonatu. Gdy przyjeżdżali goście, siedział za lekko uchylonymi drzwiami swojej wartowni, z której podawał klucze, spisywał dowody, a jeśli nie oglądał ciekawego programu w telewizji, to nawet skłaniał się do pokierowania klientów we właściwym kierunku.

*Wiem, to dzięki tobie, Kasiu.*

Otworzyłyśmy zagraconą pieczarę. Za drzwiami na ścianie wisały niechlujnie przybite gwoździakami haczyki, na których z kolei wisały komplety oryginałów i zapasów kluczy do wszystkich pokoi. Ten smutny widok nie napawał entuzjazmem. Wysiedziany PRL-owski fotel, na którym walały się okruchy, ustawiony był obok ławy zastawionej nieumytymi kubkami, między nimi leżał wysłużony upływem czasu rejestr gości. Przeszło mi przez myśl, że to ten sam, który został zakupiony siedem lat temu, tuż po otwarciu pensjonatu. W rogu stał najnowszy z całego wyposażenia czterdziestodwucalowy telewizor. Pod oknem z widokiem na podjazd, znajdowało się biurko z mniej nowoczesnym komputerem służącym do pracy. Wnioskując po

warstwie kurzu zalegającej na klawiaturze, nie był tak potrzebny, jak telewizor.

– Widzisz to? Tu nawet nie ma gdzie usiąść! – skomentowałam ogólny syf panujący w tym pomieszczeniu.

– Do brzegu, Majka. O co chodzi i dlaczego tu jesteśmy? – zapytała wprost, przeczuwając, co usłyszy w odpowiedzi.

– Ojciec zabrał mi Okonia... i podarował Szczepanowi. – Na dźwięk imienia „Szczepan”, Renata zrobiła pogardliwą minę. Powinna mieć do gościa trochę szacunku, chociażby ze względu na mnie, czy drugą wspólną przyjaciółkę Kaśkę, bo Szczepan będzie jej mężem, ale nie mogła udawać do niego nawet minimum sympatii. On sam był zarażony ojcowską niechęcią do Renaty i swoim zachowaniem nie krył do niej pogardy. Przede wszystkim ze względu na to, że jej pochodzenie nie było góralskie. – A mnie dostało się to.... – dodałam, wskazując ręką ogólny nieporządek.

– Świetnie. I chcesz rady?! – zapytała, a ja potwierdziłam skinieniem głowy. – Radzę... jebnąć tym wszystkim i wyjechać – odpowiedziała tak, jak lubię. Krótko. Zwięźle. I na temat.

– Przeszło mi to przez myśl – potwierdziłam, wyrzucając śmieci do kosza i przywracając pozory czystości. – Ale mama... Przypomniała mi o babci. Powiedziała, żeby zrobić to dla niej...

– Majka! Doprowadzenie tego miejsca do stanu jakiegokolwiek używalności pochłonie najpierw sporo czasu... a potem furę kasy! Zastanów się, czy jest sens! A co jeśli zmarnujesz kolejne lata na odbudowę tego miejsca, po czym twój ojciec znów dokona wspianiałej zamiany? – podsumowała całą sytuację.

– Nie zrobi tego...

– A skąd wiesz?! – Wyrzeczyła ślepią jak pekińczyk, jakby słusność jej słów była mierzona wielkością jej oczu.

– Bo same działki, na których stoją tamte nieruchomości, są warte więcej niż ta ze wszystkimi budynkami... A ojcu bynajmniej nie chodzi o moje zabezpieczenie majątkowe.

– Dobrze. Inaczej. Jesteś pewna, że tego chcesz? – Oparła dłonie o biodra.

– Tak. Jestem. Postawię to miejsce na nogi – odpowiedziałam zdecydowanie.

– Nie przegadam ci... – westchnęła głośno. Wiedziała, że jeśli się na coś uprę, to nie ma sensu starać się, by było inaczej. – To jest szalone. – Popatrzyła na mnie z dezaprobatą. – Ale całkiem w twoim stylu – dodała.

– Pomożesz? – Prosiłam błagalnym spojrzeniem.

Zanim powiedziała cokolwiek, zobaczyłam wyświetlony napis na jej źrenicach TAK! POMOGE!

– A mam wyjście, wariacie?! – Zabawnie wykrzywiła twarz, dając poparcie mojej rosnącej nadziei.

– Jest! Jest! Jest! – Zaczęłam skakać z radości jak mała dziewczynka na widok lodów truskawkowych, po czym w podzięcie rzuciłam się jej na szyję. – To co? Wstępne oględziny zaczynamy od kuchni? Jeśli się nam poszczęści, to znajdziemy coś do picia.

Zeszliśmy kamiennymi schodami prowadzącymi do stołówki, przez którą z kolei przechodziło się do kuchni. Poziom minus jeden był niegdyś tylko piwnicą. Po śmierci babci wokół pomieszczenia zamontowano wąskie, lecz długie okienka znajdujące się prawie pod sufitem. To wystarczyło, by wpuścić odpowiednią ilość naturalnego światła. Następnie domurowaną ścianą wydzielono trzydziestometrową kuchnię, którą ekonomicznie wyłożono w całości błękitnymi płytkami. Nie była zużyta, ale mocno zaniedbana poprzez brak systematycznego sprzątania. Nie wspominając o małej kuchennej spiżarni, którą tego dnia, strach było otworzyć. Część jadalniana była pokryta okropną boazerią. Nawet jeśli charakterystyczna dla regionu, tutaj nie pasowała. Sama jadalnia była ogromna, bo miała około siedemdziesięciu

metrów kwadratowych i osiem średnich rozmiarów drewnianych stołów, wyglądało to bardzo minimalistycznie w tak dużej przestrzeni. Rozejrzałyśmy się wokół, by na wstępie podjąć pierwszą niewerbalną decyzję. *Wywalić boazerię!*

Swoim widokiem odstraszała umorusana szyba osadzona w ścianie oddzielającej jadalnię od kuchni, w której jedyną oznaką czyjejś obecności były zostawione przez brata brudne naczynia i unosząca się woń gryzonia w postaci myszy.

Wyjęłam z szafki herbatę i sprawdziłam datę ważności. Tu wszystko było możliwe. Profilaktycznie umyłam kubki, mimo że wyjęłam je wprost z szafki. Zaglądnęłam do elektrycznego czajnika i w tym momencie odechciało mi się jakiegokolwiek napoju.

– On z tego pił – powiedziałam zniesmaczona, pokazując Reni zbrązowiałe dno czajnika, którego nie było widać pod złogami kamienia.

– Wyhodował jebanego koralowca w czajniku elektrycznym! Geniusz! – Roześmiała się na widok niefabrycznego stożka, a mnie przestało być do śmiechu.

– Współczuję Kaśce. Wychodząc za mojego brata – Ogra, nie zdaje sobie sprawy, że jest gorszy od dziecka... Którego, póki co... ona nie chce. – Z ulgą wrzuciłam czajnik do kosza, z którego również wydobywała się nieprzyjemna woń. – Dobra... Jednak chodźmy zobaczyć, co jest do zrobienia na górze. W tym wypadku powinniśmy trzymać butelkę wina w dłoni, a nie kubek z herbatą.

Wyszłyśmy na parter, gdzie znajdowały się trzy pokoje do wynajęcia, o numerach 2, 3 i 4, socjalny, czyli pralnia z magazynem pościeli, oraz mój aktualny pokój o numerze 1, tuż obok recepcji. Na parterze było wyjście na tylną werandę z wysłużonymi ratanowymi meblami. Nikt nie pofatygował się, by zabezpieczyć je przed zimą. Na górę prowadziły poszerzone na dole kamienne schody zwężające się ku górze, z metalową kutą barierką po obydwu stronach.

Na pierwszym piętrze znajdowało się sześć pokoi od numeru 5 do numeru 10, a na samej górze dwa sporej wielkości apartamenty z balkonami numer 11 i 12. Obeszłyśmy wszystkie zakurzone kąty, w których wyczuwalny był duszący zapach zwilgotniałej boazerii i starego lisiego futra. Po godzinie, w zupełnej ciszy, zeszłyśmy ponownie na parter, wchodząc do pokoju pierwszego.

– Jestem załamana – powiedziałam tylko, opadając na wysłużony materac drewnianego łóżka.

Patrzyłam w stary sufit nowego kierowniczego pokoju. Dobrze, że na wszelki wypadek spakowałam komplet pościeli z Okonia. Tak tylko, gdyby jednak moja czarna wizja tego miejsca się ziściła.

*Niestety, pościel się przyda... Na pewno.*

– Ładnie cię stary urządził. Nie ma co – skomentowała Renata. – Ty już zamążpójście powinnaś planować... Może by cię oszczędził... – dodała pół żartem, pół serio, rozsiadając się na skraju łóżka.

– W dupę niech mnie pocałują... Myślisz, że wyrobię się w dwustu tysiącach? Wiesz... Remont i wyposażenie?

– A skąd ty masz taką kasę?! – zapytała, wywalając oczy.

– Przecież nie ukradłam! – odparłam. – Nie uwierzysz... Ale ojciec się zgodził, by na remont zabrać kasę z Okonia. – Jej zdziwienie było wręcz namacalne.

Połączenie słów OJCIEC i ZGODZIŁ nawet we mnie wzbudzało mieszane uczucia.

– A Szczepan co na to? De facto to poszło z Okonia.

– Ha! Idę o zakład, że jeszcze nie wie. Jeśli wytrzeźwiał... A nie wytrzeźwiał... Bo już by dzwonił lub przyjechał z awanturą... Bez zwłoki zrobiłam przelew środków, a że poszedł po

obiadku świętować zastrzyk gotówki, a dziś przyjechał na wymianę kluczy zaprawiony... To cóż... Nie miałam, jak przekazać tej drobnej informacji... – wyjaśniłam okoliczności z zawadiackim uśmiechem. – Jeszcze dziś zmienię hasła dostępu do konta Jagody.

– Wkurwi się. – Spowaźniała.

*Tak, moja kochana wróżko. Masz rację.*

– Wiem... I dobrze mi z tym... – odparłam melancholijnie.

Fantazjowałam na różne tematy, ale ten nasuwał mi piękny obraz brata płaczącego nad wyciągiem z konta.

– Należało mu się. Nie mam rodzeństwa, ale chyba żaden normalny brat nie godzi się na coś takiego w stosunku do własnej siostry... – odpowiedziała przyjaciółka, popierając mój krok.

– Tak. Ale to nie jest normalny brat... A tym bardziej normalna rodzina... Sama nie wiem, czy oni do mnie, czy ja do nich nie pasuję. – Oparłam głowę o poduszkę, przenosząc wzrok w stronę okna.

– Nie ma tego złego. Geny pięknych modeli ma całe rodzeństwo... Ale geny pięknego i inteligentnego masz tylko ty... No, może i nieco szurniętego! – Zaśmiała się, za oberwała wzorzystym jaśkiem. – A jeśli już mowa o rodzinie... To też mam dla ciebie hot newsa... I sama potrzebuję twojej rady...

– Gadaj! – Poderwałam się w gotowości, by to usłyszeć.

– Rodzice postanowili wystawić dom na sprzedaż.

– Co?! – zapytałam kompletnie zszokowana tą wieścią.

– A nooo... Stwierdzili, że już pora zmienić południe na północ. Chcą kupić mieszkanie w Gdańsku i przenieść swoją działalność w tamte rejony. Zaproponowali mi... Bym i ja się stąd wyniosła i nadal pomagała im w biurze...

Zdębiałam. Nigdy nie brałam pod uwagę tego, że jej rodzice kiedykolwiek będą chcieli sprzedać dom. Nawojscy od lat prowadzili rodzinne biuro księgowo na obrzeżach Zakopanego. Coraz częściej angażowali Renatę w pomoc biurową, mimo że nie miała wykształcenia w tym kierunku. Ukończyła studia o tym samym profilu co ja. Pomijając portugalski. Stwierdziła, że to przerasta jej umiejętności i skończyła tylko angielski. Prowadzenie biura księgowego rodziców też realnie ją męczyło.

– Zakopane bez ciebie?! Opiżdźniałeś?! – wykrzyknęłam, jednocześnie starając się uspokoić. – Wiem. To, co powiem zabrzmi samolubnie... Ale zostanie mi tylko Kaśka, która za rok lub dwa stanie się niewolnicą Szczepana. A co z Kamilem? – zapytałam, chcąc ją przekonać wszystkimi dostępnymi argumentami.

W końcu była dla mnie ważniejsza od kogokolwiek w tym mieście. Razem przeszliśmy przez przedszkole, szkołę podstawową i średnią aż po studia. Pierwsze zauroczenia, miłości, problemy, przy tym zawsze darząc się wzajemnym wsparciem.

– W zasadzie to nie do końca wiem, co robić. Miałam taki przebłysk, że i ty rzucisz to wszystko i wyjedziemy. Razem... Ale to nie rozwiązuje sprawy z Kamilem. Układa się nam... Tylko on się nie wyprowadzi, bo jest lojalnym synem, który ot tak nie porzuci rodziców. Nawet ze względu na miłość życia. To chyba góralska skaza i jedyna jego wada... – Wyraźnie posmutniała. – Pewnie nie odnalazłby się w żadnym innym mieście i żadnej miejskiej pracy. – Wyglądała, jakby właśnie oberwała w głowę młotem odbitym od kowadła.

– Zostajesz! Wymyślimy coś... Przecież może upłynąć sporo czasu, nim uda się sprzedać dom – zaznaczyłam pocieszająco.

– Racja... Nawet nie chcę teraz o tym myśleć. Zajmijmy się tym miejscem, bo mamy sporo pracy.

## Rozdział 2

Tampa, Floryda

Michael

– Jakie wytyczne, szefie? – zapytał zaufany pracownik Michaela, Rick.

– Zabić – odparł nade spokojnie, siedząc na skórzanym biurowym fotelu, odwróconym w stronę panoramicznego okna wychodzącego na błękitne wody Zatoki Tampa.

Podziwiał swoje miasto z najwyższego trzydziestopięciopiętrowego oszklonego wieżowca, będącego siedzibą jego organizacji. Widoki od strony dzielnicy Davis Island bywały kosztowne dla zwykłego zjadacza chleba, ale Michael Adams i jego bracia nie byli zwykli. Nie zaliczali się nawet do zjadaczy chleba.

– Umówisz spotkanie na jutro w LouLou. Chcieli na neutralnym gruncie... to będą mieli. Zadbaj o to, by tego dnia nikt przypadkowy nie znalazł się w środku i nikt z pracowników restauracji nie przychodził do pracy. – Michael zmrużył oczy, bo przeszedł mu przez myśl grymas twarzy Simona, właściciela owej knajpy, płacącego niemałe pieniądze za spokój w okolicy swojego lokalu. – Obstawimy swoją obsługę. Najmij kilka prostytutek... Niech tym razem one poudają klientki. Na mój znak nakarmimy gnoja tak, że odechce mu się pogrywania ze mną na zawsze... – mówiąc to, obrócił się na fotelu w stronę słuchającego z uwagą Ricka.

W oku Michaela pojawiła się jarząca iskierka zemsty, która lada chwila miała zamienić się w rozszalałe płomienie spełnienia.

– Rozmawiałeś z braćmi? – zapytał Rick. – Wiedzą, że Santo Tifficante chce zgody? – kontynuował i popatrzył na szefa nie tylko wzrokiem pełnym obawy, ale też zrozumienia.

Miał zamiar wykonać rozkaz. Zawsze wykonywał. Ale miał również świadomość, że rozkaz dotyczy głowy włosko-amerykańskiej mafii, zajmującej się między innymi hazardem i narkotykami – jak w głównej mierze organizacja Michaela Adamsa. Tifficante był nie tylko Włochem, ale również bezwzględny człowiekiem, który ostatnimi miesiącami nie próżnował, rozwijając się w lichwiarstwie, wymuszeniach, porwaniach i handlu żywym towarem. Jego obszar rozwoju sięgał między innymi Ameryki, gdzie w każdym stanie podobnie jak konkurencja miał biznesowo zaprzyjaźnione miasto. Posiadał również mocną pozycję w znacznej części ojczyznej Europy i wpływy na pozostałych kontynentach.

– Chce zgody? – Michael wycodził przez zęby. – Przypomnieć ci, jak trzy lata temu przypieczętował zgodę?! Powiedzieć ci, w której części jelita grubego ma nas Tifficante?! – wrzasnął, a jego pięści z impetem uderzyły o blat lakierowanego dębowego stołu, przewracając perłową ramkę ze zdjęciem. Odpalił papierosa, by opanować zszargane nerwy. Zaciągnął się mocno czerwonym marlboro, z ulgą wypuszczając smugę szarego dymu. – Zaufałem mu raz... I więcej nie zaufam... Dostał zielone światło, przypieczętował wspólny interes uściskiem swojej fałszywej, włoskiej dłoni i... bez sentymentu, tego samego dnia staranował mój samochód, spychając go do zatoki! To jest właśnie jego podejście do niewchodzenia sobie w drogę... – podsumował, patrząc na papierosa ściśniętego w palcach. – Jebane fajki uratowały mi życie... – Zaciągnął się z żalną wdzięcznością i zgasił końcówkę w kryształowej popielnicy.

– Michael. Zrozumiałem. Chciałem się tylko upewnić... czy wiesz, co robisz i czy nadal tego chcesz. Nie skończy się na nim. Będzie wojna – podsumował Rick, badawczo spoglądając na zdenerwowanego towarzysza.

– Przestań pierdolić i załatw wszystko, o co cię proszę. Wieczorem chcę cię widzieć w BLACK. Wtedy dogramy szczegóły – zarządził Adams, definitywnie kończąc rozmowę i ponownie obracając się na skórzanym fotelu w stronę okna.

– Wczoraj zamknęliśmy w mięsnym dwóch typków do rozliczenia. Jeden niedawno zaczął u nas pracę, a drugi z nim współpracował. Zajmiesz się tym ty czy przekazać Jackowi? – zapytał Rick odnośnie do dodatkowej pracy.

– Ja – odparł Michael, wiedząc, że zrobi to przy okazji wieczornego pobytu w kasynie.

– Do zobaczenia – odpowiedział i bez dalszej dyskusji wyszedł, zostawiając szefa.

– Jestem tak blisko... – mówiąc to, Michael uspokajał sam siebie.

Odwrócił się, ustawiając przewrócone zdjęcie, które dla postaci na nim było ostatnim.

Poczuł swoiste podekscytowanie na myśl o wizji jutrzejszego oczyszczającego dnia. Trzy lata wcześniej Santo Tifficante odebrał mu sens życia, jednocześnie dając nowy – skazujący dla samego siebie.

\*\*\*

Wieczne powietrze w BLACK było ciężkie od przepelniających je nadziei i poczucia porażki z kolejnej przegranej nieudaczników, którym dano szansę – by wygrać raz. Michael stał przy weneckiej szybie swojego kasynowego biura na piętrze i obserwował frustratów zostawiających swój majątek na dole. Wcale im nie współczuł. Cieszył się, że dzięki nim jego własny interes ma się świetnie. Patrzył na nich tak, jak spogląda się na jadowite pająki w terrarium, do którego wpuszczono kilka much. Z tym że to on był pająkiem, a pajęczyna ruletek, stołów do pokera, automatów i dealerów rozstawionych gdzie trzeba, przyklejała jedną muchę po drugiej. Znał swoje ofiary jak mało kto. Większość grających pracowała cały miesiąc, by w kilka chwil pozbyć się wypłaty. Widział też osoby, które dyskretnie wciągały zakupioną bez kaucji kreseczkę koki, dodając sobie odwagi przed zaciągnięciem kolejnego długu w pokera. Długu, który dla tych ludzi nigdy nie małał. Ten widok relaksował Michaela.

Skupił swoją uwagę na znajomej twarzy stałego bywalca, który właśnie stracił ostatnie co można spieniężyć – swój samochód i dach nad głową. Obserwował, jak w akcie desperacji chłopak próbuje się szarpać z wyrzucającym go ochroniarzem, znającym jego wyczerpany limit. Michael wybrał numer w swojej komórce.

– Bob, przyprowadź go na górę.

– Do mięsnego czy do biura?

– Do biura – poinstruował i przypomniał sobie o dwóch mężczyznach zamkniętych w pokoju zaległych rozliczeń w jednym z pomieszczeń piętra BLACK.

– Się robi, szefie – odparł posłusznie pracownik.

\*\*\*

Przyprowadzony przez Boba załamany bankrut stał za plecami Michaela, który ze spokojem nadal obserwował inne muchy na dole.

– Napijesz się whisky młody człowieku? – zaproponował grzecznie właściciel kasyna.

– Nie, dzięki – odparł wyraźnie podłamany chłopak, wiedząc, że wizyta może mieć związek z obowiązkiem spłaty długu.

– Jak chcesz. Długo nie będziesz miał okazji napić się takiego trunku – mówiąc to, nałał tylko sobie bursztynowego płynu do kryształowej szklanki. – A może chcesz zapalić, bo z tym też będzie kiepsko... No chyba że ci się poszczęści gdzieś w parku i znajdziesz apetyczny niedopałek – dobijał swojego rozmówcę, ze stoickim spokojem odpalając papierosa.

– Dziękuję. Nie palę. Ale jeśli już pan taki hojny... To może udzieli mi jeszcze jednego



kredytu? – zwrócił się odważnie do właściciela, czując jego gościnność.

Michaela bardzo rzadko widywali tacy jak on. Jako szef miał ludzi z bardzo skutecznymi metodami odzyskiwania długów.

Adams odwrócił się w stronę chłopaka i z impetem rzucił szklanką tuż obok jego głowy. Ta, rozbryznięta się na tysiące kryształowych kawałków, rozlewając świeżo nalany alkohol na bladą różową koszulę chłopaka. Rozwścieczony Michael gwałtownie podszedł do niego i złapał za ubranie, lekko go unosząc.

– Masz mnie za durnia?! Myślisz, że jestem uprzejmym pracownikiem zaszranego banku, do którego się kulturalnie wchodzi i wychodzi z pozytywną decyzją kredytową? – syknął z wrogim wyrazem twarzy potęgowanym przez podłużną bliznę przecinającą jego prawą brew i widocznie pulsującą tętnicę na szyi, pokrytej wystającym spod kołnierza koszuli tatuażem. – Nie stać cię nawet na tic-taki zaszranu! – wrzasnął i puścił go, zauważając powiększającą się mokną plamę na nogawce chłopaka. – Jesteś zerem w pedalskiej różowej koszuli. – Ponownie złapał chłopaka za kark i poprowadził do zawieszonoego nad barkiem lustra. – Przypomnij mi swoje imię – zażądał Michael, nadal trzymając dłoń zaciśniętą na karku chłopaka.

– Th...Thomas proszę pana – przedstawił się niepewnie.

– Thomasie, a ile masz lat? – Michael kontynuował już nieco spokojniej.

– Dwadzieścia trzy, proszę pana – odpowiedział krótko Thomas.

– Kogo widzisz w lustrze, Thomasie?

– Siebie proszę pana.

– A ja widzę... śmiecia, który pozbawił dachu nad głową własnego ojca. Zgadzasz się z tym? – Palce Michaela zacisnęły się mocniej na spiętym ciele dłużnika.

Błada twarz chłopaka poczerwieniała, a na jego czole pojawiły się krople panicznego potu.

– Ta-tak, proszę pana – zająknął się Thomas.

– To... dlaczego, do chuja pana, prosisz się o kulkę w łeb, chcąc jeszcze większego długu?! – zapytał i z pogardą popchnął młodego mężczyznę w stronę drzwi. Wyciągnął pistolet spod marynarki, nie spuszczać z niego mrocznego spojrzenia. – Wiesz, co to jest, Thomasie? – Obracał swoim walterem tuż przed oczami chłopaka, którego twarz wyraźnie pobladła.

– Tak proszę pana. Broń – odpowiedział automatycznie, utrzymując ton pełen szacunku.

– A wiesz do czego służy... ten element? – Michael wskazał palcem wolnej dłoni język spustowy pistoletu, na co chłopak tylko przytaknął skinieniem głowy. – Więc odpocznij trochę i widzimy się niebawem. Nie próbuj uciekać... Chyba że chcesz przekazać kulkę ojcu... A może siostrze? Lub jej dzieciom? W sumie, to mnie to obojętne... – straszyl Michael.

Żaloszny widok owej oszczanej muchy na naprawdę drogim arabskim dywanie uświadomił Michaelowi, że nie powinien się tym zajmować. Jego postawa i wrogi wyraz twarzy wywoływały w ludziach potworny lęk. To wystarczyło.

– Nie ucieknę – zapewnił Thomas, a struga potu spływała mu po skroni.

– Chociaż tyle... – podsumował Michael, chowając broń na swoje miejsce. – A teraz wypierdalaj, bo doliczę ci dywan do długu – powiedział, wskazując palcem drzwi. Chłopak bez wahania złapał za klamkę i w wejściu wpadł wprost na roslęgo Boba. Ominął go i ruszył ciemnym korytarzem w kierunku schodów prowadzących na dół.

– Oooo szefie... Widzę w tobie potencjał – skomentował Bob, widząc stan, w jakim młody chłopak opuścił biuro.

– Wyślij za nim kogoś. Jeszcze z nim nie skończyłem. A... I załatw mi tu szybki *cleaning*... Za chwilę mamy spotkanie.

\*\*\*

Chwilę później trzech braci – Michael, Jack i Dylan w towarzystwie grupy swoich wiernych ludzi, nerwowo czekali na powrót Ricka i ustalenia, jakich dokonał.

– Wiesz bracie, że jakkolwiek decyzję podejmiesz, pójdę za tobą w ogień? – zapytał Dylan. Najmłodszy z braci, bo zaledwie dwudziestoczteroletni.

Michaelowi przypomniała się sytuacja sprzed pół godziny, kiedy to rok młodszy od brata chłopak, zmoczył się ze strachu. Pomyślał o emocjonalnej przepaści, jaka dzieli tych dwóch młodych mężczyzn. Jak na swój młody wiek Dylan miał ponadprzeciętną odwagę. Michael był przekonany, że brat niekiedy celowo prowokował rozwój niebezpiecznej sytuacji, to niejednokrotnie budziło w nim niepokój o życie brata.

– Wiem, Dylanie – odparł dumnie, odnosząc się do jego poparcia. – A ty Jack? Jakie ty masz zdanie w temacie Tifficantego? – zapytał Michael, przenosząc wzrok na drugiego brata spokojnie palącego cygaro.

Ten trzydziestolatek potrafił być bezwzględny i pewny siebie w działaniu. Był stonowany i porządny we wszystkim, co robił w pracy, dlatego to właśnie jemu Michael powierzał nadzorowanie trudnego tematu, jakim było kontrolowanie jakości przemycanych narkotyków. Bystre i ciemne spojrzenie Jacka, potrafiło powiedzieć więcej niż jego własne usta.

– Podobne. Jesteśmy braćmi. Ty rządzisz i to jest dla mnie świętość – odpowiedział Jack.

– Cieszę się, że przynajmniej w rodzinie jest zgoda... – stwierdził Michael, odwracając głowę w stronę otwierających się drzwi. Bacznie obserwował wchodzącego Ricka. Podszedł w jego stronę i wcisnął mu w dłoń swoją szklankę whisky z lodem, jakby to było pierwsze, czego potrzebował ten człowiek.

– Jest problem... A w zasadzie... Dobra i zła wiadomość. – Upił łyk i nie słysząc przedwczesnych pytań, kontynuował. – Tifficante nie może się jutro spotkać. Zaproponował piątek... W restauracji Tampa's Diamond.

– Kurwa! – skwitował poirytowany Michael. Sięgnął po nową szklankę i zapalił papierosa, czekając na dalsze informacje.

– Przynajmniej wiemy, że sam niczego nie knuje – zauważył Dylan, zwracając uwagę na tłoczność w okolicy wybrzeża i rejon terytorialnie należący do nich.

Restaurację od plaży dzieliło zaledwie kilkadziesiąt metrów. Na jej tyłach można było podziwiać spokojne wody zatoki, dlatego też była jedną z najbardziej obleganych restauracji na wybrzeżu.

– Ale pewności mieć nie możemy – dodał Jack. – To Tifficante. Jest starym, bezwzględnym pierdzielem i sojusze z nim nigdy nikomu nie wyszły na dobre. On myśli tylko o interesach i terenie, na którym może położyć swoją łapę, by móc przekazać jak najwięcej w ręce swoich dzieci – podsumował, mając na myśli jego synów Ernesto i Ricardo oraz córkę Sofię.

– W rzeczy samej. Bliżej mu do Cygana niż Włocha – wtrącił Dylan.

– Trzy pieprzone dni każe na siebie czekać ze świadomością, że wyjdzie żywy z rozmowy – rozmyślał głośno Michael.

– Zawsze można zestrzelić jego śmigłowiec – zasugerował ze śmiechem Matt, kompan Dylana i strzelec wyborowy w szeregach pracowników.

– Kuszące... Ale nie możemy srać we własnym mieście. Obiecałem władzy spokój i ciszę medialną. Zestrzelony helikopter mi tego nie zapewni – stwierdził Michael. – Chciałem pożegnać tę pluskwę po swojemu... Chociaż teraz nieważne jak i... – uciął na chwilę, zawieszając myśli i słowa. – Rick... Zgoda na piątek. Zobaczę, o co mu tym razem chodzi. – Wyraził chęć spotkania, lecz wiedział już, że niełatwo mu będzie usiąść twarzą w twarz przy stole,

z człowiekiem, który chciał go już kiedyś zabić tuż po dogadaniu współpracy.

– Michael... Chcesz powiedzieć, że zjecie posiłek w romantycznej scenerii... Gość ci wkręci kilka kitów... Nie zabijesz go... i przy odrobinie szczęścia... on nie zabije ciebie? – zapytał prowokacyjnie Jack, chcąc usłyszeć na głos zamiary brata. Nienawidził Tifficante, równie mocno jak Michael, głównie za zmianę życiowego nastawienia, jaką Tifficante zafundował bratu.

– Na to wygląda. – Najstarszy z Adamsów przygasił niedopałek i podszedł w stronę weneckiego okna, by wyciszyć wzbierające się w nim emocje widokiem tętniącego życiem „terrarium”. – Poznam jego intencje... Być może plan się sam nasunie, na chwilę obecną dograjmy spotkanie. Sam się nie pojawi, więc i ja potrzebuję waszego towarzystwa.

– Jest coś jeszcze szefie... – powiedział Rick, podchodząc do Michaela. – Chęć jego spotkania może wynikać... Z wojny, jaką sobie zgotował z rodziną Morenów – dodał, mówiąc o równie niebezpiecznej i wpływowej rodzinie, królującej głównie na Sycylii.

– Przecież wojnę z nimi mają od zawsze! – stwierdził już wiadome Michael.

– Ale świeża informacja od włoskiego informatora... mogłaby mieć coś wspólnego z jego chęcią pojednania. Dwa dni temu Tifficante za głęboko wsadził palec w bardzo ohydne gówno... – Rick przerwał wypowiedź kolejnym łykiem kojącej whisky. – Don Moreno przebywał od kilku tygodni w prywatnej klinice Mediolanu. Z tego, co się dowiedziałem, był schorowany i wypadł z zabawy na kilka miesięcy. Mogło mieć to związek z trzustką, bo ta... dotarła w paczce do domu Morenów, zapakowana w papierowy worek na psie kupy i w zwykłej kopercie na listy... – Rozległ się śmiech ochroniarzy, w uznaniu dla pomysłowości starego Tifficante.

– Don Moreno nie żyje? – Michael entuzjastycznie otworzył oczy, bo była to jedyna dobra informacja, jaka częściowo poprawiła jego humor.

– Wiedz, że Tifficante dopadł starego dona przypiętego do rurek, umierającego i bezbronnego... Byłe zmanifestować swoją pozycję i przypomnieć o sobie. Udało mu się, bo rodzina Morenów się wściekła i zaprzysięgła wybicie wszystkich, w których żyłach płynie krew Tifficante. Nawet Morenowie, chociaż podobni w działaniu, nie dobijają starców – skończył Rick, a Michaelowi to tylko przypomniało o bezwzględności charakterystycznej dla Santo Tifficante.

– Istnieje nadzieja, że Moreno dopadnie go pierwszy – zasugerował Dylan.

– Trzeba mu przyznać, że jest fachowcem w śmierdzącej robocie. – Zaśmiał się Jack.

– Więc zamiast jeść przy jednym stole z Tifficante, powinniśmy zasiąść przy jednym stole z Moreno. I nam, i im, zależy na jego głowie – zauważył Dylan.

– Jak zaprosisz Moreno do współpracy na Florydę, to rozpanoszy się jak Tifficante. Prędzej czy później i z nimi byłyby nowe problemy – oponował Michael, nauczony bolesnym doświadczeniem sprzed trzech lat, gdzie wspólne interesy zakończyły się tego samego dnia, w którym się rozpoczęły.

Był zdania, że lepiej utrzymywać między Moreno poziom akceptowalnej neutralności, bez jakichkolwiek powiązań.

– Zdecydowanie wolę Brazylijczyków czy Meksykanów, bo u nich zawsze wiadomo, o co chodzi, a makaroniarz zawsze zostanie makaroniarzem – stwierdził Dylan.

– Dobra, szefie. Czyli nastawiamy się na co? W temacie Tifficante... – zapytał Rick, wbijając wzrok w Michaela.

– Na nic, brachu. Zobaczymy, co ma do powiedzenia i wybadamy grunt. Dopóki przebywa na Florydzie, nic mu nie grozi ze strony Morenów... Nic oprócz niepewności, co do nas... Pewnie dlatego chce się upewnić, co do naszych intencji.

– Jasne – odparł krótko Rick.

Gdy ustalenia w kwestii spotkania z wrogą rodziną dobiegły końca, męska rozrywka w biurze rozpoczynała się na dobre.

– Skoro jutro wolne... Za ruchome piaski pod stopami Tifficante! – Dylan wznosił toast.

– By go nie wypłuły! – dodał Jack, upijając spory łyk whisky.

Podszedł do drzwi i zaprosił do środka czekające na korytarzu dziewczyny w kusych spódniczkach i wnoszące tace z zakąskami.

– Może nie wypłują... – powiedział pod nosem Michael.

Spoglądał na kompanów, jak rozbierali wzrokiem i przyciągali na swoje kolana latynoskie gorące dziewczyny. Zobaczył, jak rozsiadając się wygodnie na pikowanej, skórzanej sofie, jedna z nich siada okrakiem na Jacku i ten bez oporów wbił palce swoich dłoni w pośladki długowłosej dziewczyny, która lawirowała biodrami, zachęcając go do zabawy. Michael był przyzwyczajony do takich rozrywek. Gdy był w wieku najmłodszego brata, sam brał w nich udział. Teraz ten widok nie wywierał na nim żadnego wrażenia. Prawie żadnego. Widząc, jak dziewczyna włożyła Jackowi do ust winogrono, napływające wspomnienia nie pozwoliły mu dłużej zostać w tym miejscu.

– Świętujcie. Ja muszę odpocząć. – Wychodząc, nawet nie spojrzał w stronę zgrabnej dziewczyny wyciągającej w jego stronę poczęstunkową tacę.

Od wypadku nie był zainteresowany jakimkolwiek kontaktem z kobietą. Zamknął drzwi biura, zostawiając wesołe towarzystwo, i ruszył mrocznym korytarzem w stronę schodów, przystając nagle przy czarnych drzwiach zlewających się z kolorem ścian.

– Kurwa – zaklął pod nosem i spuścił na sekundę wzrok na czerwoną wykładzinę na podłodze.

Złapał za okrągłą klamkę drzwi do pokoju nazwanego mięsnym. Wszedł do przestronnego klimatyzowanego wnętrza, zapalając światło i zamykając za sobą wygłuszone masywne drzwi. Ściany bez okien oraz podłoga były wyłożone białymi płytkami, a całe pomieszczenie było dźwiękoszczelne. Pod sufitem zamontowany był szlauch ciśnieniowy, jakiego używano na samoobsługowej myjni samochodowej. Środek białej podłogi po całej długości przecinała wmontowana aluminiowa kratka ściekowa. Do ścian przytwierdzono łańcuchy z kajdankami jak w średniowiecznych lochach, do których na przeciwległych ścianach przykuto za ręce dwóch mężczyzn z zakneblowanymi ustami. Widząc Adamsa, zaczęli pociągać za grzechoczące łańcuchy, jakby poczuli ostatnią nadzieję ucieczki poprzez próbę wyrwania ich ze ściany.

Michael podszedł najpierw do starszego faceta przykutego po lewej stronie i bez słowa oswobodził jego usta z taśmy, przy okazji wrywając miękki zarost. Przeszedł na prawą stronę, powtarzając czynność z drugim, młodszym mężczyzną. Następnie skierował się na środkową ścianę i oparł o nią plecy, spoglądając na swoich dłużników wlepiających wzrok w podłogowe spoiny płytek. Michael zauważył, że byli do siebie podobni. Jeden w wieku przed czterdziestką, a drugi bliżej trzydziestki.

– Macie szansę wytłumaczenia swojego błędu. Czekam. – Michael założył ręce na piersi i spoglądał w ich stronę, czekając na wyjaśnienia, których jednak nie słyszał. – Okej. Wrócę tu za miesiąc. – Obrzucił ich groźnym spojrzeniem i ruszył w stronę drzwi.

– Przepraszam – powiedział starszy, nie chcąc czekać tak długo w tej pozycji. – To ja chciałem ukraść towar. Przepraszam, panie Adams. On nie miał z tym nic wspólnego. – Mężczyzna skinieniem głowy wskazał na bladą twarz młodszego chłopaka wiszącego naprzeciw. Był łysy, bez brwi i zarostu, a tylko mocno wytatuowane ciało nadawało mu żywszego kolorytu.

Michael przystanął twarzą w twarz ze starszym mężczyzną i ze zmęczeniem popatrzył w jego piwne oczy.

– Czyli to ty podpierdoliłeś pięć kilogramów mojej koki, ledwo zaczynając u mnie pracę, i chciałeś z nią nawiać? – zapytał Michael, wyciągając pistolet spod kamizelki.

Przeładował go, przykładając mężczyźnie do skroni i wtedy rozległ się głos łysego chłopaka.

– To moja wina. To ja go do tego namówiłem. Niech mnie pan zabije.

– Nieprawda – odparł mężczyzna z pistoletem przy skroni. – To był mój plan. Miałem dostać tu pracę. Ukraść kokę, sprzedać ją i za to opłacić mu leczenie. Ma raka. Wypuść go. Proszę. Przepraszam.

– Przepraszasz za to, że chciałeś zrobić mnie w chuja? Poważnie? A gdyby ci się udało, to byś, kurwa, przeprosił czy podziękował?! – wrzasnął niewzruszony Michael.

– Nie wiem, ale teraz przepraszam – odpowiedział mężczyzna, a pot obficie zrosił jego twarz i ściekał po skroniach.

– Chuj z moim towarem, którego tylko połowa wróciła do mnie. Muszę ci chyba podziękować za to, że potrafisz zachować się z klasą, wyrażasz skruchę i ciągle przepraszasz. Stary... Nawet opłacę twojemu bratu leczenie... – powiedział Michael z powagą w głosie, na co mężczyzna w niedowierzaniu otworzył szeroko oczy.

Michael odwrócił się w stronę łysego człowieka i błyskawicznie oddał śmiertelny strzał w sam środek jego czoła, powodując kaskadowy rozbrzyg zawartości jego głowy, która utworzyła krwawe zacieki na ścianie pokrytej białymi płytkami. Chłopak bezwładnie zawisł na łańcuchach, a głowa opadła mu do przodu, prezentując ranę wylotową. Struga jasnoczerwonej krwi kapiącej z czoła delikatnym spadkiem zaczęła sunąć w stronę ścieku. Adams ponownie obrócił się w stronę swojego nieuczciwego pracownika, który w oszołomieniu tego, co zobaczył, zaczął rozpaczliwie szlochać, śliniąc się przy tym jak dziecko.

– Widzisz, jak brat szybko wyzdrowiał? A ty masz miesiąc, żeby oddać resztę towaru, bo rodzinę wyleczę ci nawet z alergii – dopowiedział wychodzący Michael.

\*\*\*

Adams udał się do swojej pilnie strzeżonej rezydencji na Carroll Cove, otoczonej trzyhektarowym tropikalnym ogrodem z widokiem na jezioro Carroll. Jeśli można było sobie wyobrazić najprawdziwszy prywatny raj – to Michael był jego właścicielem.

Po ciężkim dniu udawał się wprost do swojego wyrzutnika złych emocji, by przemierzyć kilkadziesiąt razy dystans połyskującego basenu na zadaszonej, przeszklonej werandzie wśród doniczkowych palm.

Zmęczony pływaniem, zanurzył ciało w ciepłej wodzie jacuzzi. Przyjemny chłód nocnego powietrza i cisza wokół przełamana tylko szumem wody, pozwoliły mu na relaks i powrót do przeszłości – w niespokojnym śnie...

– *Cass! Daj się przytulić!* – zawołał od progu Michael, wracając do niedawno zakupionego domu. Humor mu dopisywał, był zadowolony z zawarcia świeżego sojuszu z Tifficante. Słyszac od holu odgłos zamykanej lodówki, podążył w stronę kuchni, gdzie ostatnimi miesiącami Case można było zastać najczęściej. Przystanął przy wejściu, opierając bok o ścianę i przyglądał się jej. Przypomniał sobie dzień, w którym miała zostać hostessą w BLACK. Nie dostała tej pracy. Od pierwszej chwili w jej oczach nie było wymaganego pożądanego. Ona patrzyła na niego miękkim wzrokiem. Jednym spojrzeniem powaliła bezdusznego potwora na kolana – i to była jej siła.

*Widok i działanie tej kobiety na niego były jak kokaina, której już nie brał. Była piękną kobietą o egzotycznej urodzie. Wniosła nieoczekiwaną zmianę w życie mężczyzny, dzieląc się*

*z nim swoim spokojem i odkrywając nieodwrócone karty jego słabej strony osobowości.*

*Jej widok w tym domu podobał mu się bardziej niż ten z górnego piętra w kasynie.*

*Teraz miała na sobie tylko koszulkę, która kilka miesięcy temu sięgała do połowy jej ud. Dziś okrągła wypukłość brzucha zachęcająco ją unosiła. Michael czuł ciężko niedosyt jej ciała.*

*Podszedł do jej pleców, tak jak lubił najbardziej. Przylegając swoim ciałem do niej, najpierw musiał poczuć jej zapach. Odgarnął jasnobrązowy kosmyk kręconych włosów i zaczął muskać ustami jej miękką skórę za uchem. Zamruczała z zadowoleniem. Podniecało go, gdy wydawała z siebie takie dźwięki. Oparła głowę o bark mężczyzny, całkowicie odsłaniając smukłą szyję, a on przesunął językiem po jej skórze, czując słodki smak jakiegoś balsamu. Jego dłonie mimowolnie wtargnęły pod jej koszulkę, lądując na brzuchu. Powitał krótko swojego następcę w jego wnętrzu. Szybko jednak dłoń wylądowała na napiętej i wrażliwej piersi, a oddechy obojga przyspieszyły.*

*– Jesteś głodny, skarbie? – wyszeptała zmysłowo, dociskając się pośladkami do gotowego sprzętu Michaela.*

*– Cholernie... – potwierdził, sunąc dłonią w dół, na podbrzusze. Z jej ust wydobył się jęk pozwolenia. – Dziś chcę tylko deser... – powiedział, jednocześnie pozbywając się własnych spodni, jednym ruchem oderwanej od niej ręki.*

*Oparła dłonie o blat kuchenny, uwodzicielsko wypinając się w koronkowej bieliźnie. Nie mógł dłużej czekać i wszedł w nią, miarowo napierając biodrami, by wejść jeszcze głębiej. Nie zwalniał. Nie mógł. Zaparła się mocniej o blat, jęcząc z rozkoszy i idealnie czując nadciągający orgazm, jeszcze mocniej przywarła do niego pośladkami... Wtedy było jak zawsze... Ich mięśnie napięły się jak zsynchronizowane i doszli razem. Przytulił ją z błogą ulgą, by jeszcze chwilę potrwać w tym stanie. Odwrócił ją ku sobie, zatapiając dłonie w jej włosach. Spojrzała na niego piwnymi oczami i z lekko rozchylonymi ustami. Był uzależniony od jej smaku. Mruknęła w jego usta i wessała się w nie wargami, zachęcając do ponownej zabawy.*

*– Musisz się oszczędzać, grubasie – powiedział, dotykając jej ciepłego brzucha.*

*– Grubasie? Wypraszam sobie! Jeszcze zatęsknisz za tym brzuchem. – Zachichotała, wpychając mu do ust chrupiące białe winogrono.*

*– Już o to zadbam, żebyś nie musiała za długo chodzić bez niego... – Uśmiechnęła się, eksponując rozkoszne dołeczki w policzkach.*

*– Jak spotkanie? – zapytała o jego sprawy.*

*– Dobrze. Widać, że jest nieufny wobec nas. Sumarycznie dobiliśmy targu... Ale nie mówmy teraz o tym. Chodź! Zostało nam kilka dni bez dziecięcego płaczu... – Wziął ją na rękę, by wspólnie zrelaksować się w bąbelkowym spa na werandzie.*

*Chociaż wyglądała, to wcale nie wydawała się o wiele cięższa niż przed ciążą. Zdjął jej*

*koszulkę i pomógł wejść do jacuzzi, po czym sam dołączył, donosząc kieliszek wina dla siebie i kieliszek mrożonej herbaty dla niej. Siedząc między jego udami, oparła się o niego. To była chwila Michaela na kontakt z ich nienarodzonym dzieckiem, gładził jej ciążowy brzuch, czując spodem dłoni jego wyczuwalne ruchy.*

*– Skarbie... – powiedziała.*

*– Hę?*

*– Chyba nie zostało nam kilka dni... – oświadczyła nagle.*

*– Co się dzieje?! – Spanikowany wyskoczył z wody, narzucając ledwo co zdjęte ubrania.*

*– Chyba się zaczęło... – powiedziała spokojnie, ale i z grymasem bólu wyrysowanym na jej twarzy. – Ale zaczekaj... może to tylko skurcz przepowiadający...*

*– O nie! Nie będę czekał. Lepiej, żeby cię jednak zbadał lekarz – postanowił stanowczo. – Chodź, ubierz się, a ja zapakuję rzeczy do auta. – Pomógł jej wyjść, przyniósł ubrania i zadzwonił do Jacka, by zapewnił im profilaktyczną ochronę pod kliniką.*

*Dziesięć minut później jechali w stronę szpitala. Widział po niej, że skurcze zaczęły przybierać na sile.*

*– Ale wytrzymasz, co? Bo wiesz... Szkoła rodzenia szkołą rodzenia... Nie powiem, że bym tam nie przysypiał... Jak będzie? – zapytał.*

*– Skarbie! Nie pomagasz mi. To raptem dwadzieścia minut, wytrzymam... A ty odsuń szybę i sobie zapal, bo bardziej szkodzą mi twoje nerwy... niż sam dym z papierosa.*

*W przeciwieństwie do Michaela, zachowywała zimną krew. Miał nadzieję, że miała dobre przeczucia i że zdąży dojechać, bo jej wyraz twarzy mówił zupełnie co innego.*

*Posłuchał jej rady i odpalił fajkę. Odsunął całą szybę, zaciągając się łagodzącym nerwy dymem.*

*– Widzisz? O niebo lepiej! Jakbyś słuchał uważnie na szkole rodzenia... To byś wiedział... Że oddech jest bardzo... Ale to bardzo ważny!*

*Zaczęła rodzić i jeszcze starała się uspokajać jego. Sumarycznie też miał powód się denerwować. Lada moment miał zostać ojcem – Junióra lub Juniorki Adams. Case chciała, by płęć pozostała niespodzianką. Czuł jednak, że to będzie upragniony syn.*

*Nagle poczuł, jak jego pasy bezpieczeństwa bolesnie zaciskają się na obojczyku.*

*Jak mógł nie zauważyć ogona! Beształ się w myślach za takie nieodpowiedzialne zachowanie. Jadący za nimi ciemny range rover, uderzał raz za razem w ich auto, spychając je ku barierce dzielącej drogę od urwiska brzegu jeziora.*

– Miki! Co się dzieje?! – krzyknęła z przerażeniem, zamykając oczy.

– Kurwa! Case, trzymaj się! – Wcisnął ostatnio wybierany numer na panelu sterowania, jednocześnie dodając gazu.

– Już są w drodze pod klinikę, bracie – odezwał się nieświadomy, co chciał mu przekazać, Jack.

– Taranują nas na... – urwał, widząc wyjeżdżającego zza zakrętu wprost na czołowe zderzenie kolejnego ciemnego range rovera. Ten przebił barierę energochłonną urwiska ich autem.

Tracąc i odzyskując świadomość, czuł, jak auto dławiącą falą błyskawicznie nabiera wody, krępując każdy najmniejszy ruch ciała. Spojrzał na nieprzytomną Case. Pierwsze, co zrobił, to odpiął jej pas, próbując panicznie otworzyć zablokowane wodą drzwi od jej strony. Czując, jak zaczyna brakować mu powietrza w napelnionym wraku, wygramolił się przez swoją szybę, wypływając na powierzchnię. Wziął błyskawiczny oddech i zanurkował ponownie. Stromy brzeg nie był głęboki, bo miał niecałe trzy metry, ale wystarczyło, by zakryć cały pojazd w śmiertelnej pułapce. Szarpał się z drzwiami pasażera, których przez wgięcie i napór wody nie dało się otworzyć. Po kilku niemiłosiernie długich chwilach prób, wyciągnął Case przez drzwi kierowcy. Podtrzymując jej zwiotczone ciało na powierzchni, usilnie próbował przywrócić jej tak cenny oddech, o którym mówiła... tuż przed własną śmiercią.

– Case! Neeee! Case! – krzyczał zdławionym przez wodę głosem Michael.

– Panie Adams! Utopi się pan! Usłyszałam krzyk... Nie powinien pan zasypiać w jacuzzi! – pouczyła krzykiem Rita, szarpiąc ramię Michaela.

Słyszając znajomy głos gospodyni oraz czując ucisk w żołądku od nadmiaru wypitej wody, Michael otworzył przerażone oczy.

– Dziękuję, Rito. Nic mi nie jest. Możesz wracać do łóżka – odparł, normując własny oddech.

Nie chciał obnażać stanu swojej słabości, do jakiego doprowadzały go powracające wspomnienia. Świat, w którym było miejsce na miłość, utonął tamtego dnia wraz z Casandrą i ich nienarodzonym dzieckiem, zostawiając senny dramat.

\*\*\*

Mimo późnej pory Michael wykręcił numer do Boba.

– Tak? – odpowiedział zaspanym głosem pracownik.

– Pilnujesz tego chłopaka... Thomasa z kasyna?

– Jak kazałeś szefie.

– Dobrze. Jutro koło południa przywieziesz go do biura – powiedział Michael, dotykając czerwonej słuchawki.



## Rozdział 3

Zakopane, Polska

Majka

Już kolejnego dnia od samego rana przeszłam do działania. Naładowana energią wstałam gotowa do utylizacji śmieci. Zamówiłam kontener na odpady i segregowałam wszystko, odkładając rzeczy potrzebne i wyrzucając zbędne szpargały, a było ich całkiem sporo. Od początku wdrożyłam ekonomiczne podejście do sprawy, pytając pana Zenka, czy w zamian za pomoc w wynoszeniu, on sam lub jego znajomi, nie potrzebowaliby mebli z odbiorem własnym, na co niezmiernie się ucieszył. Większość starego wyposażenia tego pensjonatu, była dla niejednego tutejszego czymś w stylu ekskluzywnej kolekcji Kler z drugiej ręki.

Już przed południem firma ustawiła wynajęty kontener na odpady, a pan Zenek przyprowadził kilkunastoosobową ekipę kolegów od kieliszka, chcąc okazjnie umeblować swoje tatrzańskie rezydencje. Taka sytuacja mogła się dla nich więcej nie powtórzyć. Rzucili się jak szarańcza na uprawę ryżu w Pakistanie – zabierali meble, materace, łóżka, dywaniki, chodniki i nawet kiepskie obrazki ze ścian. Zostały tylko masywne stoły w jadalni z kompletem rzeźbionych krzeseł. W ciągu godziny pensjonat był ogołocoony i ku mojemu zaskoczeniu – nie wyrzucili niczego do kontenera. Widząc ich twarze, zadowolone z powodu rąk pełnych fantów, wyciągnęłam z bagażnika samochodu pięć butelek zacnej wódki, wręczając je głównemu kierownikowi Zenkowi, by równo rozdzielił między ultrawydajnych kolegów.

– Ojcowicka<sup>38</sup> kochaniuśko z nieba nam spadła! – krzyknął jeden, podnosząc w geście podziękowania góralski kapelusz.

– Dzięki wielkie, panowie! Z takimi ekipami... To ja się uwinę w trzy dni z całym remontem – pochwaliłam ich z wdzięcznością za ekspresowo pozabierane graty. – A boazerii nikt nie potrzebuje? – zażartowałam całkiem spontanicznie, wyprzedzając kolejny krok planowanej pracy.

– Kany<sup>39</sup> po ocentach<sup>40</sup> wadzi? Sybciutko sie zrobi! – krzyknął pierwszy ochoczy głos z wesołego oddziału.

– Wszędzie wadzi... – powiedziałam i zrozumiałam, że wzięli żart całkiem na poważnie.

Postanowiłam to wykorzystać. Zaprowadziłam ich z powrotem do środka, instruując, że powinni zacząć od jadalni i kierować się ku górze.

– Paniusio kochanieńka... Groty<sup>41</sup> pojedziemy wyzucić i zara wracamy z ciupagą i łomem! – oświadczył ochrzczony przeze mnie Bezzębnym Fifkiem mężczyzna, który chciwie rozglądał się po ścianach, planując grafik swoich działań.

*Dorzucę wam flachę. Albo trzy, bo jesteście zajebiści!*

– Rewelacja! – Rozradowana z rozmachu pierwszego dnia, klasnęłam w dłonie.

Wygospodarowałam chwilę na łyk zimnej już kawy, pozostawionej na parapecie pustego pomieszczenia recepcji. Zostawiłam tylko pozostawiony na podłodze telewizor. Obserwowałam przez okno, jak przeładowane przyczepki opuszczały podjazd pensjonatu. Dzwoniąca komórka przerwała moją chwilę wytchnienia, a stacjonarny numer Okonia wyświetlał się na ekranie. Nie odebrałam spodziewanego telefonu od ukochanego brata. Domyślałam się, że chodzi mu o ogołocoone konto, jakie po mnie zostało, więc nie miałam zamiaru psuć sobie ledwo co

poprawionego nastroju.

Widząc wjeżdżające na parking auto Renaty, od razu zapomniałam o ewentualności rozmowy z bratem.

– Majka! Okrzykną cię świętą na tym wypizdowiu! A ich meliny... będą najlepiej wyposażone w całej Polsce! – wrzeszczała od schodów, rozbawiona niedawnym widokiem mijanej karawany przyczepki na drodze.

– Spokojnie... Jeszcze dziś wrócą po boazerię... – Obie wybuchnęłyśmy śmiechem, a przyjemne echo pustki roznosiło się po wnętrzu Jagody.

– Nie próżnujesz... I dobrze, bo dzwoniłam do budowlańców, którym rodzice prowadzą księgowość. W przyszłym tygodniu mają okienko i jeśli zdążysz z zakupem materiałów, to dwudziestu chłopów wpadnie tu w poniedziałek i migiem najważniejsze będzie skończone. Dziś wymierzmy pomieszczenia, pojedziemy do sklepu, zamówimy wszystko i niech się dzieje... – podsumowała dumna ze swoich ustaleń.

– Wiedziałam, że się na tobie nie zawiodę – pochwaliłam zaangażowaną przyjaciółkę, rzucając się na nią w uścisku.

\*\*\*

Mimo środka zimy praca wewnątrz posuwała się do przodu, rozgrzewając do działania. Skrętnie notowałyśmy pobierane miary, a nieocenieni zbieracze namiętnie zrywali kolejne elementy śmierdzącej boazerii.

\*\*\*

Resztę dnia, bo prawie do samego zamknięcia sklepu budowlanego, spędziłyśmy na zdecydowanych wyborach i sprawnych zakupach. Wybierałyśmy tylko dostępne od ręki płytki, dekory, deski, drzwi, farby i całe wyposażenie wszystkich łazienek, zostawiając prawie połowę budżetu. Jeszcze nigdy nie przewaliłam tyle kasy w tak krótkim czasie.

Zadowolone z zakupów, zmęczone i bardzo głodne, wstąpiłyśmy po mało regionalną włoską pizzę na wynos. Cały dzień upłynął z górki, lecz tylko do naszego powrotu, bo na podjeździe Jagody stała zaparkowana srebrna toyota Szczepana.

– Czy on zawsze musi być specjalistą od złego zakończenia dnia? – zapytałam i przypomniałam sobie o kilkudziesięciu nieodebranych połączeniach.

Widząc nasze parkujące auto, wściekły wysiadł ze swojego, trzaskając drzwiami.

– Za kogo ty się mas? Co?! – wydarł pysk w moją stronę.

– Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi, drogi bracie... – odpowiedziałam z pełną świadomością ironii w swoim głosie.

Obserwująca tę scenę Renia postanowiła się nie mieszać na tym etapie rozmowy. Stała za mną, swobodnie opierając się o maskę mojego auta.

– Smykłaś<sup>42</sup> moje dudki! – wykrzyczał mi prosto w twarz, jakbym była co najmniej głucha.

*Ślinisz się, gamoniu.*

– A ty smykasz mój cenny czas... – podsunęłam złośliwie, na co Szczepan złapał mój okręcony wokół szyi wełniany szal i pchnął tak mocno, że upadłam w usypaną z odśnieżania zaspę.

*Jak za dawnych lat...*

– Nie przesadzasz?! – wtrąciła Renia, stając na baczność. – To, że jest twoją siostrą, to

jedno... Jest też kobietą, której należy się trochę szacunku! – skomentowała jego zachowanie, pomagając mi się podnieść i otrzepać śnieg z ubrania.

– Fto<sup>43</sup> cie pytał o zdanie ceprulo<sup>44</sup> jedna?! W rzyci mam jo... I was sacunek do bab! Nikt nie bedzie mnie smykoł! A juz na pewno nie durno baba! – Obrażając nas obie, patrzył tylko na mnie.

– Szczepan, wracaj do Okonia... i zajmij się czymś, co jest dla ciebie obce... PRA-CA – wytknęłam mu prowokacyjnie.

Jego agresja nie wywierała na mnie wrażenia. Zmrużył oczy, podszedł do mnie i tym razem z użyciem większej siły, ponownie pchnął w zaspę.

*Dureń. Myśli, że mnie przestraszy.*

– Odwal się od niej! – wrzasnęła Renata, bez wahania podeszła do niego i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Jedna durniejso od drugiej... Godołem juz, ze mom was w rzyci! – Bez uprzedzenia złapał jej kurtkę i jak manekinem cisnął wprost na mnie w zaspę.

– Ej Scepan! Zoboc no... cy i mną da sie tak lekućko<sup>45</sup> w zaspę zucić! – nawoływał głos.

Ku mojemu zdziwieniu, odezwał się idący w naszą stronę Marek. Obiecany mąż, który jakimś cudem widział całe zajście i przyszedł na ratunek.

*Jeszcze jego tu brakowało.*

– Nic ci do tego – odparł krótko Szczepan do niedoszłego szwagra.

– To wracaj no... do chałupy abo<sup>46</sup> równo chłopsko sarpacka<sup>47</sup> – odpowiedział pewny siebie Marek. Chociaż stwierdzenie „równemu sobie”, było komplementem wymierzonym w stronę Szczepana, bo tak naprawdę Marek był nie tylko wyższy, ale i mocniejszej budowy, czego Szczepan był całkowicie świadom.

– Oddas syćko co do grosa. I wiedz, ze nagadom ojcu! – mówiąc to, wrogo skierował palec w moją stronę, po czym otworzył drzwi swojego auta, wycofując się z kłótni.

– Żebyś nie wyszedł na skończonego głupka... To i ty wiedz, że mam jego pozwolenie! – wykrzyknęłam w stronę brata, przekazując najistotniejszą informację. Zauważyłam jego wkurwienie za kierownicą odjeżdżającego samochodu.

– Burak – wtrąciła Renia.

– Nic wam nie jest? – zapytał z troską Marek.

– Nie. Dzięki za pomoc... – odpowiedziałam zdawkowo, wcale nie ciesząc się, że to on przyszedł na ratunek. Jednak wolałabym wdzięczną za meble kompanię pijaczków z widłami.

– Akurat przechodziłem i wystysałem<sup>48</sup> z chodnika kzyki... kciałem zobaczyć, co sie dzieje.

*No na pewno... A ja akurat szukałam zgubionego kolczyka w śniegu...*

– Przechodziłeś przez Nędzówkę? – zapytałam zdziwiona.

Wiedziałam, że Marek mieszkał pod Zakopanem, lecz totalnie z drugiej strony.

– A to nie wiesz, że tera w Nedzówce mieskam? – odpowiedział zaskoczony.

*Jakoś mnie to nie obchodziło JEDNAK.*

– Nie? – odpowiedziałam pytająco.

– Jakisik<sup>49</sup> cas temu kupiłem piekny pensjonat dwieście metrów dalej. – Wskazał palcem kierunek lokalizacji.

*Tak jakby mnie to cokolwiek interesowało. Brakowało jeszcze dodać: „wpadnij rano na kawkę” lub „wpadnij teraz na winko”.*

– Aaaa. No to super... – uciełam, dając myślom dotrzeć we właściwą część mózgu. – Jeszcze raz dziękujemy za pomoc – podziękowałam, wyciągając już zimną pizzę z auta.

Czułam swoistą niezręczność sytuacji, w której Marek wyszedł na bohatera, a ja powinnam paść z wdzięcznością na kolana. Najlepiej przed nim. Odstwyczałam się od jego widoku. Nawet w półmroku zapalonych świateł, dostrzegłam, że się zmienił.

– Z nicego<sup>50</sup>... Jakbyś cegosik<sup>51</sup> potrzebowała to bede bliżuteńko – dodał i popatrzył ze wzrokiem pełnym niegasnącej nadziei na wspólną przyszłość.

Niewątpliwie od dłuższego czasu był we mnie mocno zauroczony, czego nie krył i jak widać, tylko czekał na sygnał gotowości z mojej strony. *Jego niedoczekanie. Epoki mu się chyba pojebały, jeśli nadal słucha mojego ojca.* Mimo iż był starszy o sześć lat, nie związał się z nikim i czekał, kiedy jego ewentualna żonka skończy kapryśne studia, rozwinie się zawodowo i w rezultacie ulegnie presji ojca. *Cóż za jebany heroizm!*

– Dobranoc – pożegnałam się z nim i pospiesznie wróciłyśmy do środka, kierując się wprost do kuchni.

– Renia, przepraszam cię za Szczepana. Skończony palant z niego – przeprosiłam, podając jej kubek świeżo zalanej herbaty.

– Myślisz, że się przejmuję?! – Bez jakiegokolwiek pretensji wgrzyła się w kawałek pizzy. – No co ty. Przecież ich znam. Jedz to, bo kiepsko wyglądasz – powiedziała z pełnymi ustami.

– Myślałam, że gorzej być nie może... A tu się okazuje, że Marek mieszka w pobliżu... I ma mnie na oku! – Patrzyłam na spokojnie zajadającą Renatę, chłonąc jej spokój.

– Weź go po prostu zlewaj i to wszystko... Nikt cię nie zmusi do związku, jeśli sama tego nie chcesz – odpowiedziała, racjonalnie tłumacząc zajście.

– Wiem... Ale sam fakt, że to było ukartowane! Ojciec zrobił celowo tę zamianę. I celowo przeznaczył fundusze nie po to, by ułatwić mi pracę, ale żebym znalazła się w zasięgu wzroku pomocnego Marka. Jaki on wyrafinowany.

– No na twoim miejscu złałabym twojego ojca i jego akcje. Miał plan i go realizuje... Zamiana pensjonatów... Iskra i ślub. Nie uważasz, że to zabawne? – zachichotała.

– Tak czy siak... Przy pierwszej lepszej okazji muszę powiedzieć Markowi, jak się sprawy mają i raz na zawsze postawić sprawę jasno – postanowiłam, dochodząc do wniosku, że byłam w błędzie, sądząc, że czas, jaki spędziłam na uczelni, pozwoli mu ułożyć sobie życie z kimś innym. Jak się okazało czekał i nie miał zamiaru odpuścić.

– Nie chcesz życia u boku Janosika i bandy zbójów z przyczepkami? – Renia zaczęła symulować swoją mimiczną komedię, jednocześnie rozbawiając mnie tą wizją.

– Nie! – Klepnęłam ją w ramię, by nieco zwolniła z fantazjami.

– Blondi ze śliczną buzią, zgrabną dupą i inteligencją... Mogłabyś omotać każdego, bez wyjątku...

– Przepraszam, nie słodzę... O Marku mówisz?! Jego nawet motać nie trzeba! Ujebał sobie mnie i koniec... Może i ma sporo miejsca w sercu, ale zdecydowanie nie jest w moim TY-PIE! Gdyby ojciec znał mój typ to... – westchnęłam i oparłam łokcie o stół, podpierając brodę na dłoniach – ...podarowałby mi ar działki w środku lasu i ustawił na nim przyczepę kempingową bez drzwi...

– Bez drzwi? Żebyś zamarzła czy uciekła? – zapytała z pełnymi ustami.

– Żeby go niedźwiedź wyręczył z obdzierania mnie ze skóry!

– Fakt... Gdyby zobaczył ciemnookiego bruneta... w eleganckim ubraniu... z czystymi butami... bez kłobuku na głowie i lampasów na portkach, to...

– Nie zapominaj o tatuażach i nietuzinkowym światopoglądzie... To też mile widziany

element – przerwałam jej, dorzucając kilka atrybutów do swojego ideału.

Od zawsze byłam fanką takich ozdób na męskiej skórze. A jeśli były gustowne i w granicach dobrego smaku, wyglądały lepiej niż najlepiej skrojony garnitur.

– Tatuaze? Nietuzinkowy światopogląd? Co ty ojca chcesz do grobu wpędzić nieznany mi pojęciami?! Jedynym nietuzinkowym gestem, na jaki stać na przykład Szczepana, to pchnięcie w zaspę! Sama ci życzę, żeby zamknął cię w tej przyczepie... Ale tylko z tym twoim wyimaginowanym księciem... – Puściła mi oczko, a poprawa nastroju to było coś, co obecność Reni potrafiła ze mną zrobić. Przy niej czułam się sobą. Mogłam myśleć i równocześnie mówić o tym, co chodziło mi po głowie.

– A schodząc na ziemię... Chciałabym poczuć to, co ty czujesz do Kamila... Szczęście ci uszami wychodzi. A u mnie uszami pcha się na siłę – podkreśliłam odnośnie do ojca, Marka i każdego wcześniej napotkanego mężczyzny. To były fakty. – Jeśli jest mi pisane żyć w samotni i umrzeć dziewicą, to niech tak będzie. – Sama siebie rozbawiłam własnymi słowami.

– A ja jestem pewna, że trafi się ktoś, kto pokrzyżuje twoją męczeńską wizję śmierci. Tak jak mnie się trafił... A tymczasem uciekam. Jutro Kamil wpadnie, bo obiecał mi romantyczny seans w kinie. Chcesz pójść z nami? – zapytała ze szczerą chęcią.

– Trójkąt ci się marzy?! O co to, to nie! Już dziś czuję się przejechana przez piąte koło u wozu.

– To może w piątek przenocuję u ciebie? Wrzucimy na luz? Hę? – zaproponowała z szerokim uśmiechem na twarzy.

– I to rozumiem! Mną się nie przejmuj, mam, co robić. Muszę zrobić porządek w swoim pokoju, zamówić zasłony, firanki, zlecić zrobienie mebli, dodatków, kupić nowy komputer do pracy, naprawić zniszczoną opinię Jagody w internecie...

– Jeśli chcesz to zrobić, to utwórz nowe strony... No i pomyśl nad nową nazwą! Jeśli ktoś brał prysznic w Jagodzie, ścierając sobie naskórek stóp na osadzie kamienia w brodziku... To zapamięta, że takie udogodnienia są właśnie pod tą nazwą. – Wyszła, zostawiając mnie z tą celną uwagą na najbliższe dwa dni.

\*\*\*

W rozmachu pracy dwa dni błyskawicznie upłynęły na zamówieniach, realizacjach i dokupowaniu pozostałych materiałów z listy na poniedziałek. Nie przychodziła mi natomiast do głowy tylko nazwa, nad którą podświadomie niechętnie rozmyślałam. Mieszkała tu babcia Jagoda, po jej śmierci z jej domu powstał pensjonat Jagoda. Jagoda pasowała jako sentymentalna nazwa i dawała poczucie obecności ducha babci. Jednocześnie zdawałam sobie sprawę z tego, że wśród jednorazowych klientów, miejsce pod sztandarem *Jagody* posiadało złą opinię i należało coś z tym zrobić.

Piątkowy słoneczny, lecz mroźny poranek postanowiłam rozpocząć od biegania, które tego tygodnia nieco zaniedbałam. A biegać kochałam. Tu mogłam odkrywać nowe ścieżki, mimo zalegającej warstwy śniegu. Pobiegłam za Jagodę wzdłuż lasu, szukając dla siebie nowej trasy. Przecinając długość łąki za stajnią, zauważyłam zapraszający prześwit między drzewami. Biegu pod górę nie ułatwiała świeżo nasypiana ostatniej nocy warstwa puchu, ale odpowiednie buty i nieco ostrożności były wystarczające, by nie obniżyć poprzeczki biegiem po chodniku. Nie chciałam się również narażać na przypadkowe spotkanie z Markiem, tu mnie nie widział. Po niedługim, ale męczącym dystansie od razu poczułam, jak powraca moja energia do działania.

Przyjemne uczucie zmęczenia o poranku, zwiastowało przyjemne uczucie zmęczenia wieczorem, na który to byłam umówiona z Renatą. Wcześniej jednak planowałam zawieźć projekty mebli do zaprzyjaźnionego pana Mariusza, rzemieślnika z pasją do rzeźbienia

w drewnie, u którego miałam specjalną zniżkę – za specjalne upodobanie w jego wyrobach. Bardziej doceniał to, że jego dzieło się komuś szczerze podobało niż pieniądze, jakie ktoś u niego zostawiał. Twierdził, że znam się na sztuce i dostrzegam serce w rzeczach, którego większość ludzi nie dostrzegała. Moje zamówienia przypieczętowane pięknym uśmiechem traktował priorytetowo.

## Rozdział 4

Tampa, Floryda

Michael

Piątkowego wieczoru restauracja Tampa's Diamond tętniła życiem. Michael wraz z braćmi i obstawą czekali na pojawienie się Tifficante w zamkniętej biznesowej loży z widokiem na jezioro.

– Pomieszczenie jest ustronne i dźwiękoszczelne... Może by go tak odjechać bez zapowiedzi? – zaproponował Jack, przeciągając cygarem po lufie swojego gotowego do użycia pistoletu.

– Piszę się na to – odpowiedział momentalnie ożywiony Dylan, wyciągając spod marynarki dwie sztuki własnej broni.

– Wy, kurwa, macie sklerozę? Wciągnęliście po działce przed przyjściem tutaj?! – oburzył się Michael, słuchając braci. – Żadnych numerów! Trzymajcie się ustaleń. Wysłuchamy go... i to wszystko. – Rozejrzał się porozumiewawczo po twarzach wszystkich obecnych.

– Jak tam chcesz – odparł zawiedziony Dylan, chowając swoje pistolety.

– Powinien już być – zauważył Rick, spoglądając na zegarek.

– Żebyś się nie zdziwił tym razem, jak Tifficante ponownie nas uprzedzi w działaniu – skomentował nieufnie Jack, niechętnie idąc w ślady Dylana.

Gdy weszła kelnerka, by zapowiedzieć zmierzających w ich stronę gości, zapadła cisza i Michael odpał papierosa.

– Proszę państwa. Pan Tifficante przybył.

– Wprowadzić – powiedział Michael, patrząc w stronę drzwi, by lada moment ujrzyć w nich prowodyra wielomiesięcznych koszmarów, jakie nawiedzały go każdej nocy od pamiętnego dnia. Sny przychodziły niczym mitologiczne sępy wyjadające ciągle odrastającą wątrobę nękanego Prometeusza przykutego do skał Kaukazu. Michael od trzech lat był owym Prometeuszem, którego nocne sępy zjadały kawałek po kawałku, zostawiając coraz większą pustkę nie w wątrobie, a w sercu.

– *Buonasera*<sup>52!</sup> – przywitał się przyjaźnie stary Santo, wchodząc pewnie do środka w asyście syna i dwóch ochroniarzy.

Był to niski i okrągły Włoch z wąsem i czujnym wzrokiem skierowanym na śmiertelnie poważnego Michaela, który nie odpowiedział na powitanie.

– Przejdź do rzeczy Tifficante, bo nie poświęcę ci więcej czasu, niżeli zasługujesz – odparł poważnym tonem, ignorując uprzejmość Włocha.

– Skąd ta niechęć *Amico*<sup>53?</sup> – odpowiedział, rozkładając ręce na boki.

– *Amico*, kurwa?! *Amico*?! – wrzasnął Michael, niedowierzając temu, co słyszy już na początku. – Przyleciałeś sobie ze mnie jaja robić?! – zapytał i podejrzliwie spojrzął na rozsiadającego się Santo Tifficante i jego syna Ricardo, który uśmiechał się nieadekwatnie do sytuacji lub miał wrodzony zaczepny wyraz twarzy.

– Dobrze. Wysłuchaj mnie. – Przeszedł do rzeczy, uspokajając Michaela. – Chciałbym zażegnać wszelkie nieporozumienia między nami – oświadczył, odpalając czarne cygaro.

– Na jak długo? – wtrącił Jack, zerkając na niego z wrogością.

– Przypomnieć ci nasze spotkanie trzy lata temu? – syknął Michael, patrząc głęboko

w brązowe oczy rozmówcy.

– Nie bądźcie tacy pamiętliwi! – upomniał ich Tifficante. – To był wypadek. Syn źle zrozumiał moje wytyczne. – Skinął głową w stronę chłopaka, którego Michael widział już poprzednim razem. Wydoroślał, odrobinę schudł, ale tęczy miał brązowe jak ojciec. W przeciwieństwie do starego Santo oczy jego syna były bez wyrazu. Sztuczne i zagubione. Do tego głupi uśmiech nie schodził mu z twarzy, a delikatnie drżące palce ścisnęły szklankę z wódką. Michael pomyślał, że pewnie wpadł w narkotykową pułapkę własnej działalności. – Powiedziałem mu wtedy, żeby zademonstrował ci przedsmak tego, co może się stać, jeśli mnie wystawisz. Młody był i głupi. Przesadził. To fakt. Wiem, że wtedy straciłeś kobietę... i ubolewam – wytłumaczył ze spokojem stary Tifficante, na co Michael nie wytrzymał. Przeniósł siłę ucisku swojego żołądka w pięści i z całych sił uderzył nimi w blat stołu.

– Straciłem kobietę... Którą wiozłem do szpitala, bo zaczęła rodzić moje dziecko! Ubolewasz?! Też ubolewam, że nie mogę popatrzeć, jak zdychasz ty i twoja rodzina... Nie! Najpierw rodzina... A potem ty, żebyś musiał na to patrzeć i rozumiał, co to znaczy... – Zmierzył wzrokiem Santo i odpalił kolejnego papierosa.

– Syn jest gotów ponieść konsekwencje tego, co zrobił... – rzucił Tifficante, wskazując na Ricardo.

– To prawda, panie Adams. Źle zrozumiałem wytyczne ojca. Bardzo mi przykro, że ktoś ucierpiał w tym incydencie... I jestem gotów na to, by ponieść karę – powiedział mechanicznie Ricardo.

– Możesz go zabić. Jest twój – wyjaśnił bez jakichkolwiek emocji w głosie, Santo Tifficante.

– Tylko on ćpa? Czy wy wszyscy ćpacie...? – Zdumiony Michael rozglądał się po Włochach. – Tifficante... Chcesz powiedzieć, że przywiozłeś mi własnego syna, żebym na zgodę strzelił mu w łeb?! – Roześmiał się ironicznie wraz ze swoimi kompanami, niedowierzając temu, co właśnie usłyszeli. – Może to jest jakieś rozwiązanie... – dodał, wyjmując pistolet ukryty pod marynarką i celując prosto w stronę beznamiętnego spojrzenia chłopaka. Widząc brak reakcji ze strony Tifficante i jego ochrony, zrozumiał, że ten nie żartuje. Wystarczyło pociągnąć za spust i sprawca wypadku by zginął. Wewnątrz jednak Michael czuł, że to nie to. Coś mu nie pasowało w tym wszystkim. Przywiózł syna na pewną śmierć, chcąc wynagrodzić stratę i zażegnać spór? Schował broń, na co chłopak wypuścił oddech w widocznej uldze. – Wolę coś innego... – kontynuował Adams, na co Tifficante zareagował tylko zaskoczonym spojrzeniem, bo pojęcie łaski było mu obce. – Zabierz tego nieudacznika i zniknij na zawsze z Florydy, a zapomnę o wszystkim.

– Może być. – Tifficante wyciągnął dłoń w stronę Michaela, chcąc uściskiem przypieczętować rzucone słowa.

– Nigdy więcej nie podam ci ręki – powiedział, ignorując gest rozmówcy i natychmiast wstał, dając kompanom sygnał do wyjścia.

Grupa Tifficantego również podniosła się do wymarszu. Adamsowie z obstawą przeszli przez główne pomieszczenie restauracji i mijając bar, skierowali się do głównego wyjścia. Zgodnie z planem Michaela w okolicy frontu restauracji nie było żadnych ludzi, prócz znajomej sylwetki młodego mężczyzny po drugiej stronie wąskiej ulicy.

Michael przystanął przed wejściem restauracji Tampa's Diamond, zapalając papierosa, zerknął na zegarek i odwrócił głowę w stronę starego Santo odstawiającego przy barze kieliszek po wypitym shocie.

Adams, wraz ze swoją nieświadomą tego, co zaraz nastąpi ekipą, wolnym krokiem opuszczał pole rażenia, w jakim lada moment miała się znaleźć rodzina Tifficantego.



Jak piękna melodia odbiły się w uszach Michaela wykrzyczane przez swojego dłużnika z drugiej strony ulicy słowa.

– Za Dona Moreno giń! – wrzeszczał Thomas, oddając serię strzałów w stronę wychodzącego Tifficante, jego syna i ochrony.

Słyszając kilka strzałów, Michael odwrócił się i zobaczył leżącego w powiększającej się kałuży własnej krwi Santo Tifficante. Z wdzięcznością i ulgą spojrział w stronę Thomasa, który mimo osiągniętego rezultatu nadal nie przestawał strzelać. Wtedy Michael dostrzegł upadającego obok siebie Dylana.

*Co on wyprawia? Zdażył pomyśleć, nim sam upadł, tracąc świadomość.*

Ochrona otworzyła ogień do chłopaka, strzelającego już w amoku i na oślep.

Cicha akcja jednego strzału, zamieniała się w czołowe tytuły gazet – *Porachunki Mafii, Masakra na Diamond Street, Włoskie porachunki, Milioner M. Adams ofiarą strzelaniny, Trzy ofiary śmiertelne i kilku rannych w strzelaninie pod restauracją Tampa's Diamond...* itd.

Wszystko, czego Michael chciał uniknąć to niepotrzebny rozgłos. Chłopak miał wypowiedzieć jedno krótkie zdanie obciążające winą inną mafię. Miał oddać jeden strzał. Pod restauracją miał być jeden trup. Taki był nieudany plan zemsty.

## Rozdział 5

Zakopane, Polska

Majka

- Dzięki, tato. – Renata zwróciła się do ojca siedzącego za kierownicą.
- Nie ma sprawy, kochanie. Przyjechać jutro po ciebie?
- Nie, ja ją odwozę – odpowiedziałam szybko za przyjaciółkę.
- Nie przesadźcie, dziewczyny – dorzucił ostrzegawczo i odjechał.
- Idziemy gdzieś czy zostajemy w Jagodzie? – upewniła się Renia, taszcząc dwie siatki zakupów na zaplanowany babski wieczór.
- Chyba się starzeję, bo wystarczy mi spokój, wino i twoje bezpieczne towarzystwo – odparłam, zabierając jedną siatkę z zapakowanymi winami.
- Szczepan się jeszcze odzywał? – zapytała, chcąc od razu nadrobić dwa dni przerwy w kontakcie.
- Nie. Ale obawiam się, że to cisza przed burzą. Przecież niedzielny obiad przede mną. Nie może się obejść bez gorzkiego deseru – stwierdziłam, czując już burczenie w brzuchu.
- To nie idź. Wciśnij kit, że grypa czy coś – podrzuciła pomysł, rozkładając zakupy na blatach uprzątniętej kuchni.
- Zobaczę, ale nie chcę uciekać. Jednak wolę siedzieć w centrum wulkanu i słuchać głośnych pretensji, niż uciekać i mieć świadomość ich intryg za plecami.
- Zresztą dlaczego ja się tym wszystkim zaczęłam przejmować?*
  
- Jak chcesz, ale zaoszczędziłabyś sobie sporo nerwów – stwierdziła, hojnie nalewając półwytrawne czerwone wino do kieliszków. – To, co? Spaghetti? – Pomachała długim makaronem wyciągniętym z torby.
- Gotowanie to nie mój konik, ale Renia była w tym całkiem niezła.
- *Oh sim<sup>54</sup>!* – przytaknęłam ochoczo, bo zrobiłam się już naprawdę głodna. Wzniosłam toast, zabierając się za wspólne gotowanie kolacji. – Dzwonimy do Kaśki? – zapytałam, krojąc cebulę.
- Nie wiem, czemu nawet o niej nie pomyślałam... Czasem to powinna się sama odezwać – stwierdziła Renata.
- Nie powinniśmy jej skreślać tylko ze względu na Szczepana. Wiesz, jak jest. Jej stary jest podobny do mojego... Góral konserwatysta-materialista. Jest zadowolona z obietnic i przystojnego kandydata. Wygodne, co nie?
- To układanie życia przez ojca kiedyś jej się odbije czkawką. Zaczęło się od szkoły, a zaraz będzie jej smak prezerwatyw wybierał... – skwitowała tylko, przypominając brak zgody ojca Kaśki na jej dalszą naukę po szkole średniej.
- Masz rację, a teraz nie ma już wyjścia. Wybrała życie z zapleczem finansowym i wyjdzie za faceta z... – Roześmiałam się na wspomnienie rozmowy z Kaśką.
- *Zzzzz* czym? Z muszelką... na kapeluszu? – zgadywała Renata, dołączając do śmiechu.
- Jak to sama nazwała... z kołkiem – powiedziałam wyniośle, tłumiąc śmiech. Renata prychnęła, uderzając dłonią w czoło. – Kołek na kołku – dodałam, śmiejąc się już w głos z własnego brata.

– Ale przystojny ten Szczepan! – wtrąciła Renia komicznym tonem. – A jaki męski! Jaki umięśniony! Jak on z gracją wpycha w zaspy! Jak on ją pchnie, tym swoim niestruganym kołkiem... na to strugane łoże małżeńskie! – Zaczęłyśmy mieć niezły ubaw z wątpliwie dobrego wyboru trzeciej przyjaciółki. – Majka, nie płacz ona tak chce! – Renata roześmiała się bardziej, widząc połączenie dławienia się rechotem ze łzami spowodowanymi krojeniem cebuli.

– Dobrze, że chociaż ty jesteś niezależna... – powiedziałam, trąc pięścią zażawione oczy.  
– Nie wiem, czy dałabym sobie radę bez ciebie – dodałam.

– Głupia... Obydwie jesteśmy niezależne... I tak ma zostać!

– To à propos względnej niezależności... Co u Kamila i jego rodziców? – zapytałam, wiedząc, że jego rodzice, jakby nie było, jednak byli góralami.

– Chyba z jego ojcem bardziej się dogaduję niż z matką... Ona, niby nie przeszkadza, ale jakoś też nie specjalnie pomaga. Sama nie wiem, jak to nazwać. Mam wrażenie, że to ona jest bardziej spięta. A to przecież ja powinnam być, wchodząc w ich życie.

– A Kamilek? To moja konkurencja przecież! – Uśmiechnęłam się, ale tak naprawdę, nie przeszkadzało mi, że jest szczęśliwa z góralem. Znam i takie przypadki.

– Idzie w dobrym kierunku. Jest kochany. Czuły, wrażliwy, zabawny i taki... spontaniczny wariat jednym słowem! Leżąc i oglądając film pod ciepłym kocem, w kulminacyjnej scenie, potrafi wyłączyć telewizor, wyciągnąć mnie na pole i porwać saniami na wieczorną romantyczną przejażdżkę konną. W niczym nie przypomina tego wariackiego towarzystwa starych górali. Szanuje mnie. Rozumie, kiedy nie mam czasu... A ja rozumiem, kiedy on musi poświęcić czas swojej gospodarce. Jestem szczęśliwa, że go mam. Tyle w nim chęci niesienia pomocy innym. – Z jej twarzy nie schodził uśmiech, a jej oczy rozbłyły. – Żebyś go widziała, gdy zawozi karmę ze zbiórki do schroniska dla psów! Ma w sobie tyle współczucia dla tych stworzeń...

– Czyli... dogadujecie się we wszystkim?

– Pytasz o seks, ostatnia dwudziestopięcioletnia dziewico w Zakopanem? – Popatrzyła na mnie badawczo, niczym wymagający wykładowca na nieprzygotowaną studentkę. – Nie jestem tobą. Mnie nie jest potrzebna miłość, żeby się z kimś przespać... – Uśmiechnęła się i zawiesiła wzrok na mojej twarzy. Faktem jest, że sypiała na studiach z różnymi facetami. Mnie to nie przeszkadzało. Jej ciało, jej wybór. – Wiesz, że mam swobodne podejście do tematu. Dla mnie to dobra zabawa... Ale z nim to... – oczy zaszyły jej łagodną mgiełką – zupełnie inna bajka... Pomijając fakt, że jest jednym z tych lepszych w łóżku... Co?! – zapytała, widząc na mojej twarzy zainteresowanie tematem łączącej ich relacji. – Szkoda, że nie wiesz, o czym mówię... – westchnęła rozkosznie, wbijając mi igiełkę. – Tak, kochana. Przyznaję, że mam coś... czego wyczekujesz ty, bo prócz łóżka... Łączy nas chemia bijąca na głowę wszystkie poprzednie seksy razem wzięte... To jest to. Zdaje się, że naprawdę... Kocham. – Jednym słowem zatrzymała pociąg niekończących się przymiotów swojego chłopaka.

– Pierwszy raz słyszę takie wyznanie z twoich ust! Tak się cieszę! Mam nadzieję, że będzie tylko lepiej między wami – mówiłam z pełną radością dla jej szczęścia. – Wy to dopiero idealnie się dobraliście... Nawet wyglądem pasujecie do siebie – mówiąc to miałam na myśli ich identyczne kolory oczu, a nawet włosów i podobny wzrost. Cieszyłam się, że się zakochała i nareszcie znalazła tego jedyne.

– Za dwa tygodnie jedziemy na romantyczny urlop dla zakochanych... – dodała z mieszkanką rozradowania i tajemniczości w głosie.

– Uuu, Reenia, czyżby małe-wielkie plany walentynkowe? – Klasnęłam w dłonie, również przeczuwając plany zaręczynowe chłopaka.

– Nie wiem, nie wiem... – nuciła rozradowana, kołysząc się przy kuchence i trzeci raz

soląc wodę na makaron.

– Obiecuję... Będziesz wiedziała o tym pierwsza! – Wskazała na mnie drewnianą łyżką, po czym wpakowała ją w bulgoczącą mięsną miksturę.

Chwilę później zajadałyśmy się przesolonym makaronem pod idealnym włoskim sosem. Nie byłam hipokrytką, sama potrafiłam spieprzyć prosty makaron z serem, a poza tym byłam za bardzo głodna, by marudzić. Kończyłyśmy drugą butelkę wina przy coraz to weselszych rozmowach, które nagle przerwał nam dźwięk dzwonka zamkniętych drzwi frontowych na górze.

– Kończ sobie. To pewnie Zenek. Zaraz wracam. – Poderwałam się i pobiegłam na parter. Otworzyłam drzwi z szerokim uśmiechem, jednak szybko się zdystansowałam, widząc za nimi Marka.

*Co on tu, do diabła, robi?*

– Ceść.

– E, cześć – odpowiedziałam zaskoczona jego wizytą.

– Zobaczyłem zapalone światło i pomyślałem... Ze możemy zamienić słowo... Nie ubranaś, żeby stać przy otwartych drzwiach. Mogę wejść? – stwierdził i nie czekając na moją odpowiedź, niemalże wepchnął się do środka.

Odciał dopływ mroźnego powietrza, zamykając drzwi. Na pewno poczuł zapach potrawy wymieszanej z winem.

– To nie jest właściwa pora na odwiedzinę, Marku – uświadomiłam mu, jednocześnie nie wykazując chęci do rozmowy.

– Kiedysik<sup>55</sup> byłeś chentniejsza do godania... Cniło<sup>56</sup> mi się za tobą – powiedział i niezręcznie popatrzył na moje usta.

– Bo kiedyś się przyjaźniliśmy... – wytłumaczyłam, mając nadzieję, że jednak wyjdzie.

– To może najwyższa pora znowu zacońić się przyjaźnić – odparł, nie odrywając oczu od mojej twarzy.

– Nie wiem, czy to... – urwałam.

– Majkaaaa, wszystko okej?! – nawoływanie Renaty dobiegające z dołu, wyraźnie ugasiło jego chęć do dalszej rozmowy.

– Myślałem żeś sama... – Wyraźnie zmakotniał, zawiedziony obecnością Renaty. – Pójdę już – dodał krótko i wyszedł spłoszony, zamykając drzwi z drugiej strony.

Przekręciłam klucz dwukrotnie, czując dziwny niepokój. Był inny. Zdecydowany i bardziej pewny siebie. Nie jak wtedy, gdy jako młody chłopak, i dla mnie dobry kolega, a przez chwilę nawet przyjaciel, miał problem z wybraniem sobie butów. I to była ta mniejsza oficjalność. Ja byłam młodziutka, a on był dwudziestokilkulatkiem. Zdawałam sobie sprawę z tego, że nieuchronnie nadchodzi chwila, gdzie definitywnie będę musiała skończyć jego bezpodstawną wizję miłości.

– To był Marek – poinformowałam przyjaciółkę, dołączając do niej.

– Skąd ta wizyta? Usłyszał niepokojący dźwięk tym razem? – zapytała zmieszana.

– Nie. Zobaczył zapalone światło i pomyślał, że moglibyśmy porozmawiać.

– Trzeba było go zaprosić na makaron, bo wyszedł wybornie słony... Z drugiej strony mógłby zobaczyć kolejne... tym razem zielone światło. – Łapczywie wychyliła resztę z kieliszka.

– Pewnie tak. Zaczęłyby tu przyłazić codziennie, byleby tylko pobyc z mną i odbudować to, co zjebał – przypomniałam znaną nam obu sytuację, kiedy to Marek należał do naszej paczki.

Swego czasu, wysłuchiwał o moich problemach rodzinnych, niezadowolonym ojcu i wrednych braciach. To była koleżeńska i gówniarska paplanina, która z czasem nabrała czysto przyjacielskiego charakteru. Jego wyznanie po pogrzebie babci, gdy potrzebowałam się wypłakać i tylko wygadać, pogrzebało naszą przyjaźń. Jak można było w takim momencie wyznać miłość

i sprowokować pocałunek? *Romantyk!*

– Słuchaj... Młody był. Może się zmienił. Minęło kilka dobrych lat, a mówią, że czas leczy rany – stwierdziła Renata.

– Nie! On się nie zmieni. Pamiętasz, jak wystawał pod domem, obserwując światło w moim pokoju? Te setki SMS-ów i nieodebranych połączeń? – przytoczyłam niemiłe wspomnienie osoby, która w jednej chwili zmieniła się z kumpla w miłosnego prześladowcę, i to zaczęło budzić we mnie obawy. – Koniecznie muszę zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

– Więc za zamykanie starych spraw! – Kolejny toast Reni, z kolejnej otwartej butelki wina, sukcesywnie rozluźnił emocjonalne spięcie.

– Czekaj, aż zobaczysz jacuzzi z masażem, które zamówiłam do jednego z dwóch apartamentów na górze! My jako pierwsze przetestujemy dysze do masażu z kieliszczkiem wina i widokiem na las! – zmieniłam temat, informując o nowym zakupie.

– Taaaaa... Poważnie mówisz?! – Wytrzeszczyła oczy.

– Poważnie! Odrobinę przerobiłam plan na tamten pokój. Obliczyłam koszty i zostało trochę na oszklenie balkonu... Coś specjalnego dla wyjątkowych gości. No i przede wszystkim dla nas!

– Hohoo. Optymistka z ciebie, nie ma co... jeśli chodzi o wyjątkowych gości w tym miejscu. – Zmarszczyła usta z niesmakiem. – Nie licząc siebie... Bo na mnie zawsze możesz liczyć! – skomentowała, śmiejąc się z ekskluzywnego dodatku w miejscu dla ubogich.

– Oj tam... Najwyżej wynajmę go tylko wam... Na noc poślubną, poprzedzoną zajebistym weselem! – rzuciłam rozbawiona.

– Dziękuję ci bardzo! – powiedziała, stukając się ze mną kieliszkami.

– Nie ma sprawy, kochana.

Od razu sprzątnęłam talerze, nie lubiłam, by cokolwiek brudnego zalegało nawet po kilku butelkach wypitego wina. Nie pozwalałam sobie na bałagan. Przebywając w nieuprzątniętym miejscu, czułam podobnego doła jak po kilkudniowej przerwie w bieganiu.

W rewelacyjnych humorach, położyłyśmy się w jedynym łóżku, jakie zostało w pensjonacie, dyskutując do późna o remoncie, wystroju i dniu, gdy pierwszy klient zapuka do odmalowanych drzwi wejściowych Jagody w nowej odsłonie.

## Rozdział 6

Tampa, Floryda

Michael

Wybudzający się ze śpiączki Michael w pierwszym momencie nie wiedział, co się dzieje, gdzie jest i dlaczego. Czuł suchość w ustach i słyszał miarowe pikanie sprzętu monitorującego funkcje życiowe. W jednoosobowej sali na oddziale intensywnej terapii prywatnej kliniki dyżurujący lekarz podskoczył na krześle przeszklonego zaplecza, widząc otwarte oczy pacjenta skierowane w sufit.

– Panie Adams. Słyszysz mnie pan? – Łapał kontakt medyk, badając świadomość i świecąc w źrenice zdezorientowanego pacjenta.

– Pić – powiedział słabym głosem Michael, na co mężczyzna zwilżył mu usta gazikiem.

– Gdzie jestem? – zapytał z trudem.

– W klinice St. Peter, panie Adams. Doznał pan poważnych obrażeń wielonarządowych po postrzale – odpowiedział lekarz, nadal bacznie obserwując pacjenta, aparaturę i wpisując dane do systemu.

– Jaki dziś dzień? – zapytał niepewnie, lecz z każdą sekundą coraz bardziej świadomie, chcąc poukładać sobie napływające wspomnienia.

– Piąty kwietnia, panie Adams. Jest sobota. Spał pan dokładnie sześćdziesiąt pięć dni. Proszę teraz się nie wysilać, niech pan odpoczywa. Personel właśnie informuje rodzinę, że odzyskał pan świadomość – zakomunikował lekarz.

Właśnie ta budząca się świadomość sprawiła, że Michael przypomniał sobie ostatnie chwile, nim ją stracił. Jak ujęcie z filmu zobaczył wykrzykującego pozdrowienie mafijne Thomasa, strzał, upadającego Tifficante, a zaraz po nim kolejny strzał i upadającego brata.

– Dylan. Na wszystko proszę. Nie on, nawet zacząć wierzyć w Boga. Cokolwiek. Tylko nie on... – bełkotał pod nosem, a wariujący pulsometr sprawił, że lekarz był zmuszony podać środki uspokajające i uciszyć brzęczące maszyny. Słyszając oddalający się głos lekarza, Michael ponownie zasnął.

– Spokojnie, panie Adams. Wszyscy chcemy, by jak najszybciej wrócił pan do zdrowia.

\*\*\*

– Bracie, witaj wśród żywych! Niezłego stracha nam napędziłeś – rozległ się znajomy dla leżącego w szpitalnym łóżku Michaela głos.

– Dylan? Żyjesz czy to jednak ja umarłem? – mamrotał, ponownie otwierając powieki i widząc zamazany obraz twarzy brata, a jego puls, wyświetlany na urządzeniu szpitalnym, momentalnie przyspieszył.

– Żyję i ty też wróciłeś. – Uśmiechnął się Dylan, a blask jego białych zębów raził wrażliwe źrenice Michaela.

– Dzięki Bogu! – powiedział z ulgą, widząc żywego brata.

– Ty komuś dziękujesz? Michael nie oberwał w głowę, tylko w wątrobę i jelito. Czyżbyś był w niebie i cię z niego wygonili? – Z radością w głosie pozdrowił obudzonego, po swojemu. – Oberwał w udo. Nic takiego – powiedział dumnie, podciągając dresowe spodni, by pochwalić się dziewiczym śladem po kulce w swoim ciele.

– Ciekawe, czy byś mi pokazał, gdybyś oberwał dziesięć centymetrów wyżej – sprowadził na ziemię młodszego brata, nie rozumiejąc, z czego tu się cieszyć.

– Udało ci się, lisku. Pozbyłeś się starego i jego jebniętego synka... I to pod sztandarem rodziny Morena – wyszeptał Dylan, pochylając się do ucha Michaela. – Bob nam opowiedział o wykorzystaniu Thomasa. Genialne.

– Thomas. Chyba się przeliczyłem. Co z nim? – zapytał Michael, przypominając sobie kolejne strzały oddawane przez chłopaka na oślep.

– Kulka. Bracie. Kulka. Nie wiem dokładnie która i czyich było więcej w jego zwłokach, bo i nasi ludzie, i ludzie Tifficante zrobili z niego sito.

– Jego wybór – bąknął Michael bez żalu w głosie.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę, na którą przyprowadził chłopaka Bob. Przyszedł przestraszony na spotkanie do biura, pogodzony z myślą przeniesienia własności domu i auta na Michaela. Wtedy przyjął zlecenie zabójstwa Santo Tifficante, w zamian za darowanie długów i dodatkowy bonus pieniężny za efektowne morderstwo, poprzedzone krótkim pozdrowieniem mafijnym. Miał oddać celny strzał i zwiewać bez długów. Z czystym kontem zacząć od początku. Zabójstwo człowieka go przerosło. Krótka i szybka akcja.

– Gdzie Jack? – zapytał, nie odrywając wzroku od brata, jakby nadal nie dowierzał, że ten żył, stał obok i do niego mówił.

– Nadzoruje spory przerzut od wuja Pedro. Jest z Rickiem i chłopakami. Już do niego dzwoniłem... Żebyś słyszał, jak wrzasnął ze szczęścia na wiadomość o twoim wybudzeniu. Przyjedzie, jak skończą – poinformował Dylan i położył dłoń na ramieniu Michaela. – Dobrze, że wróciłeś, teraz wszystko będzie jak dawniej – dodał.

– Co mnie jeszcze ominęło tamtego dnia? – zainteresował się Michael, próbując nadrobić zaległości.

– Trzy trupy i czterech rannych... Ja, ty, ochroniarz i kelner w knajpie. Wydarzenie nie schodziło z nagłówek przez dwa tygodnie.

– Tego akurat nie chciałem. Co pisali? – Zawiedziony medialnym rozgłosem był ciekaw upubliczniczonych informacji.

– Mogli tylko spekulować, widząc martwych makaroniarzy i jakiegoś chłopaka. Wiesz, jak to gazety i telewizja... Gangi, może pieniądze, może napad, zamach terrorystyczny, no i twoja śpiączka. Pewnie wrócisz do czołówki newsów, jak tylko dostaną info o wybudzeniu.

– No i dobrze... Więc jeszcze jakiś czas chciałbym zostać poza zainteresowaniem... Oficjalnie śpię.

– Załatwione. Bracie – zwrócił się do Michaela – a serio to... niezłego stracha nam napędziłeś. – Dylan opuścił głowę, ukrywając wzruszone spojrzenie. – Przeszliśmy razem piekło, z którego uratowałeś mnie i Jacka. Nigdy nie przyszło ci do głowy, by nas zostawić, mimo że byliśmy ciężarem dla ciebie – powiedział z wdzięcznością i wygiął usta niczym skarcone dziecko.

– Dylan... – upomniał go Michael. – Mieliśmy o tym nigdy nie wspominać. Nigdzie i w żadnej sytuacji. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział i skinął porozumiewawczo głową.

– Wszystko mnie boli – jęknął Michael i zmrużył oczy w grymasie bólu, próbując się podciągnąć, by usiąść. – Masz fajki? – zapytał w odzwie na pierwszy głód, jaki poczuł.

– Panie Adams! Ledwo co się pan obudził, już się dźwiga i myśli o paleniu?! Mimo że rany są wygojone, to jest pan mocno osłabiony przede wszystkim bezruchem ciała. Przyjdzie czas na aktywność... I palenie. Lecz stopniowo! – skwitował lekarz służbowym tonem, widząc Michaela zza okna swego centrum monitorowania. – Najpierw musimy rozplanować

rehabilitację.

– Ile to potrwa? Ta cała rehabilitacja... – wtrącił Dylan.

– To zależy, jak organizm pana Adamsa zareaguje na leczenie. Jak wszystko pójdzie sprawnie, to spodziewam się, że spędzi tu pan co najmniej cztery do sześciu tygodni.

– Wykluczone, panie doktorze! – zaprotestował Michael. – Najpóźniej za dwa tygodnie chcę wrócić do siebie.

– Nie ma szans, panie Adams. Stopniowe przyzwyczajanie organizmu do ruchu, rozłożenie ćwiczeń, terapeutów, rehabilitantów... Jesteśmy renomowaną kliniką i nigdy nie pozwolimy, by pacjent wychodząc z tego miejsca, nie wrócił do pełni zdrowia.

– Chyba mnie pan nie zrozumiał, doktorze... Powinien pan jednak skonsultować sprawę z panem prezesem, któremu nigdy nie robiłem żadnych problemów w interesach. Wychodzę za dwa tygodnie... Więc proszę uwinąć się tak, by mi nic w tym jednak nie przeszkodziło. Jeśli będzie potrzeba, ktoś będzie nadzorował dalszą rehabilitację w moim domu – zaznaczył pewnym tonem i nutką groźby w głosie. – I chce mi się palić... Dwa razy o mało co nie zginąłem z papierosem w ustach. Ironią byłoby umrzeć w szpitalnym łóżku bez niego – dodał i zaciągnął się fajką podtrzymywaną przez Dylana.

– Widzę, że rokowania są lepsze, niż myślałem. Dobrze – przytaknął niechętnie lekarz, wycofując się z dyskusji.

– Jack miał rację, że to klinika na najwyższym poziomie... – Skończył ironicznym uśmiechem poparcia dla brata Dylan.

\*\*\*

Dzięki dobrym wieściom z firmy – tej bardziej i tej mniej legalnej, oraz wsparciu braci – Michael z dnia na dzień czuł się coraz lepiej. Uporem i ciężką pracą wykorzystał te dwa tygodnie, jakie musiał spędzić w klinice.

Przenieśli go do innej sali, która bardziej przypominała apartament w luksusowym hotelu, niżeli odizolowaną salę szpitalną. Miał do dyspozycji zaplecze fizjoterapeutyczne, siłownię, gabinet masażu i przyjemny widok na obsadzone palmami nabrzeże zatoki. Mógł do woli relaksować się w wannie z leczniczymi solami i masażami. Mimo początkowych utrudnień związanych z jedzeniem po postrzale, to stawał na nogi coraz pewniej. Również rzesza specjalistów prawie nie wychodziła z jego pokoju. Dietetyk, osobny rehabilitant od poszczególnych części ciała, masażysta-fizjoterapeuta, ortopeda, chirurg i trener personalny – ci wszyscy ludzie, w połączeniu z zostawioną tam górą pieniędzy i chęcią Michaela do wyjścia ze stanu wiotkości snu, sprawiło, że mógł wrócić do domu.



## Rozdział 7

Zakopane, Polska

Majka

Stałam w oknie wykończonej recepcji, wyczekując przyjazdu przyjaciółki. Zapach nowego drewna mebli i świeżego impregnatu odsłoniętych bali, w połączeniu z ręcznie tkanymi wiejskimi zazdrostkami w oknach i starymi fotografiami babci w nowych rzeźbionych ramkach od pana Mariusza – to wszystko napawało mnie dumą z efektów ponad dwumiesięcznej pracy. Niecierpliwie stukałam palcami o reprezentatywnie czyste biurko, na którym stał laptop, szampan i dwa kieliszki. Nowusieńki rejestr gości na stoliku przy wejściu czekał na klienta zero. W końcu recepcja była recepcją. Bez parawanu, za którym stał stary fotel oraz odrapanych drzwi zastąpionych przez oryginalne przeszklone skrzydło z drewna sosnowego z łukowatym wykończeniem. Zamykane szafki na dokumenty, przejrzystość i ład. Odkąd opuściłam Okonia, właśnie tego mi brakowało.

Widząc nadjeżdżające auto przyjaciółki, złapałam szampana i wybiegłam w jej stronę, by wspólnie uczcić uroczysty nowy start.

– Renia, widzisz to, co ja?! – Spoglądałam z dumą na odnowiony pensjonat.

*Boże, jaka radość!*

– Kochana, widzę – odpowiedziała za spokojnie, jak na moje fachowe oko.

Obydwie stałyśmy u stóp schodów, patrząc na rzeźbiony napis zawieszony nad nimi: W Jagodowej Chacie. Drobną zmianą nazwy, a pozwoliła na rozpoczęcie statystyk z wyzerowanym kontem negatywnych komentarzy klientów. Wstrząsnęłam szampanem i z hukiem wystrzeliłam nim w stronę podjazdu, nie chcąc wybrudzić odświeżonych stopni. Nie zważając na brak kieliszków zostawionych na recepcji, podałam butelkę przyjaciółce, która bez wahania wciągnęła łyk prosto z niej. Po niej ja uczciłam ukończenie prac łączącym toastem, gdy za plecami usłyszałam pokrzykiwania Zenka.

– E dyj<sup>57</sup> piknie! Nie pamiętam, żeby tu kiedy był taki pozondecek!

*Skoro już Zenek widzi zmianę, to tak właśnie jest!*

– Panie Zenku! I pan niech wypije za dobry początek! – Podałam mu butelkę z pozostałym szampanem.

Pan Zenuś nigdy nie odmówił niczego, co miało jakikolwiek związek z alkoholem.

– Chodź! – Podekscytowana szarpnęłam Renatę za rękę i zaczęłam ją prowadzić po wszystkich pachnących nowością pokojach, zaczynając od tych ekskluzywnych na samej górze, z których byłam najbardziej dumna.

W obu apartamentach znajdowały się aneksy kuchenne odgródzone wysepką od przestronnych salonów. W salonach kanapy, po dwa wygodne fotele i wiszące telewizory LCD. Na białych ścianach umocowano podłużne lakierowane płyty desek sosnowych nadające rejonowego uroku. Łazienki były wyłożone płytkami w kolorze piaskowca i wyposażone w prysznic i wanny. Pozostałe pokoje miały tylko prysznic.

Apartamenty miały też osobne sypialnie z wielkimi łóżkami i ciężkimi, zaciemniającymi zasłonami. Wszystko było w nowoczesnym stylu połączonym z folkowym akcentem w postaci

drewnianych drobiazgów. Jacuzzi na przeszklonym balkonie apartamentu dwunastego to wisienka na torcie.

Obeszliśmy wszystkie pokoje i zeszyliśmy na sam dół do jadalni, która doznała największej metamorfozy. Ze ścian byłej piwnicy zniknęła boazeria, a jej miejsce zajęły przytwierdzone ozdobne polakierowane płyty drewna, z zachowanym niewyrównanym brzegiem. Przestrzeń podzieliłam na dwie strefy ustawionymi pionowo drewnianymi balami, celowo zostawiając między nimi kilkucentymetrowy prześwit. W pierwszej strefie – jadalnianej, pomimo ośmiu wielkich stołów, i tak zostało jeszcze sporo wolnego miejsca. Natomiast w drugiej części powstała strefa wypoczynkowa dla gości, z zawieszonym telewizorem, bilardem i narożnikiem w kształcie litery U z narzuconymi na nim białymi, przyjemnymi włochatymi skórami. W centrum wypoczynku ustawiony był niski drewniany stolik, na środku którego stała klimatyczna lampka z charakterystycznym wzorem czerwonych kwiatów na kloszu wykonanym białą koronką. Wąskie, podłużne okna zdobiły wzorzyste upięte zasłony z brzegami z koronkowej gipiury.

– Łaaaa... Majka! Tydzień mnie nie było, a ty to wszystko tak dopieściłaś... – powiedziała zachwycona, obejmując mnie w geście gratulacji.

– Bez ciebie bym nie dała rady – podkreśliłam, czując napływające łzy wzruszenia.

To była prawda. Jej pomoc i wsparcie były nieocenione w osiągnięciu celu.

– No przestań mi się tu rozczulać... – Renia zamrużyła powiekami, zatrzymując własne wzruszenie.

– Ej, wszystko gra? – zapytałam, widząc, że jednak coś jest nie tak.

Renata nie miewała akcji typu: płacz wzruszenia z byle ukończonego remontu.

– Kupiec na dom się znalazł... – odparła i, nie mogąc dłużej utrzymać wzbierających emocji, rozkleiła się całkowicie. – Jakiś bufon z Warszawy zapragnął przyrody i spokoju na weekendy. Wpłacił całość i dał nam tydzień na pozamykanie spraw i wyprowadzkę z domu. Rodzice chcieli miesiąc, ale nie mogli dyskutować, bo gość nie negocjował ceny. Po prostu zapłacił – żaliła się, a łzy jak grochy spływały po jej policzkach. – To będzie koniec wszystkiego! – Wtuliła się we mnie jeszcze mocniej, zaciskając dłoń, na której palcu połyskiwał pierścionek zaręczynowy, otrzymany wedle planu na walentynkowym wyjeździe w lutym.

– Co ty opowiadasz? Jaki koniec? Czy ty mnie kiedykolwiek zostawiłaś w potrzebie? – Odsunęłam ją od siebie, by spojrzeć jej w oczy. – I ja ciebie nie zostawię! Póki co mam spory pokój i wielką szafę... – uspokoiliłam ją, proponując wspólne mieszkanie.

– Poważnie? – zapytała z nadzieją w głosie. – Maju, mogę spać w socjalnym lub w aktualnie wolnym pokoju... – odpowiedziała tak, jakby spodziewała się takiej reakcji z mojej strony, jednocześnie nie chcąc naruszać mojej prywatnej przestrzeni.

– Oszalałaś? Będziesz się gniesć w socjalnym lub żyć na tułaczce od pokoju do pokoju? Mam wielki pokój i zmieścimy się razem! – powiedziałam stanowczo.

Gdyby nie akt własności w rękach mojego ojca, bez zastanowienia oddałabym jej jeden z pokoi do wynajęcia na stałe. Wiedziałam jednak, że jego niechęć do jej osoby i mniejsze wpływy z wynajmu nie ułatwią sprawy, a pogorszą i tak zepsutą rodzinną atmosferę.

– Zepsułam ci ten dzień – stwierdziła i popatrzyła na mnie przepaszającym wzrokiem.

– Nie zepsułaś, a tylko poprawiłaś! – oznajmiłam i zaczęłam skakać z zachwytu wokół niej, na myśl o niekończących się wieczorach przerwanych jedynie jej wyjściami do Kamila. Perspektywa wspólnego zamieszkania, i bycia w dobrym humorze całymi dniami, była niezwykle ekscytująca.

– To nie wszystko... – dodała szybko. – Powiedziałam Kamilowi... Bardzo dziwnie zareagował. Powiedział tylko, że mu przykro i spytał, kiedy wyjeżdżam, nawet nie przerywając

swojej pracy... Nie zaproponował mieszkania. Nie zapytał, jak sobie to wyobrażam. O nic nie pytał. Ot tak... Potraktował mnie jak starą znajomą i jakby zapomniał o tych wszystkich wspólnych chwilach – mówiła przybita, spoglądając na złoty symbol miłości i chęci wspólnego jutra na swoim palcu. – Jakbym nic dla niego nie znaczyła... Powiedział to z taką lekkością, że serce mnie ścisnęło. Po prostu „przykro mi, kiedy wyjeżdżasz”. A dopiero co oświadczył rodzicom, że się zaręczyliśmy i myślałam... – ucięła i rozbeczała się na dobre, a lzy zaczęły cieknąć ciurkiem po jej ładnej buzi.

– Ciiiiii... Ciiii. – Objęłam ją ponownie, głaszcząc jej brązowe włosy w geście pocieszenia.

– Jesteś moją jedyną rodziną, jaką mam w tym miejscu – dodała cicho, pociągając nosem. Stałyśmy tak kilka minut, nim opadły emocje.

– Mam coś, co poprawi ci humor – wtrąciłam, wyciągając ją za rękę na tyły domu, gdzie znajdowała się ogrodzona stajnia.

– Nic mi go nie poprawi, Maju. Czuję się, jakby ważny etap w moim życiu się skończył a już sobie wyobrażałam...

– Panie Zenku! Paaanie Zenku! – nawoływałam głośno, nim Renia ponownie by mi się tu rozkleiła.

– W zocynku<sup>58</sup>! – słysząc jego głos, skierowałyśmy się w stronę uchylonych drzwi drewnianego budynku, gdzie pan Zenek ucinął sobie popołudniową drzemkę.

Widząc nas, strzepał siano z filcowego góralskiego kapelusza i zmiętolonej, niegdyś białej koszuli.

*Grunt to elegancja*, pomyślałam. Nieważne, jak wyglądał w koszuli. Ważne, jak się w niej czuł.

– Osiodła pan konie dla nas? – zapytałam, bo hipoterapia to było coś, co mogło pomóc.

– Dobra jest, paniusie. Juz sie robi, ino filecka<sup>59</sup> – odparł skrzątnie przyłapany na regeneracji i chętnie podążył w stronę stajni.

Wchodząc za Zenkiem, zrobiło mi się żal na widok wielu pustych boksów, w których kiedyś nie było wolnego miejsca. Uznałam, że to będzie kolejny priorytet na najbliższe lata, by znów ożywić to miejsce. Na chwilę obecną nie było funduszy i by dopiąć wszystko w pensjonacie na ostatni guzik, musiałam dołożyć trochę z własnych oszczędności.

– Dawno nie jeździłam – stwierdziłam, wyprowadzając ze stajni jednego z trzech koni, jakie zostały. – Którego bierzesz, Reniu? Jeśli jesteś smutna, weź Primę... Jeśli wściekła, weź Korę. Jeśli smutna i wściekła... Black – doradzałam, prezentując swoje konie.

Po codziennych biegach, przychodziłam do stajni, by z nimi pobyc i pomachać zgrzebłem. Lubiłam dopieszczać ich smukły wygląd. Ich bliskość działała kojąco, szczególnie po niedzielnych, emocjonalnie wyczerpujących obiadach.

Klacz Prima była gniadym melancholikiem, spokojnym i zrównoważonym koniem, po którym można było się spodziewać tylko stonowanych odruchów. Uwielbiała się ocierać i pocieszać człowieka po swojemu. Kora natomiast potrzebowała ruchu i dynamiki przez swój narwany charakter. Zdecydowanie rwała do galopu, lecz stosowała się do poleceń. Black zaś, ze względu na kolor, została Blackiem. Koń, którego nie mogłam rozgryźć. W jednej sekundzie jej pozorny spokój zmieniał się we wściekłość i wierzganie kopytami. Dlatego moja propozycja dla Reni, co do wyboru Black, była żartem. Renia wprawdzie potrafiła jeździć, ale nie miała na tyle doświadczenia, by sadzać ją na niestabilnego konia. Sama jednak chętnie bym spróbowała. Swego czasu sporo chwil spędzałam na grzbietach tych wspaniałych stworzeń.

– Prima – wybrała Renata, upewniając mnie w tym, że była smutna.

– Miałam nadzieję, że weźmiesz Korę... by nie nudzić się na moich tyłach –

dopowiedziałam zaczepnie, by rozluźnić atmosferę.

– Panie Zenku, Prima i Black.

– Je! Pryndzuj sobie siodło na plecy nazuce niz na nio! Nie bede godoł, co jej Scepan zrobił, ale jak jednego casu przyseł<sup>60</sup> do stajni, to mało gródzi<sup>61</sup> nie rozwaliła kopytami... Ślady od bica<sup>62</sup> miała i jedno wybadolem... Nerwy pocuje i alkohol, to saleje – Współczujący Zenek nałożył tylko siana do paśnika Black.

To tłumaczyło jej niespokojne zachowanie. Szczepan właśnie stracił przydomek pajaca, a zyskał miano skurwiela przez wielkie S. Zacisnęłam usta, by tego nie powiedzieć głośno. Jak można było wyładowywać swoje nerwy na tych stworzeniach. Sadysta wyprany z uczuć. Miał zadatki, by w wieku ojca nie być już jego klonem, a kulawą resztką homo sapiens. Wszystko po nim trzeba było naprawiać. Łącznie z koniem.

Wymieniłam tylko z Renią pełne współczucia spojrzenia dla klaczy i ruszyłyśmy na grzbietach Primy i Kory pastwiskiem ciągnącym się wzdłuż lasu. Wczesnowiosenne słońce przyjemnie rozświetlało budzące się z zimowego snu łąki, przebijając się przez jasne chmury nad wysokimi górami.

– Chcę ci coś pokazać. Coś bardzo prywatnego... – oznajmiłam, podnosząc luźną belkę ogrodzenia i skręcając w leśną, znajomą ścieżkę idącą łagodnie ku górze.

Przemierzając las wydreptanym pasem i spokojnym tempem koni, po dwudziestu minutach dotarłyśmy do skromnie wykarczowanego skrawka polany, na której pośród iglaków stała niewielka, stara drewniana kapliczka.

– Co to za miejsce? – zapytała zdumiona.

– Mój azyl – odpowiedziałam, chwając się nie tak dawnym znaleziskiem.

– Że co? – odparła nieco zdziwiona i zaskoczona, nie rozumiejąc, co mam na myśli.

W końcu nigdy jej nie wspominałam o żadnym leśnym azylu. Uznałam, że i tak nie zrozumie, a skrawek intymności tego miejsca miał zostać tylko moją słodką tajemnicą. Zeszłyśmy z koni i przywiązałyśmy je do przytwierdzonej do drzew belki.

– No chodź, mówię – zachęciłam, otwierając niewielkie szerniałe drzwi.

W środku było kilka drewnianych ławek ustawionych przed rzeźbionym, poczerniałym ze starości krzyżem, który wisiał na przedniej ścianie niewielkiego wnętrza. Dookoła wisiały strugane, równie poczerniałe jak krzyż, anioły i ich płaskorzeźby. Było ich dużo jak na wystawie.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? Przecież wiesz, że nie wierzę. Na mnie takie cuda nie działają – skomentowała na wejściu, przypominając mi o swojej neutralności wyznaniowej.

– Nie przyprowadziłam cię tu, żebyś się modliła czy uwierzyła... Tylko żeby ci pokazać, że w życiu każdego człowieka zawsze znajdzie się jakaś ostoja. Coś, co przyniesie ci spokój – powiedziałam, zauważając, jak mina Renaty przybiera coraz bardziej zdziwiony wyraz. – Znalazłam to miejsce przypadkowo, biegając po lesie. Zajrzałam do środka z ciekawości. Kiedy tu weszłam i przysiadłam, poczułam ogarniające mnie odprężenie. Nie wiem, jak to powiedzieć... Czy to, że jestem sam na sam ze sobą... Czy cisza i spokój dookoła tak na mnie działają. Ale tu... łapię równowagę. Od miesiąca przybiegam tu dzień w dzień i możesz mi wierzyć lub nie, ale zamykam oczy i wyrzucam wszystko, co złe. Ojca, Szczepana, Grzeška i Ankę, i ich wredne słowa, zachowania i spojrzenia. Tu zapominam o nich i wszystkich innych problemach. Wracam lżejsza, naładowana i oczyszczona... Jeśli ja, będąc czarną owcą w rodzinie, znalazłam coś, co mi pomaga... To chcę, żebyś wiedziała... Że nie jesteś sama i cokolwiek się wydarzy, to i ty kiedyś znajdziesz takie miejsce dla siebie.

– Dzięki, Maja. Pewnie to nie jest moje miejsce, ale rozumiem, o co... lub o kogo ci chodzi...

– Może aktualny punkt nie jest ci dany... I może gdzieś po drugiej stronie Giewontu...

twoje miejsce właśnie czeka na ciebie? Nieważne gdzie. Uważam, że samo cię odnajdzie, tak jak to odnalazło mnie. Pamiętasz, jak kiedyś śmiałyśmy się z tych wszystkich małolat ze złamanym sercem? – zapytałam, widząc, że odrobinę ochłonęła.

– My już nie jesteśmy małolatami i nikt nie będzie ubolewał nad naszym niepowodzeniem.

– No więc, po co robić z siebie pożywkę dla sępów? Głowa do góry! – pocieszałam ją i pogładziłam po ramieniu.

Widać było, że miała dość i nie mogłam dalej brnąć w temat. Udałyśmy się w drogę powrotną. W jednym miałam rację: otoczenie lasu, świeże powietrze i same konie sprawiły, że Renata na chwilę odsunęła od siebie myśli zakończenia pierwszego poważnego w życiu etapu związku. Wiedziałam nawet, że nie aż tak w głębi serca a bardzo płytko, chciała, by to nadal trwało.

Sama natomiast nigdy nie mieszałam się w sprawy między zakochanymi. Zaakceptowałam związek Kaśki i Szczepana, nie otwierając jej na siłę zaślepionych oczu. Wątpiłam nawet, by łączyło ich coś poza pociąganiem fizycznym i interesami rodziców. Nie godziłam i nie klóciłam, trzymając się zawsze na granicy zdrowego dystansu. To było racjonalne zachowanie. Ciężko było mi doradzać komuś w temacie miłości, skoro sama nigdy jej nie doznałam. Ani od rodziny, ani poza nią. Mogłam tylko podziwiać więzy rodzinne na szklanym ekranie – chociażby w amerykańskich serialach typu *Pełna Chata* czy w polskiej *Rodzinie Zastępczej*, w której było więcej uczucia niż w mojej rodzinie. Miłości między mężczyzną a kobietą nie rozumiałam jeszcze bardziej. Owszem, miewałam szkolne zauroczenia i jakieś larwy motyli, które pojawiały się wolno, po czym błyskawicznie obumierały jeszcze w załączku. Totalnie nie pojmowałam, jak Rose była w stanie wypuścić zamarzną dłoń Jacka w *Titanicu*, ratując własne życie, kiedy dopiero co właśnie nabrało sensu.

\*\*\*

Łamiąc zasadę niewtrącania się w rzeczy, na których się nie znam, postanowiłam jednak tego samego dnia porozmawiać z Kamilem i poznać jego intencje, co do własnej przyjaciółki. Bo tylko jej dobro miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Bez poznania zamiarów niedoszłego męża, nie mogłam jej pomóc w żaden sposób. Nawet obiecując czekające gdzieś na nią złote góry i nieodkryte miejsca.

– Dobry wieczór, zastałam Kamila? – Stojąc w progu domu, zwróciłam się do jego matki, która otworzyła drzwi.

– Nie ma – bąknęła mało przyjaznym tonem.

– A kiedy będzie? – zapytałam, nie zważając na jej mało zachęcający ton. – Pani Wiercioch, ja muszę z nim porozmawiać. To ważne... – dodałam, informując ją o swojej determinacji.

– Uwiez mi dziecko. To nieważne – odparła zdecydowanie, jakby z góry wiedziała po co przyszedłam.

– Ja muszę z nim zamienić słowo. Chyba że pani wie, o co chodzi... – Spojrzałam badawczo na jej kamienną twarz.

W tym momencie wyraźnie poczułam, że ona doskonale wiedziała, co jest grane, i dlaczego Kamil nagle postanowił tak łatwo zrezygnować z narzeczonej.

– Pośła stąd! I nie wracaj wiencyl<sup>63</sup>. Ty i ta twoja kolezanka! – zwróciła się do mnie tak wrogim tonem, że uaktywnił się mój niepokój.

– Ale...

– Kieło razy mam ci powtórzyć?! Ni ma ale! Kamil nie może z nią być i zdania nie zmieni!

Odwidziała mu się i już! Niech se znajdzie innego chłopca – mówiąc to, zatrzasnęła drzwi tuż przed moim nosem.

Górska uprzejmość, co do której byli przekonani turyści, to fatalna fikcja. Tysiące myśli kotłowało się w mojej głowie. Miał kogoś? Czy to może miało związek ze sprzedażą domu? Sama nie wiedziałam, co miałam myśleć i czy mówić o tym przyjaciółce. Może lepiej nie powinnam mówić. Nie wiadomo, jakby zareagowała. Mogła być zła na mnie za to, że pojechałam tam, mieszając się w ich sprawy. Co gorsza, mogło to przechylić szalę goryczy w stronę wyjazdu z rodzicami do Gdańska. Czarne myśli jak potok przepływały mi przez głowę.

– Wszystko się ułoży, Reniu. Masz mnie. Mamy siebie. Damy radę – mówiłam sama do siebie, przemierzając autem coraz bardziej ruchliwe, kwietniowe ulice Zakopanego i zmierzając do nadal pustego własnego pensjonatu w Nędzówce.

Automatycznie już zerknęłam w stronę okien mijanego Okonia i nie wiedząc czemu, ucieszył mnie widok palących się świateł w większości jego pokoi. I u mnie pierwsi goście mieli zjawić się już za dwa dni. Trzy wynajęte pokoje na dobry początek w połowie kwietnia po takiej przerwie to całkiem niezłe. Siłą rzeczy będzie coraz lepiej, a przede mną jeszcze długi weekend majowy, gdzie w ciągu jednego dnia można wypełnić wszystkie wolne miejsca.

## Rozdział 8

Tampa, Floryda

Michael

Dostając wytyczne co do dalszej pracy nad sobą, Michael z ulgą wrócił do domu, gdzie ze szczerym entuzjazmem przywitała go pani Rita – starsza Kolumbijka przysłana przez przyjaciela, Pedro, tuż po wypadku sprzed trzech lat i zarazem jedyna kobieta, jakiej towarzystwo tolerował Adams. Od samego początku przejrzała go, wiedząc, co mu dolega. Traktowała go jak syna, którego zresztą sama nie miała.

Znała jego ulubione potrawy, pory snu i harmonogram dnia. Oceniała nastrój swojego podopiecznego, ważąc i uważnie dobierając słowa. Wiedziała, czym się zajmował, że potrafił być bezwzględny i potrafił zabić, ale też gdzieś w środku czuła, że ostała się w nim żywa tkanka dobrej części serca, którego, jak wielokrotnie jej powtarzał, już nie miał. Mieszkała na miejscu, korzystała ze wszystkich udogodnień, dbała o dom i przebywającego w nim Michaela, który traktował ją jak nieodzownego domownika.

Gdy zobaczyła wchodzącego pana domu, stęskniona podbiegła, by się z nim przywitać. Rita, przeszkolona w zakresie ścisłej diety niezbędnej do regeneracji części postrzelonej wątroby i przywrócenia prawidłowej pracy jelit po dwumiesięcznym urlopie, ujęła jego dłonie jak matka.

– Bóg mnie wysłuchał, Michaelu. Wróciłeś!

W brązowych i zatroskanych oczach patrzących na niego z dołu, Michael dostrzegł szczerze i ogromne wzruszenie.

– Już dobrze, Rito... Złego diabli nie wzięli, to teraz ty będziesz miała więcej pracy – uspokajał i z subtelnym uśmiechem odwzajemnił uścisk dłoni, ciesząc się jak nigdy wcześniej na jej widok.

– Tak tu było pusto bez pana... Musi pan teraz odpoczywać – zakomunikowała, kiwając głową. – Wszystko mi powiedzieli, co pan może jeść, pić, ile ma pan mieć ruchu, i rozpisałam wszystkie wizyty tu... – Z zapalem wyciągnęła z kieszeni fartuszka kuchennego kartki i pokazała harmonogramy godzin odwiedzających specjalistów, wytyczne i inne niezbędne notatki potrzebne do opieki zdrowotnej. Michel patrzył na swoją okrągłą gosposię i niedowierzał, że aż tak wzięła sobie do serca jego powrót do zdrowia. – Idę przygotować kąpiel dla pana, a po tym podam obiad – oświadczyła i natychmiast udała się marmurowymi schodami na górne piętro posiadłości.

Michael rozglądnał się po oniemiałych facjatach braci. Nigdy żaden z nich nie był niańczony w podobny sposób.

– Myślałem, że to lekarz w klinice był nadgorliwy... – powiedział i, korzystając z chwili jej nieobecności, odpalił papierosa. To była jedyna rzecz, jakiej Rita nie odpuszczała Michaelowi. Palenie w domu, uszkodzenie własnemu zdrowiu tym bardziej teraz, kiedy potrzebował je odzyskać, nie pozostałoby bez jej odzewu.

– Witaj w domu! – krzyknął Jack, rozkładając ręce i rozsiadając się na skórzanym wypoczynku w przestronnym, jasnym salonie. – Masz tu wszystko, żeby się zregenerować i wrócić do pełni sił. Póki co nie martw się pracą. Dajemy radę. Towar napływa, Kolumbijczycy się spisują, a i Pedro życzy ci szybkiego powrotu do zdrowia – przekazał brat.

– Pocziwiec Pedro... – westchnął Michael, a jego twarz się rozpromieniła, co było

u niego rzadkością.

Pedro był najbliższym człowiekiem, spoza ścisłego kręgu rodziny, wiedzącym o wybudzeniu Michaela. Znał sekret pochodzenia braci Adams, bo to właśnie on niegdyś im pomógł, podarowując nowe życie i tożsamość. Pedro ratując chłopców, spłacił dług ocalenia własnego życia u ojca Michaela.

– On też twierdzi, że podtrzymywanie informacji o twojej śpiączce to rozsądne posunięcie – dodał Dylan, przekazując radę jedyne go człowieka, którego słowa miały dla nich wszystkich ogromne znaczenie. Nigdy się na nim nie zawiedli.

– Podziękujcie mu i przekażcie, że szybko dojdę do siebie – odpowiedział Michael, masując obolały bok.

– Póki co nie wychodź z ukrycia. Oficjalnie śpisz, a my ograniczyliśmy osobom trzecim dostęp do ciebie. Będziemy zaglądać tu tylko my i nasz lekarz. Prócz kilkunastu ochroniarzy będą tu też Rick i Bob. Nic nie powinno się wydarzyć. Nie damy się zaskoczyć jak stary Moreno – poinformował o podjętych środkach zapobiegawczych Jack.

– A my popracujemy... SZEFIE – wtrącił Dylan, odpalając swoją fajkę.

– W końcu popracujecie! – Uśmiechnął się Michael w odpowiedzi na troskę i entuzjazm braci, którzy tylko upewnili go w tym, że są gotowi wskoczyć za nim w ogień.

– *O no! No! No!* – krzyczała, nagle wkraczająca do salonu mała kobieta.

Jej rozzłoszczony portugalski akcent matczynej troskliwości i to, jak wyrwała Michaelowi papierosa z ust jednym ruchem rozbawił braci. Widok bezradności dorosłego mężczyzny i rzucającej portugalskie reprimendy w jego stronę zatroskanej starszej pani, nie był powodem do dumy dla niebezpiecznego mafiosa.

– Panowie, idę się grzecznie wykapać – oznajmił pokornie Michael, patrząc na Ritę stojącą nad nim z rękami opartymi na biodrach, co jeszcze bardziej rozbawiło braci, ale też zmusiło Dylana do natychmiastowego zagaszenia również i swojego papierosa.

\*\*\*

Koszmarne sny Michaela ustały. Zapewne przez duże dawki zażywanych środków uspokajających, jakie dawał mu lekarz, przez co był wyspany i wypoczęty jak nigdy dotąd. Mimo wykorzystywania wolnego czasu na ćwiczenia i pływanie, nadal czuł ogólne osłabienie i pokornie stosował się do zaleceń swojego wieloletniego lekarza rodzinnego.

– To może jeszcze potrwać, panie Adams. Poważnie się panu dostało i ledwo udało się pana przywrócić do żywych. Był pan w śpiączce ponad dwa miesiące. Dwa tygodnie w szpitalu i niespełna dwa tygodnie w domu to stanowczo za krótki czas – tłumaczył odwiedzający go co dwa dni specjalista. – Uważam, że za bardzo się pan forsuje z ćwiczeniami. Mięśnie się odbudowują, sylwetka nabiera kształtów, ale na pełnię sił trzeba poświęcić czas i trochę cierpliwości – dodał, mierząc puls, poprzedzony pobraniem próbki krwi do badań.

– Pewnie ma pan rację, ale wolałbym usłyszeć coś w stylu... Świetne wyniki i można wracać do pracy – oponował Michael.

– Panie Adams... – odparł doświadczony medyk, który niejednego człowieka z kręgu Adamsów wyrwał z uścisku śmierci po postrzale. – Jak na kogoś, kto po takich obrażeniach miał trzydzieści procent szans na przeżycie... to naprawdę świetne wyniki – skwitował.

Nie miał wyjścia. W efekcie stosował się do zaleceń. Między pływaniem, ćwiczeniem, a jedzeniem małych porcji posiłków, doskwierało mu jednak to, że nie mógł wrócić do swoich codziennych zajęć. Nie miał już na głowie starego Tifficante, więc tęsknił tylko za obmyślaniami interesów, patrząc na miasto z okna ostatniego piętra wieżowca na Davis Island i widokiem na terrarium w BLACK.



\*\*\*

Michael siedział przy stole w ogromnym rozrywkowym pokoju na parterze, gdzie wieczorową porą towarzystwa dotrzymywali mu czarnoskóry Rick i łysy Bob, pogrywając wspólną partyjkę brydża, bilardu czy lotek.

Teraz, bez grama katorycznie zabronionego alkoholu we krwi, zauważył, iż pomimo masy mięśniowej, jaką posiadali ci dwaj, potrafili zabawiać się jak dzieci, celując lotkami do tarczy zawieszanej na ścianie. Ten widok, na który wcześniej nie zwracał uwagi, mimo wszystko zaczął go bawić. Groźnie wyglądający faceci chichrający się jak panienki z kiepskiego rzutu kolegi.

– Niech cię szlag! – Bob wyciągnął kolejną dziesięciodolarówkę i wcisnął ją Rickowi w dłoń.

– Zostaw sobie trochę na okulistę, Bob! – naśmiewał się Rick z serii niecelnych rzutów kolegi.

– Wal się, czarnuchu. Rewanż!

I zaczęli od nowa rzuty do dziesięciu, notując uzyskane punkty. Potrafili tak bez końca. Tego wieczoru wpadli również bracia, dołączając do poważnej rozgrywki o drobne.

– Jack, Dylan... Mam dość beczynności. Muszę wyjść z ukrycia i zająć się pracą, bo nigdy nie dojdę do siebie – wypalił nagle przyglądający się im w ciszy Michael.

– Oszalałeś chyba! Też rozmawiałem z twoim lekarzem. Wykluczone! – odparł stanowczo Jack.

– Tym razem biorę jego stronę. – Dylan wskazał palcem mówiącego całkiem poważnie średniego z braci.

– Znajdź sobie dup... – uciął wspomniany, gryząc się w język, niemalże poruszając drażliwy dla brata temat. – Du-że puzzle, nie wiem... Spraw sobie nową konsolę, różowego flaminga do basenu czy cokolwiek... Ale nie wypuścimy cię z domu – utrzymywał stanowczość.

Do Michaela dotarło, że tym razem nie postawi na swoim, bo ich upór płynął wprost z troski, rozsądku i obawy.

– Odpuść, póki możesz – powiedział Dylan, częstując go papierosem.

– Nie chcesz słuchać nas, to posłuchaj Pedro... Czy kiedykolwiek chciał dla ciebie źle? – dorzucił Jack, wiedząc, że dzięki temu miał go w garści. – A może chcesz wyjechać na dłuższy urlop, wakacje? Gdzieś poza obręb Florydy?

– Kurwa, Jack, to jest myśl! – wykrzyknął Dylan, klepiąc brata w ramię.

– Oficjalnie jesteś w śpiączce, więc nikomu nie przyjdzie do głowy, że przebywasz na Madagaskarze.

– Gdzie, kurwa?! – zirytował się Michael podjętą decyzją i lokalizacją wakacji.

– Dobra... Mauritius? Turcja? Egipt? Chile? ... Gdzie chcesz? – wymieniał Jack.

– Nigdzie się nie wybieram! – odrzucił szybko propozycje.

– Bracie... – powiedział poważnym tonem Jack z utrzymanym kamiennym wyrazem twarzy. – Nie bój się i daj również nam się wykazać. Raz w życiu. Będziesz z nas dumny – przekonywał, mając u swojego boku Dylana.

– O czym ty mówisz, Jack? Zawsze byłem i jestem z was dumny! – skomentował, marszcząc brwi.

– To jedź i daj nam wolną przestrzeń. Ty tego potrzebujesz i my tego potrzebujemy.

– *Fuck!* – warknął pod nosem Michael.

– To znaczy TAK? – Jack mierzył brata pytającym wzrokiem.

– Niech wam będzie. Skoro chcecie się mnie pozbyć... to zgoda. Może i mnie przyda się

zmiana otoczenia i przerwa od waszego pierdolenia.

– To dokąd lecimy, szefie? – zapytał zadowolony z takiego obrotu sprawy Bob, eksponując złotą licówkę na trójce.

– Nie wiem – odpowiedział bez entuzjazmu i wzruszył ramionami.

– Zaraz wracam... – Rick wybiegł z pokoju jak poparzony.

Po chwili wrócił ze zrolowaną mapą świata w dłoni. Starannie przykrył nią tarczę, przyklejając odstające rogi do ścian, i podszedł do Michaela, by wręczyć mu lotkę.

– Tylko nie mów, że to to, o czym myślę... – Adams z niedowierzaniem popatrzył na Ricka.

– Ostrzegam... Nie ma ciotowatych wykrętów... Jeden rzut. Jedna szansa. Jeden wybór. Z tego miejsca... – informował Michaela o zasadach swojej zabawy. – Jeśli masz lepsze oko niż Bob, to nie trafisz w ocean lub Włochy, w których aż roi się od robactwa. – Rick uśmiechnął się i pokazał palcem tarczę.

Dziesięciometrowy dystans nie ułatwiał rzutu. Dumny z pomysłu losowych wakacji Rick, stał i nie odrywał wzroku od tarczy, modląc się w duchu, by nie wypadło jednak na Grenlandię lub środek pustyni.

Michael rzucił. Dostrzegł, że igła lotki wbiła się gdzieś w Europę. Rick podszedł bliżej, uważnie studiując rejon.

– Nie ma tragedii. Nie tropiki. Nie pustkowie. Mogło być gorzej... Ale chyba nie jest źle... – Stał przy tarczy i drapał się po głowie.

– Powiesz, kurwa, czy mam wstać i sam zobaczyć?! – krzyknął, poirytowany budowaniem napięcia przez swojego podwładnego, i odpalił papierosa.

– Rejon górzysty... Południowa Polska, szefie – odpowiedział, informując go, gdzie spędzi kilka długich tygodni, powracając do pełni sił.

## Rozdział 9

Zakopane, Polska

Majka

Minął ponad tydzień od wydarzenia na schodach Wierciochów. Kamil nadal się nie odzywał. Renata próbowała do niego dzwonić, lecz nie odbierał, a przy kolejnych próbach operator informował ją tylko o niedostępności abonenta. Jej rodzice definitywnie wyjechali do Gdańska, domykając w popłochu tutejsze życie. Chcieli jeszcze raz namówić Renatę na wyjazd, ale ta nie dała się ruszyć, ostatecznie korzystając z miejsca w moim pokoju. Był przestronny z dużym łóżkiem i widokiem zachodniego okna na stadninę, a południowego na część ogrodu z altaną i las ciągnący się wzdłuż łąk. Byłyśmy jak siostry i żadnej z nas nie przeszkadzało spanie w jednym łóżku czy dzielenie łazienki z wanną i prysznicem. Obydwie lubiłyśmy ład i porządek, rozumiejąc się w tej sferze bez słów.

Mój początkowy plan, by zatrudnić kogoś do pomocy został odłożony. Póki co Renata była bez pracy i zadeklarowała pomoc, mimo iż nie musiała, bo rodzice, by ułatwić jej samodzielny byt, zostawili jej część środków ze sprzedaży domu. Postanowiłyśmy wspólnie, że ogarniemy recepcję, sprzątanie, rozważając tylko zlecenie zajęcia się kuchnią komuś nieco bardziej doświadczonemu niż my same. Póki co, przy niewielkim obłożeniu, samo śniadanie nie było ogromnym utrudnieniem, lecz wymuszało wczesną porę wstawania. Umowę dostawy zamówionych produktów na posiłki realizował pobliski sklep i towar podjeżdżał już o godzinie piątej trzydzieści. Wydawanie śniadania dla gości zaczynało się o siódmej trzydzieści, więc trzeba było być na posterunku do dziesiątej trzydzieści, uzupełniając zapasy na szwedzkim stole i ładując zmywarkę brudną zastawą.

Widok ostatnich zadowolonych ludzi opuszczających swoje stoły, zza podłużnego weneckiego okna dzielącego kuchnię od jadalni, bardzo mnie radował. Poprosiłam ekipę remontową o oklejenie tej zwykłej szyby folią wenecką, czując, że nie będzie mi komfortowo, gdy zaspany turysta będzie zajadał jajecznicę, patrząc na mój tyłek uwijający się w kuchni. Nie tylko w łazience człowiek potrzebował trochę intymności. Za to nieocenioną zaletą takiego rozwiązania było to, że to ja mogłam bez skrępowania patrzeć w ich kierunku. Obserwowałam romantycznych zakochanych wpychających sobie nawzajem świeże pieczywo do ust oraz tych mniej romantycznych rozlewających kawę, kruszących dookoła i pakujących zrobione na wynos kanapki do kieszeni.

Krzętałyśmy się z Renatą w kuchni, kończąc sprzątanie.

– Mamy wolne tylko cztery pokoje! – stwierdziłam rozradowana. – Apartamentów na majówkę nie oddam studentom i nikomu budzącemu moje wątpliwości... więc zostały dwa do wynajęcia – mówiłam do zamyślanej Reni, ścierając blaty. – Halo? Ziemia do ciebie! – próbowałam łąpać kontakt, widząc, jak pucuje idealnie już suchy talerz wyjęty ze zmywarki.

– Aaaa eeee... A co mówiłaś? – Sprowadzona z myślowej planety *Kamilowisz* gwałtownie zareagowała, łapiąc upragniony kontakt wzrokowy.

Wiedziałam, że odpływała trawiącą ją od środka rzeką kwasu.

– Odkąd byliśmy razem, nie było dnia, byśmy nie zamienili chociaż zdania... A minął prawie miesiąc – westchnęła głęboko. – To już koniec. Prawda? – zapytała i popatrzyła na mnie, oczekując konkretnej odpowiedzi.

*No i co ja mam ci, dziecinko, powiedzieć? Tak. Koniec. Jego matka mało mi nosa nie rozwalila swoimi frontowymi drzwiami.*

- Nie wiem, Reniu – odparłam, bojąc się powiedzieć cokolwiek więcej.
- Oddam mu pierścionek. Nie chcę go. Dziś po południu pojedę tam i mu go oddam. Muszę zamknąć ten temat... Jeśli ma być zamknięty.
- Jesteś pewna? – zainteresowałam się zaniepokojona jej stanem.
- Tak. Mając go na palcu... – Wskazała piękny w swojej subtelności złoty pierścionek z cyrkonią. – Ból jest nie do zniesienia. – Przytaknęłam ruchem głowy i pozostało mi ją tylko objąć bez jakichkolwiek zbędnych słów. Sama dokonała wyboru. Bez złotych rad i sugestii. – A teraz chodźmy. Mamy jeszcze sporo pracy w pokojach – dodała znów z westchnieniem, jakby szukała we wdechu podparcia dla duszy lżejszej o ciężar jednej podjętej decyzji.

\*\*\*

Po południu wychodząc na codzienny bieg, założyłam sportowe legginsy, bluzę, buty do biegania i ulubioną czarną czapkę z daszkiem. Zostawiłam Renatę w recepcji, by po swoim powrocie ją zmienić.

Zwiększając już na starcie dystans, najpierw okrążyłam ogrodzoną łąkę. Następnie pobiegłam tą samą ścieżką, którą biegałam codziennie i na którą zabrałam Renatę, by pokazać jej miejsce, do którego właśnie zmierzałam. Czasem zabierałam MP3 i słuchawki, ale tym razem chciałam wsłuchać się we własny oddech zmieszany z odgłosami wiosennego lasu. Gdy dobiegłam do celu, zobaczyłam uchylone drzwi kapliczki. W tym miejscu jeszcze nie spotkałam nikogo, dlatego najpierw niepewnie zajrzałam do środka.

Zobaczyłam staruszkę z trudem wieszającego na przedniej ścianie nowego aniołka, pod jednym z ramion dwumetrowego krzyża.

- Pochwalony – przywitałam się pierwsza, wchodząc do wnętrza.
- Na wieki wieków – odpowiedział starzec, próbując utrzymać za ciężką już dla niego figurkę.
- Pomogę – powiedziałam i, nie czekając na zezwolenie, podeszłam i podtrzymałam rzeźbę, ułatwiając staruszkowi wycelowanie w haczyki.
- Bóg zapłać, dziecko. – Starzec z łagodnym uśmiechem i pewną nostalgią w oczach spojrzął na aniołka.
- To wszystko pan zrobił? – zapytałam zdumiona zapalem staruszkę, by przyozdabiać kapliczkę w głębi lasu.
- Ja i cas. – Usiadł zmęczony, masując pomarszczone dłonie.
- Przychodzę tu od jakiegoś czasu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko – dodałam, licząc na brak sprzeciwu.
- Dziecko, jak przychodzisz tu i nic nie niscys, to nie mam – odpowiedział starym i pogodnym głosem. Jego siwy, długi zarost, góralski sfatygowany kapelusz, spod którego wystawały pasma białych włosów, brudne ubranie i zniszczone buty wskazywały na biedę lub odosobniony styl życia.
- Odpoczywam tu – odparłam, przyglądając się człowiekowi budzącemu moje współczucie.
- Spocnij<sup>64</sup> dziecko. Nie bój się mnie. – Wskazał dłonią wolne miejsce obok siebie na podwójnej poszarzałej ławeczce.
- Nie boję się, proszę pana. – Bez wahania zajęłam miejsce blisko starca.
- Jak mas na imię? – zapytał, widząc, że byłam zapatrzona w nowo zawieszoną figurkę.

– Maja. Maja Goclon – przedstawiłam się i podałam dłoń, nie zważając na jego brudne ręce.

– Godos bez zymby<sup>65</sup> i nie bois sie gorsego palamyntra<sup>66</sup>? – stwierdził zaskoczony moim zachowaniem.

– Robi pan takie rzeczy – mówiłam i wskazywałam na rzeźby dookoła – i ma się pan za gorszego? – zauważyłam zniesmaczona tym stwierdzeniem, co z kolei wywołało uśmiech na pomarszczonej twarzy.

– Oj dziecko... dziecko – westchnął starzec. – Tero to inne casy. Dobrze było cie zapoznać, Maju. Pychodź tutaj, ino tylko mas chyńci<sup>67</sup> – powiedział, dźwigając się z ławki, i powolnym krokiem zmierzał w stronę wyjścia. – Przymomas mi kogoś, kto kiedysik tu pychodździł – dodał, zostawiając mnie samą w kapliczce.

\*\*\*

W biegu powrotnym do pensjonatu kątem oka dostrzegłam Marka wyczekującego na podjeździe.

*Tylko nie on...* Ponownie niespecjalnie byłam zadowolona z tego, że go widzę.

– Ceść, Majka! Gibko dyrdas<sup>68</sup>! – rzucił, rozpogadzając się na mój widok.

*Co ci tak wesoło, durniu?*

– Cześć. – Zgięłam się, opierając ręce o uda i łapiąc oddech. Nawet nie chciało mi się na niego patrzeć, chociaż kusił mnie widok jego zawiedzionej na brak mojego uśmiechu miny.

– Cekałem na ciebie, a żeby zapytać... może kces ze mną pospacerować abo<sup>69</sup> powiecerzać<sup>70</sup>? – zaproponował, bez zwłoki przechodząc do sedna celu wizyty.

*No to klocki w ruch...*

– Eee, wiem, Marek... że w końcu musimy porozmawiać. Ale nie dziś. Mamy sporo gości, mnóstwo pracy i weekend majowy przed nami. Przełożymy to na wtorek lub środę po niedzieli?

*Mądra dziewczynka*, pochwaliłam się w myślach.

– Jak kces – odpowiedział zawiedziony. – A może potrzebujesz pomocy? – dodał, ewidentnie szukając okazji do pobycia razem.

Mogłam odpowiedzieć, że Zenek potrzebuje przy gnoju, ale mógłby to wziąć na poważnie.

– Dajemy sobie z Renią radę. Póki co jest pan Zenek i... nie. Niczego nie potrzebuję. Dzięki. Umówimy się po weekendzie. Wtedy będzie luźniej i obiecuję ci, że porozmawiamy. – Moje słowa najwyraźniej zabrzmiały jak poważna obietnica, bo po jego rozbłysłych nadzieją oczach zorientowałam się, że nie miał zamiaru odpuścić rzuconym właśnie słowom. – Na razie – dodałam, po czym odwróciłam się na pięcie i puściłam się biegiem na schody pensjonatu, by jak najszybciej zgubić jego dziwne spojrzenie.

\*\*\*

– Nie mów! Wszystko widziałam – wyprzedziła mnie Renia, wiedząc, co miałam jej do powiedzenia. – Zaraz po tym jak wybiegłaś, przyszedł tu. Powiedziałam mu, że cię nie ma i od tamtej pory dreptał i się rozglądał po podjeździe.

– A już myślałam, że odpuścił, skoro tyle czasu go tu nie było...

– Lub poczuł wiosnę... – zażartowała Renata.

– Zimo trwaj! – krzyknęłam, znikając w drzwiach swojego pokoju, by szybko wziąć

prysznic i zmienić przyjaciółkę na recepcji.

## Rozdział 10

Tampa – Zakopane

Michael

– Że ja się wam dałem wkręcić w ten wyjazd... – powiedział Michael, wyrzucając niedopałek papierosa przez szybę samochodu zmierzającego w kierunku Tampa Airport.

– Szefie, bo w życiu liczy się spontan... i trochę szczęścia – rzucił entuzjastycznie Rick, widząc mało zadowolonego Adamsa.

– Nie podoba mi się, że lecę w miejsce wolne od naszych powiązań. I to wszystko – odparł krótko.

– Nie do końca. Może faktycznie lecimy w niezbyt atrakcyjny rejon... ale jakieś drobne kontakty w Warszawie są. Więc spokojnie. A poza tym nie lecis w interesach tylko odpocząć...

– zaznaczył Rick, marszcząc w grymasie zamyślenia ciemną skórę na czole. – Masz. – Podał Michaelowi iPada ze zdjęciami przyrody z miejsca, do którego właśnie zmierzali. – A tam niżej... to hotel, w jakim się zatrzymamy. Okoń. Wiem... bez gwiazdek. Luksusów nie ma. I wybacz, ale późna rezerwacja... Sam rozumiesz. Zmienimy miejsce, jak tylko zwolni się coś w lepszym Giewont Star.

Po twarzy Michaela można było wywnioskować, że w tej sytuacji nie zależy mu na gwiazdkach.

– Znalazłeś tłumacza? – zapytał Boba, upewniając się, że będzie miał chociaż namiastkę kontroli w nowym miejscu.

– Si. Ucho czeka już na lotnisku – odpowiedział ochroniarz.

– Wie, jak się ma zachowywać? – ciągnął Michael.

– Szefie... Masz mnie za kretyna? Nie wiem, czy po moich namowach na wyjazd... kiedykolwiek odezwie się do kogoś innego niż my – odparł zadowolony z poprawnie wykonanego zadania Bob.

– To dobrze – skwitował krótko Adams, widząc, że wjeżdżają już pod przejście VIP dla prywatnych samolotów.

Przeszli błyskawiczną i pobieżną kontrolę, po czym rozsiedli się w wygodnych fotelach startującego samolotu, słuchając głosu życzącego miłego lotu kapitana.

## Rozdział 11

Zakopane, Nędzówka

Majka

– Mogę pożyczyć auto? – zapytała Renata. – To nie powinno długo potrwać. Zrobię zakupy... Oddam pierścionek... Spojrzę mu ostatni raz w oczy i wracam. Jak będę miała więcej szczęścia, to może i zrozumiem... – Nabawi się astmy, bo ponownie wzięła za głęboki wdech, sięgając po klucze do samochodu.

Nawet nie czekała na moją twierdzącą odpowiedź. Widziałam, że starała się kamuflować ogromne nerwy.

– Jasne. Jedź i się nie spiesz. Nigdzie się nie wybieram – odparłam, przeczuwając, że czeka nas ciężki i ponury wieczór, którego nie poprawi ani wycieczka konna, ani spacer.

\*\*\*

Musiałam wymyślić coś wyjątkowego. I to coś spowodowało, że krótko po jej wyjeździe wybrałam na ekranie telefonu numer do Tani – Ukrainki, która pozostała w Okoniu.

– Halo? – usłyszałam piskliwy głosik.

– Cześć, Taniu. Jesteś w Okoniu? – zapytałam.

– Tak, skończyłam na dziś. Pan Szczepan dziś trochę nerwowy. Mówił, żeby zejść mu z oczu.

– Ach tak? Znow ma kaca? – Pierwsze, co przyszło mi na myśl, bo złym humorem Kaśki nigdy by nie zepsuł własnego.

– Nie, dziś wyjątkowo trzeźwy – sprostowała moje mylne przypuszczenia. – Overbooking omyłkowo zrobił na sześć osób i siedzi z nadzieją, że się nie pojawią. – Zachichotała skromnie, by nie obnażać nieudolności własnego szefa.

– Ojoj. Biedny – wtrąciłam całkowicie nieszczerze. – Ale nie po to dzwonię. Mam prośbę do ciebie skoro jesteś wolna. Zamówię ci taksówkę. Zapłacę. Wpadniesz na trzy... góra cztery godzinki, żeby posiedzieć u mnie na recepcji?

– Nie ma najmniejszego problemu – odparła z chęcią.

– Jesteś wielka. Czekam więc.

\*\*\*

Zaczęłam biegać jak opętana w szale organizacji gabinetu poradni leczenia zdrowia psychicznego na okoliczność oddania pierścionka zaręczynowego. Jeśli go odda. A jeśli się pogodzą, to poświęcimy w ten sam sposób.

Biegałam od swojego pokoju do kuchni. Od kuchni aż po apartament numer 12 na górnym piętrze. Po kilku seriach góra-dół w końcu uzupełniłam balkonowe jacuzzi parującą wodą i załączyłam funkcję masażu i niebieskiego światła. Przygotowałam stroje kąpielowe, ręczniki i grube białe szlafroki, starannie układając wszystko na drewnianej ławeczce ustawionej przy naszym akwenu. Bezprzewodowe słuchawki, zielony specyfik z przeznaczeniem na twarz oraz tacę z czerwonym winem w wiaderku pełnym lodu i dwoma kieliszkami również ułożyłam na stolyczku obok. Wszystkie rzeczy były w zasięgu ręki. Przygasiałam światło na obudowanym balkonie i, dumna z własnej inicjatywy, rozejrzałam się, czy oby na pewno



wszystko było dopięte na ostatni guzik.

Zbiegłam na dół, gdzie już czekała Tania. Musiałam sprzedać jej szybki instruktaż na wypadek komplikacji zewnętrznych.

– Ale tu pięknie! Słyszałam, że to była straszna rudera! – skomentowała ogólny wygląd wnętrza. Zaledwie dwudziestoletnia niska, ciemnowłosa dziewczyna z małymi jak węgielki oczami (żeby nie powiedzieć bobkami) i wielkimi jak melony piersiami, sprawiała wrażenie małego, uśmiechniętego chomiczka.

– Dziękuję ci, kochana... A teraz słuchaj, bo lada moment powinna wrócić Renia. Generalnie nikogo się nie spodziewamy, jeśli jednak ktoś się pojawi, to daj wolne pokoje: piątkę i szóstkę. Kluczyki są na haczykach. – Wskazałam jej zamkniętą gablotkę wiszącą na ścianie. – W rejestrze jest to samo co w Okoniu. Wykaz pokoi zajętych i wolnych – tłumaczyłam w pośpiechu.

– Nic nowego, pani Maju. Poradzę sobie – odpowiedziała ze zrozumieniem, rozglądając się po wnętrzu.

– Choćby nie wiem co się działo... Nie ma nas dla nikogo. Rozumiesz? – zapytałam, upewniając się, że nikt nie przerwie naszej sesji regeneracji obkurzonego serca Renaty. Tania porozumiewawczo zamrugała oczami, a zrozumienie przypieczętowała uśmiechem. – Jak coś, to wyszłyśmy na miasto. Po prostu nas nie ma... – Nie informowałam jej, co dokładnie mamy zamiar robić, więc raz jeszcze się upewniłam, że dziewczyna na pewno zrozumiała. – Poukładaj sobie pasjansa, posiedź na necie, a do trzech... czterech godzin cię zmienię – dorzuciłam, na co tylko rozumnie przytaknęła ruchem głowy.

\*\*\*

Wysłałam na schody wejściowe, by obserwować wielki powrót. Usiadłam na zrealizowanym planie posiadania ławeczki, czekając jakiś kwadrans. Wjazd był zdecydowanie za spokojny jak na kogoś, kto właśnie oddał pierścionek zaręczynowy.

Niemniej wysiadająca z auta wyglądała, jakby przebiegła maraton, po czym jeszcze ciągnęła pod górę bryczkę z turystami, nadwyrężając przy tym mięśnie karku, niezdolne do uniesienia opuszczonej głowy, ze wzrokiem wbitym w chodnik tuż przed sobą.

– Jest gorzej, niż myślałam – powiedziałam do siebie pod nosem, obserwując wrak człowieka snujący się po schodach w moją stronę, niczym ktoś z niedowładem.

– Chcę być sama – zakomunikowała tak niepokojąco spokojnym tonem, że mnie tym przeraziła.

– Nie ma mowy – odparłam stanowczo, chwytając ją za dłoń.

Nie miała chęci na jakąkolwiek dyskusję. Szła na górne piętro prowadzona za rękę jak pacjent po rozległym wylewie. Słaba, obca i nieobecna.

Wprowadzona do apartamentu numer dwanaście stanęła bez ruchu na środku salonu. Brązowe pasma oklapniętych włosów opadały na spuszczone ramiona. Była blada, z rozmazanym makijażem i ciekącym nosem, tak inna, że nasunęło mi się skojarzenie z nękaną żoną prawnika z filmu *Adwokat diabła*, kiedy to bohaterka postradała zmysły. Taki właśnie obraz nędzy i rozpaczony stał przede mną. Jak bezwładnej kukły zaczęłam zdejmować jej ubranie. Mozolnie i nieświadomie unosiła kończynę, by nie stawiać oporu. Zrezygnowałam z ubierania jej w przygotowany wcześniej strój kąpielowy, uznając, że koronkowa bielizna, którą już miała na sobie, ostatecznie wystarczy. Nie wiadomo, czy w tym stanie, oponowałyby nawet na ewentualną nagość swojego ciała. Ciała, którego ostatnimi czasy bardzo ubyło. Zauważyłam to dopiero teraz, patrząc na widoczny zarys żeber i jej wiotkich nóg.

Z salonu zaprowadziłam ją na obudowany balkon oświetlony jedynie światłami z jacuzzi.

Przyglądałam się, jak machinalnie i bez oporu zanurza się w ciepłej wodzie z bąbelkami.

Sama zdjęłam ubranie, pod którym czekał już dwuczęściowy czarny strój kąpielowy. Dołączyłam do przyjaciółki, niezwracającej na mnie żadnej uwagi. Czułam jednak potrzebę, by zostać przy niej. Po prostu być. Bez słów.

Poszłam krok dalej i nałożyłam na jej zmęczoną skórę twarzy cienką warstwę zielonej papki ze szklanego słoiczka, czując się przy tym jak kilkulatka dodająca uroku swoim lalkom. Nadal nie stawiała oporu. Było jej obojętne, co z nią robiłam. Patrzyła w ciemność za oknem. Powtórzyłam tę czynność na sobie, nakładając grubszą warstwę aloesowego cudu kupionego jakiś czas temu w Rossmannie.

Sięgnęłam po bezprzewodowe słuchawki, z których płynęło łagodne brzmienie klasycznej muzyki skrzypcowej tak lubianej przez Renię. Kiedy chciałam umiejscowić słuchawki w jej uszach, zatrzymała moją dłoń, pragnąc coś wcześniej powiedzieć.

– Własny brat mnie bzykał – oznajmiła, po czym sama nałożyła sobie słuchawki, nie chcąc nic więcej mówić.

Zrozumiałam, czego w tym momencie potrzebuje. Zaciśnęłam jej palce dłoni na zgrabnej nóżce kieliszka z czerwonym winem i sama wypiałam za jednym zamachem pierwszy wypełniony po brzegi.

*Jak to z bratem?* Jak to możliwe, że Kamil był jej bratem?

*Jakim cudem...* Myśli kotłowały się w mojej głowie. Jeszcze jakiś czas temu nie tak miało wyglądać jej świętowanie w tym jacuzzi. Los bywa okrutny. Pewnie opowie mi wszystko, gdy najpierw sama przepuści to, co się stało, przez własne sito.

Póki co jak zwykle miałyśmy tylko siebie w towarzystwie leśnego zapachu i parującej wody. We dwie z zamkniętymi oczami i słuchawkami wsączającymi w uszy takt żałobnych skrzypiec.

## Rozdział 12

Zakopane, pensjonat Okoń – Nędzówka, pensjonat W Jagodowej Chacie

Michael

Szczepan przewijał strony internetowe na komputerze stojącym za ścianką recepcji Okonia. Nadzieja na niepojawienie się gości z overbookingu rosła z minuty na minutę, przynosząc ulgę perspektywy braku konfrontacji z amerykańskim klientem. W najgorszym wypadku zadzwoniłby po Tanię i wykorzystał jej dobry angielski, by ta grzecznie przeprosiła i zaproponowała jakieś rozwiązanie. On sam znał zaledwie *hello* i *goodbye*. W zasadzie te dwa zwroty wystarczyłyby do stwierdzenia zaistniałego stanu rzeczy, lecz po co on sam miał świecić przed kimś oczami. To nie była pierwsza tego typu sytuacja i nie ostatnia. Klient raz był, a raz go nie było.

Za każdym razem jednak odgłos drzwi otwieranych i zamykanych przez wchodzących i wychodzących gości powodował jego niepewnie spojrzenie w ich stronę i zawieszony nad nimi zegara.

Drzwi wejściowe otwierające się tym razem na dłużej pokazały mu, że nie miał aż tyle szczęścia, na ile liczył. W recepcji pojawił się stojący między roslym murzynem a łysym gościem facet z lekkim zarostem o czarnym spojrzeniu i blizną na prostej brwi. Za nimi stało kolejnych dwóch łysych w garniturach i chuchro w okularach z podbitym okiem.

Wszyscy skierowali wzrok w stronę recepcji, zza której widoczny był jedynie czarny czubek góralskiego kapelusza z muszelkową obwódką. Amerykańska szycha z ochroną, dla której ze względu na późną rezerwację nie było miejsc w pięciogwiazdkowym hotelu, pojawiła się właśnie w skromnych progach jego pensjonatu. Na takich gości Szczepan się nie przygotował. Zrozumiał, iż nie będzie łatwo wytłumaczyć temu panu i jego ochronie, że nie mają, gdzie odpocząć po wielogodzinnej podróży.

– Hello! – bąknął z polską precyzją, wykręcając numer wewnętrzny pokoju 00-112, w którym mieszkała Olga i Tania.

– Olga? Wołaj sybciutko Tanię na górę. Ale to już!

– Nie ma jej, proszę pana. Wyszła ponad godzinę temu – odpowiedziała Olga.

– Psio mać<sup>71</sup> – skomentował cicho, odkładając słuchawkę.

– Mamy rezerwację na nazwisko Adams – poinformował Rick po angielsku.

Widząc brak reakcji ze strony recepcjonisty i jego widoczny stan szoku, Rick zwrócił się do Mike'a, tłumacza:

– Rozmawiaj z nim i mów, co odpowiada... – syknął Rick.

– Dobry wieczór panu – odpowiedział pokornie Mike. – Mamy rezerwację na nazwisko Adams.

– Yyyy – stęknął Szczepan. – Jest małučki problem... Jakosi<sup>72</sup>... – kontynuował, czując pojawiającą się wilgoć na plecach. – Pojawiła się usterka systemu rezerwacyjnego... Po wasemu overbukung – skłamał, kamuflując własne niedopatrzenie.

Rick odpowiedzialny za rezerwację, nie czekał na tłumaczenie Mike'a. Zdenerwowanie recepcjonisty i słowa niewymagające translacji *Problem* oraz *Overbooking* momentalnie dotarły do jego uszu jak sygnał przed rodeo dla wypuszczonego z bramy byka. Rick sięgnął przez blat recepcji i gwałtownie pochwycił Szczepana za koszulę na panicznie poruszającej się klatce

piersiowej, a filcowy kapelusz spadający z jego głowy bezdźwięcznie poturlał się po posadzce.

– Co powiedziałaś?! Problem?! *Overbooking*, klaunie?! – wrzasnął Rick, a stojący obok Mike wiernie tłumaczył przekaz.

– Rick. Spokojnie. Pan na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie... – powiedział ze spokojem Michael, wrogo lustrując przerażonego Szczepana, który z uwagą słuchał każdego słowa z ust okularnika.

– Yyyy. Może jednak cosik się do zaradzić – odparł Szczepan wypuszczony z wrogiego uścisku.

Złapał telefon w nadziei, że jego boją ratunkową okaże się Majka. Wykręcił numer jej komórki. Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty i piąty sygnał oczekiwania na połączenie dłużył się w nieskończoność, by finalnie uruchomić pocztę głosową. – Juz po mnie – mamrotał pod nosem, wykręcając numer stacjonarny recepcji Jagody.

– Pensjonat W Jagodowej Chacie – usłyszał znajomy głos po pierwszym sygnale.

– Tania?!

– Y... Pani Maja mnie poprosiła – zaczęła szybko tłumaczyć swoją obecność w pensjonacie jego siostry.

– Tania! Nie tera! To wazno sprawa. Jest Majka?

– Nie, proszę pana... Wyszła z panią Renią na miasto i wróca za około dwie godziny – powiedziała, rygorystycznie przestrzegając próśb Majki i przekazując informację z miejscem jej pobytu.

– Kurwas – zaklął pod nosem Szczepan. – Pockaj Tania... Otwórz sybciutko rejestr i zobac, w jakich pokojach ni ma gości. Pośpies sie... – ponaglaając dziewczynę, zerkał w stronę tracących cierpliwość Amerykanów.

– Wolne są dwie dwójki i dwa apartamenty – odpowiedziała bez zwłoki Tania.

– Tzymaj te pokoje dla mnie. Do dwudziestu minut bede z klientami... A! Jesce zadzwoń do matki i powiedz jej, zeby wysła popatzeć do nas na recepcje. Na razie. – Odłożył słuchawkę z widoczną ulgą.

– Co mam przekazać? – zapytał tłumacz.

– Mam dla was pokoje w innym miejscu, ino pietnaście minut drogi. Pokaze kierunek – poinformował gości, wyprzedzając bieżące tłumaczenie Mike'a.

Sięgnął po kamizelkę, zdeterminowany, by osobiście wskazać drogę do Nędzówki, dwóm wypożyczonym czarnym mercedesom.

\*\*\*

Prowadząc milczących i zdenerwowanych gości z podjazdu do recepcji W Jagodowej Chacie, Szczepan pierwszy raz poczuł słuszność zabrania pieniędzy przez Majkę, na rzecz remontu tego miejsca. Gdyby przywiózł ich tu wtedy, gdy miejsce było we wcześniejszym stanie, z pewnością by go zabili. Na jego szczęście to miejsce może nie było w dobrej lokalizacji, bo nawet nie znajdowało się w centrum zabudowań wsi Kościelisko, tylko na wylocie pod lasem, ale ostatecznie było czyste i estetycznie wykończone.

– Taniu... Proszę, zajmij się gośćmi. – Wskazał przyprowadzoną grupę dłonią. – Ja wracam do Okonia. – Odwrócił się ku wyjściu w nadziei na uniknięcie dalszych problemów. Załatwił sprawę i nie miał zamiaru dłużej patrzeć im w oczy.

– Chwila! Chwila! – upomniał Michael skrzętnie słuchający każdego tłumaczonego przez Mike'a słowa. Złapał za wełnianą kamizelkę, zatrzymując zmywającego się chłopaka. – Mamy sporo bagaży i każdy z nas jest zmęczony... Zaczekasz tu z nami i zaprowadzisz do pokoiów. A następnie grzecznie wniesiesz nasze bagaże – zażądał poirytowany.

– Tania to zrobi panie...  
– ...Adams – wyprzedził Szczepana Michael, podkreślając wolno wypowiedane nazwisko wprost w jego twarz.

– Tania to zrobi, panie Adams – sprostował Szczepan, kierując słowa do tłumacza i wskazując drobną Ukrainkę.

– Mike... – zwrócił się Michael, tym razem do tłumacza. – Czy ty, do kurwy nędzy, dobrze przetłumaczyłeś mu pierwsze zdanie?! – wrzasnął groźnie.

– TAK, panie Adams! Słowo w słowo! – Mike nerwowo mrugał oczami.

– To dlaczego ten przebieraniec w dziwacznych gaciach nie rozumie, że to on ma to zrobić?! – Poirytowany uderzył pięścią w ścianę, na której jeszcze przed chwilą wisiał, a teraz leżał na podłodze, potłuczony obrazek z krzyżem na Giewoncie.

– Pan Adams raz jeszcze powtarza, że to pan ma iść z nimi, a następnie musi wnieść bagaże. Pan! A nie ta pani... – Mike, by uniknąć kolejnego napięcia, przetłumaczył najprostszymi słowami i pokazał palcem w stronę zdeorientowanej Tani.

Oszołomiony Szczepan sięgnął po rejestr, tym razem upewniając się co do dostępności pokoi. Z całą pokorą, na jaką był w stanie się zdobyć, podał długopis i podsunął książkę w stronę gości, by jeden z nich potwierdził przybycie. Nie miał odwagi jednak prosić o paszporty. Uznał, że Majka uzupełni sobie brakujące dane, przecież władała angielskim jak ojczystym. Poradzi sobie z takimi dżentelmenami, a tymczasem on ograniczy się do podania klucza, wskazania pokoi i wniesienia bagażu.

Michael wraz z kompanami bacznie się przyglądali, jak chłopak szybko zaczął rozumieć zależność między pojęciami klient – obsługa – uprzejmość.

– Apartament dwanaście ino dla pana... Panie Adams – powiedział Szczepan, wyjmując klucze z gablotki. – Apartament jedenaście z dwoma pościelami<sup>73</sup> dla... – uciał, nie pamiętając obcych nazwisk pozostałych panów.

– Pan Rick Fully i Pan Bob Muray – dokończył Michael.

– I mam jeszcze dwa pokoje z dwoma łózkami numer pięć i sześć. – Szczepan podał kolejne klucze.

– Proszę w większym zrobić trzy łózka, bo reszta panów będzie razem – zdecydował Michael, nie chcąc by nowo poznany i w zasadzie przywieziony na siłę tłumacz coś kombinował, mając prywatną przestrzeń osobnego pokoju.

Szczepan zgodnie z życzeniem gościa ulokował Mike'a z Peterem i Leonem w numerze szóstym.

– A pokój piąty weźmiemy na rzeczy, które mają dojechać – dodał Rick, na co Szczepan zrobił zdziwione oczy, bo nigdy nie znalazł się w sytuacji, kiedy ktoś płacił za pokój dla przywiezionych ze sobą rzeczy.

– Zostajemy na pięć nocy – zakomunikował Rick, planując już na wtorek ekskluzywniejsze warunki pobytu dla szefa.

– Reszta bagaży zaraz dojedzie, więc wnieś je do pokoju – przypomniał nieodzywiający się dotąd Bob, patrząc wrogo na upokorzoną twarz Szczepana, syna wielkiego górala, nieco poniżonego dominacją gości na własnym terenie.

– Zapraszam za mną.

Nienastawiony na taki obrót sprawy Szczepan pokornie zmierzał na pierwsze piętro, gdzie wskazał numery pięć i sześć, zapraszając otwierając drzwi. Zostawił dwóch ochroniarzy w szóstce, a biorąc tłumacza i pozostałych, szybkim krokiem kierował się schodami ku górze, by i tych się szybko pozbyć. Najpierw otworzył znajdujący się bliżej schodów numer 11, lecz Rick i Bob chcieli się najpierw przekonać, jaki wygląd ma pokój szefa. W tej sytuacji czuli się

odpowiedzialni przynajmniej za cząstkowy komfort Michaela.

Szczepan otworzył drzwi apartamentu, wszedł do środka, zapalając światło w salonie, i natychmiast pobladł, czując wzbierający w sobie strach. Stał jak wryty na środku przestronnego salonu z szeroko otwartymi oczami, słysząc dudniące w uszach płąsy wody na mokrych nagich plecach siostry i jej przyjaciółki. Nie tylko Szczepana zamurowało. Rick, Bob i Mike również czuli niebezpieczne zbliżenie się do granic tolerancyjnej wytrzymałości Michaela, który patrzył w stronę jacuzzi, zaciskając pięści. Nie przypuszczali, że po pierwszej wpadce recepcjonisty tak szybko może nastąpić kolejna. Spieprzył rezerwację oraz humory i finalnie znalazł apartament na odludziu, zajęty przez kobiety w strojach kąpielowych.

Nieświadome tego, co dzieje się za ich plecami, dziewczyny z zamkniętymi oczami, masowały półnagie ciała przyjemnymi bąbelkami, muzyką skrzypiec w uszach i lampką wina w dłoni. Spanikowany Szczepan tracił grunt pod nogami. Gorzej być nie mogło.

Michael i reszta stali w osłupieniu i niedowierzali, że panował tu taki chaos.

– Chwilecke! – Szczepan na chwilę odzyskał kontrolę, ruszył z miejsca, by zyskać tylko kilka cennych sekund. Żeby nie zdążyli go zabić, nim dziewczyny skończą relaks i nie zobaczą nawet twarzy mordercy. W najgorszym wypadku zostaną świadkowie.

Wpadł na balkon, zapalił światła i wyrwał słuchawki z uszu Majki. Ta wyraźnie zszokowana jego widokiem poderwała się i wyskoczyła z magicznego sprzętu jak brutalnie wybudzona z głębokiego snu za nogi i wepchnięta wprost do lodowatej wody.

Majka

– Szczepan! Co ty odpierdalasz!?! – wykrzyknęłam wściekła, uderzając go w pierś mokrą dłonią.

Stałam z napiętymi, ociekającymi wodą mięśniami, w samym stroju kąpielowym, gotowa, by mu przyłożyć. Wtedy dostrzegłam jego przerażone oczy.

*Nawet tu nie da mi spokoju.*

– Uspokój się... – syknął do mnie, kiwając w stronę równie oszołomionych widzów w pokoju.

– No ty chyba ochujałeś – powiedziałam, impulsywnie narzucając na siebie wełniany szlafrok i podając drugi osłupiałej Renacie, nadal siedzącej w jacuzzi ze wrokiem skupionym na czwórce stojących na środku oświetlonego pokoju facetów.

Sprawiła wrażenie, jakby się zastanawiała, czy to, co widzi, nie było głębokim stanem relaksu.

– Trza tu opozondzić dla gości... Dzwoniłem... ale nie odbierałaś – wyszeptał spanikowany.

– Nienawidzę cię i bądź tego świadom – powiedziałam zniżonym, wrogim głosem, domyślając się, że to jest *overbooking*, o którym wspominała Tania.

– Po angielsku godajom... Kurwa, zwyrtaj się<sup>74</sup>. To jakiesik niebezpieczne ancychrysty<sup>75</sup> – dodał błagalnie.

– To sobie z nimi gadaj, a ja popatrzę, jak obdzierają cię ze skóry – warknęłam, uświadamiając sobie, że jednak nie mogę tak stać.

Kimkolwiek byli – są klientami. Profesjonalnie lub na pewno oryginalnie, powitaliśmy gości. Prawie nago, bo jedynie w szlafrokach, z niedbale związanymi włosami i zieloną breją na twarzy.

Czasami miewałam sny typu hotelowe wpadki, gdzie nowy klient znajduje w szufladzie szafki nocnej papierek po prezerwatywie lub, co gorsza, jedno i drugie pozostałe po

poprzednikach. Niewyrzucone śmieci z kosza lub porzucona garderoba pod łóżkiem. Ale to były sny. Nocne mary, które przypominały o dokładnym sprawdzaniu wszystkich kątów, nim ktokolwiek nowy dostanie klucze. A teraz? Znalazłam się w epicentrum tej przeklętej szuflady w nocnej szafce – między jebanym lateksem a papierkiem.

– Przepraszam, panowie, za tę przykrą dla wszystkich sytuację... Dajcie nam trzydzieści minut, sprzątniemy to nieplanowane ze strony mojego roztrzępanego i zuchwałego brata zajście... – Zerknęłam karcąco na Szczepana. Równie dobrze mogłam im powiedzieć, że brat znów popełnił pomyłkę, bo wyglądali na takich, którzy pomogliby mi się go pozbyć raz na zawsze. – Przyniosę państwa klucze, jak tylko doprowadzimy apartament do porządku – poinformowałam uprzejmym i szczerze przeprasającym płynnym angielskim, przerażona i zawstydzona przed poważnymi twarzami eleganckich ludzi.

– Trzydzieści minut – skwitował krótko czarnoskóry.

Znając Szczepana, pewnie usłyszeli jakiś pierwszy konkretny komunikat tego wieczoru i załątek porozumienia, bo bez słowa zaczęli wychodzić jeden po drugim, przerzucając się na rozmowę, jak usłyszałam, w równie dobrze znanym mi portugalskim.

– Michaelu... Gdybym wiedział, że takie udogodnienia są w tym pokoju, zgarnąłbym go dla siebie – mówili między sobą, ale zrozumiałam zdanie. Postanowiłam jednak nie obnażać swoich umiejętności językowych zbyt wcześnie.

– Jeszcze jedno zbędne słowo i obetnę ci kasę – usłyszałam z korytarza.

– Widzisz, co narobiłeś, debilu?! Ile pokoi dałeś i komu?! – wrzasnęłam do spokojniejszego już Szczepana.

– Syćkie, jakie były wolne... – odparł, jakby to było oczywiste. – Cemu tak łobidzis<sup>76?</sup> Spokojnie! Ino do wtorku. We wtorek bedo mieć w rzyci twoje pokoje.

– Zajebie cię! Znów doprowadzisz opinię tego miejsca do ruiny! – krzyknęłam, po raz kolejny tracąc panowanie nad sobą.

Zerknęłam na ubierającą się Renatę, która... o dziwo zaczęła się śmiać jak wariatka.

– Jebniynte obie! – huknął Szczepan, patrząc podejrzliwie na nasz wygląd w pakiecie z zachowaniem. – Mocie płono we łbach<sup>77</sup> – powiedział i wyszedł.

Zostawił nas na powrót samym sobie. Mnie układającą kolejny plan awaryjny i Renatę, która zanosila się śmiechem.

– Niezłe jaja! – rzuciła niespodziewanie. – Nigdy, nikt mi nie poprawił humoru tak jak ten twój braciszek w tym momencie... – Przecierała łzy ze śmiechu. – Trzeba było ich zaprosić do jacuzzi! Wzięłabym murzyna... Wiesz czemu?

– Czemu? – zapytałam zaskoczona jej nagłą zmianą.

– Bo miałabym pewność... że nie jest moim bratem! – odpowiedziała, bawiąc się na całego. Nie wiem, czy to było stosowne, ale sama nie mogłam opanować śmiechu.

– No! Koniec hydroterapii – ponaglałam ją.

Z jednej strony byłam szczęśliwa, że taka wpadka wyciągnęła ją za włosy znad przepaści, a z drugiej zażenowana nieplanowaną rezerwacją i wstydem w roli głównej.

Skrzętnie uwijałyśmy się ze sprzątnięciem apartamentu, lustrując taszczonego bagaże Szczepana.

– Myślałam, że mnie w życiu już nic nie zaskoczy – skomentowałam unikalny widok pracującego brata.

– Muszą być bardzo, ale to bardzo niebezpieczni... – podsumowała rozbawiona Renata.

– Oby nie. Gdyby to byli Ruscy... Bałabym się, ale akcent mieli typowo amerykański.

– To w Ameryce nie ma niebezpiecznych typków? – dopytała przyjaciółka, idąc schodami na dół.

– Są, ale to mi wygląda na biznesmena, który padł ofiarą weekendu majowego i specja od bajzlu. Generalnie Amerykanie bywają roszczeniowi. Dasz radę zmienić Tanię na recepcji? – zapytałam, upewniając się co do chwilowej stabilizacji nadszarpniętych emocji przyjaciółki.

– Pewnie. Już mi lepiej. Opowiem ci wszystko, jak to ogarniemy – zapowiedziała. – I zmyj ten spękany tynk z twarzy! – Upomniana otworzyła usta, zupełnie zapominając o tym szczególe.

\*\*\*

Po kilku minutach pobieżnie ogarnięta żwawo wybiegłam na górne piętro i zapukałam do jedenastki, której drzwi otworzył łysy napakowany facet.

– Proszę... i jeszcze raz bardzo przepraszam! – powiedziałam uprzejmie, podając komplet kluczy do uprzątniętego apartamentu dwunastego.

Zrobił wrażenie poznającego mnie jedynie po głosie, bo nie miałam już na sobie szlafroka, a jeansy. Z twarzy zniknęła zielona papka, odsłaniając kolor skóry, a jeszcze mokrawe pofalowane włosy opadały luźno na biały T-shirt, zamiast tworzyć szpacze gniazdo na czubku głowy.

– Dziękuję – odpowiedział zmieszonym tonem i już miał zamykać drzwi, kiedy to do mojego nosa wdarł się intensywny zapach świeżego dymu tytoniowego.

– Przepraszam, jeszcze... – Bezparadonowo popchnęłam drzwi, wchodząc bez zaproszenia do salonu apartamentu jedenastego.

Rozgoszczony facet siedział na fotelu i zdawał się być zdziwiony moją pretensją o palenie wewnątrz. Konfrontacyjnie skierował smugę białego śmierdzącego dymu w moją stronę.

*Co za typ*, pomyślałam. Myślał, że może robić, co chce i gdzie chce. W moich pięknych, odnowionych i pachnących pomieszczeniach.

– Tu nie można palić. – Zamknęłam drzwi i wskazałam tabliczkę zakazu przywieszoną na drzwiach od środka.

– Naprawdę? – Wstał z papierosem w ustach i jedną ręką włożoną do kieszeni czarnych spodni garnitur. Aroganckim krokiem podszedł w moją stronę i przystanął przede mną, spuszczać mi łomot czarnym spojrzeniem. Bezczelnie głęboko popatrzył wprost w moje, prawdopodobnie wielkie jak piłeczki do ping-ponga oczy i wypuścił kolejną dawkę chmury dymu, kierując jego strumień tuż nad moją głowę.

– Naprawdę! Chyba mówię po angielsku wyraźniej niż mój brat – odparłam bezbłędym językiem i bez jakiegokolwiek obawy wyrwałam mu papierosa z ust, gasząc go pod najbliższym strumieniem wody w aneksie kuchennym.

Wydał się zaskoczony i zbity z tropu. Wziął swój kluczyk od łysego, udał się w stronę wyjścia i przystanął, by dodać ostatnie słowa z za moich pleców.

– Przymknij oko na przykry zapach papierosa... A my oszczędzimy kilku przykrych komentarzy na Trip Advisor... – Opuścił pokój pierwszy, a zaraz po nim ja bez dodatkowego komentarza.

\*\*\*

Zeszłam do przyjaciółki czekającej w recepcji. Ten typek myślał, że szantaż negatywnym komentarzem pozwoli mu palić w środku i zasmradzać moje pokoje? I słusznie myślał, bo nie miałam zamiaru czytać o sobie i swojej gołej dupie witającej gości.

– Renu, nie będzie łatwo... Ten typek z dwunastki... Nawet nie wiem, jak mu jest... Jara fajki i ma sobie za nic moje świeżo malowane ściany. Gdyby to był zwykły turysta, bez wahania wystawiłabym jego walizki za próg – mówiłam zdenerwowana zaczynającymi się problemami



z gośćmi.

Dopadłam do rejestru gości, dostrzegając puste niewypełnione okienka.

– Co my tu mamy? Cudownie. Nic nie mamy... Nie wiemy, skąd, kto ani dokładnie ilu. – Załamana opadłam na krzesło przy biurku, patrząc, jak Szczepan nadal targa jedną walizkę za drugą ze srebrnego vana na podjeździe.

Wstałam, by zastawić sobą przejście w drzwiach. Pretensjonalnie splotłam ręce na piersi.

– Szczepan! Co to ma znaczyć?!

– Jak co to ma znaczyć? Załatwiłem ci klientów i jeszcze robię syćko, żeby byli zadowoleni, a ty masz do mnie jakieś prytenasje?!

– Pozwól, że sama się zajmę swoimi klientami i swoimi pokojami... A ty skup się na rozpieprzaniu Okonia!

– Bździny<sup>78</sup> godos. Suchaj no, mała pizdo... – syknął w progu, stając ze mną twarzą w twarz. – Ze schodów cie nie będę spychoł... musis pockać<sup>79</sup> na śnieg – przypomniał mi sytuację sprzed ponad dwóch miesięcy, kiedy to poniewierał nami o zaspy. – Zara skońce wnoszenie, a ty uwozoj<sup>80</sup> na hamerykański powiew halnego... – zwięźczył puentę szelmowskim uśmiechem.

Przepchnął się w wejściu z ostatnimi walizkami i nie zważając na chrupiące pod stopami szkło z rozbitego obrazka, udał się na górę.

Nie odpowiedziałam. Wzbierająca we mnie złość chciała przekroczyć pewną granicę, której przekroczyć nie mogła. Przykucnęłam, by pozbierać drobinki szkła z podłogi.

– Co to na ciebie seć osób? Mas sie za co<sup>81</sup>, urode mas to i bez słów sie dogodacie. A dyć mozes sie podzielić z Renatą, skoro nawet wyro dzielicie! – wtrącił złośliwie, wracając z góry i definitywnie zamykając za sobą drzwi.

Słyszając to, Renia przykucnęła koło mnie i pomogła zbierać resztę drobinek.

– To moja wina – powiedziała ze skrucą. – Gdybym nie pojechała dziś do Kamila... nie byłoby tego całego zamieszania i w ogóle masz przeze mnie same problemy...

– Ej! Przestań i ty pieprzyć. Proszę cię! – Moje nerwy wzięły górę. – To nie twoja wina. Nie widzę w tym żadnej twojej winy. Takie rzeczy się zdarzają... W zasadzie tylko mnie, ale się zdarzają – odparłam nieco łagodniejszym tonem i z uśmiechem na twarzy. – Muszę jednak wziąć kogoś do pomocy. Przynajmniej na te kilka dni, dopóki ci ludzie nie wyjadą, bo wykończymy się psychicznie – oznajmiłam i bez zwłoki wybrałam numer komórki Olgi, która znała kilka Ukrainek sprzątających w pensjonatach i prywatnych domach.

Dwie takie dziewczyny pomogłyby nam złapać potrzebny oddech, dając trochę wolnego czasu, którego teraz nie miałyśmy wcale. Śniadanie, zamówienia, sprzątanie i recepcja. Żaden z braci nie forsował się tak jak ja, wykonując wszystko samemu.

Chętnych do pracy nie brakowało. Sumarycznie nowe dziewczyny miały przychodzić rano przez kilka dni. Jedna, by pomóc w kuchni, po czym druga, by pomóc pierwszej w porządkowaniu pokoi. Nawet Tania, ciesząc się z dodatkowych pieniędzy, zaproponowała swoją pomoc na recepcji po godzinach pracy w Okoniu.

– Mamy to – powiedziałam z dumą. – A teraz wiesz co? – zwróciłam się do Renaty.

– Co?

– Jajco! Jest dwudziesta druga – zakomunikowałam koniec dnia.

Wywiesiłam karteczkę na drzwiach recepcji z informacją w dwóch językach: „W razie potrzeby proszę dzwonić na wew. 101” i zamknęłam drzwi. Otworzyłam pokój numer jeden i zachęcając przyjaciółkę do odpoczynku, sama zanurkowałam twarzą w poduszkę, rzucając się wprost na zaścielone łóżko.

Renata rozsiadła się wygodnie i dała upust żalowi, opowiadając mi całą historię:

– Wiesz, jak było? Mój ojciec zdradzał mamę niedługo po przeprowadzce w góry. Matka Kamila zdradzała swojego męża. Pewnie cały czas miała z tyłu głowy nasz związek... Bała się, że prawda wyjdzie na jaw po tylu latach. Jednak kiedy dowiedziała się o zaręczynach, sumienie jej nie pozwoliło wydać syna za przyrodną siostrę i przyznała się do wszystkiego. Nawet nie wiedziałam, czy pytać o to własnego ojca i czy mama o tym wie... Czy grzebać w starych błędach... Może kiedyś... Ale wiesz co? Mam prośbę. Nie przejmuj się mną. Nie chcę więcej o nim rozmawiać. Chcę zapomnieć.

Zrobiło mi się przykro, z powodu tego, co ją spotkało. Była naprawdę zakochana i to, co ich spotkało, nie było z ich winy. Gdyby wiedziała wcześniej, nie związałyby się z bratem. Kamil musiał czuć się podobnie. Po tylu latach dowiedział się, że jego ojciec nie jest ojcem, a ukochana nie jest ukochaną, tylko siostrą. Paskudna sytuacja. Skoro postanowiła nie obarczać mnie dodatkowo ciężarem, jaki spadł na nią tego dnia, to jej wybór. I tak nie będzie mi łatwo patrzeć na nią, gdy toczy wewnętrzną walkę. Pewnie gdybym znalazła się w jej położeniu, chciałabym szybko zapomnieć, a z całą pewnością nie chciałabym, by ktoś opłakiwał mojego życiowego pecha.

Michael

Michael stał na przeszklonym balkonie apartamentu numer dwanaście, w którym godzinę temu przeżył najdziwniejszą i na swój sposób najzabawniejszą sytuację w życiu. A widział i przeżył już wiele. Przez przesuwne okno wypuszczał kolejne smugi dymu, spoglądając na oświetloną stajnię i piaszczysty wybieg. Tu papieros smakował inaczej. Dym wciągany do płuc mieszał się z chłodem powietrza o iglastym posmaku pobliskiego lasu. Czuł, że to powietrze miało inny i dotąd nieznaną na niego wpływ. Było inne. Nie takie jak w BLACK – ciężkie i oswojone. Nie takie jak w klimatyzowanym pomieszczeniu jego rezydencji na Carroll Cove – sztucznie czyste i chłodne. W tym powietrzu czuł coś świeżego, nieznanego i dzikiego. Coś, co łapczywie wtargnęło do jego piersi, rozprzewniając po ciele dziwną substancję. I nie była to dobrze znana mu kokaina.

Jeszcze tego samego późnego wieczoru kazał sprowadzić do pokoju Mike'a. Mimo iż wiedział, że zostają w tym miejscu tylko pięć dni, to chciał mieć nad nim całkowitą kontrolę i pewność co do pracujących w nim ludzi. Mike dostał wyraźne wytyczne oraz przydatny rejestrator rozmów, dzięki któremu nie pominie żadnego zasłyszanego słowa. Dodatkowo miał ograniczyć rozmowy z ludźmi, a całkowicie zakazany był temat towarzystwa, w jakim się zjawiał. Sumarycznie jego rola kończyła się na udawaniu wycofanego anglojęzycznego obywatela USA, najlepiej po przejściach. Nikt poza Szczepanem i Tanią nie słyszał jego koniecznych polskich dialogów. I tak miało zostać. Zamknięte w sobie ucho prezesa z dyktafonem w kieszeni tłumaczące wszystkie przypadkowe zdania ze wszystkich pochowanych dyktafonów, jakie posiadali. Michael wiedział, że dla tłumacza będzie to pracowity wyjazd.

## Rozdział 13

Nędzówka

Majka

Piątkowego poranka szybko wyłączyłam zniechęcony gong dzwoniącego budzika. Wstałam zasnana, dając czas jeszcze głęboko śpiącej Renacie. Wzięłam szybki i budzący prysznic, po czym wciągnęłam na siebie reprezentatywnie regionalną garderobę – czerwoną spódnicę przed kolano, na czarnej szerokiej gumce, i włożoną w nią luźną białą bluzkę z delikatnym haftem w postaci zielonych kwiatów i koronkowym wykończeniem krótkich rękawków. Zaplotłam swój ulubiony luźny warkocz sięgający za łopatki, zostawiając kilka pasemek zwiewnie opadających na twarz. Założyłam wiązane botki na wygodnie niskim obcasie i ruszyłam w stronę kuchni, gdzie dzień zaczynałam wyłącznie od czarnej kawy. Popijając zbawienne pierwsze łyki magicznego naparu, usłyszałam dźwięk kół wjeżdżającego na podjazd samochodu. Niezawodnie i punktualnie o piątej trzydzieści.

Wysłałam na górę, żeby odebrać świeże produkty zamówione na śniadanie. Otworzyłam drzwi równie zasnanyemu dostawcy wnoszącemu towar na dół. Przystanąłam u progu otwartych drzwi frontowych, by nacieszyć się świeżością i ciszą tej godziny. Mimo iż poranki były jeszcze chłodne i mgliste, to powietrze miało już więcej życia i roślinnej nuty w sobie. Zamknęłam oczy na kilka sekund jak wtedy, gdy ostatni raz zamykałam drzwi Okonia, by poczuć nie promienie słońca, a nagłe i bezwzględne trącenie swojego ramienia przez wychodzącego klienta.

*Buc.* Zburzył mi romantyczne spojrzenie na budzący się do życia nowy dzień.

– *Sorry* – przeprosił zdawkowo zakapturzony mężczyzna zbiegający po schodach. Przystanął, by odpalić papierosa u ich podnóża. Momentalnie zorientowałam się, że to klient z apartamentu numer dwanaście. Ubrany nie w garnitur, a dresowe ciemnoszare spodnie i bluzę z długim rękawem.

– Nie wiem... Czy wypada mi pytać o komfort snu... – odezwałam się zaczepnie do niezainteresowanego rozmową klienta odwróconego plecami.

Nie przywykłam do takiego zachowania. Zwykle sami chcieli rozmawiać, zaczynając rozmowę od pogody, zachwycania się cichym miejscem czy komplementowania urody Polek, jednocześnie kokietując (przeważnie byli to obcokrajowcy). Ten też nim był, ale ewidentnie w dupie miał moją urodę. Zazwyczaj sama musiałam dążyć, by rozmowa klient-pracownik pozostała na rozsądnym poziomie.

– Bywałam w lepszych miejscach – odparł niechętnie nadal odwrócony tyłem, co trochę mnie ubodło.

Rozumiałam, że gość może i był waśniakiem, ale nieco szacunku do rozmówcy wypadało jednak mieć.

– Mam nadzieję, że jakoś pan wytrzyma do wtorku – odpowiedziałam, dorównując ignorancji rozmówcy, który chyba nie przywykł do takich komentarzy, bo zareagował.

Nie odpowiedział, natomiast odwrócił się, bezpardonowo lustrując mój wygląd od stóp do głów. Wypuścił ostatnią smugę dymu i rzucił niedopałek pod nogi, co również nie umknęło mojej uwadze. Nie dość, że palił w pokoju, to za nic miał mój czyściutki podjazd. Ignorancki, rozpieszczony i w dodatku przystojny bufon.

– Musimy dopełnić formalności po śniadaniu, na które jednak zapraszam. Do dziesiątej

trzydzieści – zazaczyłam, znikając za zamkniętymi drzwiami.

Lepiej było szybko uciąć rozmowę, niż powiedzieć coś jeszcze bardziej nieprofesjonalnego. Zerknęłam w stronę podjazdu, widząc, jak specyficzny klient puszcza się truchtem w stronę drogi, po czym sama puściłam się truchtem w stronę kuchni i czekającego tam młodego dostawcy z towarem.

\*\*\*

Przynajmniej śniadanie szło wybitnie sprawnie. Witałam sympatycznym uśmiechem swoich gości, pytałam zatroskanym tonem o komfort pokoju i ogólne wrażenia z pobytu klientów korzystających z uroków gór. Tych starszych i tych młodszych. Starsza pani zaczęła nawet opowieść o swojej historii miłosnej, kiedy to poznała swojego przyszłego męża właśnie w górach. Dla tutejszych była to mało romantyczna historia.

Już przed dziewiątą większość gości skończyła śniadanie, a ja na bieżąco sprzątałam brudną zastawę, zastanawiając się, czy wczorajsi przybysze również zejdą i czy chociaż trochę zaspokoje ich oczekiwania szwedzkim stołem zastawionym sokami, herbatą, kawą, mlekiem, opakowaniami z musli, pieczywem, wędlinami, serami, warzywami, dżemami, parówkami pływającymi w beamarze i innymi dodatkami.

Krzętałam się w kuchni, kiedy punktualnie na dziewiątą przyszła polecona przez Olę Agata. Pracowała już przy podobnych śniadaniach, dlatego ograniczyłam się tylko do pokazania szafek z talerzami, miseczkami i sztućcami. Wy tłumaczyłam organizacyjny porządek porannego śniadania, przygotowując ją tym samym do sobotniej samodzielnej pracy. Agata wizualnie kojarzyła mi się z Anią, wkrótce prawowitą bratową, ale w przeciwieństwie do niej, ta wyglądała na ogarniętą. O jedenastej miała dołączyć jej koleżanka, by mogły wspólnie poznać moje oczekiwania co do sprzątnięcia pokoi.

Chyba za bardzo myślałam o wczorajszych gościach, bo ściągnęłam ich myślami. Zza weneckiego okienka w kuchni obserwowałam grupkę wchodzących mężczyzn w garniturach. Trzech z nich miałam przyjemność poznać wczoraj. Pozostałych dwóch jednak nie widziałam wcześniej, ale byli bardzo podobni do poznanego już łysiego. Wielcy, odrobinę opaleni i bez włosów z lśniącą skórą głowy. Wszyscy wyglądali jak zawodnicy MMA. Tylko jeden element nie pasował do tej grupy, i to nie tylko ze względu na obecność włosów na głowie. Mały i chudy gość z potterowymi okularami. Ubrany w zwyczajne jeansy i przywoity szary sweterek w ciemniejszą kratę.

W czwórkę usiedli przy stoliku odsuniętym najdalej od kuchni, ustawionym pod pionowymi belkami dzielącymi jadalnię od wypoczynku. Mały zaś usiadł przy pojedynczym stoliku, najbliżej wejścia do kuchni. Dopiero teraz zauważyłam za szkiełkiem okularów granatowy kolor pod jego okiem. Widząc brak reakcji samoobsługowej z ich strony i wyraźne oczekiwanie na angaż kelnera, podeszłam do samotnie siedzącego najbliżej kuchni.

– Dzień dobry – przywitałam się po angielsku.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Proszę się częstować. Tu jest samoobsługa – poinformowałam, grzecznie wskazując dłonią w stronę stołu szwedzkiego ustawionego pod całą długością weneckiego okna.

– Dziękuję – odparł krótko i natychmiast wstał.

Czułam na sobie natrętne spojrzenia pozostałych.

– Wszystko w porządku? – zwróciłam się jeszcze do mężczyzny nakładającego wędlinę z pieczywem na talerzyk, bo sprawiał wrażenie nadto pobudzonego.

– Tak. Dziękuję – rzucił bez namysłu tonem typu „odczep się”, nalewając sobie zaparzonej kawy, więc zesłam z pola widzenia mięśniaków, ukrywając się w kuchni.

Poczułam natychmiastową ulgę niewidzialności. Patrzyłam, jak w ślad pierwszego jeden po drugim nakładają sobie spore porcje śniadaniowe i nalewają hektolitry kawy. Z bliska ich twarze miały bardziej bandycki wygląd. Ale który szanujący się ochroniarz nie miał? Widok idącej w moim kierunku Renaty dodał mi otuchy i poprawił humor.

– Cześć, księżniczko! – przywitałam się radośnie, całując jej policzek.

– Cześć, Góralczko. – Uniosła brwi w geście podziwu dla mojego dzisiejszego wyglądu.

Faktycznie. Gdy w górskim pensjonacie było wielu gości, regionalny akcent ubioru personelu robił robotę. Renata zaś ograniczyła się do czarnych szpilek w towarzystwie spodni w kant i prostej koszuli z białym kołnierzykiem. Nie lubiła naszych strojów i nie czuła potrzeby ich zakładania. Sama też nie byłam wielką fanką tego typu rzeczy, ale tu działała siła wyższa.

– Wyspana? – zapytałam z uśmiechem.

– Mam wyrzuty sumienia że sama musiałaś wstać, by to ogarnąć – powiedziała, pociągając łyk białej kawy, również patrząc przez weneckie szkło w kierunku specyficznych gości.

– Przestań. Nie miałam serca cię budzić. Tak romantycznie chrapałaś... – ucięłam śmiechem, rozbawiając przy okazji sprzątającą Agatę. – Ja bez wyrzutów cię zostawię na recepcji, gdy pobiegnę w las – stwierdziłam, puszczając oczko do teoretycznie będącej w dobrym humorze Renaty.

Nagle obie przerwałyśmy poranną pogawędkę, skupiając wzrok na brakującym dotychczas przy stoliku ogniwie. Wyraźnie zmęczony i spocony, przystanął obok kolegów, wymieniając jakieś zdania. Zdumiona popatrzyłam na zegarek i zdałam sobie sprawę z tego, że przez te wszystkie godziny biegał. Ściągnął wierzchnią bluzę, powiesił ją na oparciu rzeźbionego krzesła i podszedł do szwedzkiego stołu, oceniając zawartość tego, co na nim zostało. Z tak bliskiej odległości przez mokrą od potu białą koszulkę, przebijały wszechobecne wzory na skórze sięgające od prawej piersi aż na szyję. Sportowa męska sylwetka, mokrawe ciemne włosy, charakterystyczna blizna na zadziornej brwi i niewielki zarost... To wszystko sprawiło, że wszystkie trzy z otwartymi ustami patrzyłyśmy w szybę jak zahipnotyzowane. Wyglądał jak wyjątkowy okaz egzotycznego motyla. Naprawdę wyjątkowy.

Wtedy skierował swoje czarne jak smoła przesywające spojrzenie ze stołu szwedzkiego wprost na lustro, przystając w sekundowym zamyśleniu. Wrócił do kolegów, odstawiając to, co zabrał, a zabrał niewiele, i niespodziewanie zawrócił i wszedł wprost do kuchni.

Nie chcąc wyglądać jak jury na pokazie mody, złapałyśmy się jakiegokolwiek pracy. Agata dopadła zmywarki, Renata wkładała szklanki do szafki, a ja energicznie sunęłam ścierką po blacie w sposób, w jaki tynkarz nakłada tynk. Wparował niczym manager restauracji w nadziei na zastanie lumpujących się podwładnych. Byłam pewna, że zauważył nasze nienaturalne ruchy i mieszanie na twarzach.

– Przepraszam pana... Ale... Nieupoważnionym wstęp wzbroniony – wydukałam zaskoczona, ale jakoś musiałam zaznaczyć przynajmniej swoje terytorium.

Nie powinien wchodzić do kuchni. Uśmiechnął się trochę sztucznie, ze szczyptą ignorancji do moich słów.

– Czy ma pani może herbaty ziołowe z ostropestu lub karczocha zwyczajnego? – zapytał nieoczekiwanie z oszczędnym uśmiechem, wbijając we mnie wzrok.

*A może chcesz Jatamansi z Indii lub Muira Puama z Wenezueli?* Chciałam odpowiedzieć: „Oczywiście, że mam”, ale oczywiście nie miałam.

– Przykro mi, ale nie. Mogę spróbować znaleźć na jutro – odpowiedziałam, lecz nawet nie miałam zamiaru szukać.

– Dziękuję – odparł, odwracając głowę w stronę naszej szyby z widokiem na jadalnię, po

czym ponownie popatrzył na mnie, tajemniczo mrużąc oczy.

Wrócił do kolegów, dostawił ze stolika obok dodatkowe krzesło i usiadł tyłem do okienka w kuchni. Wymieniliśmy tylko spojrzenia, widząc, iż najwyraźniej nasz gość nie lubił tego typu rozwiązań.

– Idź lepiej na recepcję, Maju. Teraz ja pomogę w kuchni i potem przyjdę cię zmienić. – Zarządziła Renia, przewidując, że i na górze ktoś może czegoś potrzebować.

Przechodząc obok stolika Amerykanów, czułam na sobie ich zuchwale natrętnie spojrzenia.

Oni również nie czekali długo ze skończeniem śniadania. Wszyscy poza jednym udali się na górę do swoich pokoi. W recepcji zjawił się tylko, robiący wrażenie surowego, czarnoskóry facet. Nie spuszczał ze mnie czujnych oczu, bez słowa wyłożył na blat komplet paszportów.

– Jestem Rick – burknął mało przyjaźnie po chwili.

– Miło mi – odpowiedziałam, trzymając fason i wpisując ich nazwiska w książkę.

– A do pani jak mogę się zwracać? – zaznaczył z pretensją fakt, że się nie przedstawiłam.

– Panienska, a nie pani – poprawiłam, znając anglojęzyczne oznaczenia osobowe dla mężatek i panienek. – Miss Maja Goclon... i miło mi – powtórzyłam, zbywając jego roszczeniowość kłamstwem własnych odczuć.

– Specyficzne podejście do klienta tu macie, panienko Goclon – skomentował, patrząc, jak skrzętnie przepisuję nazwiska z paszportów wprost do rejestru gości. Nie dając się jednak sprowokować do zaczepnej rozmowy, starałam się nadać jak najbardziej służbowy ton rozmowie.

– Bardzo mi przykro, panie Rick... że nie daliśmy rady sprostać państwu oczekiwaniom. Mam nadzieję, że kolejne miejsce, w jakim się państwo zatrzymają, choć trochę zrekompensuje państwu pobyt w naszym kraju – dodałam, nadając jednak rozmowie ciut uszczypliwości.

– Też na to czekamy. – Złowieszczo zmrużył oczy i zacisnął usta.

Miałam świadomość, że brak miejsca w Okoniu, a następnie wpadka w apartamencie bezpowrotnie wyryła grubą ryse, tworząc skazę na kryształowej powierzchni mojego miejsca. Włożyłam jednak w pensjonat wiele serca i zadowolenie gości było dla mnie priorytetem. Ale ci każdym spojrzeniem, gestem i słowem dawali wyraz swojego niezadowolenia. Typowi Amerykanie – pokój za mały, droga za wąska, kawa za gorąca i setki innych śmiesznych pretensji. Jednak i w moim kodzie genetycznym znajdował się góralski pierwiastek wojownika. Motto na weekend majowy? Byle wytrzymać do wtorku.

Uzupełniając numery pokoi z ulokowanymi personami, dopytywałam o nazwiska gości w poszczególnych numerach.

– Czyli pan, wraz z panem Bobem znajdujecie się w pokoju jedenastym – mówiłam głośno, licząc na to, by potwierdził.

– Tak – odparł krótko.

– A pan Michael Adams jest w numerze szóstym? – zapytałam prowokacyjnie i nie wiedząc czemu, uniosłam głowę w oczekiwaniu na odpowiedź. Przecież poznałam już jego twarz na zdjęciu w paszporcie i doskonale wiedziałam, że ten gatunek jest w dwunastce.

– Posłuchaj mnie uważnie... – Patrzył mi wprost w oczy z pełną powagą. – Pan Michael Adams jest w pokoju, w którym ty i ta druga moczyłyście swoje suche dupy w jacuzzi, w momencie gdy on tu przybył... by w końcu odpocząć po długiej podróży. Jest naszym szefem, a my jego pracownikami więc... Od teraz... Jeśli będą jakiegokolwiek sprawy związane z formalnościami, pokojem, jedzeniem czy jakąkolwiek inną pierdołą... Zwracasz się z tym do mnie lub jednego z moich kolegów! Czy to jest dla ciebie jasne?! – powiedział uniesiony, rzucając bez jakiegokolwiek uprzejmości kopertę z gotówką za cały pięciodniowy pobyt.

Jego ciemna twarz była śmiertelnie poważna i wroga. Zaciśnięte mięśnie żuchwy i puls

widoczny na skroni tylko potęgowały to odczucie. Mocno brązowe bystre oczy śledzące każdy mój najdrobniejszy ruch, nie pozwoliły mi nawet na niekontrolowany gest – na przykład pokazanie języka czy środkowego palca. Jednak ku jego zaskoczeniu nie okazałam strachu jak mój zasrany braciszek wczorajszego wieczoru. Niesparaliżowana, zachowywałam się całkiem spokojnie. Owszem. Ukłął mnie ponowny brak szacunku nie do mojej osoby, bo ci mnie nie znali. A do recepcjonistki jako kobiety. W życiu miałam już do czynienia z gburowatymi klientami i radziłam sobie z tym świetnie. Przecież był to klimat, w jakim nawet dorastałam. Dawkowane odczulanie w domu odpowiednio przygotowało mnie do takich incydentów. Na zdrowy rozum – co mogła mi zrobić ta mięsna materia? Przecież był w pracy. Musiał być taki, bo dbał o naruszony komfort własnego szefa. Na jego nieszczęście teraz wykonywał swoje obowiązki w obcym kraju, a to ograniczało swobodę, jaką czuje się we własnej ojczyźnie.

– Zrozumiałam, panie Rick. Przecież przeprosiłam już za wczoraj – odpowiedziałam, zachowując spokojny ton i przyklejając do twarzy plastikowy uśmiech. – Jeśli chcecie panowie zjeść coś... nietuzinkowego lub zobaczyć kilka... niezwykłych miejsc, to przygotowałam dla was adresy, pod którymi jest to możliwe... – Wraz ze stosem paszportów podałam nowo poznanemu Rickowi zadrukowaną kartkę. Wnioskując po jego zakłopotanej minie, chyba bardziej liczył na widok łez lub przeprosiny na kolanach. Nie ze mną takie numerki. Tymczasem dostał ściągę z okolicznymi restauracjami i atrakcjami. – Pan Michael Adams, a pański szef, powinien być zachwycony! – dorzuciłam, zadziornie akcentując ostatnie słowo.

Wymieniliśmy niejednoznaczne spojrzenia i odszedł, znikając na schodach prowadzących na górę.

Michael

– Mike, usłyszałeś coś od pracowników w kuchni? – zapytał stojącego obok na balkonie swojego pokoju Michael.

– Nic specjalnego, proszę pana. Rozmawiały o swojej pracy – odpowiedział Mike.

– Chce wiedzieć dokładniej... – wtrącił, oczekując bardziej szczegółowej odpowiedzi.

– Blondynka tłumaczyła tej małej Ukraince, jak ta ma pracować. Zdaje się, że to był jej pierwszy dzień. Potem przyszła ta trzecia. Blondynka powiedziała jej, że słodko chrapała i nie chciała jej budzić do pracy. Potem przyszedł pan i wszelkie rozmowy ucichły – odpowiedział, zaspokajając ciekawość szefa.

– Nasłuchuj dalej. Zawołaj mi tu Ricka i Boba. – Machnął ręką i odprawił tłumacza.

\*\*\*

Czekając na swoje dwie prawe ręce, palił papierosa, wypuszczając smugę dymu przez szeroko rozsunięte drzwi balkonowe. W dzień wyraźnie było widać ulokowany za pensjonatem budynek stajni otoczony ogrodzoną drewnianymi belkami łąką i skrawkiem placu wysypanego piaskiem. Łąka ciągnęła się jeszcze za ogrodzeniem, kończąc się na ścianie lasu ze wszystkich stron. Z drugiej strony balkonu, obok jacuzzi, zaczynał się widok na ciągnący się do góry las i przestrzeń otaczającą boczną ścianę pensjonatu, wzdłuż której wiodł rozwidlający się w połowie kamienny chodnik prowadzący na tyły do stajni i ku altanie zatopionej w choinkach.

Michael skupił wzrok na tym budynku. Obudowana do połowy kamieniem okrągła altana ze stożkowym dachem i kominem na środku niemalże zlewała się z otaczającym ją lasem.

Mglisty piątkowy poranek przeszedł w wiosenne i ostatnie przedpołudnie dnia kwietnia. Jeszcze łagodne słońce zaczęło oświetlać przeszklone okna balkonu. Michael zaczął czerpać przyjemność z takiego stanu rzeczy, zaciągając się następnym odpalonym papierosem, kiedy to do pokoju weszli Rick z Bobem, przerywając przyjemną ciszę.

– Tej całej miss chętnie przytarłbym nosa swoimi sposobami – uskarżał się podenerwowany Rick i oddał paszport Michelowi.

– Miss Maja... To ona utarła tobie nosa, wielki Ricku – nabijał się Bob, dostrzegając pewną słabość kolegi.

Michael stał, wysłuchując opowiadania o zajściu na recepcji.

– Wiesz, jak ja bym jej utarł nosa? – Symulował Bob, wykonując kopulacyjne ruchy biodrami i wskazując na stojące jacuzzi.

– Z tego, co ustaliłem, to ma jej już kto ucierać... – sprowadził na ziemię fantazjującego Boba, Michael. – Z dwiema kierującymi interesem lesbijkami się nie zadziera. Są bardziej niebezpieczne niż rodzina Tifficante – rozjaśniając kolegom sytuację, wrzucił niedopałek do puszki po wypitej bombie kalorycznej przepisanej przez lekarza.

– Załamałeś mnie. – Bob nie krył rozczarowania. – Taka dupa... i jest lesbą?! To dopiero dramaaa – zauważył i nie ukrywał, że został oczarowany przez blond czarownicę już w pierwszym momencie, gdy nie zwrócił uwagi na jej umorusaną zieloną breją twarz, a mokre ciało w stroju kąpielowym.

– Spokojnie, Bob. Prawdziwe wakacje dopiero przed nami. Zarezerwowałem już dla nas miejsca. Baseny, spa, siłownie i niekończące się masaże przez ucierające nie nos... a plecy piękne panie – uspokoił kolegę Rick i wyciągnął złożoną kartkę otrzymaną od dziewczyny na recepcji.

– Szefie, jakie plany na dziś? Suczka wydrukowała mi kilka miejsc z gwarancją zadowolenia dla ciebie. – Podał rozpiskę Michaelowi.

Ten zaś nie był nastawiony na atrakcje, zwiedzanie i poznawanie kultury polskich gór. Chciał spokoju i regeneracji sił.

– Siłownia. Znajdź mi jakąś siłownię. – Nawet nie sprawdzając jej zawartości, oddał mu kartkę i skupił wzrok na dziewczynie w sportowym stroju, kucyku i czarnej czapce z daszkiem, która rozmawiała ze starszym gościem w czarnym kapeluszu i białej koszuli wychodzącym ze stajni. Po krótkiej wymianie zdań widział, jak ten wchodzi do budynku i wypuszcza trzy konie, które z zapalem wybiegły ze stajni. Ona zaś, rozpoczęła bieg łąką wzdłuż lasu, okrążając rozległe pastwisko i przecinając je przez środek, by zniknąć w leśnym gąszczu.

Łowczy wzrok Michaela nie umknął uwadze jego podwładnych.

Majka

Biegłam zawzięcie znajomą ścieżką w górę, czując drżenie w każdym mięśniu. Narzuciłam forsujące tempo, zmuszając swoje ciało do podniesienia własnej poprzeczki. Tym razem nie skręciłam od razu w stronę kapliczki. Minęłam ją, czując, że muszę biec dalej. Wyżej. Szybciej. Samo skupienie wewnątrz tego niezwykłego dla mnie miejsca, mogło nie wyrzucić wszystkich nagromadzonych emocji po ostatniej szalonej dobie. Dodatkowe dwa kilometry pod coraz to bardziej stromą górką okazały się balsamem dla mojej duszy. Gdy uznałam, że to, co we mnie zostało, zdołam wyciszyć w kapliczce, zatrzymałam się i oparłam się o skałkę, biorąc kilka głębokich wdechów, po czym zawróciłam.

Weszłam do swojej oazy spocona i zmęczona i usiadłam z ulgą dla palących mięśni nóg. Ponownie w tym miejscu zamknęłam oczy, czując ogarniający mnie spokój. W skupieniu myślałam o wczorajszym stanie Renaty i tym, co ją spotkało. O klapie rezerwacyjnej, złośliwych słowach brata i nieuprzejmych Amerykanach. Zostawiłam te wszystkie negatywne przeżycia w kaplicy. Jednej myśli jednak nie całkiem udało mi się pozbyć i była to ta o Renacie.

Michael



Michael całe popołudnie spędził w towarzystwie swojej ochrony na zakopiańskim Fitness&Gym, kończąc wysiłek dietetycznym obiadem rybnym. Posiłki były dla Michaela kolejnym ważnym elementem powrotu do zdrowia. Musiał unikać dużych i ciężkostrawnych porcji, stosując ścisłą dietę przepisana przez lekarza. W najdroższej restauracji, jaką zdołali wynaleźć na stronach internetowych, zamówili cztery spersonalizowane posiłki dla każdego, z czego każdy przywieziony pod drzwi pensjonatu W Jagodowej Chacie na inną godzinę.

Przemierzali zatłoczone ulice piątkowej inauguracji majówki w Zakopanem. Kolory, tłumy i hałas docierający do kabiny wypożyczonego samochodu drażniły Michaela. Przywykł do zatłoczonych miast. Tampa do takich należało, ale tam było więcej przestrzeni. Tu przestrzeń była względnie niewielka, a liczba ludzi stosunkowo za duża. Nawet szczyty tatrzańskich gór z perspektywy pasażera nie budziły w nim jakichkolwiek emocji. Dla niego było to zwykłe miasto u podnóża kilku skał w tle. Dla kogoś, kto spędzał wakacje na jachcie w Rio de Janeiro, gdzie prócz gór, był ocean i złote plaże Botafogo, Tijuca, Ipanema czy Leblon – Zakopane było tylko kolejną zaliczoną namiastką świata.

Majka

Po powrocie z lasu zaskoczył mnie widok Kaśki rozmawiającej z Renią w recepcji. W głębi ducha miałam jej za złe brak zainteresowania, a z drugiej strony podejrzewałam, że Kaśka nie chciała się nadto narażać Szczepanowi.

– No, kochaniutka, jak ty wyglądasz! Co za figura... Jaka dupa! – skomplementowała, klepiąc mnie w mokry od potu tyłek. – Troszkę mi tu Renia nadrobiła zaległości. Miałam dużo zajęć, robiłam kurs stylistki wizażu w ukryciu przed rodzicami... Sama wiesz, jak jest... Po prostu przepraszam i obiecuję poprawę. – Kładąc prawą rękę na sercu, wywołała mój uśmiech zadowolenia z wizyty.

Byłam tu trzydzieści sekund i już zdążyłam się dowiedzieć, co się z nią działo ostatnimi tygodniami. Niezaskoczona jej wymysłem kursu, popierałam takie przedsięwzięcia. Kaśka od zawsze lubiła ładnie wyglądać, dbać o siebie i przyciągać uwagę. Wiedziałam też, że jej góralscy rodzice po prostu nie rozumieli nauki tak niepotrzebnego w życiu fachu, jakim był wizaż i stylizacja. Chyba że byłoby to pomocne przy owcach.

– A już myślałam, że Szczepan ci zabronił kontaktów z wyrodną siostrą – rzuciłam żartobliwie.

– On unika twojego tematu. Chyba się boi, że naskarżę... – Uśmiechnęła się świadoma, jaką trudność sprawiało jej trzymanie języka za zębami.

– Też wolę unikać jego tematu – dodałam całkiem poważnie.

– Miałam nadzieję pozwiedzać twój zamek, ale Renia mówi, że nie ma wolnego pokoju. Gratulacje, kochana! Ledwo co się otworzyłaś, a już masz komplecik. – Klaszcząc radośnie w dłonie, całą swoją szczerością winszowała sukcesu.

– Dzięki, komplecik to poniekąd zasługa Szczepana... – zaznaczyłam jego wkład w sprzedaż ostatnich wolnych pokoi.

– Nooo Renata mi powiedziała, jak was w jacuzzi zastali. Ale jaja! Padłabym ze śmiechu, gdybym tu z wami była!

Zaczęłam się zastanawiać, czy Renata opowiadała jej coś o przyczynie pojawienia się w jacuzzi, ale postanowiłam nie brnąć w temat.

– Może zejdziemy na dół? Mamy fajny kącik do wypoczynku. Jest piątek, jutro dziewczyny ogarniają śniadanie... Jakieś wino się znajdzie... A ty zawsze możesz wziąć taksówkę... – zaproponowałam Kaśce, znając jej podejście do zabawy i własną potrzebę wrzucenia na luz.

– Takie powitanie to ja rozumiem! – krzyknęła z zadowoleniem.  
– Więc idźcie, a ja wywieszę karteczkę, skoczę na chwilę do pana Zenka, wezmę prysznic i schodzę do was... – powiedziałam, chcąc jeszcze uprzedzić Zenka, by nazajutrz przygotował konie wcześniej na wybieg.

– Okej! – odpowiedziały równo na spontaniczny babski wieczór.

\*\*\*

Wychodząc do stajni, zauważyłam w zapadającym zmroku coraz to mocniejsze światła parkujących mercedesów. Nie chcąc już dziś niechcianych dywagacji, zbiegłam szybko po schodach, znikając za rogiem pensjonatu. Zamieniłam przysłowiowe trzy słowa z zaprawionym już panem Zenkiem i z ostrożną przyczajką, niczym polujący gepard, upewniłam się, że Amerykanie weszli już na górę.

Wróciłam do pensjonatu i zaszyłam się w łazience swojego pokoju, by po kwadransie wybiegając w popłochu... wpaść wprost w ramiona człowieka, z którym nawet rozmów miałam unikać. Uchwycony zapach nuty agaru, jego dłonie na moim ciele i niezręczny brak dystansu, pozwolił mi jedynie na krótkie...

– Przepraszam – pisnęłam zakłopotana i cofnęłam się krok do tyłu, budując jakąkolwiek odległość między nami.

– Za dużo panienka przeprasza – powiedział z nonszalanckim uśmiechem i jednocześnie dając mi do zrozumienia, że ma wybitny kontakt ze swoimi pracownikami.

– Lepiej za dużo niż za mało. Nie sądzi pan... Panie Adams?

– Nadużywanie tego słowa niejednokrotnie kończy się tragicznie. Nie sądzi pani... Panienko Goclon? – zapytał bałamutnym tonem, patrząc mi nieprzyzwoicie głęboko w oczy.

– Zapewniam pana, że tragedia zaczyna się tam, gdzie brakuje wybaczenia. – Popatrzył na mnie zagadkowo czarnymi oczami, nie odpowiadając, zignorował moje słowa i ruszył na górę.

\*\*\*

W lekkim zmieszaniu dołączyłam do zaskoczonych moim szybkim tempem dziewczyn i nie zwróciłam uwagi na siedzącego w półmroku okularnika czytającego książkę. Gdyby nie skinienie głowy Renaty w jego kierunku, pominęłabym obce towarzystwo.

– Zapytał, czy nie będzie przeszkadzał, jeśli usiądzie przy stoliku jadalni i poczyta książkę. Zgodziłam się i tak nie kuma po polsku – powiedziała Renia, na co wzruszyłam ramionami i skupiłam się na długo niewidzianej przyjaciółce.

– Dobra Kacha, mów, co u ciebie... – zaczęłam ciekawa w zasadzie wszystkiego.

– Skończyło się na tym, że się doszkoliłam. Stary nie puści mnie do pracy... Ale wiecie co? W rzyci to mam. Przynajmniej sama będę chodziła w profesjonalnym makijażu... Może kiedyś.... Szczepanowi zrobię jakiś peeling? – Buchnęłyśmy wspólnym śmiechem. Renata prychnęła sączonym winkiem, a mnie wróciło z przełyku do ust.

– Ty o peelingu na jego pyszczydle mówisz? – Śmiałam się, mając w głowie obraz Szczepana, poddającego się jakimkolwiek zabiegom pielęgnacyjnym.

– Czy o peelingu na jego kołku? – zarzuciła zanosząca się śmiechem Renata.

*Rozjebała mnie kolkiem na łopatki.* Nawet w myślach nie mogłam wyświetlić tego obrazu. Upłynęło kilka minut, nim okiełznałyśmy własne rozbawienie.

– A jak przygotowania Anki do wesela? – zapytałam w nadziei, że czegoś się od niej dowiem. Odezwała się moja zwykła babska ciekawość. Mimo coniedzielných obiadów spędzonych w nieodzownym towarzystwie Anki, jakoś nie było okazji, by ją o to zapytać. Niewinne pytanie znów byłoby odebrane jako atak i powód do następnej kłótni. Bo we

wszystkim, co mówiłam, Anka doszukiwała się drugiego dna i ukrytej wbijanej szpili. Sam mój widok, był już dla niej wystarczającą prowokacją.

– Majka, Anka już dawno wypastowała kierpce<sup>82</sup> i założyła halkę pod spódnicę... – stwierdziła Kaśka, mówiąc o przedwcześnie przygotowanych elementach stroju ślubnego.

Pomyślałam o białej, zdobionej kwiatowym haftem bluzce, sznurowanym białą wstążką gorsecie i ciężkich koralach na szyi. Klasycznie i po góralsku nie mogło zabraknąć również wianka z zielonego mirtu i wpiętej we włosy opadającej białej wstążki. Przełknęłam głośno ślinę na myśl o takiej w moich włosach. I bez leśnej kapliczki, szybko wyrzuciłam tę myśl z głowy, nadal słuchając opowiadań Kaśki.

– Grzesiowi trzy razy już poprawiała uszytą koszulę. Ale w końcu skończyła. Nie wiem, czy z czyjąś pomocą, czy też bez. Mówię ci, jaka jest podjaranaaa!

*No nie wątpię, że była podjarana.* Podjarało jej nawet marchewkowe włosy i przypaliło białą twarz. Ania zgarnęła los na loterii. Z nią było jak było, ale Grzesiek oprócz ciężkiego charakteru był niesamowicie przystojnym facetem. Nie sądzę, żeby wygląd żony nie wywierał na nim żadnych emocji, a mimo wszystko pokornie brnął w ten związek.

– No i gitara... – Dołałam nam wszystkim wina.

– Ma być prawie trzystu gości... Porozwozili zaproszenia, a gdzie było za daleko, to wysłali. My też już swoje mamy. Przywieźli je w poniedziałek i mówili, że to ostatnie – dodała Kaśka.

– Fajnie... – skwitowałam fakt, że jak zwykle zostałam pominięta. – Może nie dostanę zaproszenia i ominie mnie ten kabaret? – zasugerowałam z nadzieją, że może jednak zrezygnowali z mojego udziału w najważniejszym dniu ich życia.

– Majka, to ty nie wiesz?! – Zdumiony wyraz jej twarzy nie wróżył niczego dobrego.

– Że niby czego mam nie wiedzieć? – zapytałam zaskoczona.

– Ponoć idziesz z Markiem. Dostał zaproszenie z osobą towarzyszącą i masz nią być...

Właśnie ty!

*Kurwa, fantastycznie.* Ta informacja mnie zatkała, więc popiłam, wychylając cały kieliszek jednym haustem i od razu uzupełniając w nim pustkę. To dlatego Marek tak przyłaził. Chciał mnie zaprosić na wesele mojego brata.

– Jak dobrze pójdzie to dwa wesela za jednym zamachem załatwią! – Renata kręciła głową, niedowierzając takim działaniami.

– Nie chcę nic mówić, ale ponoć to był Anki pomysł... który się twojemu staremu bardzo spodobał – dodała Kaśka.

– Anusi mówisz... – Stanowczo za szybko wypiłam kolejny kieliszek wina.

*Rude, podstępne stworzenie.* Dostała awans na doradcę samego króla.

– Prędzej opuszczę ślub brata, niż pójdę tam jako osoba towarzysząca Marka. Przebiegłe stado żmij! Najpierw zamieniają mnie pensjonatami, by nas do siebie zbliżyć... A teraz to! – zbulwersowałam się i poczułam, jak wino zaczęło mocniej rozgrzewać moje rumiane policzki.

– Koniec z milczeniem! Koniec ze słuchaniem i przystawianiem na wszystkie głupie decyzje ojca! To moje popieprzone życie i mogę sobie je spieprzyć po swojemu! Jak im się nie podoba, to wyjadę! Razem wyjedziemy, prawda, Renia?! – Spojrzałam już nieco świdrującym wzrokiem, szukając wsparcia w jej oczach.

– Już ci wystarczy, kochaniutka! Za dużo i zdecydowanie za szybko! – Wyrwała mi kieliszek z pozostałą zawartością wina z dłoni.

– Stary chce mi życie układać... porąbani bracia chcą mi życie układać... i ty też będziesz mi mówić, ile czego mogę? – powiedziałam, łagodnie zwracając się do Renaty.

– Przestań, Majka! Są ważniejsze problemy na świecie. Z tego można się wykręcić! –

skomentowała moją irytację.

– Pewnie, że są! Morderstwa, samobójstwa, choroby, ŻYCIOWY PECH! – zaakcentowałam niechcący ostatnie słowa. Śmiałość wywołana winem bywała okrutna.

– Dobranoc. – Natychmiast wstała i wyszła, zostawiając mnie z Kaśką i koleśkiem w kącie.

– I po imprezie... – podsumowała Kaśka.

– Przepraszam. Nie powinnam jej tak powiedzieć. Ponosi mnie ostatnio coraz częściej – usprawiedliwiłam się.

– Faktycznie dużo przeszła. Chyba brakuje jej obecności rodziców – odparła. Wtedy dotarło do mnie, że Kaśka nic nie wie o rozstaniu z Kamilem. Postanowiłam więc milczeć i nie poruszać tego tematu.

Resztę wieczoru słuchałam cierpliwie opowiadań o nowo zdobytych umiejętnościach poprawiania kobiecych twarzy, o nowinkach matrymonialnych starych szkolnych znajomych i głupkowskim zachowaniu Anki. Bo fakt jest taki, że to Kaśka częściej przebywała ze Szczepanem w towarzystwie jej i Grześka.

Wysiedziane godziny pomogły mi się uporać z wypitym winem. Odprowadziłam ją do taksówki na podjeździe, odwlekając powrót do pokoju. Gdy wracało racjonalne myślenie niezmacone winem, nadeszła pora kaca. Kaca moralnego. Uraziłam uczucia Reni i patrząc na tylne światła odjeżdżającego FruTaxi, myślałam o słowach skruchy, jakie zaraz będę musiała wypowiedzieć.

\*\*\*

Powoli weszłam do ciemnego pokoju i usiadłam na brzegu łóżka.

– Głupia jestem. Wiem. Przepraszam. – Zaświeciłam lampkę nocną stolika i zastałam nieskazitelne zaścielone łóżko. Renaty nie było.

Wybiegłam w panice, zaglądając do recepcji, na dół do jadalni i kuchni. Sprawdziłam korytarz i taras na parterze. Wybiegłam i okrążyłam pensjonat, nawołując przyjaciółkę po imieniu. Szukałam jej w altanie, a nawet w stajni. Nie było jej nigdzie. Czułam ogarniającą panikę i bezsilność zmieszana z wyrzutami sumienia. Wróciłam do środka i usiadłam przy biurku w recepcji, wspierając głowę o dłoń. Skupiałam się na miejscach, gdzie mogłam ją zastać.

*Będę dzwonić, aż odbierze. Wróci. Na pewno wróci,* powtarzałam sobie w myślach, ponownie otwierając drzwi naszego pokoju.

– Renata! Jesteś! – wykrzyknęłam radośnie, widząc przyjaciółkę leżącą sobie w łóżku.

– A gdzie mam być?! – zapytała zaskoczona.

– Byłam tu, mówiłam do ciebie, wtedy zaświeciłam światło i cię nie było... Biegałam po pensjonacie i wokół, wołałam i nigdzie nie mogłam cię znaleźć! Przepraszam! Słyszysz? Przepraszam... – mówiłam ze łzami w oczach i pełną skruchą w głosie.

– A nie wpadłaś na to, żeby najpierw sprawdzić naszą łazienkę?! – Zaśmiała się ułaskawiająco.

– Sorki... Wybaczysz mi? – zapytałam, celowo patrząc oczami kota ze Shreka i ustami wygiętymi w tęczę.

– Przestań, bo ci tak zostanie! – rzuciła we mnie poduszką, mierzwiąc moje niesforne loki.

## Rozdział 14

Nędzówka

Michael

– Klótnia małżeńska powiadasz? – podsumował tuż po śniadaniu Michael słuchający sprawozdania ze wczorajszego babskiego wieczoru.

– Tak, szefie. Dokładnie.

– Dzięki, Mike. Nadal rób swoje.

Powtórzywszy czynność biegania o świcie i lekkiego śniadania w towarzystwie kompanów, stał teraz na swoim balkonie, obserwując dwa konie biegające od samego rana.

Postanowił przyrzeć się tym zwierzętom z nieco bliższej odległości i wyjść na zewnątrz. Swego czasu spędzał długie godziny w końskim towarzystwie. Nie zmieniawszy sportowego stroju, szedł kamienną ścieżką wzdłuż pensjonatu, kiedy poczuł niewielkie, lecz wyczuwalne potrącenie w ramię przez wyprzedzającą go wąskim chodnikiem biegnącą dziewczynę, wyraźnie nieprzejętą potrąconym. Jak gdyby nic, bez żadnej reakcji, pobiegła w stronę stajni. Widząc, że udała się w kierunku, w jakim sam zmierzał, skręcił na rozwidleniu w zacisze altany, by popatrzeć chwilę z bezpiecznej odległości. Obserwował Majkę i niespokojnego, osiodłanego czarnego konia prowadzonego przez starszego mężczyznę.

Majka

*Należało mu się*, pomyślałam. Sam nie kazał przeproszać, więc mam argument w razie jakichkolwiek pretensji.

– Panie Zenku! Jestem.

– Syćko gotowe, kochaniutka. Już prowadzę cornego<sup>83</sup> kunika! – nawoływał, wychodząc ze stajni i prowadząc Black – Ona jest okropnie <sup>84</sup> nieusłuchliwa. Ino trza uważać – ostrzegął wyraźnie zaniepokojony.

– Jeśli nie spróbujemy... to się nigdy nie dowiemy, jak reaguje. Lepiej tu ją sprawdzać jak w lesie. Prawda? – powiedziałam, starannie zapinając jeździecki kask ochronny.

– E dyj, co prowda to prowda – odparł pełen niepewności Zenuś.

Chwyciłam za lejce, jednocześnie uspokajając pobudzoną Black spokojnym głaskaniem po smukłej szyi.

– Ciii, kochaniutka. Ciiii – mówiłam łagodnym i cichym głosem do mocno pobudzonego konia.

Widząc, że klacz się trochę ustabilizowała, poprosiłam Zenka, by asekuracyjnie trzymał jej uprząż, mimo że asekurację ze strony Zenka poddawałam w mocną wątpliwość. W lewą rękę złapałam wodze i pewnie chwyciłam przedni łąk siodła, prawą zaś chwyciłam tylny łąk i wkładając stopę w strzemień, wybiłam się drugą nogą, by z największym spokojem posadzić się na jej grzbiecie. Klacz wzruszyła się niespokojnie.

– Źle jej z ocu patzy. Lepiej zejść z siodła! – uprzedzał złękniony Zenek.

– Dała się dosiąść! – stwierdziłam z uśmiechem na twarzy i zadowolona z przełomu.

– Tym cesaniem się dała udobruchać. Hale<sup>85</sup> lepiej... – Nie skończył zdania, bo gwałtowny ruch klaczy popchnął go, przewracając w piasek.

Z marnym skutkiem próbowałam uspokoić rozwścieczoną klacz. Złapałam mocno lejce

i zacisnęłam uda, szykując się na ostrą jazdę. Serce biło mi w rytm galopujących kopyt i nerwowego parskania klaczy. Black w szaleńczym pędzie biegła przez łąkę, zmuszając mnie w pozycji półsiedzącej do nadludzkiego wysiłku, jakim było utrzymanie się w jej siodle. Nie miałam ani czasu, ani ochoty myśleć, gdy zbliżała się do końca łąki, robiąc mi złudną iluzję chęci przeskoczenia przez przeszkodę ogrodzenia i ruszenia w las. Miałam wrażenie, że straciłam całkowitą kontrolę nad tym koniem. Zawróciła jednak gwałtownie, nieomal zrzucając mnie z siodła i biorąc ostry zakręt. W tej chwili stać mnie było jedynie na skorygowanie pozycji i szaleńczy pęd powrotny. Adrenalina wywołała płomień w mocno zaciśniętych łydkach i skupienie na utrzymaniu mocno pochylonej pozycji, trzymając krótko wodze. Gdy zobaczyłam koniec prostego dystansu, uciekającego z toru naszego pędu Zenka i stojącego jak pień wariata, zamknęłam oczy gotowa na tragedię. Klacz stanęła dęba, wyciskając resztę mojej energii w uścisku nóg i napięciu ciała, po czym opadła na wszystkie kończyny i całkowicie wypokojniła. Wtedy Zenek pewnie uchwycił lejce, uniemożliwiając kolejną niekontrolowaną akcję. Z trzęsącymi się ciałem zesłam, by z ulgą wtulić się w jej błyszczącą smukłą szyję.

– Mateńko Pzenajświętsa! Jak mnie koństwór<sup>86</sup> nie zabije, to na zawał bez<sup>87</sup> panicke zejde! Ni ma o cym godać, ino niescyńcio<sup>88</sup> koło chałupy brakuje! Jak Boga kochom! – krzyczał przerażony Zenek i nagle dotarło do mnie, że o mały włos nie zginął człowiek stojący tuż za mną.

– Piękny pokaz! – Nienaturalnie spokojny pan Michael, powinszował mi jeździeckich umiejętności, powoli klaszcząc w dłonie.

Oddałam klacz w ręce Zenka i z całą dawką krążącej jeszcze we krwi adrenaliny, zapomniałam o jakichkolwiek zwrotach grzecznościowych. Stałam tuż przed nim, wlepiając w niego wściekłe spojrzenie.

– Życie ci się znudziło, czy masz problem z oceną sytuacji?! – wrzasnęłam wrogo, patrząc mu wprost w zmrużone, błyszczące oczy. Byłam mocno zaskoczona lekkomyślnym brakiem reakcji. Poza tym znów wlaź tu bez zaproszenia. Pieprzony waźniak.

– Byłam pod takim wrażeniem, że mnie замуrowało i nie zdążyłem zareagować – wytłumaczył się dość głupio, podtrzymując pełną luzu postawę.

– Mogłam cię zabić, człowieku! Rozumiesz to czy nie?! – Rozgniewana brakiem oczekiwanej powagi, próbowałam uzmysłwić mu, co się mogło stać, gdyby koń nie wyhamował.

– Potrąciła mnie pani, biegnąc chodnikiem. Jest szansa, że i tego by pani nie zauważyła – Dorzucił zaczepnie. Stwierdziłam, że ta rozmowa nie miała sensu. Wściekła jak mało kiedy, celowo trąciłam jego drugie ramię, kierując się w stronę pensjonatu i zostawiając niedoszlęgo samobójcę. – Nie przeprosisz?! – krzyknął za mną.

*A spierdalaj*, pomyślałam bez oglądania się za siebie.

\*\*\*

Widząc spokojnie siedzącą Renatę przy biurku recepcji, weszłam do środka i uderzyłam pięścią w ścianę.

– PMS czy facet? – zapytała zapatrzona w ekran komputera.

– Mało nie zabiłam tego kretyna z dwunastki!

– Że co?! – zareagowała mocno zaskoczona, odrywając wzrok od monitora.

– No mało brakowało i to miejsce byłoby najbardziej rozpoznawalnym miejscem w całej Polsce! Oswajałam Black pod siodło, poniosła do galopu i ledwo wyhamowała przed tym samolubnym dupkiem, który nawet nie drgnął, widząc pędzącego wprost na niego konia! Wszędzie pali i wlaź bez zaproszenia!

– OCHO! Nie dość, że przystojny, to jeszcze odważny! – stwierdziła Renata.

– Nie odważny tylko głupi! – krzyknęłam, nie zwracając uwagi na przechodzącego przez korytarz śmiałka. – Koniec z tym! – oświadczyłam, dopadając komputera. Wydrukowałam kilka kopii kartek z napisem: „Staff Only!” i powiesiłam je wszędzie tam, gdzie widok natrętów nie jest mile widziany.

\*\*\*

Tego dnia jak ognia unikałam Amerykanów. Pozwoliłam sobie na więcej swobody, gdy zanotowałam, że ponownie wyjeżdżają, opuszczając mój teren. Z utęsknieniem czekałam na wtorek, kiedy to nie będę musiała ważyć słów i uważać, by kogoś przypadkiem nie potrącić lub staranować koniem.

Wyszliśmy na ławeczkę ustawioną na werandzie wejścia frontowego, by wypić popołudniową czarną i białą kawę. Znowu przewinęło mi się wspomnienie wspólnego siedzenia z babcią. Za każdym razem mi się przewijało, kiedy tutaj siedziałam.

– Jutro znów obiad... – westchnęłam na zło konieczne.

– Nie chcesz ściemnić, że głowa czy coś? – nasunęła proste i często powtarzane przez siebie rozwiązanie Renata.

– Co? Że głowa mi odpadła? Bo do ojca tylko takie tłumaczenie by dotarło.

– No jasne. Dziewczyny jutro przychodzą? – zapytała.

– No właśnie chciałam im odpuścić, ale bardzo chciały przyjść. Nawet Tania dzwoniła zapytać, czy miałabym jakieś godzinki dla niej. – Pomyślałam chwilkę i dodałam: – Renia, a może jutro wezmę dziewczyny, a my zjemy sobie razem śniadanie, zaliczę ten nieszczęsny obiad i urządzimy ognisko majowe w altance dla gości? – zaproponowałam niedzielny scenariusz.

– Świetny pomysł! Poinformuję wszystkich gości i zajmę się organizacją. Część z nich wyjeżdża już w poniedziałek, więc na pewno się ucieszą na ostatni wieczór przy takiej atrakcji – zauważyła Renata.

– A część we wtorek... Więc i my świętujmy. – Roześmiałam się na widok mercedesów, których wjazd zgrał się z wypowiedzianym zdaniem.

– Dziś tylko na trzy godzinki wybyli – poinformowała mnie, patrząc na zegarek.

– Wystarczy, by zjeść kawior wykałaczką – zażartowałam, dostrzegając, jak specyficzna grupa wycieczkowa kroczyła w naszym kierunku, trzymając w dłoniach sportowe torby. Z pełną sobie ignorancją zaczęłam jeździć palcem po ekranie smartphona.

– Na co im te torby? – Spoglądała badawczo w ich kierunku. – Gapił się na ciebie – dodała, lojalnie mnie informując, że wzrok Adama był skupiony na mojej osobie.

– No i? – bąknęłam.

– No i nic... Po prostu ci mówię, że gapił się na ciebie.

– Kurwa, super. Gapił się i co? – zapytałam poirytowana na niewarte uwagi stwierdzenie.

– Może ma ochotę... – przeciągała koniec wypowiedzi – ...na oryginalną śmierć? – Zaśmiała się chyba z przygłupiego wyrazu mojej twarzy.

– Brałaś coś? Jeśli tak, to zmień dawkę – oświadczyłam wcale nierozbawiona dzisiejszym zdarzeniem i wróciłam do środka, słysząc jeszcze jeden komunikat z jej ust:

– Zadzwoń, do któregoś z tych byczków i powiedz, że ich catering właśnie przyjechał!

Michael

Michael pozwolił chłopakom na odrobinę sobotniego luzu z whisky w pokoju wypoczynkowym przy jadalni. On sam popijał medyczny eliksir i z utęsknieniem spoglądał na kryształowe szklaneczki z bursztynowym trunkiem.

Siedząc wygodnie na narożniku, obserwował, jak chłopaki wesoło pogrywają sobie w bilard. Zastanawiał się, dlaczego tak naprawdę nie zareagował na pędzącego w jego stronę konia. Realnie mógł zginąć i nie potrafił wytłumaczyć braku swojej reakcji na zagrożenie. Czy był aż tak pewny, że nic mu się nie stanie? Czy to może był jakiś rodzaj pociągającej rosyjskiej ruletki z koniem w roli głównej? Coś wewnątrz kazało mu stać i czekać. Czekać na kolejny pstryczek w nos od śmierci. W tamtym momencie nie myślał o konsekwencjach. Może był to wrodzony pociąg do zagrożenia? Może to dzikie powietrze wyzwoliło w nim niezgłębioną tajemnicę? Może to fascynacja tym rozpędzonym nieposłusznym zwierzęciem, którego pierwiastek sam czuł w sobie? A może to ona i jej upór, by okiełznać czarnego potwora? – Równie zuchwała jak piękna. A w zasadzie, dlaczego z coraz to większą ekscytacją czeka na tłumaczenia nagranych rozmów przez swojego szpiegowskiego kompana?

Szybko odsuwał od siebie natrętnie napływające i niechciane pytania, lecz im bardziej odsuwał, tym więcej z nich pozostawało bez odpowiedzi. Sumarycznie wytłumaczenie historii z koniem znalazł jedno – leki od lekarza były za silne i skutecznie usypiały czujność oraz sny, których od pewnego czasu również nie miał.



## Rozdział 15

Nędzówka – Zakopane

Majka

Zanim zesłam na śniadanie z przyjaciółką, tradycyjalny zestaw składający się z krótkiej czerwonej spódnicy i finezyjnej białej bluzki z przeznaczeniem do pracy, zamieniłam na luźną czarną, zwiewną bluzkę na guziki włożoną za pasek jasnych dziurawych Levisów. Przez chwilę same mogłyśmy poczuć się jak goście, zajmując podwójny stolik tuż przy tym codziennie okupowanym przez Amerykanów. Celowo przyszłyśmy wcześniej, przed dziewiątą, by ominąć ich towarzystwo.

Przychodzili zawsze w pół do dziesiątej, jakby wiedzieli, że pozostali goście załatwiają poranną potrzebę głodu wcześniej niż oni. Mnie natomiast już nie przeszkadzała obecność innych gości. Mimo ciągłych górskich spacerów byli sympatyczniejsi, zadowoleni i wypoczęci.

Aura weekendu majowego tego roku była naprawdę udana, co tłumacząc na nasz język – bez deszczu i nagłych zmian pogodowych. Przekładało się to na aktywne wykorzystywanie czasu przez większość klientów. Uśmiechnięte twarze kończących śniadanie gości, mimowolnie przyklejały do mojej twarzy pogodny uśmiech. Dziś nie planowałam biegu po śniadaniu. Oczyszczanie się było bezsensowne przed obiadem u rodziców. Intuicja natomiast podpowiadała mi, że dzisiejszy bieg po obiedzie moje mięśnie zapamiętają na długo.

– Wszyscy już wiedzą o ognisku. Koło ośmiu osób już potwierdziło obecność – powiedziała zadowolona Renia.

– Floryda też wie? – dopytałam, przeżuując bułkę z malinowym dżemem.

– Powiedziałam temu małemu w okularach. Jak mu jest? – Spojrzała pytająco.

– Mike – odpowiedziałam bez namysłu, chwając się dobrą pamięcią do każdego imienia aktualnego gościa w pensjonacie. – Dziwny jest, co nie? Odstaje od reszty. Nawet razem nie jedzą... – podzieliłam się z nią własnym spostrzeżeniem.

– On wydaje się taki... taki... no nie wiem, jak to powiedzieć. Zamknięty?

– Bardziej przestraszony – stwierdziłam stanowczo.

– Te dwa łyse pawiany w sztywnych garniturach gniotą się z nim w pokoju, kiedy mógłby swobodnie mieszkać sam w piątce, w której jest tylko stos bagaży. – Renia wysunęła kolejne spostrzeżenie. – Oni też niewiele mówią. Śmieją się tylko z tego, co ci z jedenastki i dwunastki mówią i przytakują im jak chińskie pieski – dodała, popijając kawę.

– Renia, a może on potrzebuje pomocy? Może został porwany? Widziałam jego oko, pierwszego dnia na śniadaniu... – Zaniepokoiłam się wizją mieszkania z porywaczami pod jednym dachem.

– Co ty, Majka! Myślisz, że nie próbowałby uciec lub poprosić o pomoc, gdyby mu coś groziło? Przecież płacze się bez ich towarzystwa – zaznaczyła, a jej racjonalne myślenie skutecznie odsunęło moje filmowe scenariusze.

– O wilkach mowa... – Renata przewróciła oczami, słysząc kroki stada zmierzającego po schodach.

Pospiesznie przestawiłam swoje krzesło, ustawiając się plecami do ich stolika, i sprawnie zajęłam naturalną pozycję śniadaniowego relaksu.

Niedoszły samobójca z zabójczym wzrokiem skierowanym na mnie, Bob, Rick, Peter,

Leon i wąty ogon – Mike, weszli jeden po drugim. Z czego mały poszedł dalej, by zająć swoją pozycję bliżej kuchni.

– Dzień dobry – powiedział Bob, łysy klient z jedenastki, a za nim reszta bąknęła niewyraźne przywitania.

– Dzień dobry – odpowiedziała po angielsku najpierw Renata, a następnie ja, nawet się nie odwracając.

Dzisiejszy dzień rozpoczęli z szefem, który poprzednio dołączał w dresie, wracając prosto z porannego biegu. Dziś wyglądał odświeżenie. Ubrany w czarne garniturowe spodnie i czarną koszulę współgrającą z opalenizną przywiezioną z Florydy. Poczułam się jak pasażerka zajmująca miejsce tuż obok biznes klasy w samolocie. Tak bliskiej, by poczuć zapach drogich perfum dobiegający zza cienkiej ścianki, a zarazem tak dalekiej, by nie móc samej trzymać ich w dłoniach.

Ponakładali swoje porcje i jeden po drugim wrócili na swoje miejsca.

– Uprzejmie melduję, że znów zerkał w twoją stronę – poinformowała Renata mająca idealne miejsce obserwacji. – Ależ on wygląda! Nałożył sobie łyżkę twarogu, pieczywo razowe, paprykę i pomidora – dodała zachwycona widokiem.

– Renia? – zapytałam.

– Co? – Zrobiła zdziwioną minę.

– W dupie to mam... – odpowiedziałam z uśmiechem ściszonego głosem, mrużąc oczy i unosząc brwi.

Nagle usłyszałam, jak chłopcy przerzucili się na portugalski, skrzętnie rozkręcając swoją rozmowę. Czasem jednak dobrze nie ujawniać się na starcie. Zostało mi tylko nasłuchiwać w celu wychwycenia dobrego tematu.

– Bob... Zdaje się, że masz większe szanse u tej ciemniejszej lesby, bo blond dupa cię całkowicie zlewa – powiedział Rick, na co pozostali dwaj wybuchnęli czkającym śmiechem.

– Majka, zamyśliłaś się... czy słuchasz, o czym mówią? – zapytała badawczo Renata, na co wykonałam uciszający ją gest, robiąc ustami dziubek i nasłuchując dalszego ciągu porannego ćwierkania.

– Dooobra... zerknę, jak dziewczynom idzie w kuchni. – Puściła mi oczko i wstała. Wyjęłam telefon, udając wędrownkę po facebookowym świecie.

– Brałbym ciemną... – kontynuował portugalską rozmowę Rick komentujący tyły znikającej w kuchni Renaty. – Oj tam, Bob... Bądź wierny swoim dziwkom, bo jak im powiem, że mierzyłeś do polskiej blond lesbijki, to podniosą ci stawkę! – dodał, niebawale rozśmieszając tym kolegów.

– Dla niej to bym nawet z nich zrezygnował... – westchnął Bob na kąśliwe dowcipy kolegi.

– Kurwa... tylko na jak długo... – wtrącił Michael.

– To podbijaj. Chętnie się pośmiejemy – podpuścił go najbardziej małomówny z całej szóstki.

– Może jakiś drobny zakładzik na początek? – zaproponował Rick, zapalając do walki Boba.

– Niby jaki? – zapytał główny zainteresowany.

– Zaproponuj kawę. Albo nie! Romantyczny spacer na początek! – podsunął drugi z szóstki.

– Jak się zgodzi daję tysiaka – powiedział Rick.

– Ja drugiego – dodał Peter.

– Trzeci! – dołączył Leon.

- Plus dwa ode mnie – podbił spokojny o stawkę Michael.
  - Pięć patyków piechotą nie chodzi... – Bob szurnął krzesłem, wstając.
  - *Vamos! Solte o seu touro...* – rzucił słowa otuchy Rick.
- Dalej! Wypuść swojego byka...? Co za typy.*

Bob stanął tuż obok mojego krzesła i zaznaczając swoją bliską obecność chrząknięciem, poprosił o uwagę. Udałam mocne zaskoczenie i podniosłam głowę, robiąc zdziwioną minę.

– Yyy. Cześć – zmienił język na angielski.

– Cześć? – zapytałam ze stwierdzeniem w głosie. Miałam świadomość nastania grobowej ciszy za swoimi plecami. Teraz musiałam okiełznać skupione oczy śmiałka na mojej osobie.

– Zgodziła byś się może... Yyy... Na spacer? Pokazać mi okolicę? Czy coś? – dukał wyraźnie zestresowany kontaktem ze mną, a jeszcze bardziej przestraszony bardzo prawdopodobną odmowną odpowiedzią. Prezentował się wręcz komicznie. Przerośnięty, twardy i groźnie wyglądający facet czekał ze skruszoną, pełną słabości twarzą jak uczeń na dywaniku u pani dyrektor przed wyrokiem kozy. Popatrzyłam na niego, dławiąc w sobie nadchodzący jak erupcja dymiącej Etny śmiech. Przeciągnęłam chwilę odpowiedź, obciążając tym samym mięśnie własnej przepony.

– Z miłą chęcią pójde z tobą na spacer – odpowiedziałam w końcu głośno i wyraźnie, by utrzeć nosa kolegom za plecami. – Jutro – dodałam z niewinnym uśmiechem, upuszczając nieco wzbierającego od środka ciśnienia.

Mięśniak uśmiechnął się jak dziecko, eksponując szlachetną licówkę i nadal niedowierzając temu, co przed chwilą usłyszał. Złote zęby nie były zakatalogowane w moim guście. Niestety – dla niego. Odprowadziłam go wzrokiem do stolika, rozbawiona tym, jak dumnie napinał klatę w geście zwycięstwa. Dostrzegłam tylko, jak brew na podejrzliwej twarzy Adamsa się uniosła.

– Gotówka może być – oświadczył w portugalskim Bob, z pełną satysfakcją w głosie, na co żaden nie odezwał się już słowem.

\*\*\*

Miałam bardzo złe przecucia, przyjeżdżając do domu rodzinnego na obiad. Mimo to weszłam do jadalni i zauważyłam puste krzesło Szczepana. Nie przejęłam się tak, jak nikt nie przejął się moim przyjazdem. Pokornie zajęłam swoje miejsce pod oknem, mówiąc ciche „dzień dobry”, na które nikt prócz mamy nie zareagował. Aneczka siedziała między ojcem a Grześkiem, zabawiając prawie już teścia opowieścią o zwarzonym kozim mleku. Grzesiek rozmawiał z Maćkiem o zamiarze wymiany samochodu po ślubie. Takie tam rodzinne pierdolety.

– Dawać ten polywke<sup>89</sup>? – zapytała mama, patrząc na ojca Tadeusza, jakby to wymagało jego zgody.

– Pockamy na Scepana – zarządził troskliwy tatuś.

Gdyby rzecz dotyczyła mnie, bez wahania powiedziałaby odwrotnie. Zresztą już tak bywało, że spóźniałam się na sztywną trzynastą. Czasem nawet jeśli było przed godziną „0”, a byli wszyscy, to bez krępacji zaczynali beze mnie. Życie rodziny Goclonów rządziło się własnymi prawami, a moje były od zawsze ograniczone.

Gdy w końcu zjawił się Szczepan, obiad nabrał rozmachu. Obserwowałam ojca, braci i Ankę zajmującą coraz to wyższy stopień w hierarchii rodzinnej. Pomijanie mojego istnienia było na porządku dziennym i nawet zaczęło mi to odpowiadać. Tylko wzrok Szczepka siorbiącego zupę budził moje skryte obawy.

*Skończy się jak zawsze, pomyślałam, zlewając z wazy resztę rosółu z kaczki.*

– Kto kce jesce polywki? – zapytała krzątająca się od kuchni do jadalni mama. – Maja, ty kces? – dopytała osobowo.

Chociaż ona jedna dostrzegła moją obecność, mimo iż czuła za to wzrokowe besztanie męża.

– Nie, mamu. Dzięki. – Przytaknęła i mnie jako pierwszej podała drugie danie złożone z kaszy i duszonej potrawy drobiowej.

Nie uszło mojej uwadze, z jakim obrzydzeniem Anka popatrzyła na mój talerz i przeniosła od razu wzrok na tatusia.

*Oj, Aneczko, doigrasz się.*

– Anuśka, zebyś mi sie takich specyfików nie chytała – przemówił nagle Tadeusz do synowej po otrzymaniu jej sygnału wzrokowego.

Długo nie wytrzymał w ciszy. Nie wiadomo, czy tak naprawdę sprowokowało go podanie obiadu mnie pierwszej, jego dietetyczność czy może fatyga matki w gotowaniu czegoś tylko dla mnie. Anka podbudowana stronnictwem teścia rozpromieniła się jak silos owsa w słońcu.

– Takie jadło siły nie daje – wyznała Anka, na co niekontrolowanie prychnęłam śmiechem, wypluwając część kaszy z ust na talerz.

Maćka chyba również rozbawiło stwierdzenie Anki, a jeszcze bardziej moja reakcja. Moja szwagierka klasycznie poczerwieniała, a ojciec gniewnie wytarł reszkę rosołu z rumcajsowskiej brody. Co najmniej jakby czerwień na jej twarzy była groźną chorobą wywołaną moją osobą.

– Gdzie twojo wrodzono kultura? – zapytał Szczepan, zyskując w oczach wkurzonego Grześka.

– Tam, gdzie kończy się twoja, kochany bracie... – odparłam kpiąco. Sam mówił o „sacunku w rzyci”, to tam niech i kulturę znajdzie.

– Ty pieklicio<sup>90</sup>... das Ance wrescie spokój?! – zapytał gniewnie Grzesiek.

– A co ja jej takiego powiedziałam?! – oburzyłam się z pretensją, patrząc na Grześka niewinnym wzrokiem.

– Lubis jej kiepkować<sup>91</sup>! Zazdrościs jej wesela cy chłopa? – Grzesiek zaczął wywody z grubej rury.

– Tak, Grześku, bardzo zazdroszczę! – odpowiedziałam z całą mocą ironii skumulowanej w sobie.

Powinnam jeszcze dodać, że zazdroszczę jej dodatkowych czterdziestu kilo, niskiego wzrostu, rudych przesuszonych kłaków i gadulstwa. Nie wiem, czy nie wolałabym jechać na mojej czarnej klaczy bez siodła i kasku, niżeli wyobrazić się w roli Grześka na Ance.

– Fnet<sup>92</sup> moze Marek zaspokoi twoje zazdrości, bo ma wase zaprosenie na wesele. Jak dobrze z nim zahulasz<sup>93</sup>, to sie moze wnet<sup>94</sup> ochłopi<sup>95</sup> – skwitował zuchwale, zaciskając szczęki Grzesiek.

– Oświadczam ci w tym miejscu, że jeśli mam przyjść jako jego osoba towarzysząca, to odmawiam zaszczytu bycia waszym gościem... – wyartykułowałam resztkami spokoju i ze spiętymi mięśniami.

Zauważyłam, jak w tym momencie do twarzy ojca siedzącego obok „Anki-czerwona twarz”, również napłynęła krew w reakcji na to, co usłyszał.

– Mos! – Grzesiek po wariacku rzucił kopertą wyjętą z kieszeni, która prawie wpadła do mojego talerza.

*Cham i prostak!*

– Dziękuję! – odparłam zadowolona, że jednak brali pod uwagę odmowę.

– Mozes przyjść z Renatą – dodał Szczepan. – Skoro razem się kąpiecie, spicie i ino Pambóg<sup>96</sup> wie, co jescie razem wyrobicie... – skończył, wylewając całe wiaderko pomysł ostatnich dni.

– Co ty pieprzysz, Szczepan?! – Zacisnęłam palce na trzymanym nożu i przysięgam, że miałam ochotę rzucić nim w jego stronę.

– Jak to co? Zapomniałaś już, jak zeście kuśki<sup>97</sup> mocyły, kiedy was nakryłem w czwartek?!

– Lecz się, ty nieudolny idioto! – krzyknęłam w jego stronę. – To nie wanna tylko jacuzzi, a śpi u mnie w pokoju, bo jej rodzice sprzedali dom!

– Dość! Zamknij jadacke<sup>98</sup>! Diabli by cie wzieni, ze taki wstyd rodzinie robis! – przerwał nam kłótnię ojciec, który gwałtownie wstał, uderzając pięściami o stół, aż widelce zabrzęczały, uderzając o talerze. Jego przyspieszony oddech nie wróżył niczego dobrego, a jedynie wybudził mój uśpiony lęk przed tego typu ojcowskim gniewem.

– Taaak? A jemu już nic nie powiesz o pijaństwie i poniewieraniu klientami? – zapytałam z niepełną śmiałością, by chociaż odrobinę podzielić się tą wrogą emocją, wskazując na Szczepana.

– Zamknij się! – wyrzeszczał ojciec. – Dość mom i ciebie, i tego, ze robis syćko na odwyrte<sup>99</sup>! Dość! Marka mos zalubić<sup>100</sup> i przyjońć na kawalyrke<sup>101</sup>!

*To się podzieliłam.* Nastawiony bojowo jak nastrzyknięty kogucik, patrzył rozszrożony na mnie, zaciskając zęby i mrużąc oczy.

– Opacnioku<sup>102</sup> nieusuchliwy... Mas se układać zycie po mojemu albo WON z chałupy! – wrzasnęła ponownie, wskazując palcem drzwi.

*Won?* Wstałam oszołomiona, zabierając kopertę z zaproszeniem. Czułam napływające łzy krzywdy, wymieszane z uczuciem publicznego upodlenia.

*Ile ja mam lat, żeby mnie tak traktować?* Rozglądnęłam się po tych wszystkich zadowolonych z mojego stanu facjatch, myśląc jednocześnie, co robić. Jedyne, co mogło pozwolić mojej dumie usiąść ponownie, była zasmucona twarz matki pokryta czarną melancholią. Nie. Podjęłam decyzję. Rozsądnym wyjściem z tego błędnego koła – było wyjście drzwiami. Ruszyłam w stronę drzwi, nie kończąc obiadu.

– Żegnam – powiedziałam krótko, nie łapiąc kontaktu z nikim.

– Do wesela mas cas na namysłunek<sup>103</sup>! Do tego casu... nie kce cie tu widzieć! Haj<sup>104</sup>! – zakomunikował jeszcze raz w moją stronę, nim zdążyłam zniknąć mu z pola widzenia.

\*\*\*

Wracałam do Jagody wściekła, upodlona, poniżona i zwyczajnie pod negatywnym wrażeniem wyrachowania, w jakim się specjalizowała moja rodzina. Nie miałam zamiaru tym razem odpuścić. To zaszło zdecydowanie za daleko w stronę ruchomych piasków. Im bardziej walczyłam, tym bardziej mnie wciągały.

Tuż po wczesnym powrocie musiałam opanować mimowolnie płynące łzy. Nie mogłam w takim stanie wejść do środka, mimo iż byłam pewna, że Renata zauważyła mój przyjazd. Poszłam do stajni, gdzie obecność koni działała kojąco, wyciskając mimowolny odruch płaczu. Słyszając kręcącego się koło stajni Zenka, pobiegłam do altanki, gdzie przygotowany już kopczyk drewna czekał na wieczorne ognisko. Bez namysłu usiadłam na ławce, nie notując nawet czyjejs obecności. Wsparłam łokcie o kolana, chowając zapłakaną twarz w dłoniach. Musiałam dać sobie chwilę, by swobodnie wrócić do pokoju, zmienić strój na sportowy i zafundować sobie katorżniczy wycisk w lesie.

– Ponoć papierosy pomagają – odezwał się ktoś znajdujący za moimi plecami, tuż przy wejściu do altanki, gdzie wysokość podmurówki pozwalała siedzącemu na ławce oprzeć plecy

o kamienie.

*Ja jebię, jeszcze tego tu brakowało.* Chciał mnie poczęstować swoją magnacką fajką, by złagodzić nerwy ekstraktem swojej uprzejmości. Faktem było, że kompletnie mnie zaskoczył swoją obecnością. Bez odwracania wyprostowałam plecy, w popłochu ocierając mokre ślady na twarzy.

– Dzięki, nie palę – odpowiedziałam do bufona z dwunastki. – Mam swoje sposoby. – Wstałam, nie ciągnąc rozmowy, i poszłam zmienić ciuchy.

Przemykając jak kot do pokoju, kątem oka zauważyłam Renię w recepcji. Bystra była i mnie rozumiała. Na pewno uznała, że nici z jakiegokolwiek rozmowy, nim nie wrócę z „oczyszczalni”.

Michael

W niedzielę Michael nie biegał. Nie wyjeżdżał na siłownię. Spędzał czas po prostu na nicnierobieniu, obserwując z balkonu ewentualny ruch koło stajni i altanki, w której raz po raz pojawiali się goście. Przewijał wspomnienia dotyczące wyraźnie podenerwowanego kroku dziewczyny znikającej w stajni. Pozwolił sobie na ogląd sytuacji z bliska, lokując się w osłoniętym brzegu altanki. Nie spodziewał się aż tak bliskiej analizy, gdy dziewczyna wpadła do jego obserwatorium, nawet go nie zauważając. Tajemnicze wydarzenie sprawiło, że widział, jak siedziała odwrócona plecami, chowając zapłakane oczy. Mógł tak siedzieć bez słowa i obserwować, jak się uspokaja, lub wymknąć się, nie dając znaku swojej obecności. To było bardziej w jego stylu. Ale nie zrobił tego, a zaproponował niepalącej kojącego nerwy papierosa. Czy miał nadzieję sprawdzić się jako psychoanalityk? Widocznie tak, lecz źle rozpoczął rozmowę. To tak, jakby negocjator policyjny powiedział do stojącego na krawędzi wysokiego budynku: *Może papieroska na złagodzenie nerwów? Ja nie palę, ale kolega ma tam... na dole.* Dziewczyna poderwała się jak spłoszona sarenka do bezpiecznego miejsca bez gapiów, by pięć minut później przemknąć obok altany jak zjawa w getrach i z czarną czapką z daszkiem w stronę lasu. Michael popatrzył na zegarek i skupił wzrok na okrążanej przez nią łące, a następnie popatrzył na luki między drzewami, gdzie błyskawicznie stracił ją z oczu. Wrócił na górę, by spokojnie obserwować kończący się dzień nad polaną pod lasem. Raz po raz zerkał w oddalone skupisko choinek zasłaniających widok pędzącej dziewczyny i altany, wkoło której z każdą minutą przybywało więcej ludzi. Było po osiemnastej, gdy postać kobiety wybiegła z lasu, kierując się w stronę pensjonatu. Trzy godziny. Zauważył.

Majka

Biegłam w stronę pensjonatu, czując ogromną ulgę mimo oswojonego już palącego bólu mięśni. Dziś również pobiegłam wyżej, dokładnie w ten sam punkt co ostatnio, lecz tym razem nie dałam się spowolnić wzniesieniu. Biegłam z całą siłą złości, jaką chciałam wyrzucić z głowy. Gdy zobaczyłam Renię krzątającą się z Zenkiem przy ustawianiu ławeczek wokół wnętrza altanki, już przygotowany stół z kiełbaskami i stosem zastruganych patyków opartych o ławkę, przypomniałam sobie o ognisku.

– Majka, już miałam tam wysłać kogoś za tobą! Chociaż... Żaden wilk nie miałby odwagi cię zaatakować w takim stanie... – Przyglądała mi się badawczo, lecz z troską. Jako bratnia dusza domyśliła się, że był to efekt ciężkostrawnego obiadu. Zaskoczyła mnie swoim regionalnym strojem.

– Już jest dobrze. – Zdjęłam mokrą czapkę, by wytrzeć strugę potu z czoła.

*Jest? Czy nie jest?* Na pewno było lepiej niż tuż po obiedzie.

– Nie możesz tak wyglądać. Idź ogarnij się i wracaj. Mam małą niespodziankę –

dorzuciła.

\*\*\*

Wzięłam kojąco-chłodzący prysznic, zmywając poprzyklejane do nóg pozostałości leśnego runa. Zaplotłam luźnego warkocza i założyłam śniadaniowe ubranie, zakładając dodatkowo cekinowy gorset i czerwone korale, by dodać więcej góralskiego akcentu regionalnemu przedsięwzięciu Renaty. Tym bardziej, że ona również zdecydowała się na chwilową zmianę wyglądu, zakładając folkowy strój.

Przybywający goście wesoło rozsiedli się wokół płonącego ognia. Starsza para z dwójki i ich znajomi spod trójki. Małżeństwo z niemowlęciem spod czwórki i zakochani z siódemki. Przyszła również już nieco za wesoła grupka studentów z ósemki, dziewiątki i dziesiątki, by zakończyć frywolny wyjazd – po góralsku. Zrobiło się gwarnie i wesoło. Grupka studentów raz po raz śmiała się za głośno ze spadających z patyka w ogień kiełbasek. Starsi znajomi siedzieli i przeżywali swój osobisty sukces, jakim był wyjazd kolejką krzeselkową pod szczyt Butorowego Wierchu, a młode małżeństwo zaś walczyło z dzieciakiem biorącym sobie za cel wskoczenie do ognia. Renata uzupełniająca znikające kiełbaski stanęła na wysokości zadania, zamawiając tutejszy zespół do wygrywania wesołego brzmienia nut skrzypiec i basów. Zaskoczyła mnie tym pozytywnie. Starsi byli zasłuchani w klimatyczne góralskie rytmy, nawet nie zwracali uwagi na studentów zainteresowanych tylko kończącym się piwem i ciągle spadającymi kiełbaskami. Na moją prośbę, Pan Zenek przyniósł zamówiony u mistrza w swoim fachu zacny trunek – litworówkę<sup>105</sup>, by uszczęśliwić gości regionalną degustacją. Zenek poczuł klimat, wczuwając się nadto w rolę gospodarza ogniska i zaprezentował swoje niewyszukane przyśpiewki do skrzypiec.

*„Co jo sie nachodził po świecie, moj Boze,*

*zodne sie mi dziewce spodobać ni moze!”*

*„Pijcie chłopcy wódecke, bo wódka to biba,*

*kochojcie dziewcenta – pódziecie do niba!”*

Zasłuchana w krótkie i powtarzane jak niekończące się refreny przez Zenka rozbawiającego gości, zwróciłam uwagę na brak tych szczególnych, dla których rozrywka typu ognisko z kiełbaską i skrzypcami widocznie była znacznie pod poziomem jakiegokolwiek zabawy. Usłyszałam przecież co nieco na porannym śniadaniu. Dziwek jednak nie było w programie tej imprezy. Może i lepiej. Przynajmniej ich widok nie zmąci dobrze kończącego się wieczoru.

*„Ej nie siadoj, nie siadoj na nasej ławecce,*

*boś sie nie spodoboł mojej rodzinecce.*

*Ej, moja rodzinecka to takiego pragnie,*

*coby zatańcowo! i zaśpiwo! ładnie.*

*Ej, kcia!a by jo, kcia!a, ale nie takiego*

*– ładnego, zgrabnego chłopca górolskiego!”*

*Dojeba!eś mi, Zenuś, tą przyśpieweczka! na koniec... Zamiast mnie rozbawić, przypomnia! mi o ostatnich słowach ojca. Widząc moje zadumanie, Renata przeję!a pa!eczka! w pożegnaniu gości rozchodzących się do pokojów. Wysz!o na to, że sama zorganizowa!a i poprowadzi!a ognisko od początku do końca.*

*Już po wszystkim zosta!yśmy sam na sam ze sobą w atmosferze uciekających ku górze iskerek i ciszy przerywanej strzelaniem palonego drzewa.*

*– Chcesz pogadać o obiedzie? – zapyta!a, siadając obok i łapiąc mnie za d!oń.*

*– Stary klasyk... tylko robią się bardziej napastliwi. Na pierwsze danie Grzesiek chcia!, bym przysza!a na wesele z Markiem. Gdy odmówi!am, grożąc niepojawieniem się na weselu, da! mi... to znaczy rzuci! we mnie zaproszeniem. Drugie danie zaserwowa! Szczepan i zrobi! ze mnie... Z nas... lesbijki, a na deser ojciec wyrzuci! z domu, informując, że mogę wrócić, jeśli będzie tak, jak on chce. Szkoda słów. – Nala!am sobie bez krępacji wina do glinianego kubka z uchwytem.*

*– Przykro mi. – Zwiesi!a głowę, czując, że przyczyni!a się do tego.*

*– Co ty, Renia. Ich nie zmienisz. Szkoda się nad nimi rozwodzić – skończy!am temat, nie chcąc już dziś o nich myśleć.*

*– Idziesz spać? – Wsta!a i ziewnę!a. Nie dziwię się jej. Mia!a prawo być zmęczona.*

*– Idź, kochana. Zostanę tu jeszcze chwilkę... – westchnę!am.*

*Hipoterapia, hydroterapia, a teraz winoterapia.*

*Niewielka ilość wypitego wina zdawa!a się potęgować odg!osy świszczącego paleniska i wszechobecnych cykających świerszczy. Bijące z wnętrza rozżarzonego okręgu ciep!o miesza!o się z chłodniejszym podmuchem powietrza o żywicznym zapachu. Cisza, spokój i swoboda. Ściągnę!am sznurowane trzewiki i wy!oży!am obola!e stopy na pieńku, grzejąc je przy ogniu. Jak w transie patrzy!am w tańczące, weso!e płomienie, starając się nie myśleć o niczym...*

*– Bom resultado para uma mulher – us!ysza!am portugalski zwrot.*

*Właśnie zad!awi!am się spokojem. Nie zmieniając wygodnej pozycji z wy!ożonymi nogami, nie mia!am zamiaru reagować w tym języku.*

*– Proszę wybaczyć, ale nie znam portugalskiego – sk!ama!am, bez zajknięcia odpowiadając po angielsku.*

*– Powiedzia!em, że dobry wynik jak na kobieta!... Jeśli bieg!a pani trzy godziny w kierunku, w jakim widzę, że zmierza ten las... to jestem pod wrażeniem – odpar! klient z dwunastki, siadając naprzeciwko.*

*– Mierzy mi pan czas? – zapyta!am zaskoczona. – Myśla!am, że ludzie sukcesu nie zajmują się banalnymi sprawami i szmirowatą zabawą przy ognisku – doda!am, spoglądając nadal w stronę ognia i biorąc spory łyk purpurowego płynu.*

*Po co tu przy!az!?! Dla gości ognisko się skończy!o. Nie mia!am ani ochoty, ani siły na jakiegokolwiek k!ótnie czy dodatkową uszczypliwość. Gość gra! mi na nerwach, jednocześnie*



sprawiając, że tak naprawdę mi się to podobało. Nie jak z muzyką Disco Polo – denerwuje mnie, więc wyłączę. To było zjawisko typu – denerwuje mnie, więc pogłosisz i jeszcze dorzucę kilka bitów od siebie...

– Fakt. Nie lubię tłoku... Ale ruch jest mi bliski – skwitował uszczypliwą uwagę, odpalając papierosa.

– Sportowcy nie palą – skomentowałam od razu, widząc żarzącą się końcówkę tego gówna, które teraz czuć u mnie w pokojach.

– Ani nie piją. – Zawiesił wzrok na trzymanym przeze mnie kubku.

– To też fakt – przyznałam mu rację.

– Pytanie, czy biega się, by zdrowie zdobyć... Czy by je zachować... – Przyglądał mi się badawczo zza wirujących płomieni.

Nie powiem, by to spojrzenie nie miało na mnie absolutnie żadnego wpływu.

– A jak pan myśli, panie Adams? – odbiłam pytanie.

– Myślę, że to drugie... – odparł z niezrozumiałą pretensją do zaznaczonego przeze mnie oficjalnego „Pan”.

Zaskoczył mnie spostrzegawczością.

– A dlaczego pan tak myśli? – Mrużąc oczy, chciałam jednak usłyszeć odpowiedź.

– Widząc panią w stanie, w jakim była tu przedtem... A w jakim jest teraz...

– Proszę mi mówić po prostu... Maja – zaproponowałam ośmielona winem. – No... jak widać, nie jestem bardzo skomplikowana...

– W takim razie jestem Michael – rzucił wyraźnie zadowolony z manewru wymiany oficjałów na imiona.

– Chcesz słuchać o stanie, w jakim byłam? – Zaskoczył mnie nieco tor, na jaki zbaczała nasza rozmowa.

– A jest jakaś przeszkoda? – odparł oczywistym pytaniem, rozciągając mięśnie karku. Serio, pasowały mu te trwałe wzory wystające ponad czarny kołnierz koszuli. Zawsze miałam słabość do tatuażu na męskich ramionach, plecach, piersi... Ale ten... tajemniczo piął się spod koszuli na szyję. Wino nie chodzi w parze z obiektywną oceną sytuacji.

– Oprócz tej, że jesteś dla mnie obcym człowiekiem, co więcej... klientem poznanym zaledwie kilka dni temu... to żadnej nie ma. Jednak poza jedną... Ja nie mam w zwyczaju zwierzać się wszystkim dookoła – wyjaśniłam, patrząc mu w czarujące czarne oczy przecięte szalejącymi płomieniami.

– A czemu by nie? Jak już zauważyłaś... Nie zaszkodzę ci, bo cię nie znam. Nie mam powodu wykorzystywać informacji. We wtorek zmieniam hotel... Zniknę jak te latające nad ogniem iskry i jak wszystko, co mi możesz powiedzieć. Czasem łatwiej się wygadać komuś obcemu niż bliskim. Możesz powiedzieć mi wszystko. Nawet łącznie z tym, co myślisz o mnie. Nie jestem obraźliwym osobnikiem, a wręcz cenię szczere, nawet negatywne opinie na swój temat... – podsumował, bawiąc się w terapeutę.

Zdumiona spojrzałam na jego, jak to mówi Zenek, „zacną” twarz rozjaśnioną płomieniami.

– Hmm... – wydobyłam z siebie jedynie krótki dźwięk.

*Chcesz posłuchać, to posłuchasz, ale w moim języku*, pomyślałam.

– W zasadzie czemu nie – stwierdziłam, zwilżając usta językiem przed słownym maratonem i po prostu zaczęłam wypowiadać na głos wszystkie swoje myśli.

Wyglądał, jakby raczej miał nadzieję na anglojęzyczne zwierzenia.

– Żebyś widział teraz swoją minę, cwaniaku... Na szczęście polski to dość trudny język, więc mam pewność, że nic nie zrozumiesz. Skoro chcesz posłuchać, to... Urodziłam się

w rodzinie, w której całe życie miałam pod górkę. Ojciec mnie nienawidzi za sam fakt posiadania córki. A poza tym jest wyznania, że skoro dał mi to życie, to może nim zarządzać jak wszystkim dookoła. A ja... Nie robię tego, co on chce, nie wychodzę za mąż, za kogo on chce i generalnie nie pasuję do stada. Dla niego liczą się tylko moi wredni bracia, pensjonaty, pieniądze i góralskie wymiany dzieci na nieruchomości jako lokowanie swoich tradycji... Zaczęło się niewinnie... Prowadziłam pensjonat, w którym zresztą miałeś pierwszą rezerwację. Ojciec zamienił mnie z bratem. Przekazał mi to miejsce, które jeszcze w styczniu było ruiną stworzoną przez Szczepana. A wiesz, dlaczego to zrobił? By zbliżyć mnie do mężczyzny, za którego zaplanował mnie wydać i który teraz mieszka nieopodal, i któremu byłam obiecana, odkąd zaczęły mi rosnąć cycki... I gdyby nie moja przyjaciółka Renia, której rodzice sprzedali dom i wyjechali, zostawiając ją tu ze mną... Nie dałabym rady. Tak jak nie dałabym rady bez codziennego biegania w miejsce, które znalazłam w lesie. Dzięki tym dwóm darom jeszcze się utrzymuję na powierzchni... rozumiesz? Nie? To bardzo mi przykro... Ale prawda jest taka, że mam tylko ją i las. Jest mi najbliższą osobą na ziemi... Powiem ci więcej... Bo widzę, z jaką uwagą słuchasz... Płakałam dziś, bo brat, który się niebawem żeni, potraktował mnie jak kartę przetargową, lokując mnie w miejscu osoby towarzyszącej na ślubnym zaproszeniu Marka. Odmówiłam, grożąc swoją nieobecnością i... rzucił mi zaproszenie jak psu zabawkę. Ojciec się wściekł, a po chwili było tylko gorzej. Jakby tego było mało, brat Szczepan zrobił ze mnie lesbijkę przed rodziną, a ojciec wyrzucił mnie z domu, dając ultimatum co do potencjalnego męża. Ma być tak, jak on chce, albo won. Tak. To są jego słowa. Małżeństwo albo wieczne potępienie... Co byś wybrał? Nie tak jak moja druga przyjaciółka – Kaśka. Ona pokornie wyjdzie za mojego brata Szczepana tylko dla interesu i względnie dobrego wyglądu męża... Popierdolone, co? Mam być gorsza od jebanych pstrągów i płynąć z prądem? O nie... Nigdy nie zbliżę się do kogoś bez uczuć. Przeszarżałe, ale naiwnie wierzę w miłość... Pewnie byś mnie wyśmiał, gdybyś rozumiał, o czym mówię. I nawet przyznam ci rację... Faktycznie, lepiej mówić o swoim życiu komuś, kogo się nie zna... Spokojnie, nie patrz tak na mnie... Ciebie też nie poznam, bo mój jebnięty brat urządził ci mało profesjonalne powitanie akurat wtedy, gdy urządziłam przyjaciółce kojący relaks po zerwaniu, jak się okazało z bratem! Tak. Takie rzeczy tylko u nas... Nie wiedząc, zaręczyła się z własnym bratem! Myślę jednak, że jeszcze trafi na kogoś odpowiedniego... A jeśli już o tym mówię, to jesteś zajebistym słuchaczem... i to całkowicie w moim typie. Przeglądałam ci się w kuchni. Kiedy stałeś tak blisko... Żebyś widział wtedy nasze miny... Jesteś taki... tajemniczy i przystojny. A bonusem są twoje zmysłowe czarne oczy i te tatuaże, którym przyjrzałabym się z chęcią nieco bliżej. Śmiem stwierdzić, że nawet z tą blizną wyglądasz tak... hmmm... apetycznie. Byłabym nawet skłonna się w tobie zakochać... Oczywiście, gdybym cię bardziej poznała. Nie zapędzajmy się... Ale akurat na tym się nie znam. Bo nigdy nie kochałam, a nawet z nikim nie spałam... To nieistotne. Póki co, jesteś dla mnie aroganckim typem zadufanego, rozpieszczonego dupka, który wszędzie włazi bez pytania i emanuje przesadną wyższością i zgubną pewnością swojej siły. Jak wtedy gdy wlałeś pod konia, omal nie tracąc życia... Co to, kurwa, było? To moje zdanie, ale ty o mnie możesz mieć inne. Możesz być uprzedzony do Polaków lub po prostu mogę ci się nie podobać. Pewnie nie możesz się odgonić od dziwek, o których rozmawialiście na śniadaniu. A! I z twoim kolegą umówiłam się tylko po to, by utrzcć wam te zadarte nosy... Bo na koniec muszę ci się jeszcze do czegoś przyznać... Tak jak nie jestem lesbą, tak doskonale rozumiałam twoje portugalskie słowa z brazylijskim akcentem, gdy wchodziłeś do altanki... I każde jedno dzisiejszego poranka. Studiowałam przecież... Ale skąd masz to wiedzieć. I wiesz co jeszcze? Zaraz zrobię tak, że ty również mi się zwierzysz ze swojego życia. Trochę nieczysto gram, ale obiecuję, że twoje słowa odfruną, jak ty to powiedziałeś – jak te gasnące iskierki... Zabawmy się przystojniaku... Zaraz twoja kolej –

skończyłam polskie wywody, z satysfakcją patrząc na lekki uśmiech mojego rozmówcy.

W życiu, nigdy i nikomu nie byłam w stanie pieprzyć takich rzeczy. Nowy typ zabawy bez konsekwencji.

– Faktycznie... lepsze to niż nasza katolicka spowiedź – podsumowałam na powrót po angielsku. – Twoja kolej – zachęciłam, patrząc mu głęboko w oczy. – No co tak patrzysz?! Spisałeś się świetnie jako słuchacz! Daj i mnie się wykazać w tej roli – powiedziałam, kierując wzrok w stronę ognia, by uniknąć demaskującego zrozumienia jego słów we własnych oczach. – Śmiało... Ja zwierzyłam ci się ze wszystkiego... A teraz ty... powiedz, co cię boli. Co czujesz i co myślisz... – zwodziłam kusicielskim tonem. To zawsze działało. Na każdego jednego.

– Dobrze – odparł bez wahania Michael, rozpoczynając swoje melodyjne brazylijskie wyznania. – Co mogę ci o sobie powiedzieć? To to, że mam trzydzieści trzy lata i jeszcze dwóch braci, którzy zostali w Tampie, by pilnować biznesu. Jakiś czas temu z pomocą starego przyjaciela musiałem się nimi zająć, gdy zamordowano naszych rodziców. Mimo iż nie rozumiesz, obiecaliśmy o tym nie mówić i tego nigdy nie wspominać, więc wybacź, że przejdę do późniejszych wydarzeń. Gdy zaczęliśmy budować nasze mafijne imperium na Florydzie, świat zaczął się zmieniać. Tak, blondyneczko. Nie jestem zwykłym przedsiębiorcą sprzedającym swoje batoniki karmelowe. Prowadzimy przemyt i handel paskudnymi substancjami, dla których niejednen oddałby życie i dla których niejednen już je stracił. Mam kasyna i legalne interesy, by pracować brudne pieniądze. Jestem bezwzględny w tym, co robię. Tak jak bezwzględny jest świat, w którym żyję. Jak myślisz? Czy zabicie człowieka sprawiłoby mi trudność? Odpowiem za ciebie – nie. W naszym świecie nie ma ani miłości, ani kompromisów. Ani płaczu po altankach. Jest natomiast bezwzględność, którą wymuszają wojny konkurencyjnych światów. Jeśli ty nie zabijesz – oni zabiją ciebie. Tak. Masz złamane serce? Pokłóciłaś się o pierdołę ze swoją dziewczyną? Czy ktoś powiedział ci coś niemiłego? Powiedz, dlaczego płakałaś, dziewczyno? Może się kiedyś dowiem... Minęło ponad trzy lata... od dnia, w którym straciłem kogoś, kogo kochałem. A nawet były to dwie istoty...Trzy lata żyłem bólem, pragnieniem zemsty i koszmarami tamtego dnia. Jeśli myślisz, że sny są bezpieczne, to nie są... Zemsta była priorytetem... Gdy nastał ten piękny dzień początkiem roku... Zabiłem winowajcę i jego syna, ale nieoczekiwanie sam oberwałem. Byłem w szpitalu dwa miesiące. Miałem niewielkie szanse na przeżycie... I po raz kolejny uciekłem śmierci. O ironio, postrzelili mnie w wątrobę, więc nie mogę pić... A uwierz, chętnie dodałbym sobie odwagi tym trunkiem, który teraz pijesz, bo może wtedy bez gierki odpowiedziałabyś mi po angielsku, dlaczego po trzech latach... zacząłem interesować się tym, co mówi do mnie obca kobieta. Przez ten cały czas nawet żadnej nie przeleciałem... i nagle pojawiłaś się TY, zwracając moją uwagę na starcie... Jasnowłosa piękność z niewinną twarzą, która nijak ma się do swojego charakteru. Dziewczyna, która patrząc głęboko w oczy, miała odwagę wyrwać papierosa i odpyskować człowiekowi uchodzącemu za najbardziej wpływowego w stanie Floryda. Ale przecież tego nie możesz wiedzieć... Podobają mi się to, że w tak drobnym ciele... jest ogromny upór i doza nęcącej kęśliwości. Imponujesz mi... I niebezpiecznie kusisz, dziewczyno... Przykro mi teraz spoglądać na twoje pyskate usteczka na wyjątkowo ładnej buźce... i popatrzeć szczerze w niebieskie oczęta, mając świadomość, że w kieszeni moich spodni jest magiczne urządzenie, które zarejestrowało wszystkie twoje zwierzenia. Po porannym biegu pójdę dać popracować trochę swojemu poczciwemu polskiemu tłumaczowi w okularkach, by nieco zaspokoić swoją wzbierającą ciekawość... Tak jak po waszym babskim spotkaniu na dole i po każdej zasłyszanej pogaduszce w innych pomieszczeniach. Jutro udam, że nic o tobie nie wiem, siadając plecami do twojego weneckiego lustra w stołówce, które budzi moją tęsknotę za BLACK... Nie powiem ci tego teraz... bo wyglądasz na zmęczoną. Trochę brutalne, prawda? Ale to jest mój świat.

Obserwuj. Nasłuchuj. A przeżyjesz... Muszę ci przyznać, piękna istoto, że patrzy mi się na ciebie równie dobrze, jak oddycha mi się waszym powietrzem... – Odpalił kolejnego śmierdziucha i mocno się zaciągnął. – Jak ci się podobało moje życie? – zapytał, cały czas spoglądając na mnie. – Słuchałaś mnie w ogóle? – Uśmiechnął się szerzej nieświadom tego, co się właśnie ze mną stało.

*Nie tylko słuchałam, ja to, kurwa, zrozumiałam...* Gdyby teleportacja istniała naprawdę...

– Bardzo, bardzo... interesujące – siliłam się na żart, ale do śmiechu było mi jak do ślubu z Markiem. – Zdaje się, że jesteś dużo lepszym słuchaczem niż ja – odpowiedziałam, starając się nie okazywać swojej wzbierającej paniki.

– Widzisz? Jak iskierki znikają? – Skinął głową na płomień.

*No, kurwa, właśnie widzę... jebany kłamco. Żeby ci w oku zgasała...* Żałowałam, że moje niebieskie oczęta nie miały zdolności do zmiany koloru na czerwony.

– Chyba przesadziłam z tym bieganiem, bo jestem nieprzytomna – odpowiedziałam, biorąc buty i nawet ich nie zakładając skierowałam się do wyjścia. Czułam, że tracę grunt i właśnie straciłam kontrolę.

– Dobranoc, Michael.

– Dobranoc, Maja. Dzięki za wysłuchanie – dorzucił, widząc, że odchodzę.

\*\*\*

– Jaaa Pier. Do. Lę – mówiłam z politowaniem do swojego odbicia w łazienkowym lustrze.

*Nie pochwaliłaś się wcześniej portugalskim...To masz teraz.* On nie mógł wiedzieć tego wszystkiego. Był mordercą, który jeśli się dowie, że zakpiłam sobie z niego w taki sposób, po prostu zakończy mój i tak już marny żywot na tym świecie. Nie dość, że przyznałam się do życia prywatnego, wszystkich najskrytszych myśli i szczerych faktów o sobie, przyjaciółkach i rodzinie, to jeszcze fantazjowałam na temat jego osoby. Nabijając się wcześniej z purpurowej twarzy Anki, dopiero teraz poczułam na sobie znaczenie słów *karma wraca*. Moja twarz w tym momencie była nie lepsza. Czułam, jak ciśnienie zrobiło sobie trampolinę w moim wnętrzu, bo skakało jak oszalałe. Musiałam szybko coś wymyślić. Renata spała, a on miał zamiar biegać rano. Jeśli zostawi dyktafon, ukradnę. Jeśli zabierze ze sobą... Nie miałam planu na taką ewentualność...

## Rozdział 16

Nędzówka

Majka

O świcie, gotowa niczym do filmowej akcji włamania do pokoju Michaela, nasłuchiwałam z przystawionym uchem przy drzwiach swojego pokoju dźwięku zamykanych frontowych drzwi.

– Co ty robisz? – widząc, co wyprawiam, zaspana Renata podniosła głowę.

– Ciii... Reniu, wstaniesz odebrać towar? – zapytałam mocno zestresowana planowanym przedsięwzięciem ratowania własnej dupy.

– Jasne – odpowiedziała, patrząc ze zdziwieniem na godzinę i mnie, gotową już i ubraną.

– Co ty robisz? Dokąd idziesz?

– Nie mam teraz czasu ci tłumaczyć. Później ci powiem – wyszeptałam tylko, zachowując się jak szurnięta.

W końcu usłyszałam najpierw kroki na korytarzu, a następnie dźwięk zamykanych drzwi frontowych. Wzięłam swój kierowniczy pęczek kluczy i wyszłam z pokoju, kierując się na górę po schodach z gracją agentki CBS przed akcją, dorzucając lekkość w trzęsące się nogi. Czułam ogromny strach przed wchodzeniem do czyjegoś pokoju o tej porze. Tym bardziej, że przecież ktoś mógł mnie nakryć. Jeśli nie on sam, to goryle z apartamentu obok.

Stałam chwilę pod drzwiami, nasłuchując ewentualnego hałasu. Cisza. Kompletna cisza. Dobrze. Włożyłam delikatnie kluczyk do zamka, starając się z jak największą subtelnością palców przekręcić go w zamku. Otwierając drzwi, czułam się jak zwykła włamywaczka i potencjalna złodziejka.

– Zachciało mi się spowiadać jebanego gangstera – powiedziałam do siebie, jednocześnie karcąc się za to, co zrobiłam na ognisku.

Drzwi balkonowe w przestronnym salonie były otwarte, a w apartamencie wyczuwalny był chłód i zapach niedawno palonego tytoniu wymieszanego z zapachem męskich perfum. Woń tytoniu tym razem zeszła na drugi plan. Stawiałam delikatnie kroki, rozglądając i kierując się do wnętrza, jednocześnie wyglądając wczorajszej garderoby. Skręciłam do sypialni. Widząc puste łóżko i starannie przewieszane przez drzwi szafy czarne spodnie, poczułam małą ulgę. Podeszłam, by włożyć swoje roztrzęsione ręce do kieszeni w poszukiwaniu nośnika.

– Kurwa nie ma – mamrotałam pod nosem. Skierowałam się w stronę łóżka, by zaglądnąć do szuflad nakastlików<sup>106</sup> ustawionych po obydwu stronach. Były bez zawartości. Rozejrzałam się nerwowo po pokoju, myśląc, gdzie mógłby być (jeśli w ogóle był) mój cel. Desperacko przerzucałam poduszki, sprawdzając i to miejsce... by wyciągnąć spod jednej kartkę. Rozkładając jej zawartość zrozumiałam, że było już za późno. Zacytana w swój starannie przełożony na angielski i odręcznie napisany wczorajszy bełkot, poczułam niekomfortowe uczucie czyjejś obecności. Coś jednak nie pozwoliło mi się obrócić.

Stałam na baczność, czując, że nawet ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Zostałam przyłapaną na próbie kradzieży w dodatku czegoś, o czym już wiedział. Ktoś stał za moimi plecami, a ja zbyt wyraziście czułam tę bliskość. To był on. Tuż za mną. Jego ciało niemalże dotykało moich pleców, a usta parzyły oddechem tuż za uchem.

– Przyszłaś jednak... Spodobała ci się ogniskowa zabawa z przystojniakiem? –

usłyszałam szeptem zacytowane zdanie wypowiedziane wczoraj przeze mnie. Stałam nieruchomo z kartką papieru w dłoni, zaciskając powieki i niemalże czując na własnej skórze jego palące ciepło. – Nie mogłem jednak czekać do poranka, by poznać twoje myśli... Widzisz, przebiegła blondyneczko, zaledwie w cztery dni dowiedziałaś się o mnie więcej niż niejeden wróg... – Odgarniając pasmo moich włosów, odsłonił napiętą szyję. Sprawiał bym wyraźniej poczuła gorące znaczenie jego słów na własnej skórze. Objął mnie w talii, jeszcze mocniej przywierając do mnie. Zrobiło mi się tak gorąco, że niemal wrywał mi się jęk. – Skoro jestem w twoim typie i już mnie znasz... Jesteś tu... W moim pokoju o świcie... To może miałabyś ochotę na jeszcze głębsze poznanie? He? Ej... Malutka... Czemu dziś milczysz? Gdzie chcesz pooglądać moje... tatuaże? Na kanapie? W łóżku? Dam ci wybrać miejsce na tak wyjątkową chwilę... Jak to możliwe, że ty nigdy z nikim...? W sumie, jak ty to powiedziałaś... Nieistotne – szeptał nadal, prawie dotykając ustami mojej skóry za uchem. – Zabawimy się, ślicznotko? – Przejechał gorącym językiem po brzegu mojego ucha i tym przesadził.

Gwałtownie obróciłam się nadal zaciśnięta w jego ramionach, patrząc prosto w jego nieodgadnione spojrzenie. Poczułam teraz jego tytoniowy oddech na twarzy. Jego ramiona się napięły, dociskając mnie mocniej do nagiego torsu pokrytego tatuażem.

– Teraz ci nietrudno szczerze patrzeć w moje oczy?! – odparłam, częściowo odzyskując kontrolę nad roztrzęsionym ciałem.

Patrzyłam mu wprost w oczy z precyzyjnie udawaną odwagą. Bałam się jak nigdy dotąd. Serce żyło własnym życiem, wyprzedzając moje potrzeby. Oderwał jedną dłoń z objęcia i opuszką palca dotknął moich ust, na co odchyliłam głowę w bok, uciekając przed niechcianym dotykiem. Delikatnie jednak, tym samym palcem, który przed chwilą trzymał na moich ustach, nakierował moją twarz, bym ponownie popatrzyła mu prosto w źrenice.

– Czy moja blizna z bliska również wygląda tak... hmm... apetycznie? Bo widzisz... Czy tego chcesz, czy nie... Teraz już musisz odkryć przede mną wszystkie swoje karty... I pokazać wszystko, co masz jeszcze do ukrycia... – uciął, by następnie pozwolić palcom swojej dłoni sunąć brzegiem koronkowego wykończenia mojego dekoltu i zapewne czuł łomot mojego serca pod opuszkami.

Nigdy nie byłam w takiej sytuacji z żadnym mężczyzną. Nie wspominając nawet o okolicznościach. Coś zaciemniało mi umysł i sprawiało, że nogi miałam jak z waty. Patrzył na mnie z pożądaniem i czymś, czego sama nie potrafiłam nazwać. Sama się o to prosiłam... Przyszłam tu w innym celu, a teraz stałam zdecydowanie za blisko faceta, który był w samych spodniach od dresu. Jeśli będę miała szczęście, tylko mnie zgwałci i zostawi przy życiu z piętnem wstydu i poniżenia.

– Daj mi odejść... Proszę... – powiedziałam z uległością, próbując negocjacji. Nie miałabym szans w starciu fizycznym.

– Moja droga ślicznotko... – wymruczał z zawadiackim uśmiechem. – Przecież to ty przyszłaś tu bez zaproszenia... A to ponoć moja rola... I mam tak po prostu spełnić twoją prośbę? Chcesz zniknąć jak ta nasza... wczorajsza symboliczna iskierka z ognia? Bez zabawy? Tak po prostu? – zapytał zmysłowo zniżonym głosem. Położył swoją dłoń na moim policzku i nadal penetrował czarnymi oczami moje niepewne spojrzenie.

– Ja nie postąpiłam dobrze... To fakt. Ale ty też mnie nagrywałeś. I ty pierwszy sprowokowałeś do głupich zwierzeń...

– Od razu głupich... Nadałaś rozmowie niewłaściwy kierunek. Celowo i z premedytacją pozyskałaś ode mnie informacje, których nigdy nie powinna poznać twoja rozkoszna główka... Więc teraz chcę usłyszeć z twoich ust propozycję rozwiązania tej niezręcznej sytuacji... – mówiąc to, zbliżył swoje usta na krytycznie bliską odległość do moich warg. Czułam, że jeśli

nimi ruszę, by coś powiedzieć, nasze usta się dotkną.

– Zrób po prostu to... w czym jesteś dobry i mnie zabij... – odpowiedziałam, wybierając swoją karę i w nagrodę czując spodziewany dotyk ust.

– Nie chcesz sprawdzić, czy nie jestem lepszy w innych rzeczach? – zapytał, dotykając kącika moich ust. Katował mnie mocnym uściskiem i niespodziewaną subtelnością gestów.

– Nie! – odparłam zdecydowanie.

– A ja jednak wolę... sprawdzić twoją kondycję fizyczną... – Potarł zarostem o mój policzek, a jego ręka z moich pleców zaczęła sunąć w stronę pośladków.

Reakcja w postaci zmiany koloru mojej twarzy była natychmiastowa.

– Dobrowolnie nie pójdę z tobą do łóżka! – oznajmiłam, zaciskając z całych sił powieki, na co nie wytrzymał, parszcząc śmiechem, i wypuścił mnie z objęcia.

– Niby taka bez doświadczeń, a tylko jedno w głowie... – Kręcąc głową, odwrócił się, złapał białą koszulkę leżącą na łóżku i ją założył.

Stałam jak wryta, zaplatając ręce na piersi, nie wiedząc za bardzo, co ze sobą zrobić i jak odpowiedzieć na to zdanie.

– Mówię o bieganiu. Zmierzymy się... – powiedział, patrząc wnikliwie. – Na twojej trasie i na twoich zasadach – dodał.

– Ty poważnie mówisz czy to są jakieś amerykańskie, osobliwe żarty?

– *Totamente*<sup>107</sup> serio! – dodał z portugalską nutką ironii językowej, co wywołało moje widoczne zdziwienie. – Mała, nie rozumiesz języka czy wolisz jednak inny maraton w tym pokoju? – Podszedł śmiało, odgarniając pasmo moich włosów z twarzy.

– Chętnie zobaczę, jak zostajesz w tyle – powiedziałam do odpalającego w pokoju papierosa Michaela.

*Żeby ci ten dym dupą wyszedł*, pomyślałam.

– Jak zwykle po śniadaniu? – zapytał, kierując się w stronę drzwi balkonowych, jednocześnie informując mnie o znajomości mojego planu dnia.

On to wszystko wiedział. Obserwował mnie. Od początku byłam na jego celowniku. Sądząc po jego reakcji, uznałam, że mi się upiekło, ale nadal nie wiedziałam, co mam o nim myśleć. Musiałam stąd wyjść i to szybko. Złapałam za klamkę, ale znów znalazł się przy mnie i dociskając ręką drzwi, zablokował mi wyjście. Wtedy już miałam mieszane uczucia.

– Lepiej, żeby twoja przyjaciółka jednak nie poznała wszystkich szczegółów naszej... Iskierki. Lepiej dla niej – dodał ostrzegawczo i jednocześnie puścił drzwi, na co bez słowa wyszłam i zbiegłam pędem wprost do kuchni.

\*\*\*

– Majka. Wyglądasz, jakby cię ktoś przeleciał i nie zapłacił... – oceniła moje nietypowe zachowanie Renata, nieświadoma ostatnich zdarzeń.

– Tak też się czuję – powiedziałam, zalewając swoją sypaną kawę. Czułam jej badawczy wzrok na sobie i wiedziałam, że nic nie umknie jej uwadze. Chcąc, nie chcąc, musiałam coś wymyślić. Przecież nie powiem jej, że włamałam się do apartamentu, by ukraść nośnik z polską litanią z całego swojego życia, nie wiedząc, że typ ma w kieszeni dyktafon i tłumacza na usługach. A on, nieświadom mojej znajomości języka, również się zwierzył. Fantastycznie się składa, bo gość kieruje mafią, przemyca narkotyki i morduje ludzi. Wybitnie romantyczna sytuacja. Iście zbliżająca. – Chyba za dużo wypiałam. Musiałam pooddychać świeżym powietrzem, bo myślałam, że mi łeb rozsadzi... – odparłam w pełni świadoma swoich zdolności aktorskich, co do których ona nie była już tak przekonana. Jej wzrok mówił jednoznacznie „kręcisz coś pindencjo”.

– I jak? Tak długi oddech chłodnego powietrza w tej cienkiej bluzuni chyba pomógł? – Podeszła, by poprawić mi włosy z ironicznym uśmiechem. – I nie jesteś zmarznięta... Śmierdzisz fajką... Ty palisz?! – Właśnie pozbawiała mnie wszystkich dostępnych alibi i zupełnie nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Doskonale wiedziała o mojej kategoriycznej niechęci do takich używek i doskonale wyczuwała dławiącą aurę ściemy w moim wydaniu.

– Dobra już dobra odczep się, proszę. – Uśmiechnęłam się przyjacielsko, dając znać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Zabrałam się za robotę, żegnając część odjeżdżających dziś gości. Żwawe ruchy od jadalni do kuchni pozwoliły mi choć trochę na zachowanie pozorów normalności. Do czasu. Do czasu pojawienia się śniadaniowej śmietanki, od której już mnie mdliło. Od wczorajszego ogniska do dzisiejszego poranka. Nie. Od czwartkowego wieczoru do dzisiejszego poranka. Żadnych gości nie miałam nigdy tak dosyć, jak tych. Dalej nie mogłam uwierzyć, że to się naprawdę wydarzyło. Włącznie z przyłapaniem na grzebaniu w cudzych rzeczach.

– A temu co? – skwitowała Renia, widząc, że Michael siada tym razem nie plecami, a twarzą do kuchni. – Muszę przyznać, że kawał ciacha z niego... Co nie, Majka? – dodała, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Nie wiem. Nie zwróciłam uwagi... – odparłam zdawkowo, czując ciepło na policzkach.

– Myślałam, że przyglądnęłaś mu się wczoraj bliżej przy jasnych płomieniach na ognisku...

– Że co?! – Zrobiłam ogromnie zdziwione oczy, bo ponownie przyłapała mnie na kłamstwie.

– Myślałaś, że nie wyjrzę, by zobaczyć, po co wychodzi o tak późnej porze wiedząc, że zostałaś tam sama?! – powiedziała pełnym troskliwości głosem.

– A no faktycznie... Przyszedł posiedzieć...

– Może jeszcze powiesz, że bez słowa analizowaliście stopień wysuszenia palącego się drewna w ognisku?

– Yyyy, no nie. Coś tam rozmawialiśmy. A taka zwykła paplanina o niczym, miał kilka pytań o szlaki i okolice. Nic szczególnego... – odpowiedziałam, modląc się, by odpuściła. Ale im głębiej w las, tym więcej drzew.

– Yhy... Niech ci będzie. – Pozwoliła mi na chwilę myślowego dryfowania po spokojnych wodach umysłu, by po chwili pozwolić michaelowej fali wchodzącej do kuchni przewrócić moją tratwę do góry nogami.

– Przepraszam, ale nie widzi pan karteczki? *Staff Only*?! – poinformowała go stanowczo Renata. Na pewno zauważyła moje nerwowe ruchy, jakimi przecierałam w udawanym skupieniu zastawę. Przejęła kierownictwo.

– Pani Renato – brzmiące jak Łenato. – Maja mówiła, bym na śniadaniu zapytał o dokładną godzinę wspólnie zaplanowanego biegu po tutejszych leśnych szlakach – odparł z cwaniacką pewnością siebie, zerkając tajemniczo na nią i na mnie.

– Ach, doprawdy? – Renata popatrzyła na mnie badawczo, szukając jakiegokolwiek punktu podparcia.

– A no tak. Zapomniałam... Faktycznie coś panu o tym wspominałam – potwierdziłam, zapominając o odejściu od oficjalnych zwrotów.

– To jak z godziną? – dopytał Michael.

– O jedenastej mam chwilę... – Popatrzyłam w jego stronę, udając uśmiech.

– Tylko chwilę? – ciągnął dalej. – Liczę na naprawdę morderczą trasę – kontynuował ukryty dialog, z pełnym satysfakcji tajemniczym entuzjastycznym tonem.

– Obiecałam jeszcze pańskiemu pracownikowi spacer... Więc niech pan nie będzie



samolubny. – Zmrużyłam oczy, by dać mu sekretny sygnał do wyjścia.

– A prosił właśnie, żeby ci przekazać, że nie za dobrze się dziś czuje. – Spojrzałyśmy w stronę siedzącego osiłka, którego jedyną dolegliwością był widoczny apetyt.

– Do zobaczenia o jedenastej – powiedziałam z dobitną sugestią zakończenia dyskusji i niemym „wypad”.

Michael wyszedł z zawadiackim uśmiechem, klepiąc przyjacielsko w ramię pokornego „przyjaciela – tłumaczydła”. Zamyślona bałam się odezwać, czując już na sobie biczujące spojrzenie tykającej bomby.

– Wspólnie zaplanowany bieg? Nie pani, a Maja? Ciężka trasa? Ej! Pinokio! Powiesz coś?! – pytała z wyrzutem do tajemnic.

– Daj spokój, to serio nic... – urwałam na przebłysk jego słów „mordercza trasa”.

– Nie chcesz, to nie mów, ale widzę, że ci coś odbija... Ej? Halo... Ziemia do ciebie... – dobijała się do moich myśli.

– Że co?

– Kurwa, jajco. Idź się lepiej zbieraj. Nie każ na siebie czekać temu przystojniakowi! – Uderzając mnie ścierką w tyłek, pogoniła w opuszczaniu kuchni, mimo iż miałam dobrą godzinę czasu.

Gdyby wiedziała, kim jest ten gość, zdecydowanie nie pozwoliłaby na jakikolwiek wspólny bieg. Wyszłam z kuchni i przystanąłam jeszcze przy stoliku szanownego tłumacza w okularach, zauważając, że granat pod okiem zmienił ton na jaśniejszy.

– Jeśli nie wrócę z tego lasu, będziesz miał mnie na sumieniu – wyszeptałam do niego po polsku, mając świadomość, że i on znał moje myśli i to wszystko, o czym mówiłam.

Miałam tylko nadzieję, że jest dyskretnym typem człowieka. Ignorując wzrok wszystkich obserwujących mnie panów, udałam się do pokoju, by przyodziać strój godny sportowca, nie zapominając o czarnej czapce z daszkiem.

\*\*\*

Pełna niepokoju ruszyłam na linię startu za pensjonatem, by oczekiwać umówionej godziny. Oczyszczający „morderczy bieg” z gangsterem i handlarzem narkotyków. Co za genialny pomysł na aktywny plan dnia. Weszłam za ogrodzenie, by pobyć chwilę w stajni i złagodzić swoje narastające dolegliwości lękowe końską obecnością.

Black wyraźnie nie miała dziś ochoty na moje drapiące pieszczoty. Poruszała się samotnie i żywiłowo wzdłuż ogrodzenia, nerwowo parskając. Skupiłam się na emanującą spokojem gniadej Primie zamkniętej jeszcze w swoim boksie. Wtuliłam się w jej brązową szyję, uspokajająco drapiąc zgrzeblę połyskujący włos klaczy. Prima uwielbiała ten zabieg, odwdzięczając się przekazaniem części swojego spokoju ze smukłego ciała. Nie chciałam maratonu w towarzystwie Michaela. Po tym, co usłyszałam, strach nie pozwalał mi patrzeć na niego jak na kogoś w swoim typie. Teraz brałam pod uwagę fakt, że mogę nie wrócić z lasu.

Jakie miałam wyjście? Zgodziłam się. Teraz albo pobiegnę dla zdrowia, albo by je zachować. Wyszłam ze stajni z pozornym spokojem, kiedy zauważyłam, że stał już przy ogrodzeniu. I nie był sam. Tuż obok, a nawet tuż przy nim, była Black. Klacz, która kilka dni temu o mało nie pozbawiła go życia. Jak nie ten sam koń – bo bez swojej duszy nieujarzmionego zwierzęcia. Częściowo opierała swój łeb na jego ramieniu. Pokorna, łagodna, czarna jak bezgwiezdna noc, dając do siebie podejść zdecydowanie za blisko obcemu człowiekowi również wtulonemu w jej smukłą, karą szyję. Stałam jak wryta w szerokich drzwiach stajni, przyglądając się tej niezwyklej relacji człowiek-zwierzę. Relacji, której tak bardzo oczekiwałam od wtulającej się teraz w gangstera Black. Podeszłam bliżej, nadal niedowierzając temu, co widzę, z mieszanką

nadziei i zazdrości o końskie względy.

– Gotowy? – zapytałam.

– Nie – odparł surowo i krótko.

Zawiesił chwilę wzrok na mojej zbitej z tropu twarzy. Odwrócił się i wrócił w stronę pensjonatu. Zdziwiona zachowaniem lokatora, który to jeszcze godzinę temu był wręcz zdecydowany na wspólny leśny wysiłek, poczułam ulgę. Była to wyjątkowa ulga. Wyjątkowa, bo w towarzystwie nieoczekiwanego i niezrozumiałego zawodu. Nawet klacz zrezygnowała z mojego towarzystwa, na powrót niespokojnie truchtając wzdłuż ogrodzenia.

Michael

Michael wrócił na chwilę do apartamentu na górze, by zawiadomić chłopaków o zmianie planów. Stał na balkonie, popalając swojego papierosa, i czekał na pojawienie się Ricka i Boba. Widział, jak dziewczyna oddała się samotnie w kierunku, gdzie miała pobiec z nim. Okrążając łąkę, jak zwykle przecięła ją w połowie dystansu powrotnego, by ponownie w pojedynkę zniknąć w tajemniczej zielonej bramie lasu. Zapewne, by pobiec w miejsce, o którym wspominała przy ogniu. Miejsce, które utrzymuje ją z taką samą siłą na powierzchni jak przyjaciółka Renata. Biegając tam, chciał chociaż zobaczyć, co jest w stanie utrzymać na powierzchni niezatapialną łódź, jaką jest ta młoda kobieta na burzliwej tafli życia. Tylko zobaczyć.

– Oddał szef bieg walkowerem?! – zapytał zadziwiony nietypową postawą Michaela wchodzący Rick, wrywając go z głębokiego myślowego transu.

– Trzeba było mi powiedzieć – wtrącił Bob. – Chętnie bym szefa godnie zastąpił.

– Skoro od początku była przekonana, że chcę nieuczciwie wygrać bieg... Z zawodnikami, którzy podkładają nogę na starcie, się nie biega – odparł, wiedząc, co powiedziała tłumaczowi na dole. – Jedziemy na siłownię. Mam potrzebę, by dziś spędzić tam trochę więcej czasu.

– Spoko, szefie – rzucił z ulgą Rick.

– Szefie, mogę o coś zapytać?

– Pytaj, Bob.

– Skoro szef odpuścił, to czy ja mogę spróbować sił na swoim spacerze? – zapytał Bob, tylko powierzchniowo znając sytuację.

– Nie, Bob. Nie możesz – skwitował krótko i stanowczo Michael.

– Bob, kurwa, odpuść. Jutro będziesz miał dupeczek po brzegi gorącego basenu! – rzucił Rick, stawiając kumpla do pionu myślowego.

– Fakt! – zaśmiał się z ulgą Bob.

Majka

Czas w drewnianej kapliczce płynął wolno jak woda z małego leśnego potoku przedzierająca się przez przeszkody z kamieni i patyków. Płynął bez walki i agresji. Tak jak ja teraz – nie biegnąc, a siedząc w zupełnej ciszy, analizując wydarzenia ostatniej doby. Każde słowo i każdy najdrobniejszy gest człowieka, który zmaćcił moją krystalicznie czystą źródlaną wodę uczuć, których braku wcześniej byłam pewna. Czy Black zaufałaby komuś złemu? Ufać zwierzęciu czy twardym faktom? Czy jego dotyk był aż tak zły? Gdyby miał w planie mnie skrzywdzić, zrobiłby to na górze, w swoim pokoju.

Wzdrygnęłam się, słysząc dźwięk zbliżających się kroków. Pierwszy przebłysk umysłu dał mi stanowczo do zrozumienia, że po raz kolejny dałam się zaskoczyć. Z ulgą zadziałał jednak widok znajomej twarzy już poznanego starca. Tym razem jednak to on usiadł obok, nie czekając na zaproszenie i witając się jak poprzednio.

– Pochwalony! – powiedział, uśmiechając się pogodnie i unosząc filcowy kapelusz.

– Pochwalony – odpowiedziałam z uśmiechem.

– Pamientas dziecko, jak ci godołem ze kogoś mi przypominas? – zapytał starzec, upewniając się, że wiem, o czym mówi, i obserwując moje skinienie głowy. – Za dawnych czasów dziewce tu psychodziło... Była pikna, ze hej. – Zerknął na mnie i odwrócił twarz w stronę ołtarzyka. – Z pocontka<sup>108</sup> syćkie drewna w kaplicy były nowe i prawie biołe. Środecek był puściutki, bo ledwo co zrobiony. Psychodziła tutaj i rozścielała kocyk na deseckach podłogi. Sybciotko zrobiłem jej ławecke, zeby se na niej spoceła, a potem zrobiłem jesce kilka. Ale temu? Przecie ino ta by wystarczyła – dodał, klepiąc wysłużone siedzisko, na którym teraz razem siedzieliśmy. – Nie pokazywołem sie jej. Nie wiadome, cy z nieśmiałości, cy ze strachu. Wybadołem, ino ze psychodzi za biołego ranka<sup>109</sup>. Jednego casu<sup>110</sup> to ona mnie zastała. Nie uciekła, ino siadła obok mnie bez godacki<sup>111</sup>. Było noinacyj<sup>112</sup>. No i jo zaconem psychodzić za biołego ranka. W chałupie wyżeźbiłem pierwsego janioła – powiedział, wskazując na ścianę, gdzie wisiał pokryty znakiem czasu poczerniały anioł. – Tak bardzo sie jej uwidzioł, ze ryzowałem<sup>113</sup> dokiela<sup>114</sup> nie było miejsca na ścianie. Wiela miesiency to trwało i ukochołem zywego<sup>115</sup> janioła... Ona tez mnie ukochała i syćkie moje janiołki. Jednego razu cosik okropacnego sie stało, bo nie przysła. Cekałem calutkimi dniami i nocami... jaz stanęła w dzwiach kaplicki. Dopadłem do niej i zobacyłem ubity policek. Krzycała<sup>116</sup> i otarłem jej łezke. Cułem, że podała mi pozegnalną dłoń, bo na palicku<sup>117</sup> miała obroncke. O nic nie pytołem, a ona nic nie kciała godać. Syćko się zmarniło<sup>118</sup>... Dziecko – zwrócił się do mnie. – Nie załuje jani jednej chwili. Nie wybace sobie ino tego... Ze zezwoliłem jej odyjść. – Wstał, ściskając moje ramię na pożegnanie. – Ten janioł jest dla ciebie – odparł, wskazując niedawno powieszony dzieło. – I ten tez... Na szczęście<sup>119</sup>. – Wręczył mi małą figurkę, którą wyciągnął z kieszeni. – Jak o niego zadbas, to bedzie zawse bioły. Jak zapomnis, to ciorny. Do zobacenia dziecko – pożegnał się i poszedł w stronę wyjścia.

– Dziękuję... A mogę o coś zapytać? – rzuciłam w jego kierunku.

– Tak, dziecko...

– Jak miał na imię pański anioł?

– Jagoda – odpowiedział i wyszedł, zostawiając mnie z napływającymi do oczu łzami.

\*\*\*

– Zdecydowanie potrzebny ci reset... – stwierdziła Renia po usłyszeniu opowieści przyniesionej z lasu, siedząc na ławeczce przed wejściem. – Jak można tak robić?! Zaciągnąć siłą kobietę przed ołtarz, jednocześnie odbierając prawdziwą miłość. Nie rozumiem. – Kręciła głową, trzymając w dłoni moją figurkę aniołka.

– Renia czego nie rozumiesz? A mój stary jest inny? A jego ojciec był inny? Nie! Tak samo jak ojciec babci nie był inny... A ich pojebany zwyczaj ciągnie się od pokoleń...

– To smutne, że w twoim świecie masz kochać. A w moim chcesz... tylko nie możesz. – Opuściła smutną twarz, błędząc myślami po własnej historii.

– Renia, kochanie. Wszystko będzie dobrze. – Ujęłam jej dłoń jak kiedyś stare dłonie babci Jagody trzymały moje własne. Babcia mi powtarzała, żeby nigdy nie płynąć z prądem. – Mamy siebie. Pamiętasz? – Uśmiechnęłam się, opierając głowę o jej ramię.

– Pamiętam – potwierdziła w zamyśleniu, również wspierając głowę na mnie. – Dałaś kosza temu z dwunastki?

– On dał mnie. – Zaśmiałam się, zaskakując przyjaciółkę.

- Jutro zwolnimy. Te kilka dni dały nam w kość, co nie? – zapytała.
- Dość mocno – dodałam zamyślona, ucinając temat.

## Rozdział 17

Nędzówka

Majka

Wraz z końcem weekendu majowego zakończyła się również słoneczna aura na zewnątrz. Zupełnie jakby pogoda była specjalnie zamówiona, a zamówienie ostatecznie zrealizowano w poniedziałek trzeciego maja. Bo już wtorkowy poranek w Jagodowej Chacie przyniósł chłodne strugi deszczu spływające po kamiennej posadzce podjazdu. Czekałam przed drzwiami wejściowymi na ostatnią sporą dostawę zaopatrzenia śniadaniowego w tym tygodniu.

– Dzień dobry – powiedział niespodziewanie Amerykanin w treningowym dresie. – Mam coś dla pani... – zwrócił się do mnie, podając tę samą kartkę, którą trzymałam o tej samej porze wczorajszego dnia przyłapaną w jego pokoju. Zwrot „ty” zastąpił oficjalną „panią”. – Jak iskierka – dodał krótko łagodnym tonem, patrząc mi w oczy nieoczywistym i miękkim spojrzeniem. Nie wiem dokładnie, co w nim było, ale niewerbalny kanał komunikacji sprawił, że całkowicie zmiękłam i poczułam dziwne ukłucie. Bez awantury, pretensji, kontekstów kierował się w stronę deszczu obmywającego wszelaki brud.

– Przepraszam, Michael... – zaczęłam impulsywnie, niepewna, czy cokolwiek usłyszał w tej ulewie.

Dotarło do mnie, że nie chciał mnie skrzywdzić. Poczułam nieznany dotąd ciężar braku ulgi z wyjazdu tego człowieka. Ulgi, o jakiej doznaniu mówiłam podczas sobotniej rozmowy z Renatą, kiedy to z utęsknieniem wyczekiwałam wtorku, by pozbyć się uciążliwych gości. Coś mi podpowiadało, że nie będę w stanie się z nim pożegnać, jak to miałam w zwyczaju z normalnymi klientami. Co niby miałam powiedzieć na pożegnanie?

*Pobyt udany? Nie?! Jak to nie?* Przecież powitałam pańskie szanowne cztery litery w bikini, byłam profesjonalnie niemiła, chciałam coś ukraść z pańskiego pokoju, opowiedziałam o swoim życiu, a nawet o mało nie zabiłam.

Po odbiorze zamówienia wróciłam do pokoju trochę zagubiona we własnych myślach. Nic nie miało zamiaru poprawić mojego nastroju, który stał się tak nieoczywisty jak pogoda w Tatrach.

– Renu, zajmiesz się śniadaniem? Chyba nie mam ochoty na jakiegokolwiek dodatkowe uwagi ostatniego dnia ich pobytu – poprosiłam z nadzieją na pozytywny odzew.

– Nie ma sprawy – zgodziła się bez wahania.

– Będę w stajni – powiedziałam, zmieniając strój na mniej odświętny. – Jak wyjadą to... Daj mi po prostu znać.

\*\*\*

– Dzień dobry! A co tak raniučko? – zapytał jeszcze trzeźwy Zenek.

– Ostatni goście wyjeżdżają. Więcej luzu, panie Zenku – wytłumaczyłam nietypową godzinę swojego przyjścia.

– E dyj! Ni ma gdzie sie podzioć w tako kwasielnice<sup>120</sup>. Byle jako jest. Dysc<sup>121</sup> ino jarugi<sup>122</sup> narobi – dopowiedział, wychodząc na zewnątrz i pchając ciężkie jak na jego kondycję taczki z gnojem.

– Ale będziecie wyczesane dzisiaj... – mówiłam do ospałych koni, biorąc swoje szczotki

i zgrzebło. Nie mogłam skupić myśli na niczym, więc zaczęłam nucić pod nosem melodię *Beliver Image Dragons*, która zapalała mnie w sporadycznie zabieranych słuchawkach nie tylko do biegu, ale też do walki.

\*\*\*

– Pomóc ci? – zapytał niespodziewanie wchodzący Marek.

*Wstrzeliłeś się w nutę na słowie PAIN...*

– Nie, dzięki – odrzuciłam pomoc zawiedziona jego widokiem. – Spania nie masz? – zapytałam z pretensją o niezapowiedzianą wizytę.

– Jakosik ostatnio ni moge... – odparł i zdjął symbol góralskiej męskości z głowy, podchodząc bliżej. Znów był inny. Tak jak wtedy, gdy spłoszył Szczepana i gdy przyszedł zimową porą, przerywając piątkowy wieczór z Renatą i jak wtedy, gdy wyczekiwał mnie na podjeździe. Jego stanowczość i determinacja nie stawiały mnie w gotowości do rozmowy dzisiejszego dnia. – Obiecałaś godackę po majówce... – przypomniał mi jedno z moich zbywających zapewnień.

– I uważasz, że to odpowiedni czas na takie rozmowy? – zapytałam pewnie.

– Zdaje mi się, że u ciebie ni ma dobrego casu – odpowiedział z podobną pewnością do mojej, przesywając mnie na wskroś oczami.

Był zdecydowany, by porozmawiać i zdeterminowany w dążeniu do tego. Stał w wejściu do boksu, opierając się bokiem o kraty. Był wysokim i dobrze zbudowanym facetem, już nie natarczywym wątłym chłopakiem, a pewnym siebie mężczyzną. Ostre rysy twarzy, na które opadały dłuższe jasne włosy uwydatniające poważne spojrzenie dodatkowo podkreślały wiek po trzydziestce.

– Czego chcesz, Marek? – zapytałam lekceważąco, skupiając się jedynie na pielęgnacji Kory.

– Ciebie – powiedział, nie owijając w bawełnę. – Mom dość cekania i obiecadeł<sup>123</sup>... Lekućko się obiecuje, duzo gorzyj dotrzymuje... – dodał.

*Rzekł mędrzec...*

– Phee – parsknęłam ironicznie i trochę rozbawiona. – A co ja jestem produktem z półki? Że można mnie tak po prostu mieć? Niczego ci nie obiecywałam! – Bezwzględnie wprowadziłam go z błędu.

– Nawet jak nie wysły od ciebie, to nie zaprzecalaś obiecadołom. Trza ci się wydać... – oznajmił, nadal upierając się przy swoim, na co przerwałam swoje zajęcie i wyszłam z boksu. Stałam z nim twarzą w twarz, żeby ostatecznie otworzyć mu te tępe zielone i rybnie ślepią z bardzo bliskiej odległości.

– To teraz posłuchaj mnie uważnie. Nie jestem niczyją własnością! Idź do tego, kto ci składał obietnice. Bo ja nie będę twoja! Nigdy cię nie pokocham i wiesz co? Mam dosy... – przerwał mi, przyklejając się do moich ust. Przyciągnął mnie w silnym uścisku, wymuszając jednostronnie nachalny pocałunek. Odepchnęłam go na tyle mocno, na ile pozwoliła mi dużo drobniejsza postura i wymierzyłam mu siarczysty policzek. Mroczki rozeszły się po mojej dłoni i zapewne też rozbiegły się po jego twarzy.

– Despetna<sup>124</sup>! Słodyce i ustecka... – skomentował, zarozumiale oblizując ohydnie szorstkie i lepkie usta.

– Nigdy więcej tego nie rób. Rozumiesz?! – wrzasnęłam wściekle do mało zaskoczonego Marka, odsuwając się kilka kroków do tyłu.

– Bo co?! – huknął, stawiając mały, lecz pewny krok ponownie w moją stronę.  
– Bo cię zabiję – powiedziałam z lekkością i pogardą.  
– Zrobis to... kociaku? Nie bois się, że kiedysik stracisz te swoje ostre pazurki? Znienacka? Nie kces chodzić bez wionecka<sup>125</sup>?

– Wynos się – syknęłam raz jeszcze, próbując okiełznać wewnętrzne przerażenie jego osobą.

– Pokuśnicko<sup>126</sup> mojo... Przecież będę dobrym chłopem... – ciągnął melancholijnie. – Po dobroci? Cy na siłę? Jaki będę, Majecko? – Pierwszy raz ten człowiek wzbudził we mnie taki strach i takie obrzydzenie do jego osoby. Mówił i wyglądał jak psychopata czyhający na upatrzoną ofiarę, którą właśnie zapędził w kozie róg. Odgłos bliskich kroków z lekka ostudził jego aktualny stan. Stał i nasłuchiwał znikającego odgłosu kroków. – Oj... cheba Zynek zaszedł do stodoły... Może znajdzie w kopie<sup>127</sup> mój podarek... i da nam jesse chwilecke pogruchać? – Uśmiechnął się do mnie jak kretyn z pożądaniem w oczach.

– Odwal się i szukaj sobie innej ofiary, która pójdzie z tobą na to pieprzone wesele! – krzyknęłam gotowa do walki. – Panie Zenku! Pan... – uciał moje krzyki, zatykając mi usta swoją dłonią. Słysząc było już tylko wierzgającą w boksie Black.

– Nie drzyj się! – zażądał wrogo, puszczając mnie i sam zwiększył dystans krokiem w tył. – Głupia skapa! – Kopnął w drzwiczki boksu nerwowo parszającego konia.

– Wyjdz! – wrzasnęłam oszołomiona brutalną śmiałością dotychczas względnie spokojnego sąsiada.

– Ukochołem cię – oświadczył spokojnie i udał się w kierunku wyjścia.

*Pierdolony romantyk.*

– Scyńś Boze<sup>128</sup>! – powiedział, mijając się w drzwiach z Zenkiem.

– Dej Boze! – odparł Zenek wdzięczny jak dziecko, które właśnie dostało butelkę mleka.

– Ale lejba<sup>129</sup>! Dzisiaj konie nie pohasają po hojnicy<sup>130</sup> – stwierdził wesoło Zenek, całkowicie nieświadomy tego, co tu przed chwilą zaszło.

Stałam roztrzęsiona, obserwując oddalającego się w deszczu górala, któremu od teraz nie ufałam bardziej niż człowiekowi z dwunastki. Z tą różnicą, że ten góral nie był mafiosem, a jednak wziął ode mnie więcej, niż obejmujący mnie półnagi Adams w swoim pokoju. Starłam się ponownie wyciszyć nerwy staranną pielęgnacją wszystkich trzech koni od kopyta do łba. Bez nucenia, bo musiałabym nucić nie piosenki Dragons, a śpiewać jakieś utwory metalowe.

\*\*\*

Po skończeniu zajęć w stajni wróciłam do pensjonatu i opowiedziałam o całym zajściu przyjaciółce wartującej po śniadaniu na recepcji.

– Gdyby nie to, że Zenek wrócił... Nie wiem, co by zrobił – powiedziałam, kończąc dokładną relację.

– Majka, ty się zastanów raz jeszcze, czy warto tu zostać. Przecież mamy radę. Mamy studia... Znajdziemy jakąś pracę, gdzieś w mieście... – odpowiedziała Renata, namawiając do porzucenia tego życia.

Kolejny raz tego dnia pojawiło się ukłucie w sercu na myśl, że mogłabym zostawić to miejsce. A szczególnie teraz, gdy nabrało dla mnie wyjątkowej symboliki związanej z babcią. Marek grubo przesadził. Przekroczył moją pilnie strzeżoną granicę, wpychając mi śmierdzącego ślimaka w usta.

– Uciekać, bo jakiś psychopata ma wizję ślubu ze mną? Ooo, co to, to nie! Nie poddam się. Jeśli będzie mnie nękał, jesteś świadkiem, a ja kolejnym razem zgłoszę sprawę na policję –

oświadczyłam, gotowa bronić tego, na co zapracowałam.

– Dobrze już dobrze... Ale boję się o ciebie. Jesteś wyjątkowa... I nie tylko dlatego, że niemiłosiernie walisz koniem! – Rozbawił ją chyba widok mojej ofensywnej miny powleczonej stajennym zapachem. – Szkoda, że Amerykanie wyjechali, bo skutecznie byś ich do siebie zniechęciła samą wonią! – skwitowała.

– Wyjechali?! – zapytałam zaskoczona, jakby miało być inaczej.

Zerknęłam przez okno recepcji w stronę pustego podjazdu, gdzie nie było już wypożyczonych mercedesów i ogarnęła mnie identyczna pustka jak ta w miejscu brakujących samochodów.

– Aha... Spokój. – Zmierzyła mnie czujnym spojrzeniem. – Mamy tylko seniorów do jutra, więc chwilowo nie potrzebujemy Ukrainek – odparła.

– Obeszło się bez problemów? Mówili coś jeszcze? – dopytałam z domieszką nadziei w głosie.

– Tak. Zostawili bagaże w piątce. Ktoś z obsługi hotelowej po nie przyjedzie koło trzynastej – przekazała, zabierając się za przeglądanie komputera.

– Idę wziąć prysznic. A! Gdyby przyszedł natręt...

– Tak, wiem. Kazać mu spierdalać – dodała z uśmiechem na twarzy.

– Dokładnie. – Zadowolona ze zrozumienia przyjaciółki, zniknęłam za drzwiami swojego pokoju.

\*\*\*

Prysznic okazał się zbawienny dla ciała, lecz niekoniecznie dla duszy. Mimo dżdżystej pogody czułam ogromną potrzebę, by pobiec do lasu. Do kapliczki, która dawała mi spokój, a teraz jeszcze większą więź duchową z babcią. Więż, którą od wczoraj czułam tam bardziej niż w pensjonacie.

Teraz, kiedy już wiedziałam, dlaczego jest mi tam tak dobrze i skąd tam tyle spokoju, musiałam ulec wewnętrznej potrzebie przebywania w tamtym miejscu. Zastanawiałam się, czy babcia też łapała równowagę, przekraczając próg ukrytego i bezpiecznego miejsca wśród leśnej natury. Czy wyrzucała te same emocje, z jakimi ja zmagalam się teraz? Czy również odpychała niechciane życie? Słowa? Ataki? Czy toczyła wewnętrzny spór z własnymi uczuciami? Czy w ogóle miała jakikolwiek wybór i wpływ na swoje życie? Te i dziesiątki innych pytań kotłowało się w moim gotowym do biegu ciele.

– Maju, biegniesz w taką pogodę? A jak znów spotkasz Marka?! – powiedziała zmartwiona Renia, widząc moje palto i sportowe buty.

– To założę się, że aż taki zajeby nie jest, żeby złapać mnie na moim terenie – uspokoiłam ją, pewnie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Deszcz nie ustawał. Wręcz przeciwnie. Pierwsza wiosenna burza dawała o sobie znać, przepychając ciężkie, czarne chmury nad Tatrami. W niedalekiej oddali słyhać było niski pomruk grzmotu niczym ostrzegawcze warczenie Leszego – demona i pana lasu ze słowiańskich legend, którym byłam straszona przez babcie, żebym jako dziecko nie uciekała sama między drzewa. Teraz już się nie bałam bajkowych potworów. Bałam się tych prawdziwych.

Wiedziałam, dokąd biegnę i czułam, że tam było bezpiecznie. Wszechobecny szum spadających obficie kropel wiosennego deszczu rozbijających się o plastikową zieloną pelerynę skutecznie zagłuszył bezustannie napływające myśli, pozwalając skupić się na każdym kroku stawianym na śliskiej, częściowo kamienistej ścieżce, po której teraz w dół płynęła deszczowa



struga zwiększająca trud pokonania codziennej trasy. Gdy zobaczyłam znajome sobie miejsce, idealnie wkomponowane w bliskie otoczenie drzew, poczułam powoli napływającą ulgę. To miejsce miało w sobie coś niebywale narkotycznego. A przebywanie w nim przynosiło oczekiwany upust złości.

Weszłam do środka, zostawiając mokrą pelerynę na ostatniej ławce i udałam się na swoje miejsce na przedzie. Usiadłam i, zamykając powieki, wzięłam głęboki wdech. Teraz, kiedy już płąsy deszczu nie zagłuszały mi własnych myśli, a jedynie towarzyszyły, dobiegając z zewnątrz, wspomnienia nadciągnęły jak przytłaczająca śnieżna lawina. Niczym mokry i ciężki śnieg sunący boleśnie po twarzy, zaczęły mi się przewijać w głowie obrazy z całego życia i ostatnich wydarzeń. Klatka po klatce jak film w przyspieszonym tempie musiałam przeżyć to jeszcze raz.

*Babcia. Szkoła. Studia. Ojciec. Szczepan. Grzesiek. Anka. Kaśka. Mama. Okoń. Remont. Jagoda. Zenek. Renia. Obiad. Szyderczy śmiech. Nienawiść. Złość. Pogardliwy wzrok. Bieg. Las. Kapliczka. Śmiech. Placz. Renia. Jacuzzi. Czarne oczy. Blizna. Kaśka. Marek. Obiad. Black. Galop. Czarne oczy. Blizna. Zaproszenie. Upokorzenie. Las. Ognisko. Apartament dwunasty. Czarne oczy. Tatuaż. Silne ramiona. Strach. Ojciec. Marek. Pocałunek. Renia. Starzec. Czarna kawa. Czarne anioły. Czarne oczy. Czarna Black. Starzec. Babcia. Radość. Ból. Strach... Czarne oczy... Mrok.*

Lawina wspomnień brutalnie sunęła w tempie łez spływających po policzkach i nagle wyhamowała, przynosząc natychmiastową ulgę. Coraz bliższe grzmoty spowodowały, że zacisnęłam pięść na trzymanym w palcach drewnianym od starca.

Kilka chwil później hałas ustał w niemej próżni zbliżających się za plecami powolnych kroków. Zamarłam, nie odwracając głowy, by zaufać temu miejscu i dać ponownie usiąść starcowi. Już tak bliskiemu mojemu sercu. Poczułam ciężar dłoni na swoim ramieniu, jak wczoraj, gdy wstawał z miejsca. Dziś jednak nie usłyszałam „Pochwalony”, a ponowny głośny dźwięk grzmotu. Wtedy uniosłam głowę, by do swojej serii klatek filmowych dodać kolejne...

*Czarne oczy*, których widok nieoczekiwanie zdjął jeden ciężar. Nie spodziewałam się go w tym miejscu. Nie wiem, czy byłam bardziej oszołomiona, zaskoczona, czy może zadowolona z jego pojawienia się w tym miejscu. Spoglądał na mnie nieprzejednanym wzrokiem.

– Co tu robisz? – zapytałam krótko i bez pretensji w cichym głosie.

– Zdaje się, że moja iskierka się jeszcze żarzy – odparł, siadając tuż obok. – Musiałem wrócić, by zapytać, za co przepraszałaś. Dziś rano... – zapytał stanowczo i zdecydowanie. – Tylko tym razem po angielsku lub portugalsku, proszę. Nie mam dyktafonu – dorzucił, chcąc poluzować napiętą sytuację. Udało mu się.

– Źle cię oceniłam – odpowiedziałam pewniej. – Gdy powiedziałeś mi o tym wszystkim... Kim jesteś... Czym się zajmujesz. I jak mnie przyłapałeś u siebie na próbie kradzieży tego cholernego drobiazgu... I jak odebrałam twoje gesty i słowa... Ja myślałam, że chciałeś mnie skrzywdzić... – przyznałam otwarcie.

– A jednak byłaś gotowa pobiec – stwierdził ze swoistą nutą podziwu.

– Cholernie się ciebie bałam... – dodałam, a on nie spuszczał ze mnie wzroku. – Dlaczego ty nie pobiegłeś? – zapytałam tym razem ja.

– Bo wiedziałem, że się mnie boisz – odparł, wstając.

– Już się nie boję... – oznajmiłam stan na teraz.

– A skąd ta zmiana? – zaciekawiał się.

– Bo... moja iskierka... chyba też nie chce zgasnąć – ucięłam, patrząc prosto w nieodgadnione oczy człowiekowi stojącemu nade mną, by po chwili obserwować, jak bez słowa odwraca się w stronę drzwi i znów zostawia mnie samą z aniołami na ścianach.

*Co to, kurwa, było?* O jakiej on iskierce mówił i w zasadzie, o jakiej ja powiedziałam jemu? Po co mu to było i co mnie to dało?

Siedziałam jeszcze, dając minutom powoli płynąć. Wyjęłam z kieszeni zmięty i wilgotny list ze swoimi słowami przełożonymi na angielski. Czytałam cicho własne wyjawione na głos myśli. Zamknęłam oczy, by ponownie zobaczyć i usłyszeć człowieka ubranego w pasującą do oczu czerń przy żywym świetle ognia. Wielokrotnie analizowałam każdy gest i każde słowo. Usilnie próbowałam, ale nie mogłam zrozumieć działania energii, która nagle zaczęła mieć na mnie niepojęty wpływ. Jak metalowa szpilka połączona z tablicą magnetyczną, od której ciężko było się oderwać.

Gdy otworzyłam oczy, anioły i obrazy stały się niewyraźne i ciemniejsze niż za dnia. Deszczowe chmury i późna pora sprawiły, że przez niewielkie i brudne okienka wpadało już niewiele światła.

\*\*\*

Pobiegłam z powrotem do pensjonatu, mając nadzieję na ostateczne oczyszczenie z Renatą przy kieliszku wina. Ruch na podjeździe sprawił, że ogarnęła mnie panika myślowa. Dwa czarne mercedesy wróciły na swoje miejsca, a prócz nich trzy dostawcze samochody, z których skrzętnie wnoszono coś w pudłach do środka. Zdezorientowana wbiegłam do recepcji, by uzyskać odpowiedź od przyjaciółki.

– Możesz mi powiedzieć, co się tu odpiędała? – wyprzedziła Renata wręcz z pretensjonalnym uśmiechem na twarzy.

– Ja mam wiedzieć?! Przecież mnie nie było... – odparłam równie zdziwiona, rozkładając ręce.

– Twój złoty klient... Powiedział, że uzgodnił z tobą przedłużenie pobytu u nas i zapłacił za sześć tygodni z góry za te same pokoje! – oznajmiła, wymachując gotówką.

– Że co?! W ogóle nie wiem, o czym mówisz! – wyrzuciłam z pełną szczerością, na co Renata lustrującą i całkowicie w swoim stylu przymrużyła oczy.

– Z ciebie naprawdę zrobił się niezły Pinokio... Tylko z cymbalami! Najpierw wcześniej rano wysłałam go do ciebie do stajni, bo mi tu zawracał dupę w kuchni... No co tak patrzysz?! Zapomniałaś mi powiedzieć?! – sypała oskarżycielskimi pytaniami.

– A ty dopiero teraz mi mówisz, że był rano w stajni? Przysięgam, że go tam nie było! – odpowiedziałam na zarzuty całkowicie szczerze, dopuszczając jednak myśl, że mógł mnie widzieć w mało komfortowej sytuacji z Markiem.

– Ach taaak? A mnie umknęło, żeby ci to powiedzieć po twojej opowieści z Markiem. Widocznie chociaż jeden tam nie dotarł... Niech ci będzie. Potem znów przyjechał tu, kiedy ledwo wyszłaś na biegi... Tylko bez swoich przydupasów. Mówił, że musi pilnie zamieć z tobą słowo i że to ważne. Wyglądał na przejętego, więc znów powiedziałam mu, gdzie jesteś. Po godzinie wrócił przemoczony, w wybłoconym garniturku i tych swoich ciżemkach, by powiedzieć mi, że przekonałaś go do powrotu... Nooo przyznaj... Pinokio... Jak ty to zrobiłaś? Dalej, powiedz przyjaciółce... – droczyła się, wkurzając muskając swoim palcem czubek mojego niedrewnianego nosa. Była pewna mojego udziału w tym wszystkim.

– Gdzie on jest? – zapytałam krótko, odtrącając jej dłoń od mojego nosa.

– Ostatnio widziany, gdy wchodził na górę.

\*\*\*

Weszłam przez drzwi otwarte na poczet wnoszenia coraz to nowych zapakowanych w kartonowe pudła sprzętów, otwierając oczy i usta ze zdumienia. Michael stał na balkonie, paląc

papierosa i przyglądając się, jak ekipa zaopatrzenia siłowni pod nadzorem i z pomocą amerykańskich klientów przemienia pomieszczenie apartamentowego salonu. Faktycznie, wyglądało na to, że urządzał tu czasową siłownię. Poczułam na sobie pretensjonalne spojrzenia osiłeków, ale tym razem obeszło się bez komentarzy.

– Wypierdalać, panowie... – wypłynęła finezja uprzejmości z ust Michaela. Wyprosił wszystkich spokojnym, lecz charakterystycznym tonem wyższości szefa, by móc zamienić kilka spokojnych słów z kierownikiem tego miejsca. Rozglądałam się badawczo, kierując się na balkon. Nie wiedziałam, od czego i jak zacząć.

– Uzgodniłeś ze mną? Tak? – zapytałam i jednocześnie poczułam się dziwnie, patrząc w pogodne i stonowane spojrzenie Michaela.

– Uważam, że tak – odpowiedział i wyczułam, że było coś wyczekującego w tych kilku słowach. Wsparł swój bok o przeszkloną obudowę balkonu i niezręcznie mi się przyglądał.

– A co jest takiego w moim pensjonacie, czego nie ma w luksusowym hotelu? – zapytałam, podtrzymując nutkę uległej uszczypliwości. To nie było w moim stylu. Uległość oczywiście. Powinnam była się wściec na jego zachowanie i samowolkę, jakiej się dopuszczał w tym miejscu.

– Powiedzmy, że powietrze... I obietnica wycisku w biegu pod górkę śliskimi ścieżkami – odparł, chowając dłonie do kieszeni eleganckich nowych spodni, i jednocześnie podszedł krok bliżej, łamiąc moją pękającą barierę pewności siebie.

– Nie wiem, jak na Florydzie, ale u nas nie masz szans na wygraną w takich butach – powiedziała rozbawiona słowami Reni o stanie ubioru, w jakim wrócił z lasu.

– Czyli jednak nie masz nic przeciwko, jeśli zatrzymamy się tu nieco dłużej?

– Nieco?! Sześć tygodni? Teraz pytasz? – Wskazałam ręką na rozpakowane pudła i częściowo zmontowany sprzęt.

– Przynajmniej sześć... – dodał, bacznie mi się przyglądając. Nie przywykłam do takiego spojrzenia. Było... specyficznie przeszywające i pozbawione jakiegokolwiek krępacji, której ja miałam przerost w kontakcie z mężczyznami.

– Słuchaj... Dam ci twój apartament i wycisk, o który się prosisz... Tylko obiecaj mi coś. – Skinieniem głowy dał znak, że czeka na propozycję. – Nie angażuj więcej swojego tłumacza w moje życie – postawiłam warunek konieczny.

– Dobrze. Pod warunkiem, że i ty mi obiecasz nie udawać, że nie mówisz po włosku, francusku, hebrajsku, niemiecku i arabsku – wymieniał, wywołując ogrom mojego podziwu dla jego znajomości języków. – Żarcik sytuacyjny – sprostował, znów robiąc ze mnie głupka.

– Po co ci to wszystko? – Stałam w drzwiach balkonu, rozglądając się po salonie.

– Jak już wiesz z ogniska... muszę wrócić do pełni sił – odparł, stając za mną. Poczułam się dziwnie i miałam nieodparte wrażenie, że skanuje moje tyły z góry na dół.

– Achaaa. I siłownie są zamknięte? – zapytałam, nadal nie rozumiejąc ogromu inwestycji.

– Sprawdziłem wszystkie. Marne powietrze, marny sprzęt... Marna obsługa – wymieniał, podchodząc jeszcze bliżej. Czując brak jakiegokolwiek kontroli, odwróciłam się. Stojąc z nim twarzą w twarz, mogłam zachować pozory panowania przynajmniej nad jego oczami.

– Panie Michaelu. Ma PAN spore wymagania... Uprzedzam pana. Tu prócz powietrza wszystko jest marne... – ostrzegłam, w głębi ducha szczęśliwa, że jednak wrócił do tego miejsca. On sam sprawiał wrażenie... bardziej dostępnego.

– Pani Maju. Tu się z PANIĄ nie mogę zgodzić. Zapach lasu... czysto, klimatycznie w odosobnionym miejscu, w ciszy... A obsługa od pierwszego dnia pobytu WŁĄCZNIEM... staje na wysokości zadania. – Jego uśmiech pozbawił sensu wypowiedziane słowa i dodał sporo wyczuwalnego różu na moje policzki.

*To spostrzeżenie, mogłeś jednak sobie darować.*

Był bardzo nachalny w swoim spojrzeniu na moją osobę. Onieśmielał mnie tym. Bardziej lub mniej świadomie, ale musiałam wziąć się w garść.

– Dobra... Jeszcze jedna kwestia. Powiedziałaś mojej przyjaciółce, że przekonałam cię do powrotu... Mogę przynajmniej wiedzieć, w jaki sposób to zrobiłam?

– Nie mogę ci powiedzieć, bo znowu się przestraszysz. – Jego czarne źrenice niemalże wypełniły równie czarne tęczęwki oczu.

– Acha. Czyli masz mnie za tchórze? – zapytałam, nie będąc do końca pewną, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

– Jesteś kobietą z krwi i kości... Kobiety tak mają... – odpowiedział, napawając się kolorem moich policzków, bo to właśnie na nich zwiesił swój wzrok.

– Jak mają? – Prowokacyjnie położyłam ręce na biodrach i wybałuszałam oczy.

– Rumienia się i są płochliwe...

*Ja płochliwa?!*

– Nie boję się ciebie i nie jestem płochliwa... – Nie wiem, co mnie podkusiło i jak się to stało, ale moje oczy uciekły na jego usta, które niczym magnes przyciągnęły szpilkę.

Impulsywnie ujęłam w dłonie jego policzki i przyciągnęłam go do siebie, łącząc nasze wargi, które miałam wrażenie przypalały się wzajemnie. Objął mnie w talii, dociskając do siebie silnymi ramionami. To nie był zwykły pocałunek jak za szczeniackich lat. Ten wprawdzie był spontaniczny jak dawniej, ale był też świadomy i dojrzały. Miałam wrażenie, że to, co o nim już wiedziałam, irracjonalnie potęgowało intensywność moich doznań. Chciałam prowadzić od początku do końca, ale to on na starcie zawładnął moimi ustami, prowadząc nasze języki w sensualnym *sexy dance*.

Gdy jego dłoń na moich plecach poszybowała pod koszulkę, dreszcz wybudził mój zdrowy rozsądek, który zapukał z wizytą do pustej głowy. Oderwałam się od niego i odsunęłam gwałtownie, przerywając to istne szaleństwo.

*Kurwa mać. Co ja wyprawiam?! Sprzedałam sobie niewidzialnego liścia, a nawet po dwa i to z każdej strony. Przynajmniej on wyglądał na mile zaskoczonego, bo ja byłam w cholernym szoku po tym, co właśnie zrobiłam.*

– Przepraszam! – wypaliłam zakłopotana. – Nie powinniśmy. To nie powinno tak... Po prostu zapomnij. – Speszona wyszłam spiesznie.

## Rozdział 18

Nędzówka

Majka

Obudziłam się z potwornym kacem moralnym. Jak mogłam rzucić się w ramiona i oddać w pocałunku ledwo co poznanemu facetowi? I to dzień po tym, jak się dowiedziałam, kim jest i czym się zajmuje. Nie mogłam sobie tego wybaczyć. Co on sobie o mnie pomyślał? Pewnie, że kolejny krok naszej znajomości to tylko kwestia mojej następnej wizyty w jego pokoju. Chociaż był pociągający i przyciągający, to nie było o tym mowy. Dobrze, że Renata właśnie ogarniała śniadanie w kuchni, bo byłam pewna, że od razu po obudzeniu zorientowałyby się, że coś ukrywam. Stanę na wysokości zadania i udam, że to był sen.

*To był sen, wmówię sobie to. To będzie proste. Najpierw trzeźwiący prysznic, potem udam wyśmienity humor i to wszystko.*

\*\*\*

– Dzień dobry, Pinokio! – zawołała Renata na mój widok w kuchni.  
*Oj, żebyś wiedziała, co Pinokio wczoraj odjebał i z kim...*

– Cześć, pindo. – Żywiłowo ucałowałam przyjaciółkę w policzek na powitanie kolejnego dnia.

Energicznie zabrałam się do pracy, nucąc melodyjkę pod nosem. Nie chciałam, by coś jednak zwęszyła.

– Widzę, że ktoś tu się wyspał – zaśpiewała zdanie pod moją nuconą melodię.

– O co ci chodzi? Zgadza się. Jestem wyspana, pogoda dziś piękna, popracuję w stajni, pobiegam lub pójdę na spacer... No co tak patrzysz jak sroka w gnat?! – Zauważyłam droczące mruganie powiek Reni. – To, że mam rodzinę z dupy, nie znaczy, że muszę chodzić w ciągłej depresji – odpowiedziałam, nadal nucąc, popijając kawkę i nerwowo sprząając wszystko, co aktualnie znalazło się w moim zasięgu.

– O nic, o nic. Wręcz przeciwnie. Bardzo mnie raduje twój śpiew, moja ptaszyno. – Zachichotała. – Słońcu i miłości się w oczy nie patrzy – dodała.

– Puknij się tu – odparłam, pukając się w czoło. Utrzymałam dobry poziom normalności.

– Jemu to powiedz... – Skinieniem głowy wskazała wchodzącą niebywale rozgadaną dziś grupkę. Ochrona zajęła swoje stałe miejsca, tym razem jednak sadzając tłumacza obok siebie tyłem do szyby. Michael natomiast usiadł przodem, puszczać oczko i obdarzając tajemniczym półuśmiechem swoje odbicie w lustrze weneckim, co również nie umknęło uwadze Reni. Ewidentnie chciała dać mi do zrozumienia, że widzi więcej, niż powinna. – Coś mu wpadło do oka? Jak myślisz, Majeczko? Co? Kto? Jakiś on dziś... Jakby to powiedzieć? Hmm... Dostępny? – Nie miała zamiaru ukrywać swoich spostrzeżeń, co do mnie i klienta.

– Nie odpuszczysz, co? – Z założonymi rękoma na biodrach wybałuszyłam oczy.

– Nie. Bo jesteś moja i nie oddam cię byle amerykańskiemu eleganckiemu i nieziemsko przystojnemu bogaczowi z tatuażem bez dokładnego wybadania tego typka! – odpowiedziała z szerokim uśmiechem na twarzy. – Przynajmniej nie wygląda na mordercę – powiedziała już

całkiem nieświadomie, wzdychając w ich stronę. – To właśnie jest przeznaczenie. Nie uważasz? Na pierwszy rzut mojego fachowego oka wart jest spojrzenia... – męczyła i wypuszczała coś, co chciałam tłamsić w sobie.

Podobał mi się. To fakt. Może i nawet mile zaskoczył samym swoim powrotem. Może i nawet przyciągał do siebie nieopisaną siłą. Ale miał swój świat. Świat poza moim zasięgiem. Ponadto, ile ja go znałam i co tak naprawdę o nim wiedziałam, by otwarcie wywlekać jakieś pobieżne uczucia? Wiedziałam tylko, że prawdopodobnie wpadłam gangsterowi w oko i jeszcze żyję. Wiedziałam też, że wczoraj popłynęłam z odwagą i to był mój krytyczny błąd. Musiałam ponownie postawić granicę i stanowczo zwolnić. Wizja jakiegokolwiek relacji, chociaż pociągająca, musiała pozostać odległa. Nie dam komukolwiek zabawić się moim kosztem.

– Pójdę popracować na rezerwacjach. Zdaje się, że i nasi emeryci dziś wyjeżdżają. Będę na gorze – ucięłam szybko temat, zanim czujny instynkt łowczy Reni uaktywni się na tyle, żeby zauważyć jeszcze jakieś nietaktowne drgnięcie mojej powieki.

Przemknęłam przez jadalnię, wymieniając krótki, lecz energetyczny kontakt wzrokowy z Michaelem. Usiadłam przed laptopem, zawieszając na chwilę umysł w pustocie myślowej. Sama nie wiedziałam, co się ze mną działo i po co pakowałam się w dodatkowe problemy. Nie nad wszystkim jednak mogłam mieć kontrolę.

Z rozważań wyrwał mnie łagodny głos pani Ali z dwójki. Szczebiotliwej seniorki, której nawet kartę historii zdrowia poznałam przez te sześć dni, jakie wraz ze znajomymi spędzili u nas. Jak dla mnie była aż nadto otwarta, lecz starsi ludzie tacy byli. Lubili z nostalgią wspominać i opowiadać o swoim życiu, dzieląc się tym z innymi. Jeśli oczywiście ich pamięć nie zawodziła. Tej niestety nie zawodziła.

– Dzień dobry – przywitała się sympatycznym głosem i z pełną serdecznością na twarzy.

– A dzień dobry! Miło panią widzieć – odpowiedziałam, dorównując uprzejmości. – Mam nadzieję, że państwo i państwa znajomi miło spędzili u nas czas – dodałam, oczekując twierdzącej odpowiedzi, sama będąc takiej pewna.

– Kochaniutka. Bardzo miło! Jest tu tak pięknie! I pani taka miła, serdeczna i śliczna. Gdybym była młoda, to nawet bym poczuła zazdrość o męża! Żeby pani widziała, jak on się prostuje, gdy panią widzi! Ha! Nawet kręgosłup przestał go boleć. Tak właśnie mojemu staremu góry służą! Ale się nie dziwię. Te śliczne długie włosy i buzia jak laleczka! Cisza i spokój. Tego chcemy i chcielibyśmy przedłużyć pobyt do soboty na nasz pokój i pokój naszych przyjaciół.

– Bardzo miło mi to słyszeć. – Skromnym uśmiechem podziękowałam jej za miłe dla mnie słowa. No może nie wszystkie, bo wzdychający do mnie dziadek był mało budujący dla samooceny. Ale reszta się zgadzała. – Oczywiście, że można przedłużyć... – ucięłam, logując się na stronę internetową serwisu pensjonatu. – Chwileczkę, bo chyba pojawił się jakiś błąd. – Zapatrzona w monitor komputera zmarszczyłam brwi w skupieniu. – Proszę usiąść, bo muszę wykonać telefon. – Wskazałam krzesło, by umilić jej czekanie, a sama wykręciłam numer wsparcia technicznego portalu booking.com, tłumacząc pracownikowi infolinii zaistniały błąd. Po kilku minutowej rozmowie rozłączyłam się w mocnym niedowierzaniu, mimo iż pracownik tele-wsparcia był mocno zaskoczony moim problemem, jakim jest komplet dokonanych rezerwacji.

– I jak z naszymi pokojami, skarbie? – Była wyraźnie zaniepokojona moim wyglądem.

– Ja muszę panią przeprosić, ale tego ranka serwis sprzedał wszystkie nasze pokoje – przyznałam wprost, czując ciężar odmowy, jaką muszę jej przekazać.

– Ojej, jaka szkoda, skarbie! Powinnam byłam zrobić to wczoraj, tak jak mi stary doradzał. Ale tak się zasiedzieliśmy w tej karczmie na Krupówkach zasłuchani w kapelę, że nie chcieliśmy już nikomu głowy zawracać – wytłumaczyła zawiedziona brakiem wcześniejszego

przedłużenia pobytu. – Tak czy siak... bardzo dziękuję. Było nam niezmiernie miło spać w takim pięknym miejscu. Mężowi znów wróci ta nieszczęsna rwa...

– Przykro mi. Jeśli potrzebujecie państwo zostawić bagaże czy jakiejś pomocy w czymkolwiek, proszę dać znać. Chętnie pomogę.

– Dziękuję, skarbie, ale w takim razie planowo wrócimy do Krakowa. Na pewno jeszcze tu kiedyś wrócimy. – Żegnając się uprzejmie, pomachała dłonią i zniknęła w drzwiach dwójki.

Otworzyłam jeszcze raz serwis, by ponownie upewnić się co do braku pomyłki. Logowanie do konta bankowego tylko przekonało mnie do tego, co usłyszałam na infolinii. Adams wykupił resztę pokoi w pensjonacie, płacąc z góry za sześć tygodni przelewem.

*O co tu, do diabła, chodziło?* Przecież to była ogromna kwota, a łaska czy litość nie była mile widziana w zabieganiu o moje względy. Jeśli chodziło o to, to mnie nie kupi. Na cholerę mu były wszystkie pokoje? Musiałam wyjaśnić i tę kwestię, pomimo zażenowania, jakie czułam na myśl o popatrzeniu mu w oczy po wczorajszym incydencie.

Czekałam cierpliwie. Celowo stanęłam na widoku w korytarzu, spoglądając na podjazd przez otwarte drzwi wejściowe, by sprowokować rozmowę, gdy będzie wychodził ze śniadania na górę. Tak jak czułam i zaplanowałam. Gwarne kroki kierowały się z dołu do góry. Nie musiałam osobiście wywoływać wilka z lasu. Nie wychodząc z pozostałymi na swoje piętro, sam zmienił tor i skręcił w kierunku mojej odwróconej tyłem do niego sylwetki. Jakby czytał w moich myślach. Stał obok w drzwiach frontowych, patrząc w kierunku powleczonej roślinnością z każdej strony drogi podjazdowej znikającej w dole.

– Wykupiłeś moje pokoje. Dlaczego? – zapytałam nadal zapatrzona przed siebie.

– Nie uważasz, że moi chłopcy zasługują na odrobinę prywatności? – odbił pytanie, jakby to było oczywiste.

– Ale pokoi jest jedenaście, a was sześciu. Nie uważasz, że to lekka przesada? – odparłam nader łagodnie.

– W zasadzie to ośmiu i to też może ulec zmianie... A co złego jest w tym, że mam takie zapotrzebowanie? Mam co najmniej trzy powody, dla których to zrobiłem... – mówiąc to, stanął przede mną, ograniczając mi tak potrzebne w tym momencie wsparcie innego widoku i zmuszając mój puls do przyspieszenia.

– Chętnie usłyszę... Co najmniej te trzy powody... – odpowiedziałam mocno zakłopotana jego bliskością.

– Po pierwsze, żeby wrócić do zdrowia potrzebuję więcej spokoju bez udziału nowych twarzy. Po drugie będziesz miała więcej czasu, a co za tym idzie więcej szans na przegrany bieg. Po trzecie możemy mieć gości, a chłopaki będą mieli swobodę. – Ograniczając moją przestrzeń osobistą, oparł rękę na futrynie nad moją głową. – Gdyby trzy powody nie wystarczyły, to jest jeszcze czwarty... – mówiąc to patrzył tak wnikliwym spojrzeniem, że łagodny dreszcz przeszedł mi po plecach. – Nie lubię się dzielić... – dodał, nie spuszczając ze mnie wzroku i kierując go na moje usta. Nawet nie chciałam drażnić ostatniego podpunktu. Nie byłam gotowa na tego typu wyznania.

– Czy mam w ogóle prawo się do tego odnieść? – zapytałam.

– Yhm... Chętnie posłucham...

– Po pierwsze nie wyglądasz na chorego – powiedziała, celowo mierząc go wzrokiem od stóp do głów. – Po drugie... Mój czas między pracą byłby wystarczający, żebyś zapragnął wolnego czasu tylko dla siebie. – Prostując się, dodałam sobie odwagi. – Po trzecie masz rację co do swobody twoich chłopaków pod warunkiem, że nie będą jej nadużywali w tym miejscu... A po czwarte, musisz jeszcze poczytać. – Wsunęłam mu w kieszeń spodni sfatygowaną karteczkę z tłumaczeniem swoich wyznań z ogniska.

*Co ja znowu wyprawiam?* Pomyślałam w pierwszej chwili. Oddałam mu coś, o czym chciałam zapomnieć. Zapraǳnęłam zmiany tej intymnej wymiany spojrzeń na coś mniej przytłaczającego.

– Potrafisz zaskoczyć... – powiedział, zawieszając wzrok na moich ustach. Musiałam szybko zmienić kierunek frontu rozpoczętej rozmowy, bo po raz kolejny sama sobie strzeleć w kolano.

– Chcesz za godzinę poznać przedsmak porażki w lesie? – zaproponowałam nadto impulsywnie.

*FANTASTYCZNIE zmieniłam front!* Zaprosiłam go na bieg po lesie ze swoją zaskakującą osobą. Poczułam się jak mistrzyni komplikowania własnych spraw. Uniósł brew i nie zwlekał z odpowiedzią:

– Zapraszasz mnie na randkę? – odparł z szarmanckim uśmiechem.

*Ten też widzę potrafił ubrać myśli w słowa. Nie, kurwa, nie tak to miało zabrzmieć, pewny siebie dupku.* Mistrzyni komplikacji i mistrz prowokacji do zbaczania z tematu docelowego. Beształam go w myślach, totalnie nie panując już nad swoją reakcją w postaci czerwieniących policzków. Błyskawicznie to podchwycił, odpowiadając uśmiechem przepełnionym satysfakcją, jakby go bawił ten widok.

*Moja karma.*

– A wolisz powolny spacer w swoim stanie? – Słodka nuta docinki, niewinny uśmiech i litościwe spojrzenie patrzące wprost w czarną głębię jego oczu.

Naprawdę nie wyglądał na kogoś, kto ledwo uszedł z życiem, będąc trzy miesiące temu w śpiączce. Kondycję miał dobrą, bo pracował na to ćwiczeniami.

– Dam ci wybrać.

*O jaki Pan laskawy,* niespodziewanie odezwał się głos Zgredka w mojej głowie.

– Świetnie – odpowiedziałam z uśmiechem, planując już w głowie ciężką trasę. Odwróciłam się z zamiarem powrotu na recepcję, gdy dotarł do mnie opóźniony impuls na słowa: „w zasadzie ośmiu”.

– Co miałaś na myśli, mówiąc: „jest nas ośmiu”?

– Myślałem, że to ja cię tym razem zaskoczę... – Uśmiechnął się tak, jakby jednak na to liczył. – Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby mój kucharz przejął władzę na kuchni? – Znowu dominujący uśmiech pozwolił na odpowiedź tylko samej sobie.

*Nieee, no co ty, brachu! Jesteś tu szósty dzień. Mówisz, co chcesz. Palisz, gdzie chcesz. Włazisz, gdzie chcesz. Kupujesz, co chcesz. Urządziłeś sobie siłownię w moim apartamencie, a teraz chcesz urządzić sobie prywatną kuchnię w mojej stołówce.*

– Powiedz, że żartujesz... – poprosiłam z nadzieją.

– A widzisz, żebym żartował? Mam ścisłą dietę, a ten catering jest do niczego. Zgodzisz się, prawda? W ramach rekompensaty załatwiam też kogoś do sprzątnięcia. Nie chcę, żebyś cenne siły na bieganie traciła, sprzątnając nasze pokoje... – Jemu rozbłysły oczy, a mnie opadła szczęka.

Nie dość, że w moje życie, to jeszcze wepchał się z butami w moją pracę. Poczułam się, jakbym właśnie oberwała spadającym regałem w głowę, czekając na kolejny cios.

– Michaelu... – zaczęłam spokojnie, wyciągając swój zapas kierowniczych kluczy. Ujęłam jego dłoń, zmysłowo rozkładając palec po palcu i kładąc na niej pęczek metalowego kokonu. Nadal trzymałam klucze, jednocześnie trzymając i jego rękę, by po chwili wyrwać dłoń z kluczami z jego podejrzanego transu. – Ciebie naprawdę pojebało! Może i jesteś szefem u siebie za oceanem... ale tu, to ja nim jestem i nie będziesz mi szukał personelu do sprzątnięcia! –



wyjaśniłam, zostawiając go w progu.

\*\*\*

Miałam pić drugą kawę, ale już nie musiałam. Poszłam prosto na dół do Renaty. Śmiała się jak durna, kiedy opowiedziałam jej o sprzedanych pokojach.

– Jak tak dalej pójdzie, to my będziemy musiały płacić jemu za pokój! – Popijała białą kawę rozbawiona nietypowymi obyczajami kapryśnego klienta. – Albo ty... – dodała, a ja doskonale wiedziałam, co jej chodziło po głowie. Gdyby się dowiedziała o pocałunku, przynajmniej byłaby pewna tego, co mówi.

– Dzięki, Renia. Sponsoring po amerykańsku? Nie wiem, co gorsze... – odpowiedziałam w zamyśleniu, pomagając w kuchennych porządkach.

– Idę dziś do fryzjera. I kosmetyczki – wtrąciła. – Może i ja wyrwę jakiś amerykański sen... – Zaczęła chichrać się jak głupia, robiąc sobie ze mnie żarty. – Idziesz ze mną? Zrobimy z ciebie jeszcze piękniejszą boginię dla twojego elegancika z dwunastki...

– Na pewno nie. Ktoś tu musi zostać. Nie wiem, co im może jeszcze do głowy strzelić. I tak niebawem pójdę ożywić swój wygląd... Przed największym wydarzeniem tego roku – odparłam, odrzucając propozycję Renaty na dziś.

– No tak. Wesele już za niecałe trzy tygodnie... Może razem pójdziemy ci kupić obowiązkowe wdzianko? – zapytała Renia, chcąc chociaż w taki sposób uczestniczyć w tym weselu ze mną.

– Powinnam założyć czarny toczek z gęstą siatką na twarz, zamiast wplatać w warkocz czerwoną kokardę – powiedziałam, rzucając w kąt trzymaną ściereczkę.

\*\*\*

Jak zwykle po porze śniadaniowej byłam gotowa do biegu. Oparłam ręce o belki ogrodzeniowe i chciałam popatrzeć chwilę na konie pasące się po drugiej stronie łąki. Byłam świadoma, że Michael ma widok ze swojego pokoju na tę część otoczenia pensjonatu. Jeśli naprawdę będzie chciał pobiec, to zaraz się tu pojawi. Mocne uczucie bycia obserwowaną z góry nie chciało podpowiadać inaczej. Chyba że się obraził, to znów nie pobiegnie.

Pan Zenek krzątał się koło stajni, przez co przypomniała mi się wczorajsza sytuacja z Markiem. Teraz niepotrzebnie zaczęłam na nowo analizować każde jego słowo, które dziś miałam już za nic i tylko dzięki kolejnemu denerwującemu mnie na swój sposób typkowi. Wczorajsze i dzisiejsze emocje jednak dzieliła przepaść. Taka sama jaka dzieliła tych dwóch facetów.

– Gotowa? – zapytał z typowym amerykańskim akcentem.

– Nie – odpowiedziałam poważnym tonem, tak jak wtedy on, co zmasowało jego beztroski uśmiech z twarzy. Patrząc na jego zawiedzioną minę, nie wytrzymałam jednak długo, wubuchając śmiechem, i dostrzegłam natychmiastowy powrót jego ulgi. – Gotowa – powiedziałam, już teraz nie żartując i widząc jego sportowy dres. – Ale zanim dam ci wycisk... musisz mi się do czegoś przyznać. Jeśli odpowiesz szczerze, przymknę oko na tego twojego kucharza – zaproponowałam uczciwą wymianę.

– Czekam, szefowo – odparł z całą pewnością, że dobijemy targu.

– Byłeś tu wczoraj rano? – Skinęłam głową w stronę stajni.

– Byłem. I widziałem, jak z nim rozmawiasz i co zrobił. Niestety w pierwszej chwili nie rozumiałem ani słowa, ale tłumacz pomógł mi ostatni raz... Zanim obiecałem nie używać więcej rejestratora... – odparł z bolesną szczerością, co totalnie mnie zaskoczyło.

– Grzeczny chłopiec – pochwaliłam go, klepiąc w ramię na znak do rozpoczęcia biegu.

Postanowiłam nie poruszać z nim tego tematu i nie analizować swojego wczorajszego impulsywnego wyskoku z pocałunkiem. Nie było to łatwe, ale to był mój błąd, do powtórzenia którego nie mogłam dopuścić.

Pobiegliśmy tą samą ścieżką, którą biegałam codziennie, a następnie w las. Odezwiała się we mnie jakaś cholerna troska, bo tak naprawdę nie chciałam, by z samego uporu mój bieg przysporzył mu problemów zdrowotnych. Niemniej jednak utrzymywałam dobre tempo.

Biegliśmy leśnymi ścieżkami ku górze, raz po raz obdarzając się sympatyczną uszczypliwością komentarzy. Ten bieg był zdecydowanie inny. Pierwszy raz w towarzystwie kogokolwiek. Nie zauważyłam, by nadto przewyższał mnie jakością swojej kondycji. Odniosłam nawet wrażenie, że mogę pochwalić się nieco lepszą. No ale suma summarum to on, a nie ja, był postrzelony i umierający nie tak dawno temu.

Biegliśmy ramię przy ramieniu, skupiając się wyłącznie na biegu. No chyba że ścieżka zwęzła się na tyle, by się nie zmieścić wspólnie, wtedy puszczał mnie przodem i nie dawało mi to za wiele komfortu w bieganiu. Bynajmniej psychicznego. Nie lubiłam być na takim widoku i zdecydowanie wolałabym biec za nim. Przynajmniej po tym, co się wydarzyło między nami. Podejrzywałam, że miał podobne odczucie, ale wygrał argument typu: „Panie przodem”.

*Dżentelmen jebany.* Moje myśli chwilami mnie przerażały.

Minęliśmy kapliczkę. Oglądnęłam się tylko w jej stronę z nostalgią, zakładając, że tu muszę przybiec jednak sama. Wprawdzie był w niej wczoraj, ale nic o niej nie wiedział i mogła być dla niego tylko starą leśną szopą. Prowadząc go tam, mogłam paść ofiarą tezy, że najpierw zainicjowałam pocałunek, potem zaprosiłam go na aktywną randkę, a następnie prosto pod krzyż. Widząc rozmach tej nietypowej relacji i jej rozwoju, od razu zamówiłby suknię ślubną i księdza. Lub pastora, by w siódmym dniu znajomości spędzić jeszcze szybszą noc poślubną. I szach mat dla wszystkich łącznie z moim ojcem. A może jemu zależy tylko na akcie nocy poślubnej?

*Rany, o czym ja rozmyślam?*

Biegliśmy więc wyżej, brnąc w coraz to bardziej strome rejony. Jeśli ja poczułam znajome pieczenie mięśni, to nie ma bata, on też poczuł. Nie dawał po sobie poznać zmęczenia, jednak moje (co jak co) miękkie serce zatrzymało się koło skałki, gdzie przeważnie zawracałam. Nie był to mój flagowy i szaleńczy bieg, jaki miał obiecany, ale dało się zauważyć, że dystans pod górkę zrobił robotę.

– Wracamy? – zapytałam, przekonana, że ma dosyć.

– Skoro MUSIMY? – podkreślił moją słabość.

*Osz ty.*

– Żartuję. Faktycznie nie jestem przygotowany na bieg wyżej taką trasą – dodał.

*Ta odpowiedź bardziej mi pasowała.*

– Zaczekam, aż się poprawisz. I wtedy urządzimy zawody na poważnie... – powiedziałam.

Po kilku wdechach zaczęliśmy bieg w dół. Był znacznie lżejszy i szybszy, więc sprawnie dotarliśmy do punktu, z którego zaczęliśmy. Oparliśmy się plecami, wspierając łokcie o balowe ogrodzenie stadniny.

– Jakbyś chciała skorzystać z mojej małej siłowni, zapraszam. Żebyś się nie zdziwiła, jak za kilka dni przegrasz tę trasę na szybkość – powiedział ze zbyt dużą pewnością siebie, a w dodatku zaprosił mnie na górę. Poczułam się jak łatwa zdobycz, którą można kasać do woli.

– Wczoraj sugerowałeś, że jestem płochliwa... Teraz sugerujesz, że jestem słaba... Robisz to celowo?

– Nie rozumiem... Daję ci tylko szczerą wskazówkę, bo cię lubię. A jak kogoś lubię, to

jestem szczerzy... – powiedział, a wtedy czarny koński łeb wsparł się o jego ramię.

*Black, zdrajczyńi jedna...* To ja byłam jej panią i skakałam wokół niej ze zgrzeblem, a ona się łąsała do mojego konkurenta.

– Black... – wymieniłam jej imię, ze wzruszeniem patrząc raz na jej czarne błyszczące oczy, a raz na twarz niezaskoczonego Michaela. – Jak ty to robisz?

– Mówisz do mnie czy do konia? Też możesz się tak o mnie oprzeć... Jeśli chcesz ją zrozumieć... – zaproponował ze znanym mi już cwaniackim uśmiechem.

Zawstydził mnie i, co gorsza, dostrzegł moje zmieszanie. Nie mogłam znaleźć słów, żeby odpowiedzieć od razu. Koń ewidentnie go tolerował. Bardziej niż kogokolwiek.

*Wróć!* Ten koń nikogo nie tolerował. Zwierzęta wyczuwają ludzi. Teraz to miałam nawet poważne wątpliwości co do zdrowia psychicznego własnego konia.

– Mam kasyno w Tampie. Jeśli pamiętasz, o czym mówiłem... Moje ulubione zresztą. Również nazywa się Black... – Popatrzył na mnie sprawdzająco.

– Tej rozmowy nie da się zapomnieć – odpowiedziałam zażenowana.

– Znajduje się tam doskonały widok z góry na wszystkich ludzi i na to, co robią ze swoim życiem. – Głaskał pysk Black. Dało się wyczuć tęsknotę w jego głosie i zaczęło mnie to ciekawić.

– Weneckie lustro, o którym mówiłeś, znajduje się właśnie tam...

– E, no, mała, jednak coś pamiętasz...

– Lubisz patrzeć na ludzi z góry. Przykro mi. Bo z dołu bywają lepsze widoki... – stwierdziłam zawiedziona.

Zmarszczył brwi niezbyt zachwycony moim spostrzeżeniem.

Samotnie ruszyłam w stronę pensjonatu, zostawiając go z uległą mu Black. Nie czerpałam satysfakcji z jego upodobań do patrzenia na ludzi z góry. Chociaż ta skłonność pasowała do niego. Jedynie widok spokojnej klaczy napawał mnie nadzieją.

\*\*\*

– Jak wspólne wymachiwanie tyłkami? – zapytała gotowa do wyjścia Renata.

– Spoko. – Uśmiechnęłam się, nie chcąc pokazywać nadmiernej ekscytacji człowiekiem, który budził we mnie naprzemiennie sprzeczne uczucia.

– Spoko? Ponad dwie godziny was nie było, bo zniknęliście w lesie, i po prostu spoko?! – Rozczarowana ubogą informacją złapała za torebkę. – Osilki się porozjeżdżały, został tylko mały w pokoju. Ale niestety nie wiem w którym, bo ochroniarz Rick przejął wszystkie klucze. Musisz jego zapytać, jak się rozlokowali i kogo jeszcze się spodziewają.

*Świetnie*, pomyślałam. Nastął chaos. Wiedziałam, kogo goszczę, tylko nie wiedziałam gdzie.

– Biorę twoje auto, mój rozkoszny Pinokio. – Gestem trąciła mój nos i pojechała na umówioną godzinę u kosmetyczki i fryzjera.

Pokręciłam się trochę po recepcji, nie mogąc wyrzucić z głowy pana Adamsa, jego słów, oczu i smaku ust. Mogłam udawać, że się nic nie stało, ale gdyby się nic nie stało, nie musiałabym tego wspominać. Zaszyłam się w pokoju, bezmyślnie przerzucając kanały telewizyjne.

Michael

– Camillo, jak miło cię widzieć! – Michael przyjacielskim gestem objął dłoń swojej starszej prawie-siostry. – Nie wiem, jak ci dziękować za to, że zboczyłaś trochę z toru podróży. – Szczęśliwy dawno niewidzianym widokiem trwał w uścisku dłoni. – Wypiękniałaś. Miłość ci

służy – komplementował, przyglądając się pięknie wyglądającej dziewczynie.

– Oj, służy! Dziękuję, Michaelu. Po tym, co mi opowiedziałeś przez telefon, miałam nie przyjechać i nie zbadać gruntu, po jakim stąpasz? Jaką byłabym siostrą? Ponadto z miłą chęcią zostawię z tobą Americo. Tyle się nim z wami dzieliłam, to i teraz jakoś przeżyję te kilka tygodni. – Uśmiechała się, widząc uśmiechniętą twarz Michaela. – Chyba że zostaniesz tu na zawsze... to kucharza musisz mi oddać – oznajmiła rozbawiona, po czym rozglądnęła się po porozstawianych sprzętach.

– Raczej nie zostanę. Co miałbym tu robić? Kasyno pod lasem wybudować? – Zaśmiał się, odpalając papierosa w drzwiach balkonu.

– Jako lekarz żądam, żebyś rzucił ten paskudny nałóg! – skomentowała surowo, czując wdzierający się do jej nozdrzy zapach palonego tytoniu.

– Chyba mam sentyment do fajek, bo nie jestem w stanie ich rzucić. Przynajmniej nie teraz... – odparł swoim stanowczym i zamyślonym tonem.

– Uparty jak zawsze. – Pokręciła karcąco głową, wyciągając swój lekarski notes z neseseru. – Ale pomimo wszystko świetnie wyglądasz. – Spojrzała na sylwetkę Adamsa. – Potraktuj to jako wywiad lekarski i powiedz, jak ty to robisz? Zacisze i świeże powietrze to chyba nie wszystko? – dodała, będąc pod wrażeniem odbudowanej formy fizycznej Michaela.

– Dużo ćwiczę. Poranek zaczynam od biegu, śniadanie i trening w pokoju, po czym znów biegam. To znaczy... dopiero zacząłem dorzucać dodatkowe biegi. Pomijając to sztuczne pudełkowe żarcie, którego nie będę musiał już jeść dzięki tobie... – Pocałował ją serdecznie w czoło. – To staram się, jak mogę, by wrócić do gry...

– Czy to ma związek z imieniem, które kilkakrotnie wymieniałeś w rozmowie telefonicznej, drogi braciszku? – Camilla zauważyła wtedy znajomy błysk w oku człowieka, którego znała od dziecka.

– Chyba tak... – odpowiedział niepewnie, lecz z zupełną szczerością. Mimo iż nie byli spokrewnieni, łączyła ich szczególna otwartość emocjonalna. – Jest naprawdę wyjątkowa... Sam nie wiem, jak to określić...

– Nie wątpię. Skoro po kilku dniach opowiedziałeś jej o całym swoim życiu, to sama nie mogę się doczekać, by ujrzeć na własne oczy pierwszy cud potwierdzony naukowo... – Zaśmiała się na wspomnienie usłyszanej przez telefon opowieści z ogniska.

– Nie przeczę. Już wtedy zaskarbiła sobie całą moją uwagę. Ładna i zadziorna... Ale naprawdę zaimponowała mi właśnie tym ogniskiem. Wykiwała mnie taka mała istotka, kiedy myślałem, że to ja jestem na górze... – Zaśmiał się z własnej wpadki.

– To niesamowite. Widzieć cię po tylu latach w takim stanie! – odpowiedziała rozanielona. Od wypadku w zatoce, nikt nie widział, by Michael zwrócił uwagę na jakąkolwiek kobietę.

– Camillo? – zapytał, chcąc dodać coś więcej.

– Tak?

– Nie miałem tego w planach... i zaczynam tracić kontrolę. Nie mówię tu tylko o jej ciele i jak na mnie działa fizycznie... – Splótł dłonie na karku, patrząc w sufit. – Przeraża mnie to. Uwierz. Sny ustąpiły dzięki lekom, ale boję się, że kiedyś wrócą. W innej postaci, z większą mocą i inną postacią. Nie wiem, czy dałbym radę.

– Chcesz wstępnej diagnozy? – zapytała, fachowo mrużąc jedno oko.

– Słucham uważnie, pani doktor. – Spojrzał z nadzieją, że usłyszy szczerą odpowiedź.

– Złapałeś europejską odmianę wirusa, nieuleczalną i wybitnie zjadliwą. Niestety, im bardziej go zwalczasz, tym bardziej się namnaża i niszczy od środka. To miłość, kochany... – Podeszła do niego, obejmując ze wsparciem. – A teraz do roboty! Przebierać się w dresy i na

bieżnię! Nie przyjechałam tu, by tylko patrzeć na skruszonego łotra, a wybadać twoje parametry i upuścić nieco krwi, w której mam nadzieję stwierdzić podwyższony poziom endorfin! – Zaśmiała się, klepiąc go w ramię. – Michael? – zwróciła się jeszcze w stronę znikającego za drzwiami łazienki mężczyzny.

– Słucham...

– Żebyś widział twarz ojca, gdy powiedziałam mu, dlaczego tu lecę... Chciał, byś wiedział, że on również pragnie twojego szczęścia.

– Nie zapomnij pozdrowić ode mnie starego Pedro, gdy wrócisz do Sao Luis – odparł z uśmiechem.

– W zasadzie to teraz jest w Porto... – odpowiedziała, tym samym zaskakując Michaela. Pedro ostatnimi laty rzadko opuszczał Brazylię. Nie było takiej potrzeby, bo interesy między Ameryką Południową a Północną kwitły.

– Stało się coś? – zmienił ton na poważny i był wyraźnie zaniepokojony powrotem Pedro do rodzimej Portugalii.

– Nie, kochany! Nie musisz mieć żadnych powodów do niepokoju. Powiedzmy, że poszedł w twoje ślady i zarządził sobie urlop... – uspokajała, co nie do końca przekonało Michaela.

Wojny mafijne i walka o przejmowanie terenów Europy trwały pod nieobecność Pedro, który na wiele lat wycofał się z tych terenów, tracąc tym samym przewagę władzy na starym kontynencie. Jasnym był fakt, że zbudowane imperium w Brazylii od dawna było znacznie bezpieczniejszym miejscem niż rodzima Portugalia.

## Rozdział 19

Nędzówka

Majka

W czwartek tydzień temu o tej porze, kiedy dzwonił budzik, miałam na głowie jedynie mnóstwo gości, rodzinne problemy i sprawy sercowe przyjaciółki. Teraz miałam połowę gości, rodzinne problemy, sprawy sercowe przyjaciółki i swoje własne sprawy sercowe. Opóźniłam nieco wstawanie, patrząc w sufit i myśląc, jak to się mogło stać. Jakim prawem i jakim cudem. Nie mieć takiego problemu, by lada moment go mieć. Takie rzeczy tylko u nas, W Jagodowej Chacie.

– Nie wstawaj. Nie chciałam cię już wczoraj budzić. Zasnęłaś jak dziecko, które nie doczekało dobranocki – wymamrotała wybudzona Renia. Faktycznie miałam na sobie wczorajsze ubranie. – Ten Bobek... Czy Bob... – relacjonowała półprzytomnym głosem – mówił, że dziś będzie ich kucharz. Ponoć miał przylecieć w nocy, więc o dziewiątej zacznie gotować dla swojego szefa.

*Mój Pan jest dobry, da mi pospać.* Głos Zgredka komentował w mojej głowie.

– Organizacja idzie mu wybitnie... – odparłam.

– Odwołałam dostawę – dodała, narzucając kołdrę na głowę.

– Super...

Z jednej strony miałam spokój, a z drugiej strony czułam, że było to obezwładniające posunięcie godzące w moją swobodę. Dobra, zgodziłam się. Gość miał problem z żołądkiem. Nie. Z wątrobą... Trzymał dietę i potrzebował specjalnego żywienia. Płacił to wymagał. Zniosę to jakoś, ale już nie zasnę, spałam co najmniej dwanaście godzin. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to zdarzyło.

\*\*\*

Postanowiłam, że muszę od razu spożytkować część energii z wyspania i to najlepiej na sprint w miejsce, w które już jednak wczoraj nie wróciłam. Najpierw samotny bieg, a później z nim, zakładając, że będzie chciał ponownie pobiec ze mną.

Nie brałam prysznic. Wezmę, gdy wrócę. Przebrałam się jedynie i ruszyłam odwiedzić moje aniołki. Wczesnym porankiem było za wiele rosy, a to zbyt wcześnie, by zmoczyć buty, okrążając łąkę. Pierwszy raz wybrałam się tam o tej godzinie i nie pożałowałam. Ruszyłam prosto na leśną ścieżkę. Jasne promienie porannego słońca przebijały się przez korony iglaków, rozświetlając stare, poczerniałe, drewno aniołów, dodając im cienia dawnego blasku. Siedziałam w ciszy, słuchając jedynie odgłosów ćwierkania leśnych ptaków. Promyczki słońca rozścielały się po małym wnętrzu. Nie dziwiłam się, że swego czasu babcia przychodziła tu o świcie. Nie chciałam myśleć ani o ojcu, ani o Marku, ani też o Szczepanie. Patrząc na podarowanego mi wiszącego aniołka i ściskając kolejnego w dłoni, moje myśli krążyły tylko wokół jednego człowieka. Jego słów, wzroku, oczekiwań i tego czegoś nowego... czego nie rozumiałam. Z jednej strony nie pasowałam do jego ponurego świata. Tak jak te białe figurki nie pasowały do pozostałych czarnych. A z drugiej strony im bardziej nie pasowałam do jego ciemnej strony, tym bardziej przyciągała mnie ku sobie.

\*\*\*

Wróciłam do Jagody i biorąc prysznic, uznałam, że dziś nie będzie mojego śniadaniowego wdzianka. Ograniczyłam się tylko do frywolnego warkocza, który przecież był znany na całym świecie. Amerykanie w dupie mieli mój góralski akcent. Założyłam błękitną dzianinową sukienkę o luźnym kroju, wykończoną koronką w towarzystwie białych adidasów. Swoboda była podstawą.

Udałam się na dół, chcąc spokojnie wypić kawę przed pojawieniem się jakiejś gwiazdy *MasterChef*, ale o dziwo już na schodach poczułam zapach gotowanego śniadania. Tak. Tak. Gotowanego. Żadne tam szwedzkie stoły i pierdoły. Niepewnie kierowałam się w stronę kuchni, spodziewając się... Sama nie wiedziałam, kogo miałam się spodziewać. Raczej nie Magdy Gessler, bo zapewne nigdy o niej nie słyszeli. Zaczęłam sobie wyobrażać Michela Morana i powitanie typu *Oddaj Fartucha* oraz wydzierającego się na mnie Gordona Ramseya wykrzykującego *To nie pasztet, tylko jebane klocki hamulcowe!* Nie było źle. To nie była ani Gessler, Moran czy Ramsey. Starszy, niski, grubiutki i na pierwszy rzut oka sympatyczny pan w okularach siekał warzywa, nucąc wesołą melodię pod nosem.

– Dzień dobry – powiedziałam po angielsku.

– *Bom dia!*<sup>131</sup> – przywitał się, spoglądając z wyraźnym zaciekawieniem na moją osobą. – Pani Maja? – zapytał, szukając potwierdzenia.

– Tak. Jestem Maja i bardzo mi miło widzieć tu profesjonalistę. Proszę czuć się jak u siebie panie... – przedstawiłam się, wiedząc już chociaż, że brał pod uwagę moją obecność

– Jestem Americo – dokończył za mnie.

*Wyglądasz na miłego Brazylijczyka lub Portugalczyka. Ciężko ocenić, ale krzywdzisz mnie swoim imieniem. Jakbym tu za mało miała Americów.*

– Jest pani naprawdę piękna! – zaznaczył z pełną uprzejmością w głosie, mrużąc brązowe łagodne oczy.

*To się rozumie. Pierwszy konkret tego dnia*, pomyślałam. A jednak bardzo brał pod uwagę moją obecność. A ja się spodziewałam zastać potwora z kuchennych programów, który na dzień dobry zacząłby mi wytykać brak soli himalajskiej czy zestawu ziół orientalnych. Tym czasem z uprzejmością wytknął tylko mój wygląd.

– Dziękuję. Jest pan miły. Nie chcę przeszkadzać. Pewnie szef jest surowy i wymagający... – Widząc jego otwartość wobec mnie, od razu postanowiłam wykorzystać to swoim sposobem.

– Michael surowy?! – Zaśmiał się wesoło. – Znam tego szczeniaka od dziecka...

*Nie znam cię, a już cię kocham za otwartość.*

– Życie by oddał za bliskich! Nie mogłem mu odmówić przyjazdu na koniec świata...

*Dobra, właśnie zabiłeś moją kielkującą miłość do ciebie.*

– Jest pan jego rodziną? – postanowiłam wycisnąć, ile się da z tej cytryny.

– Nie, kwiatuszku... – odparł, podciągając nosem. Dostrzegłam jego lzy, zrobiłam więc krok, by podejść z symbolicznym gestem wsparcia i w ostatniej sekundzie dostrzegłam lądującą na patelni posiekaną cebulę. Mało brakowało do kolejnej kompromitacji. Nie tracąc płynności ruchu, sięgnęłam po kubek, słuchając Americo. – Pamiętam, jak wbiegał bez majtek do kuchni jako mały chłopczyk...

*Oho! Skupmy się na tym, bo zaczynałam mieć wizualizację aktualnego stanu.*

– A ja tylko gotowałam temu nicponiowi od małego. Przez żołądek do serca. Prawda? – Popatrzył na mnie spod okularów, obdarzając serdecznym uśmiechem.

*No tu się nie zgodzę lub nigdy nie udowodnię tej epickiej tezy.*

Rozbawiał mnie opowiadaniem, co i dlaczego Michaelowi szkodziło w diecie, skupiając się na czerwonym mięsie, a kończąc na niestrawności po zielonych bananach i czerwonej fasoli. Usłyszałam o zamiłowaniu do owoców morza, makaronów, po sałatki z łososiem i amerykańskich hot dogów. Miło się go słuchało, a jeszcze milej na niego patrzyło, gdy mówiąc, śmiesznie gestykulował krótkimi rączkami. Postanowiłam nawet wesprzeć go w obieraniu jajek, widząc, jak kiepsko mu to idzie okrągłymi paluszkami.

Wtedy do kuchni wparował odrobinę zaskoczony moim widokiem Michael, przerywając nam wesołe skubanie skorupki.

– *Hola amigo!*<sup>132</sup> – przywitał się, ściskając przyjaciela z entuzjazmem, jednocześnie zerkając na mnie podejrzliwym wzrokiem zza ramion przyjaciela. Patrzył jak na szpiega i jakby wiedział, że Americo wyrwie się ze wspomnieniami, a ja będę je zgrabnie chwytając do siatki na motyle.

– Jak iskierka... – wyszeptałam, nadal widząc podejrzliwe spojrzenie w moim kierunku. Puściłam mu dowcipnego i zawadiackiego całusa w powietrzu, prowokując, a jednocześnie podsycając jego ciekawość. Puścił przyjaciela, podszedł do mnie i spontanicznie ucałował mnie w usta, napawając się kolorem moich bordowych policzków. Zdażyłam poczuć jedyne ciepłe muśnięcie i wirujący zapach perfum na dzisiejszym eleganckim ubiorze.

*Postrzelił mnie. Odstrelił się,* nawet moje myśli nie chciały ze mną współpracować.

– *Ola, Maju!* – dorzucił do pakietu powitalnego. Przykleił sobie zawadiacki uśmieszek i zeskanował mój wygląd od stóp do głów.

*Osz ty...*

– Cześć... – odezwała się zmieszana śmiałym gestem.

– Usiądziesz z nami? – zaproponował, wskazując stolik, przy którym zasiadała właśnie niesamowicie atrakcyjna, latynoska piękność z długimi i lśniącościami włosami jak jedwab.

*No pięknie.* Zgrabna, szczupła, wysoka, z ogromnymi ciemnymi oczami w kolorze jej włosów. Laska wyjęta prosto z okładki „Vogue”.

– Nie. – Nie wiem, dlaczego odpowiedziałam bez zastanowienia. Instynkt obronny mi się chyba uaktywnił.

– Nie daj się prosić... – Chwycił moją dłoń, prawie na siłę zaciągając do stolika.

– To ty jesteś Maja... – powiedziała aksamitnym jak jej włosy głosem z przesadną uprzejmością i zmierzyla mnie błyskawicznym skanem.

*Kolejna poinformowana o moim istnieniu... Skoro znała moje imię, to ciekawe, czy wie o jacuzzi. Pan jest dobry i Pan by cię nie sprzedał,* zaskrzeczał głosik w mojej głowie.

– Tak to ja. Miło mi. – Poczułam się jak na ekskluzywnej wystawie pośród garniaków i z elegancką seksbombą stojącą nieopodal, która do sukienki założyła szpilki, a ja adidas.

Z bliska była jeszcze piękniejsza niż zza okna w kuchni. No nie miałam się do czego przyczepić. Miła i piękna. Przynajmniej już wiedziałam, dla kogo się tak odstawił.

– Michael opowiadał mi dziś rano, w jakich okolicznościach tu przyjechał. Ale to było zabawne, Maju! – Zaśmiała się równie ekskluzywnie jak wyglądała.

*A no zabawne... Po chuju fest,* jak to mawiał mój ojciec po strzyżeniu owiec.

*Co ci jeszcze, księżniczko, opowiedział?* Uśmiechałam się do niej, oczekując następnego ciosu.

– Ach tak? – odpowiedziałam z udawanym rozbawieniem, szczerząc zęby.

– W życiu nie słyszałam zabawniejszej historii. Naprawdę, to się tylko jemu mogło przydarzyć!



*I jak widać... mnie.* Jednak już mogłam się do czegoś przyczepić, bo zaczęła mnie męczyć po kilku sekundach rozmowy. Bardziej niż pani Ala z dwójki, która widocznie ustąpiła jej miejsca w tym pensjonacie.

– Jeśli będzie pani u nas nocować, to jest szansa, że i panią spotka coś zabawnego... – zaproponowałam z uśmiechem i nieznanym dla niej ironicznym tonem.

– Mów mi Camilla! – Podała mi subtelnie dłoń, przechodząc na ty. – Bardzo bym chciała, ale już po południu mam samolot. Szybciutka wizyta. Wystarczyło mi kilka godzin z tym przystojniakiem, by wiedzieć, że jego ciało i dusza mają się świetnie – wzdychając, wyśpiewała swoje wrażenia.

*Cóż za dystygowana brazylijsko-portugalska jebana szczerłość. Coś jeszcze?* Dobrze, że nie zapytałam o jakość materaca.

– A zgadza się... Coś narzekał ostatnio na swoją formę... Niezmiernie mnie jednak cieszy fakt, że jest tak, jak mówisz, Camillo. A teraz wybacź, ale nie chcę przeszkadzać wam w śniadaniu. Pewnie macie mnóstwo do nadrobienia... – Mimo wszystko starałam się trzymać pozorów uprzejmości dla nowego gościa. Wbiła mi podobną do siebie – tępą szpilę, godząc boleśnie w nieznaną obszar klatki piersiowej. – Przepraszam, ale teraz muszę zadbać o ciała koni, które zapewne już na to czekają... W stajni... – Jeśli w ogóle wiedziała co to stajnia. Bo nie wyglądała, jakby kiedykolwiek miała z nią do czynienia. – Smacznego i do zobaczenia – pożegnałam się ostatnią resztką uśmiechu, jaką zdołałam z siebie wydobyć, i odeszłam, nawet nie patrząc na twarz Michaela.

Sprowadził sobie swoją siksę i jeszcze się nią chwalił. A ona pochwaliła się porannymi pogaduszkami i jego świetnym ciałem. *Co ja sobie myślałam?!* Zamiast z posmakiem wypitej kawy, wróciłam do swojego pokoju z posmakiem gorczy rozczarowania.

\*\*\*

– Widziałaś ją? – bąknęłam do robiącej sobie makijaż odświeżonej Reni.

– Zapomniałam ci powiedzieć. Chodzi ci o tę laskę, o której mówił mi wczoraj łysy?

*Świetnie się spisujesz, kochana, w pomijaniu drobnych detali ostatnimi czasy,* ale zdawało się, że sama nie byłam ci dłużna.

– Tak o nią – odparłam z pretensją.

– Nie widziałam jej, bo skoro powiedzieli, że mają klucze i sami to ogarną, to po co dokładać sobie pracy.

– To idź na kawę. Taka okazja może się nie trafić, by zobaczyć ósmy cud świata. Usadziła swoje idealne dupsko koło jego idealnego dupska, opowiadając mi jeszcze, jak to miło spędzili noc na pogaduszkach i oględzinach ciała, szczerząc te swoje śnieżnobiałe zęby... – wypowiadałam zdania z taką pretensją, jakby biedna i zdębiała Renia była odpowiedzialna za to wszystko.

– Oj. Oj. Oj... Ktoś tu jest... ZA-ZDRO-SNY! – stwierdziła, melodyjnie podkreślając słowo *zazdrosny*.

– Ja zazdrosna?! Niby o kogo?! O gościa, którego znam tydzień?! – zapytałam wzburzona.

Renata mrużyła oczy w cwaniackim uśmieszku, bacznie obserwując moje sprzeczne zachowanie. Mówiłam, że nie jestem zazdrosna, ale zachowywałam się, jakbym była.

– Nie wiem, kurwa, o kogo... Pewnie... o swojego Gepetto! – wytknęła brutalnie moje widoczne sprzeczności. I poniekąd za to ją kochałam. Kogo ja chciałam oszukać?

– Dobra już dobra. Nie ma o czym mówić. Może i przeszła mi przez głowę irracjonalna wizja... Ale czar prysł i koniec kropka. – Wnioskując po jej minie, raczej nie była przekonana do

mojej kropki. Sama jednak byłam jej coraz pewniejsza. Całując go, zrobiłam błąd, ale nie mogłam zostać czyjąś wakacyjną przygodą na końcu świata. Ogarnęła mnie niepoohamowana ochota na dziki pęd w towarzystwie Kory. A najlepiej Black, bo pasowała do wojny panującej wewnątrz mnie. To, na którym koniu pojedę, zależało tylko od nastroju, w jakim była moja czarnulka. Założyłam czarny strój godny jeźdźca. Czarne bryczesy, czapsy i sztyblety, nie zapominając o kasku, który mógł spełnić swoją rolę, szczególnie na grzbiecie Black.

Renia obserwowała moje nerwowe ruchy i pewnie myślała, że odbiło mi jak po coli.

– Masz ochotę poszaleć ze mną? – zaproponowałam, kamuflując uśmiechem swoje podniesione ciśnienie. Zachęcając do spędzenia wspólnie czasu, zrobiłam kilka demonstracyjnych obrotów wyprostowaną sylwetką jeźdźca.

– Ocipiałaś chyba! – odparła pogardliwie na moją propozycję, pokazując mi świeżo zrobione błyszczące paznokcie.

– Nie? To do miłego!

\*\*\*

Gdy pewnym krokiem zmierzałam chodnikiem wzdłuż pensjonatu, wtedy kątem oka zauważyłam dwa gruchające gołąbki w altance.

*Pan jest skończonym chujem*, pocieszył mnie głos Zgredka w myślach. Udałam, że ich nie widzę, przyspieszając kroku w stronę stajni. Byłam wściekła, tak wściekła, że zdecydowanie chciałam Black!

– Panie Zenku, przyniesie mi pan siodło?

– O widze, że dzisiaj odziano jak trzeba. Przyprować Prime czy Kore?

– Black – zdecydowałam.

– Krucafuksy! Utropy<sup>133</sup> kces dziywko i mnie skończyć. Jak nie wódecka, to wy mnie nerwami w mogile wpendzicie! – sprzeciwił się mojemu wyborowi, wymachując rękoma.

– Black powiedziała! – krzyknęłam. Jeszcze nigdy tak wrogo i z taką pewnością siebie nie odezwałam się do poczciwego Zenka.

– Sparta jak diabli... – Popatrzył na mnie, jakbym na tamten świat się wybierała i odwrócił się oburzony, by przynieść siodło.

Sama starałam się uspokoić, głaskając Black, która stąpając niespokojnie, już zapewne planowała, jak mnie wymieść z siodła.

– Droga Camillo... – przemówił Amerykanin do boginki, zmierzając w moją stronę. – Jeszcze zdążysz zobaczyć niesamowity talent jeździecki tutejszych dziewczyn. – Przyproważając ją tutaj, chyba jedynie chciał mnie jeszcze bardziej wkurwić.

Jak można było z taką gracją chodzić w szpilkach po tym terenie?

Postanowił zakończyć upojnie spędzone chwile na pokazie brawurowej jazdy konnej w moim wydaniu.

*Adams, jeśli tym razem wejdiesz za ogrodzenie, to wspomogę się palcatem, żeby Black przyspieszyła*. Musiałam wykrzesać ostatni czar, jakim była magia sztucznego uśmiechu.

– Ależ ty się prezentujesz, Maju! – skomentowała mój wygląd.

*Ależ TY się prezentujesz, Camillo! Obstawiam, że moje zdolności jeździeckie są nader ubogie w porównaniu do twoich*.

– Nie przesadzajmy... – odpowiedziałam z uśmiechem i spostrzegłam, że Black znowu się uspokoiła w bliskiej obecności Michaela. *Black, proszę. Chociaż ty nie wchodź mu w arogancki tylek*. – Powinnaś zostać dłużej – zaproponowałam całkiem spontanicznie. Może przeszłoby mi całkowicie, gdybym musiała się do niej porównywać codziennie.

– Bardzo bym chciała, ale praca wzywa. Dla niego... – Pogłaskała jego uśmiechniętą

twarz. – Warto zboczyć z toru lotu... – Aż mnie zemdliło od słodyczy tego cukiereczka.

*W duchu ci gratuluję i co gorsza zazdroszczę!*

– Ach nie wątpię! – odpowiedziałam ciut zaczepnie, co tym razem nie uszło uwadze Michaela, skupionej teraz na moim nerwowym zapinaniu pasów siodła.

– Zabiorę jednak jego częśćkę ze sobą i w niedługim czasie zobaczymy, co będzie... – Nie chciałam nawet już analizować tych bzdurnych zwierzeń. Korzystając z chwilowego wyciszenia Black, posadziłam się na siodle. Nie chciałam być na tyle niemła, by odwrócić się końskim zadem, ale chciałam, żeby to oni wyczytali z mojej twarzy, że mam dość ich obecności. – Musisz być naprawdę wyjątkowa, skoro uparł się na to miejsce – dodała, na co Michael momentalnie pogładził jej rękę, wyciszając temat.

To była zazdrość, szczerłość czy głupota tej damy od epizodycznego łoża?

– Pamiętajmy o samocie. – Popatrzył na mnie, uśmiechając się jak skończony dupek, jednocześnie spoglądając bałamutnym i bezczelnie uwodzicielskim wzrokiem.

– Naprawdę miło było cię poznać, Maju. Michaelu, ostatnia próbka i do domu! – odparła, ujmując go pod rękę.

*Mało było tej brazylijskiej żmii.*

– Ciebie również – skłamałam.

Miałam ochotę otworzyć ogrodzenie i ich staranować. A następnie ich leżące ciała. Lecz Black i tym razem wyczuła oddalającego się ulubieńca. Nawróciła gwałtownie, porywając się do podobnego pędu jak ostatnio. Nawet nie wiem, czy zatrzymali się, by popatrzeć na koński galop. Tym razem jednak siedziałam pewnie w siodle, miałam nadto adrenaliny i sił, by się w nim utrzymać. Wiatr chłodził rozpalone policzki, a cwał końskich kopyt rozbrzmiewał echem w mojej głowie. Nie miałam zamiaru spadać. I nie spadłam. Tym razem to ja górowałam nad wściekłą Black. To ona była mniej zła i mniej czarna niż moje myśli. Nie skończyło się na jednym dystansie. Nie liczyłam. Było ich wiele, a bardziej niż ja zmęczona była Black, wracając ostatnią prostą spokojniejszym klusem.

Oddałam klacz Zenkowi, dziękując jej przytuleniem za wspólny wycisk. Oddając jej swoją złą energię, zabrałam jej własną. Dopiero dziś zrozumialiśmy się bez słów. Czułyśmy to samo. Aby to poczuć, potrzebowałyśmy zapłonu. Dzisiejszym była portugalska wywłoka. W sumie powinnam jej podziękować, przynajmniej dzięki niej zobaczyłam oblicze Adamsa i poznałam potrzeby swojego konia.

Czułam ogólne zmęczenie. Potrzebowałam coś zjeść oraz kawy i przede wszystkim długiej kąpieli, od której zresztą zaczęłam. Postanowiłam nie pokazywać się w kuchni, która teraz zdała mi się opanowana przez obcych. Mimo iż czułam sympatię nie do samego imienia, a osoby pogodnego Americo, postanowiłam zjeść na mieście, bo miłosne trzepotanie motylek w brzuchu, zastąpił wygłodniały rój wściekłych szerszeni. Niemniej jednak w atmosferze tego roju, wpadł mi do głowy pewien pomysł i z małą pomocą starego znajomego mogłam go zrealizować.

## Rozdział 20

Nędzówka

Majka

Pogoda w Tatrach nie rozpieszcza i w przeciwieństwie do piątkowej, dzisiejsza nie napawała optymizmem. Deszcz i plucha nie rozjaśniły mojej kapliczki, ale i tak zdawała się urokliwsza o poranku. Dziś miała nastąpić ekscytująca realizacja mojego planu zagrania na emocjach. Miałam to zrobić wczoraj, bo pogoda na wspólny bieg była, lecz mój pomocnik i kolega po prostu nie mógł. Dobrze było jednak podtrzymywać stare znajomości. Miałam zamiar rozpalic ognisko w altance i zasiąść ze swoim podstawionym amantem tak, by widok z apartamentu dwanaście był wyraźny. Od czwartkowego przedpołudnia, kiedy to dla zabawy był popatrzeć ze swoją nałożnicą na cyrkową małpę ujeżdżającą konia, nie zamieniłam słowa z Michaeliem. Były małpy, będzie i cyrk, w jaki sam chciał się bawić, wysyłając mi spreczne sygnały.

*To się zabawimy. Zrobię tak, by było kameralnie i romantycznie.*

Musiałam wrócić, nim towarzystwo zdąży się wybudzić. Może chociaż dziś zdołam zjeść we własnej kuchni bez czyjegokolwiek towarzystwa.

Było przed siódmą, kiedy zbiegłam wprost na dół. Nie traciłam czasu na przebranie się z przemokniętych ciuchów i suszenie włosów. Wykwintny razowy tościak z miodem przepity kawą złagodził obyczaje i mało nie stanął mi w gardle, gdy zobaczyłam przez szybę, nie Americo zmierzającego na swoje czasowe stanowisko pracy, a Michaela wchodzącego do jadalni.

Zastygłam, wiedząc, że mnie nie widział, zapach kawy kazał mu jednak iść dalej. Czułam, że wejdzie do kuchni. Wyprzedziłam jego zamiary, biorąc swój kubek z kawą i sama ruszyłam w jego stronę z zamiarem opuszczenia tego miejsca. Idąc pewnie, trzymałam nobliwy i betonowy fason. Runął jednak jak drobna figurka gipsowa, gdy stanął przede mną, zastępując mi drogę.

– Cześć – powiedział, przeszywając mnie tym swoim wnikliwym i czarnym spojrzeniem.

– He...

*Brawo, Maju, za najkrótsze powitanie roku.*

– Jesteś wielce niesłowna, młoda damo.

*Bo Pan jest wielce chujkiem.* Znowu przyjaciel Zgredek udzielił mi wdzięcznej odpowiedzi. Ten buc mógł przekonać tę swoją ślicznotkę, by została i towarzyszyła mu w biegach, bo ja nie miałam zamiaru. Po chwili namysłu nie zdecydowałam się jednak wypowiedzieć tego na głos.

– A ty jesteś wielce nachalny i wielce nieobyczajny – odparłam, zauważając teraz, że również ma mokre ubrania i włosy. Nie poczułam się komfortowo z myślą, że nadal biega o świcie. Sądziłam, że jednak czekał na wspólny trening po śniadaniu. – Pozdrów przyjaciółkę. Mnie też przypadła do gustu – dorzuciłam, widząc zamiast oczekiwanej powagi dotkliwie uroczy uśmiech i wyzywające spojrzenie.

*I na moją góralską krew miało to działać?! Oczywiście, że działało, tylko nie tak, jakbym chciała.*

– Ja nachalny? – zapytał, a ja miałam wrażenie obecności ukrytego sensu w tym pytaniu.

– Czyli dziś również nie dostanę wycisku? Szczerze mówiąc, to trochę się stęskniłem.

– Przepraszam, ale dziś nie mam czasu. Ja również muszę popracować jeszcze nad swoim ciałem – odparłam powabnie, niczym jego południowoamerykańska lalunia, dodając kokieteryjnego brzmienia odpowiedzi i znikając z ulgą za drzwiami jedyne wolnego od wścibskich oczu pokoju. Prawie wolnego, bo Renata ostatnimi czasy też dawała mi popalić.

\*\*\*

Gdy do portugalskiej damy powiesz „odpierdol się”, to się obrazi. Gdy powiesz to polskiej góralce, to się wystroi. I tak też zrobiłam. Wykonałam sobie subtelny makijaż, rozpuściłam włosy i podkreśliłam ich artystyczny nieład pianką. Założyłam wystarczająco krótką kobiecą muślinową czerwoną sukienkę, by kolor odpowiednio zadziałał na byka. Miała finezyjne ramiączka krzyżujące się na plecach z koronkową falbanką, która dodała jej dziewczęcego uroku. Miałam rzucić się w odpowiednie oko, więc karmazynowe usta i szpilki miały mi to zagwarantować.

Na kogo jak na kogo, ale na Dareczka można było liczyć. Jako stary kolega z klasy dobrze znany był również Renacie. Opornie, ale przystał na moją prośbę, pomimo iż sam uważał, że było to dziecinne. Oczywiście nie opowiedziałam mu historii z jacuzzi i tym wszystkim po. Ograniczyłam się do sprzedania bajki o nachalnym wielbiciele w osobie zagranicznego klienta. Ostatecznie przystał na udawanie mojego zalotnika.

Zjawił się punktualnie odświętnie ubrany z bukietem kupionych przeze mnie kwiatów. Darek Babiarez, którego nazwisko żyło w symbiozie z jego życiem. Był samotnikiem z wyboru i niestrudżonym odkrywcą kobiecych zakątków. Najbardziej rozpoznawalny rozpustnik w całym Zakopanem. Nie zaznajomiłam Renaty z sobotnimi zamiarami, więc niekoniecznym jest wspominać, jaką miała minę, widząc, co odpierdziłam. Pukając mnie w główkę i bez zbędnej wylewności, powiedziała mi tylko, że jestem chora. I pewnie byłam, ale dążyłam do zdrowia.

Wiedząc, że amerykańscy koledzy siedzą na swojej dystyngowanej kolacji przygotowanej przez kucharza z drugiej półkuli, bez wahania przeszłam z Darkiem tuż obok ich stolika, kierując się do kuchni.

Nasza wenecka szyba miała jedną wadę. Nie sprawdzała się, gdy było zapalone sztuczne światło w pomieszczeniu za nią. Miałam więc tę świadomość, że wszystkie ich oczy skierowane były właśnie w stronę kuchni. Nie patrzyłam jednak w okno, by się w tym upewnić.

– *Ola*, Americo – przywitałam się z Bogu ducha winnym człowiekiem, wyciągając wino, dwa kieliszki i korkociąg.

– *Ola*, *Bonita!*<sup>134</sup> – odparł nieprzejęty moim towarzystwem. – Zapraszam jutro na śniadanie – dodał, uśmiechając się przyjaźnie.

– Dziękuję. Chętnie przyjdę – odpowiedziałam na zaproszenie, bo ciężko mi było odmówić temu człowiekowi. Postanowiłam otworzyć wino w kuchni, by Adams wystarczająco się napatrzył na mnie w towarzystwie zacnego górala. Może nieco spiętego, ale to był drobiazg.

– Pogłaszcz mnie po włosach – instruowałam po polsku Darka, siłując się z korkiem od wina. Brawurowo i beznamyślnie zrobił, o co prosiłam. – Teraz ucałuj moją głowę... I z łaski swojej... pomóż mi otworzyć to jebane wino – podpowiedziałam z istic sztucznym uśmiechem, widząc, jak niezgrabnie mi to idzie. Wykonał kolejne polecenie pocałunku, a ja poczułam się jak klient wydający rozkazy w domu uciech. Kolejnym krokiem powinno być: „pobierzmy próbkę”, ale musieliśmy zachować klasę. Średnią, ale zawsze klasę.

Dałam znak do wyjścia i wcisnęłam mu wino do ręki, a sama zabrałam jedynie kieliszki. Byliśmy na wysokości zastawionego stołu, gdy usłyszałam upragnioną reakcję:

– Nie przedstawisz nas przyjacielowi? – zareagował Michael z sympatycznym, ale

ciekawskim uśmiechem.

*Jest! Jednak zadziało. Ubodło byczka.*

– A tak. To jest Darek... Miło mu, ale nie mówi po angielsku. Ani po portugalsku. Przykro mi, że nie zamienicie zdania... Ale jest szansa, że na śniadaniu się zobaczymy... Więc mogę ci trochę potłumaczyć – dodałam, wywołując mocną zmianę w wyrazie spokojnej dotąd twarzy Michaela i wyglądzie dotąd pewnego siebie aktora Darka. – Dobranoc, Michaelu. – Z rozkoszną satysfakcją pożegnałam rozdrażnionego przystojniaka, by odejść i znaleźć się w bezpiecznej przestrzeni korytarza na parterze ze swoim długowłosym manekinem.

– Kurwa mać! Majka! Mówiłaś, że to napalony amerykański cienias... A nie stado bokserów w garniturach! Ja się w to nie bawię... – powiedział i wcisnął mi wino.

Przestraszony widokiem na dole Darek zaczął odchodzić od naszego planu, wycofując się ku drzwiom frontowym.

– Przestań, głupku! Nic ci przecież nie zrobią – uspokoiłam go rozbawiona.

W zasadzie mógł już iść. Plan wypalił, boski Armando zareagował i nie trzeba było dodatkowego teatru w altance.

– Przekonałabyś mnie jedynie kontaktem fizycznym z twoją osobą... – Roześmiał się sam z tego, co powiedział. Jednak nagle mocno spoważniał. – *Sorry*, Majka, ale jaja mogą mi się jeszcze przydać... – Nerwowo otworzył drzwi i momentalnie wyszedł.

Nie musiałam się odwracać, by czuć charakterystyczną woń perfum tuż za swoimi plecami. Spławił moją amatorską aktorkę profesjonalnym wrogim spojrzeniem.

– Coś szybko twój gość wyszedł – zaznaczył tym razem on z satysfakcją w głosie.

– Dostał telefon z domu i musiał wracać. – Odwróciłam się i spojrzałam na niego z wyrzutem wtrącania się w cudze rozmowy. – Śledzisz mnie?

– Szkoda marnować wina – wymigał się od odpowiedzi, spoglądając na kieliszki i butelkę. Wzrok miał typu: „mogę popatrzeć, jak pijesz?”.

– Uwierz, było na tyle tanie, że nie będzie mi go szkoda wylać – odparłam dwuznacznie, zwiększając komfortowy dystans krokiem w tył.

– Jesteś zła o coś? – zapytał otwarcie, zmniejszając dzielącą nas odległość i moją zdolność obronną. Najgorsze w tym było to, że on o tym wiedział.

– Jestem... ale zmęczona. Bardzo zmęczona tym wszystkim – odpowiedziałam, tym razem bez jakiegokolwiek złości i czując, że zaraz moje oczy będą szkliste.

– A zazdrośna?

*O ty gnojku. Tak osobiste pytanie prosto w oczy.* Zapominając o elegancji, jaką mogło się pochwalić moje źródło zazdrości, wychyliłam dla odwagi kilka sporych łyków wprost z butelki.

– Wiesz co? – Ośmieliłam się za blisko podejść do własnych postawionych granic. Uniosłam głowę, żeby mógł poczuć ciepło wypływających z moich ust słów. – Wysyłasz mi niespójne sygnały. Mam pewną barierę, która świetnie współgra z twoim podpunktem numer cztery, o którym mówiłaś tuż po powrocie... Nie lubię się dzielić. – Prychnął śmiechem, prawie dotykając swoim czołem mojego czoła.

*Dupek jeden.* Pociągnął mnie za rękę na moją babciną ławeczkę przy drzwiach wejściowych, po czym nalał do obu kieliszków odrobinę wina.

– Chyba już zapomniałem, jak to jest z wami, kobietami... – powiedział, a ja totalnie zbita z tropu patrzyłam, jak wypija kilka łyków wina, patrząc na mnie.

– Ponoć wątrobę miałeś postrzeloną i nie pijesz... – wytknęłam ten widok.

– Dostałem minimalne pozwolenie na specjalne okazje od Camilli.

*Zastanawiam się, czy jeszcze jakieś inne pozwolenia dostałeś.*

– Super – odpowiedziałam tylko, odwracając wzrok.

– Wychowywaliśmy się razem. Znamy się od dziecka i jeśli uważasz, że coś między nami zaszło... – Zaśmiał się rozbawiony moją śmiertelną powagą. – Bez urazy, że wytykam jakieś znane ci sytuacje, ale to tak, jakbym poszedł do łóżka z własną siostrą. Jest lekarzem – wyjaśnił.

Dobrze, że była noc, bo prawdopodobnie miałam twarz jak nasza Aneczka lub właśnie pobiłam jej rekord. Nie mówiąc już o moim upodleniu wewnętrznym. Gdybym miała wiadro lodu, włożyłabym do niego twarz. Zrobiłam scenę zazdrości o faceta, którego pierwsza pocałowałam, którego nie byłam pewna i którego znałam nieco ponad tydzień. I co najgorsze w momencie, gdy chciałam zwolnić to szaleńcze tempo.

Wypiłam swój kieliszek jednym haustem, patrząc w swojej głupocie w otchłań nocy. Nie miałam w sobie na tyle cywilnej odwagi, by spojrzeć mu w tym momencie w twarz po tym całym przedstawieniu z Darkiem. Nie miałam już nawet zamiaru pytać, o jakich próbkach mówiła Camilla. Chyba inteligencja mi nie pozwoliła.

– Przep... – przerwał mi, przytykając swój palec do moich ust.

– Nie przepraszaj, bo nie masz za co. Zaskoczyłaś mnie... ZNOWU. – Opuścił głowę w lekkim uśmiechu.

– Nie tylko ciebie – mruknęłam cicho.

– Wiele mi to jednak rozjaśniło. Nie pij dużo, bo mamy bieganie do nadrobienia. – Pocałował mój rozpalony wstydem policzek, po czym wstał i udał się do środka.

Zostawił mnie z kolejną niewyjaśnioną sentencją i zażenowaniem po pierwszej scenie zazdrości. Bezpodstawnej zresztą.

## Rozdział 21

Nędzówka

Majka

Żałosne uczucie pomyłki w osądzie nękało mnie od rana. Pobiegłam o świcie do leśnego budynku, by pozwolić się besztać własnemu sumieniu. Czułam, że biały aniołek mnie wyśmiał, a już wystarczająco do śmiechu było temu czarnemu z dwunastki. Pomijam swoje niekontrolowane odruchy i nagminnie łamane obietnice moralnej samodyscypliny. Właśnie to z samokontrolą zaczęłam mieć poważne problemy. Z jednej strony czułam niebywałą ulgę, że wróciliśmy z Michaeliem do pewnego punktu, a z drugiej miałam sobie za złe myśli, jakimi ich niesłusznie obrzuciłam. Gdyby ojciec się dowiedział, co mi utkwilo w sercu, to prawdopodobnie wyrwałby mi to gołymi rękami. Jednocześnie nie mogłam popuścić i płynąć jego matrymonialnym nurtem.

Chciałabym spotkać jeszcze tego staruszka. Teraz jest mocno powiązany ze wspomnieniami nieszczęśliwej miłości babci. I dziś wyszłam z kapliczki lżejsza o kilka ciężarów i szkoda, że nie cięższa o jakieś praktyczne rady.

\*\*\*

Ogarnęliśmy się z Renią, chętnie przyjmując zaproszenie naszego kucharza. Podobnie jak tydzień temu w niedzielę, zeszyliśmy na śniadanie razem. Chciałyśmy pomóc odrobinę w kuchni, ale Americo nie dał nam niczego tknąć. Podał nam świeżo wyciśnięty sok z mango i pomarańczy. Pierwszy raz też jadłam pierożki z krewetkami i szczerze przyznam, że jedynie z uprzejmości i sympatii do kucharza. Miałam świadomość, że bacznie obserwował każdy grymas na mojej twarzy zza lustra. Przyszli i nasi lokatorzy i rozsiedli się na swoim ulubionym miejscu pod belkami. Jedynie Michael najpierw udał się do kuchni, by przywitać się z człowiekiem, który musiał go znosić od dziecka. Wczorajsza emocjonalna wtopa podcięła mi skrzydła pewności siebie na tyle, by nie uszło to uwadze Reni.

– Wyciągniesz ten kołek z dupy? – przerwała milczeniem.

*Kocham cię za bezpośredniość, moja droga, ale nie przystoi w jadalni.*

– Dalej jesteś zazdrosna?! – zapytała wprost.

*Takie pytanie przy przetykaniu soku? W punkt, kochana.* Zakasłałam, dławiąc się sokiem, a przy okazji odwracając wszystkie krzesła i zapraszając tym samym Michaela do naszego stolika. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zaczęło mu wchodzić w rytuał całowanie mojego policzka na dzień dobry. Tym bardziej, że Renata nadal nie wiedziała o żadnym pocałunku.

– Dzień dobry, pięknym paniom! – powiedział i układnie spojrzął na Renię, której oczy mówiły już za wiele.

– Pinokio, już nie musisz odpowiadać – wycedziła po polsku z bananem na twarzy, skacząc wzrokiem, raz na mnie, a raz na jego.

– Masz coś do nadrobienia... – powiedział tajemniczo z lekkim uśmiechem i apetytem w oczach. To była mieszanka wybuchowa, która sprawiała, że ostatnio nic nie chciało iść po mojej myśli. Nawet nowy typ skurczu robił, co chciał w moim brzuchu.

– Jedenasta koło stajni? – zaproponowałam wyjątkowo wczesną godzinę, jak na pierwszą



od niepamiętnych czasów niedzielę wolną od obiadu w domu.

Akurat tego nie było mi żal. Można było powiedzieć, że terapia odczulania zakończyła się sukcesem.

– A zechciałabyś wcześniej przyjść do mnie na górę? – wypalił i nie wiedziałam, czy zrobił to celowo przy Renacie, ale czułam się, jakbym ukrywała przed nią wstydlivy sekret. W sumie skrywałam, ale nie tego typu, o jakim teraz zapewne myślała Renia.

– Eeee... – Lubiłam tak zaczynać. Dawało mi to kilka cennych sekund na znalezienie rozumnego wyjścia awaryjnego. – Jeśli jest jakiś problem w pokoju, to nie ma sprawy.

*Faktycznie znalazłaś bardzo rozumne wyjście awaryjne, pomyślałam.*

– O TAK! Jest bardzo duży problem w pokoju – powiedział, dając dwuznaczną odpowiedź. Kopiuje-wklej komiczny banan Reni teraz wylądował na jego uśmiechniętej buźce.

– Dobrze. Zagładnę. – Wręcz czułam, jak róż pojawia się już nawet pod moimi oczami. Posłałam mu znaczące spojrzenie, by już sobie poszedł do swojego stolika. Nie mogłam mu odmówić. Gdyby zaczął mówić coś o mojej ostatniej wizycie w jego pokoju, czułam się jeszcze bardziej podle w stosunku do przyjaciółki.

– Fiu, fiu, fiu. Pinokio, nie wiedziałam, że drewno się rumieni... Zaczynaj nad tym panować, bo twarz Anki przestanie spełniać swoją funkcję! – Przewróciła swoimi wielkimi skanującymi oczami, zmieniając front na atak. – Dobrze, że on jest bardziej otwarty, to się czasem czegoś dowiem, bo z tobą ostatnio nie idzie się dogadać! Zachowujesz się, jakbyśmy się nie znały i mam wrażenie, że ostatnio bardziej przeszkadzam, niż pomagam! – skomentowała poważnie nieszczęśliwym głosem.

Ubodło mnie to w samo serce, bo doszło do mnie, że to była prawda. Nie wiedząc czemu, odsunęłam ją od tego, co się ze mną działo. On opowiadał przyszywanej siostrze o mojej gołej dupie w jacuzzi, gdy przybył w to miejsce, a ja musiałam być skazana na swojego gadatliwego Zgredka w głowie. Od zawsze dzieliliśmy się nic nieznaczącymi: „patrzył na ciebie”, „pocałował”, „napisał”, „powiedział”, a kiedy pojawiło się coś konkretnego, zaczęłam to ukrywać. Maj tego roku mnie nie rozpieszczał. Nas nie rozpieszczał.

Reszta śniadania przebiegła w grobowej ciszy przyjaźni na krawędzi. Kończąc, wstała od stołu, nawet na mnie nie patrząc.

– Załatwiłam Agatę do ogarnięcia ich pokoi. Będzie za chwilę. Jakbyś mnie potrzebowała, a pewnie nie będziesz, to będę w pokoju – zakomunikowała nietypowo obcym i formalnym tonem. To najbardziej mnie ugodziło. Nie miałam odwagi nawet spojrzeć jej w oczy.

\*\*\*

Przed jedenastą wychodziłam na górę w niewiadomym mi celu. Zapukałam, lecz bez odzewu. Nie miałam zamiaru wykorzystywać swoich kluczy, ale też nie chciałam sterczeć pod drzwiami jak przed audiencją u eminencji. I nie musiałam. Złapałam za klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Weszłam do środka i od razu usłyszałam dobiegający spod prysznic szum wody.

*Po co się myć przed biegiem?* Jeśli zaplanował, że i tym razem rzucę się mu na szyję, to był w błędzie.

– Jestem! – krzyknęłam do zamkniętych drzwi łazienki, by tym razem powiadomić o swojej obecności, i skierowałam się pewnie do wnętrza salonu, oglądając po kolei wszystkie porozstawiane sprzęty – od atlasu do ćwiczeń na cztery miejsca, po multifunkcyjną stację wyciągu, kończąc na profesjonalnej bieżni. Człowiek aż szczupłał od samego patrzenia na to wszystko.

Usiadłam na kanapie, nie chcąc być ponownie przyłapaną na myszkowaniu w cudzych rzeczach i zaczęłam myśleć o punkcie docelowym swojej wizyty. Wyczuwalna woń dymu papierosowego w tym pomieszczeniu całkowicie odbierała zdrową atmosferę tego miejsca i szczerze mnie denerwowała. Sama nie wiem dlaczego, ale wzięłam do ręki przewieszoną przez poduszkę białą sportową koszulkę i przyłożyłam ją do twarzy. Zamknęłam oczy, by chłonąć jej zapach. Był przyjemny, bo pachniał nim... i narkotyczny, bo już nie słyszałam strugi wody z łazienki. Coś jednak nie pozwalało mi otworzyć oczu.

*Kurwaaaaa*, piszczalam w myślach. Nie wiem, co było gorsze. Zostać przyłapaną na próbie kradzieży dyktafonu czy ziścić koszmar o boyu hotelowym, który zostaje przyłapany na wachaniu bielizny atrakcyjnej pani.

Niepewnie otworzyłam oczy i oczywiście stał nade mną tylko w dresach i z ręcznikiem przewieszonym przez szyję, eksponując to swoje nieprzyzwoicie piękne ciało pokryte tatuażem. Jaka była niezręczność tej sytuacji w skali od jeden do dziesięć? Dwadzieścia!

Poderałam się w popłochu i podeszłam do otwartych drzwi balkonowych. Stałam w ich przejściu jak pień, zwrócona do niego plecami, nadal ściskając jego koszulkę w dłoniach. Gdybym miała przed sobą przeszkodę, poradziłabym sobie z nią samym czołem. Czułam wręcz, jak jego spojrzenie nastawia moje kręgi, kończąc na kości ogonowej.

Zrobił tak jak pamiętnego ranka, niczym czyhający drapieżny kot podszedł zbyt blisko, wywołując u mnie falę niepohamowanego dreszczu. Nie był to tym razem dreszcz spowodowany paniką i strachem, ale moją pękającą tamą samokontroli.

Położył swoje dłonie na moich ramionach. Zmysłowo i powoli sunął nimi w dół po rękach, zatrzymując się na moich splecionych razem dłoniach. Wszystkie włoski zareagowały, stając na baczność pod dowództwem jego palców.

– Oddasz mi koszulkę? – wyszeptał w końcu.

– Pewnie! – Zmieszana i z całym wachlarzem odcieni różu na kościach policzkowych podałam mu koszulkę, śmiejąc się już z własnego przekroczonego dziennego limitu wpadek.

– Czy wolisz, żebym nie zakładał? – dodał, mrużąc oczy.

*Dobre pytanie*, pomyślałam.

– Załóż – odparłam krótko, budując mały dystans.

– Widzę, że jesteś gotowa... – Uniósł brew i spojrzał na mój sportowy wygląd.

– Jestem – odpowiedziałam oszczędnie, kamuflując podziw dla jego atletycznej rzeźby i pogodnej aury, jaka go dziś otaczała.

– To chodź. – Ujął moją dłoń, prowadząc pod bieżnię.

– Chyba nie masz zamiaru biegać w pokoju? – zapytałam.

– Potraktuj to jako rozgrzewkę – odparł, ustawiając mnie przed sobą. – Nie ruszaj się. – Podszedł do szufladki i wyciągnął miarkę krawiecką.

– O co to, to nie! – Oburzona zamiarem sprawdzania obwodów swojego ciała stanowczo zaprotestowałam. – Chyba ci się profesja pomyliła! – dodałam, zakładając ręce na piersi w buntowniczym geście.

– Zaufasz mi? Czy będziesz nadal... Taka oporna? – zapytał z całym pokładem pewności siebie.

*No tupecik masz, kolego*. Nie miałam pojęcia, czy przekonał mnie własnym wdziękiem, czy pewnością siebie, ale czułam się jak w angielskim programie chińskiego geja: *Jak dobrze wyglądać nago*, bo właśnie ściągał ze mnie wszystkie miary. Obwód łydki, uda, bioder, talii. Oponowałam na biuście, lecz z gracją rozpostarł ściśnięte palce, otwierając sobie dostęp i do tej miary, skrzętnie notując wszystko na kartce.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, co ty wyprawiasz?! – zapytałam onieśmielona

i rozebrana z resztek honoru.

– Ile ważysz?

– Że co?! Kurwa, podnieś mnie i zważ! – odpowiedziałam już złośliwie. Ugryzłam się szybko w język, bo zrobił to, biorąc mnie w ramiona, niczym przenoszoną przez próg pannę młodą.

– Pięćdziesiąt dziewięć i pół kilo? – Rozbawił mnie dokładnością pomiaru i zaczęłam chichrać się jak głupia.

– Sześćdziesiąt. Hm – chrząknęłam i spoważniałam, by jednak nie dać mu całkowitej satysfakcji. Postawił mnie z powrotem na własnych nogach i podszedł do ekranu urządzenia, by skrupulatnie przepisać dane.

– Zapraszam. – Wskazał bieżnię. – Zobaczymy, jak oceni cię mój sprzęt. Interwał pięć minut czas start. – Zdjęłam czapkę i odrzuciłam ją na kanapę. Uruchomił maszynę, a ja zaczęłam biec jak chomik w kołowrotku ze świadomością, że ten rozpuszczony dzieciak bawił się moim kosztem.

– No, Iskierko. – Nowe określenie wkradło się do jego słownika. – Moja maszyna ocenia cię lepiej niż mnie... – pochwalił, analizując wynik z komputera.

– Panie trenerze, dziwne ma pan zabawy, więc może teraz po mojemu? – Niecierpliwie wskazałam las skinieniem głowy.

– Z miłą chęcią – odpowiedział z górującym uśmiechem i zalotnym spojrzeniem.

– Do skałki. Tylko szybciej... Kto pierwszy – powiedziałam, rzucając wyzwanie.

\*\*\*

Tym razem nie miałam zamiaru litościwie zwalniać tempa. Poczułam prawdziwego ducha rywalizacji i nie zwalniałam, czułam nęcącą chęć pokazania swojej wyższości. Mimo palących mięśni moich nóg biegłam szybkim tempem, nie dając za wygraną. Musiałam dotrzeć pierwsza do skałkowej mety. Byłam przed nim i coś wewnątrz nie pozwalało mi zwalniać, czułam jednak, że szybciej już nie dam rady. Na ostatnich około dwustu metrach już dość stromą ścieżką wyprzedził mnie z lekkością, jakiej bynajmniej się nie spodziewałam u niego zobaczyć. Jakby miał to w planie i z premedytacją pozwolił mi myśleć, że wygrywam, wyprzedzając mnie bliżej celu. Całą sobą chciałam wykrzesać coś więcej i biec szybciej, ale już naprawdę nie mogłam. On natomiast zostawił mnie z tyłu i zmierzał do celu, jakby biegł z góry, a nie pod nią. Byłam rozczarowana swoją zawodzącą mnie intuicją, a jeszcze bardziej tym, że on doskonale o tym wiedział. Stał bez jakiegokolwiek śladu zmęczenia oparty o skałkę, patrząc, jak dobiegłam do mety. Chwytałam łapczywie oddech, którego mnie właśnie pozbawił.

– Chyba twój komputer kłamie. Gratulacje. Jesteś lepszy. Wygrałeś – przyznałam, z trudem wypowiadając słowa.

Oparłam się obok niego, czerpiąc ulgę z kojącego chłodu skały na plecach. Dotarło do mnie, że nie dałabym rady go wyprzedzić. Był szybszy, silniejszy i w zdecydowanie lepszej formie. Po raz kolejny od początku byłam w błędzie, a on znowu mnie z niego wyprowadził.

– Nie kłamie. – Stał przede mną i lewą dłonią uniósł mój podbródek, bym na niego spojrzała. – Widzisz, co ze mną robisz? – Moje serce ponownie zmusiło się do wysiłku, zwiększając tempo swoich uderzeń.

Jego czarne oczy były tak przenikliwe i szczere, że mu wierzyłam. Wierzyłam, bo on robił ze mną to samo. Moje myśli, wewnętrzne zaparcie i obietnice składane swojemu rozsądkowi brały przy nim w łeb.

– Jeśli robisz z tobą to samo co ty ze mną... to nie jest to ani rozsądne, ani naturalne – odparłam, patrząc mu w oczy.

Wystarczyło jedno spojrzenie pełne nadziei, aby mnie objął i delikatnie pocałował w usta. Nie zrobił tego tak, jak ja na balkonie i pod wpływem impulsu. Teraz robił to całkowicie świadomie i zmysłowo, dając mi smakować miękkości swoich warg powoli i po trochu zwiększając tempo naszych zachłannych języków. Nigdy żadne usta nie były w stanie wywołać u mnie tak rozpaczliwego wołania o więcej. Przerazało mnie to, jednocześnie bezwiednie przyciągając. Dociśnięta przez gorącą skałę na piersi do zimnego głazu na plecach, czułam, jak moje wnętrzności skręcały się na smak słodkiego żaru wlewane ustami do gardła. Nagle ustał w pocałunku i jedynie wymienialiśmy się powietrzem przyspieszonych oddechów. Wraz z tym siedmiomilowym krokiem doznałam niewypowiedzianych pragnień, które chciałam hamować. Przynajmniej próbować.

– Nadal chcesz mnie poznać... I płynąć pod prąd? – wyszeptał, prawie dotykając moich warg i paraliżując mnie tym kompletnie.

Objął moją twarz i nakierował na swoje czarne i pełne nadziei spojrzenie, a ja nadal z trudem panowałam nad własnym oddechem.

– Jestem słabsza od ciebie, ale nie od pstrąga. – Wtuliłam swoją głowę pod jego brodę i zrobiło się mi niebywale dobrze, gdy poczułam mocne bicie jego serca.

Od tego momentu miał mnie w garści i już nic nie było dla mnie takie oczywiste. Moja pierwsza zapora okazała się tak licha jak słomiany domek jednej z trzech świnek w bajce.

Bieg powrotny był absolutnie taki jak my – inny. Z górki, powolny i ramię w ramię. Minęliśmy kapliczkę, która zachęcała swoim spokojem i zaciszem. Michael odwrócił głowę w jej stronę, jednak nie zadawał żadnych pytań. Dobięliśmy do ogrodzenia stajni. Nie wiem dlaczego, ale nadal czułam swoistą niezręczność w naszej relacji. Co najmniej jakbyśmy uprawiali seks głęboko w lesie pod świerkiem. Zdawało mi się, że on to doskonale wyczuwał.

– Masz ochotę się jeszcze dziś zobaczyć? – zapytał jednak z nadzieją na brak odmowy.

– Teraz ty mi proponujesz randkę?

– Randkę... Kolację, na której chciałbym rozwinąć kilka tematów z naszej ogniskowej iskierki... – powiedział bez owijania w bawełnę.

Konkretnie i czytelnie. Podobała mi się ta otwartość. Pewnie zapytany o częstotliwość oddawania moczu, nie miałby oporów, by i na to odpowiedzieć.

*Jednak się wstrzymam z tym pytaniem.*

– Z przyjemnością – odpowiedziałam w głębi ducha podniecona kolejną możliwością przebywania z nim, a jednocześnie możliwością rozwinięcia kwestii, które od dnia ogniska nie dawały mi spokoju. – Ale najpierw muszę cię o coś poprosić. Oddasz mi list z tłumaczeniem?

– Chcesz pozbawić mnie ściagi? – Na jego twarzy pojawił się zawadiacki uśmiech. – Proszę. – Podał mi kartkę wyciągniętą z kieszeni dresów.

– Nosisz to przy sobie? – Otworzyłam oczy ze zdumienia.

– Już nie muszę. – Zbliżył się i musnął moje usta. – Znam go na pamięć – odparł, przyznając, jak bardzo wziął sobie do serca moje słowa o ponownym poczytaniu.

*Super. Mój belkot będzie mi się czkawką odbijał przez długi czas.*

\*\*\*

Gdy weszliśmy wspólnie do pensjonatu, Renia siedziała zwrócona tyłem do nas w recepcji, udając, że coś skrzętnie notuje. Była zła.

– Hej... – odezwałam się niepewnie.

– Hej – bąknęła, nie odwracając się w naszą stronę.

Sądząc po minie Michaela, również wyłapał nieodpowiednią atmosferę. Skinieniem

głowy dał znać, bym zajęła się przyjaciółką, a sam pobiegł na górę. Zamiast wejść do niej, najpierw zeszedłam na dół, by zaparzyć dla niej białą, a dla siebie czarną kawę. Wróciłam na górę, zapraszając ją na naszą babciną ławeczkę.

– Piłam już – odparła tylko. Nie ruszając się z miejsca, od razu odrzuciła zaproszenie.

– To kawa pojednania i nie możesz odmówić – powiedziałam, nie ustępując.

– Mogę i odmawiam – odpowiedziała, podkreślając swojego focha.

– Całowaliśmy się... – oznajmiłam, a ona obróciła się na krześle, przyglądając mi się jak kosmicie z fiutem na czole.

– To ty?! Czy to nadal Pinokio? – Wstała, zabierając swój kubek z kawą, i sama zaprowadziła na ławeczkę.

Usiadłyśmy i bez owijania w bawełnę wręczyłam jej karteczkę z tłumaczeniem. Musiałam nadrobić jej brakujące informacje od początku. Zamknęłam oczy, wiedząc, że przesadziłam. Czekałam w napięciu, aż skończy czytać.

– Co to, kurwa, jest?! Gorący temat do „The Guardian”? – zapytała całkowicie zdezorientowana, nerwowo mrugając oczami.

– Obiecuj, że nie będziesz zła.

– No, kurwa, nie mogę, bo tu jest napisane, że bzykałam się z bratem! – odpowiedziała oburzona.

– No nie tyle bzykałaś, co byłaś zaręczona... Wysłuchaj i nie przerywaj chociaż – starałam się ją uspokoić, by dała sobie wszystko wytłumaczyć. – Na ognisku, kiedy Michael przyszedł... Pograliśmy głupio. Chciał, żebym się mu zwierzyła. Nie miałam zamiaru tego zrobić... Wiesz sama, jak jest. Dla żartu, a trochę z potrzeby, powiedziałam to wszystko po polsku. I gdyby się na tym zakończyło... Nie byłoby tematu. Tylko... Już wtedy mu się podobałam, więc miał dyktafon w kieszeni... i polskiego tłumacza w pokoju. To chuchro w okularach. Ten list to tłumaczenie moich polskich żali. Jak wyczytałaś, on również zwierzył mi się ze swojego życia. Okazało się, że jest mafiosem, stracił kogoś kilka lat temu. W tym roku dokonał zemsty na oprawcy. Zabił go i sam ucierpiał, ledwo uchodząc z życiem. Był w śpiączce, a teraz odzyskuje zdrowie. Gdy odkryłam, kim jest, byłam przerażona. Pamiętasz ten dzień, kiedy mówiłam ci, że byłam o świecie na zewnątrz, bo bolała mnie głowa? Nie byłam. Czekałam, aż pójdzie biegać i wkradłam się do pokoju, by ukraść urządzenie. Zamiast tego, znalazłam tę kartkę przetłumaczoną nocą, a on zastał mnie na próbie kradzieży. Wystraszyłam się, bo byłam pewna, że mnie zabije, zgwałci i nie wiem sama, co myślałam, ale zamiast tego chyba coś zaiskrzyło między nami... – Wbiła we mnie osłupiałe oczy, nic nie mówiąc. – Przepraszam, że znalazło się tu twoje imię. Naprawdę tego nie chciałam.

– Moje imię?! Gratulować ci teraz postradania rozumu czy za chwilę?! W chuj ujmująca historia miłosna! Romantyczniejszego początku w żadnym filmie jednak nie widziałam... I teraz przychodzisz i oznajmiasz mi, że całowałaś się z gangsterem? Z mordercą?! Ty chyba rozum postradałaś! Życie ci się znudziło?! – wrzeszczała na mnie i poleciały pierwsze grube wióry.

– I dlatego nie chciałam ci o tym mówić! Właśnie zaczęłam odzyskiwać własny rozum! Bez matkowania, ojcowania i Markowania! Jeśli i ty chcesz mi kłody pod nogi rzucać, proszę bardzo! Skakałam przez nie od dziecka. Jakoś i te przeskoczę.

– Sama sobie rzucasz tym razem – powiedziała napuszonym tonem pełnym troski i obawy.

– Z tym że teraz robię to z... sama nie wiem. Chętnie.

– Pojechało cię. Tyle ci powiem. Ryzykujesz za wiele... – Popatrzyła, zauważając moje błyszczące oczy. – Znów nie przegadam! Ale skoro radzisz sobie z Goclonami, to może i mafię przeskoczysz. – Objęła mnie ramieniem całkowicie nieprzekonana do mojego wyboru.

\*\*\*

Kolacja z Michaeliem miała się odbyć wedle planu. Schodziłam na dół ubrana po swojemu, czyli wygodnie i swobodnie, założywszy szarą dzianinową sukienkę i bielutkie trampki. Szczerze, nie liczyłam na atmosferę, jaką zastałam wieczorem w stołówce. Lub po prostu do takiej nie przywykłam. Spodziewałam się lekkiej sałatki z brązowym sucharem przepitym sokiem.

Michael wykorzystał kolejną szansę, by mnie zaskoczyć. I zaskoczył. Bo powinnam założyć czerwoną suknię z trenem i wysokie szpilki. Zaczynając od jadalni, to przeistoczył ją w chwilowo ekskluzywną restaurację, przygaszone światła i świece tylko podkreśliły klimatyczność wnętrza. Stał przy stoliku z rękoma za plecami, czekając na mnie. Czarna koszula i czarne spodnie. Dobrze, że nie założył smokingu z muchą i nie trzymał bukietu kwiatów, bo moja swoboda, podobnie jak moralna tama ległaby w gruzach.

– Nie przesadzasz? – zapytałam miło zaskoczona i spięta jednocześnie, podchodząc do stolika. – Gdybym wiedziała... to odkopałabym coś bardziej stosownego. – Wskazałam na swoje trampki.

– Wyglądasz tak, jak chciałem, żebyś wyglądała... Jeśli o to ci chodzi. – I wtedy właśnie moja swoboda zaczynała pękać, bo wyciągnął zza pleców czerwoną jak krew różę, całując mój coraz to cieplejszy policzek. Szarmancko odsunął moje krzesło, by posadzić mnie naprzeciwko siebie. Zmieszana i onieśmielona patrzyłam, jak nalewał wina do kieliszków, uśmiechając się jednocześnie. – Pasujesz do światła, jakie daje ogień. Przy ognisku to zauważyłem – dodał, łapiąc mój zawstydzony wzrok.

*Co by powiedziała Renia? Wyciągnij kolek z dupy? Majka! No dalej! Ale zamiast wyciągnąć kolek, przyglądałam się w skupieniu każdej jego czynności.*

– Uwierz mi na słowo, że twoje oczy bardziej pasują do ognia – odparłam i miałam słusność. Podkreślone blizną czarne, wrogie i zadziorne, a jednocześnie pociągająco łagodne i uległe w kontakcie z moimi.

– Maja... Chciałbym cię prosić o jedno... – zaczął wolno. – Jeśli czujesz to, co ja, to musisz otwarcie mówić o pewnych rzeczach. Nie lubię się domyślać i zgadywać.

– Skoro tak, to powiedz mi otwarcie... Czego ty chcesz ode mnie? – Spodobało mi się takie podejście do tematu.

– Chcę cię poznać i... – przerwał wypowiedź, widząc zmierzającego w naszą stronę Americo niosącego świeżo przygotowane danie.

– *Ola, Bonita!* – Postawił pięknie przyrządzoną potrawę mnie i partnerowi. – Mam nadzieję, że tym razem trafię do twojego serca dorszem pieczonym z ziemniakami, cebulą, jajkiem i czarnymi oliwkami – opisał swoje danie z uśmiechniętą twarzą. Faktycznie wyglądało wyśmienicie.

*Jak można było zamienić ziemniaki w mikroplasterki takimi okrągłymi paluszkami?*

– Jak to tym razem? Pierožki również były pyszne... – odpowiedziałam na wspomnienie pierogów z krewetkami, które absolutnie nie trafiły w moje, bądź co bądź, mało orientalne gusta.

– Mnie nie oszukasz. – Pogroził palcem i serdecznie się uśmiechnął, co pozwoliło mi tylko na przepraszający wzrok. – Smacznego, dzieciaki! – Potoczył się z powrotem do kuchennej bazy.

– Nie lubisz owoców morza? – zapytał zdziwiony Michael.

– Nie w każdej postaci... Nie chciałam mu robić przykrości, więc zjadłam. Widzę jednak, że nic się przed wami nie ukryje – stwierdziłam z uśmiechem, biorąc pierwszy kęs świetnej ryby.

– Szkoda... – odpowiedział z zawodem w głosie. – Bo zawierają sporo afrodyzjaków...

*Czarodziej.* Jeśli chciał zawiesić mojego pstrąga w ustach między górną szóstką a dolną piątką, to mu się wybitnie udało. Przy okazji jeszcze wyczarował drugą różę na policzkach.

– W rumieńcach też ci do twarzy...

*Oj, Michael.* Jeśli taką szczerość miałeś na myśli, to powodzenia. Nie ułatwiasz mi zadania.

– Zawstydzasz mnie celowo? – zwróciłam mu uwagę na swoją niekomfortową pozycję.

– Czym cię zawstydzam? Podoba mi się tylko twoja niema reakcja w temacie... bliskości cielesnej. I to wszystko – odparł z całkowitym luzem w głosie.

*Nom.* *Chciałaś, to masz szczerość,* pomyślałam. W jedenastym dniu znajomości mówiliśmy na temat bodźców związanych z seksem.

*Do tego, Kochaniutki, to ci jeszcze jak tej rybce z talerza do tarła. Tu nie wystarczy buziaczek, kwiatuszek, kolacyjka.* Potrzebowałam pilnej zmiany tematu.

– Wiem, że dochodzisz do siebie i masz urlop, ale skąd pomysł na Zakopane? Nie wyglądacie na kogoś, kto przyjeżdża zaliczyć Giewont i Krupówki... – Zaskoczenie wymienionymi nazwami miejsc podpowiadało mi tylko jedno. On totalnie nie wiedział, o jakich miejscach mówiłam.

– Ha! Nie uwierzysz, jak ci powiem. – Zaśmiał się tak, jakby przypomniał sobie coś zabawnego. – Ustrzeliłem to miejsce na mapie.

– Ustrzeliłeś???

*A no jasne.* Głupie pytanie do kogoś, kto na co dzień mierzy do ludzi z pistoletu. Zaczęłam żałować tej zmiany tematu i zaprzagnęłam powrócić jednak na intymniejszy tor.

– Siedzieliśmy z braćmi i chłopakami u mnie w domu na luźnym wieczorze... Wtedy postanowili wysłać mnie na wakacje, wieszając mapę świata na tarczy do lotek. – Patrzył na mnie rozbawiony swoim wspomnieniem i moją miną. – Dali mi lotkę do ręki... Jedna szansa i PACH... Zostałem miło ugoszczony twoim widokiem w skromnym stroju – skończył, popijając wypowiedź oszczędnym łyżkiem wina.

– Dzięki za pamiętliwość... – wytknęłam. – A gdybyś trafił w ocean? – Niedowierzałam, jak można wylosować sobie wakacje, po prostu rzucając w ciemno lotkę w tarczę z mapy.

– Ale nie trafiłem. – Uśmiechnął się wymownie. – I naiwnie wierzę w przeznaczenie, tak jak ty naiwnie wierzysz w prawdziwą miłość... – dodał, wywołując tym razem miłe uczucie ukłucia w sercu. – A co ze szczerością? Mogę na nią liczyć? – dodał, powracając do pierwszego tematu.

– Możesz liczyć na otwarcie i szczerość z mojej strony – potwierdziłam, godząc się na takie udogodnienie.

– Miło mi to słyszeć, bo również zamierzam być sobą... – odpowiedział, nieprzyzwoicie głęboko patrząc mi w oczy. – To jak? Teraz idziemy do mnie... na deser? – Bez pardonowo i prosto z mostu zaproponował to, czego z całą pewnością nie dostanie. Powagę pytania natychmiast zamienił jego śmiech. – Mam ci powiedzieć, jaką masz minę?

*A no powiedz, żartownisiu,* pomyślałam.

– Daruj sobie... – odpowiedziałam urażona.

Podszedł, przykucnął przy mnie i oparł jedną rękę o oparcie krzesła, a drugą na stole, jednocześnie patrząc mi w oczy.

– Posłuchaj pierwszej szczerzej wskazówki. Jesteś niezwykle pociągającym stworzeniem, ale musisz zrozumieć pewną rzecz... i nauczyć się ją rozgraniczać z żartem. Nie chcę cię wykorzystać. Nie zrobię niczego bez twojej zgody... Chociaż to niezwykle kusząca opcja...

Rozumiesz? – Potwierdziłam z ulgą kiwnięciem głowy, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego słowa. – Zmęczyłem cię nawet bez biegu po lesie – dodał, luzując atmosferę.

– Żeby tak było, trochę bardziej musiałbyś się postarać. – Zdjęłam ciężką blokadę, wiedząc już, że był teoretycznie bezpiecznym kandydatem do dwuznacznych rozmówek damsko-męskich.

– To dobrze, bo za chwilę nastąpi mała zmiana atmosfery. – Wstał, muskając mój policzek spontanicznym całusem.

Tak jak powiedział. Świece zgasły, a zapaliły się światła. Do części wypoczynkowej weszli Rick, Bob, Peter i Leon i ułożyli bile na stole. Nie było jedynie Mike'a, co od razu przyniosło mi jednostkową ulgę. Wiedziałam, że tłumaczył moje słowa. Usiedliśmy na kanapie, patrząc, jak pocieszeni butelkami whisky duzi panowie dogryzają sobie jak mali chłopcy.

Tego dnia zaczęłam inaczej na nich patrzeć. Nie jak na napompowanych dziwkarzy, a normalnych, samotnych facetów pocieszających się swoim towarzystwem i zabawą przy bilardzie. Zabrakło mi tu Reni, której SMS-em zaproponowałam zejście do nas. Odpisała: **Jestem zmęczona**, co w jej języku oznaczało: **prosisz mnie o zbyt wiele**. Nie nalegałam. Sama musiała to zrozumieć i zaakceptować moje wybory.

– Nie chcesz, żeby twoja przyjaciółka zajęła jeden z wolnych pokoi? Będzie miała więcej swobody... Nie będę potrzebował aż tylu – zaproponował Michael.

– Nie bądź taki rozrzutny – zażartowałam. – Mogłaby źle odebrać moją propozycję... A jeśli już mówiliśmy o prawdzie... Powiedziałam jej o tobie. Czytała mój list i powiedziałam jej, co mówiłeś mi na ognisku – przyznałam się, pamiętając, że prosił by jej nie wtajemniczać.

– Wiem – odparł z wdzięcznością.

– Powiedz, że to nie to, co myślę... – Sceptycznie spojrzałam mu w oczy, myśląc już o ukrytych podsłuchach.

– *Bonita*... nisko mnie cenisz. Prawda numer dwa na dzisiaj... Nie łamię danego słowa. Wiedziałem, że tak będzie tuż po powrocie. Wiem nawet, co o mnie myśli twoja przyjaciółka... I wyzwanie, by poprawić własny wizerunek, biorę na siebie – odpowiedział z uśmiechem na twarzy. Ponownie zostałam zaskoczona jego umiejętnością wnikania w moje myśli. – Dla ciebie też mam jedno wyzwanie. – Skinął głową w stronę stołu do bilardu.

– Nie dziś. Pójdę do niej. Wiesz... utwardzić ci grunt do pracy nad nią. A poza tym... Nie wypada szefowi przegrać z kobietą na oczach podwładnych. Dziękuję za wieczór i cenne wskazówki.



## Rozdział 22

Nędzówka

Majka

Po ostatniej wolnej od rodzinnego obiadu niedzieli nadeszła kolejna najlepsza w moim życiu. Wybudzona, wypoczęta i szczęśliwa leżałam, rozmyślając nad caluteńkim tygodniem bez kłótni, złościwości i komplikacji. Bez rodziny, której braku zasadniczo nie odczuwałam. Miałam w głowie ostatnie dni spędzone z człowiekiem, z którym chciałam je spędzać.

Wspólne posiłki, treningi, bieganie i pielęgnacja koni, a to wszystko przeplecione wyjawianiem sobie naszej historii istnienia. Jakbyśmy chcieli nadrobić całe życie w zaledwie kilka dni. Opowiadał mi o swoich braciach i otoczeniu. Czułam się, jakbym słyszała jedynie dźwięk nierealnego dla mnie filmu, nie widząc obrazu. Powiedział mi o narkotykach, w tym – kokainie, zaczynając od produkcji, a kończąc na konsumpcji i konsekwencjach. O nielegalnej broni i jej rodzajach. O kalibrach i zasięgach. O przerzutach i wpadkach. O dostawcach, odbiorcach i układach z ludźmi, którym teoretycznie powinno zależeć na dobru obywatela. O nieudacznikach w kasynie i tym, jak łatwo zniszczyć sobie w ten sposób życie. O wrogach i przyjaciółach. O zwycięstwach i porażkach. O Pedro i dorastaniu w Brazylii oraz nadopiekuńczej pani Ricie, o której mu przypomniałam, wrywając pierwszego wieczoru papierosa z ust. O przemierzonych milach w basenie. O tym, że na Florydzie, oficjalnie jest jeszcze w śpiączce. Powiedział nawet, jak potraktowali Szczepana, gdy przybyli do Okonia, za co nagrodziłam go pocałunkiem i zapoznałam z pełną charakterystyką brata nieudacznika. Opowiedział mi o tym wszystkim i nie miałam mu za złe tego, że jakiś człowiek przedawkował coś, co kupił na własne życzenie. To tak, jakby oskarżać producenta wódki za marskość, chociażby Zenkowej, wątroby. Wręcz przeciwnie. Zaczęło mnie to fascynować. I ja poznałam go z otoczeniem własnej rodziny i tym, w jaki sposób ojciec każdemu z nas rozplanował życie. Jak działała tutejsza siatka interesów matrymonialnych. Opowiadałam o swobodniejszym czasie, kiedy studiowałam z Renią na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. O filologii angielskiej i portugalskiej. O ciężkiej pracy i zaangażowaniu, jakie włożyłam w poprzedni i obecny pensjonat. Opowiedziałam o jedynej kochanej babci i o tym, jak wpłynęła na moje życie. Poznał poczciwego Zenka i jego nieocenione wsparcie. Poznał moc przyjaźni i otuchy, by mógł zrozumieć, jak ważna była dla mnie przyjaciółka. O zbliżającym się weselu i tym, jakim intruzem będę na nim.

Ja słuchałam jego, a on słuchał mnie, zadając pytania, na które poznał odpowiedzi. Nie był jak moje anioły w kapliczce, bo one słuchały, ale nie mówiły. W ten temat nie chciałam się jednak wgłębiać. Może traktowałam to jak bardzo intymną część siebie, na poznanie której jeszcze nie nadeszła odpowiednia chwila. On też nie rozwijał tematu wspomnianych koszmarów i straty, jakiej doznał. Uznałam, że na wszystko przyjdzie odpowiedni moment.

Jego obecność pochłaniała mnie tak bardzo, że zaczęłam zachowywać się jak Renia końcem stycznia, szukająca chwili między pracą, Kamilem a mną. Z tym że teraz praktycznie pracy nie było. Nie miała mi za złe, rozmawialiśmy rzadko, ale w miarę normalnie, aczkolwiek zdystansowanie do Michaela aż parowało z jej ciała.

Wstałam cichutko z łóżka i, nie ściągając piżamy, pobiegłam do pustej kuchni. Kawa łagodzi obyczaje. Wróciłam do pokoju z dwoma kubkami, by ten poranek spędzić na babskich

pogaduchach.

– Cześć, śpiochu. – Szturchnęłam ją delikatnie.

– Hej. Daj pospać jeszcze – odpowiedziała półprzytomnym głosem, patrząc na mnie jednym otworzonym okiem. – Ty w ogóle spałaś czy byłaś na górze? – Uśmiechnęła się na widok kubka z kawą. Oparłyśmy się o wezglowie i, przykryte kocem, siorbałyśmy swój niedzielny start.

– Nie martw się. Jak cię zdradzę, to będziesz pierwszą, która się o tym dowie.

– Tak? Widząc wasze tempo, to już niebawem... – wytknęła i wiedziałam, że chodziło jej o dynamikę ostatnich dni.

– Ledwo otworzyłaś oczy i już dokuczasz? – zwróciłam jej uwagę i wtedy popatrzyła na mnie smutnymi oczami.

– Bo kocham cię jak siostrę, której nie mam... i kurewsko się o ciebie boję, mało! – Poczochnęła moje sterczące loki, opierając głowę o moje ramię. – Nie chcę, żebyś cierpiała tak jak ja – dodała.

– Jesteś moją siostrą i tak zostanie na zawsze... A ja nie chcę, żeby cokolwiek to zniszczyło – powiedziałam, całując jej czubek głowy.

– Wzięło cię... prawda? – powiedziała melancholijnie.

– Nie wiem... to naprawdę wyjątkowy facet. Z jednej strony jest w nim coś mrocznego, a z drugiej delikatnego. I to coś mnie przyciąga... – odparłam, zastanawiając się nad własną odpowiedzią.

– Czyli mówisz, że jednak ma szansę dopłynąć swoją bambusową tratwą do twojej dziewiczej wyspy? – Na jej twarzy wymalował się podstępny uśmiezek pełen ciekawości, której ostatnio nie zaspokajałam na bieżąco.

– RE-NA-TA! Nie zapędzaj się... – Uśmiechnęłam się, ale tak naprawdę zaczęłam podświadomie analizować jego, a następnie nasze wspólne szanse.

Wypiłyśmy kawę, a potem miałyśmy zjeść wspólne śniadanie.

Wczorajszego dnia poinformowałam Zenka o swoich planach i miał przygotować konie na jedenastą. Miałam zaplanowaną niedzielną niespodziankę dla Michaela. Wcześniej zamówiłam mu komplet męskiego stroju do jazdy konnej. Podrzuciłam go na łóżko w apartamencie w chwili, gdy zszedł na dół, po czym wraz z Renią dołączyliśmy do niego.

Prawdopodobnie poranna rozmowa lub szczerłość wywołały w niej małą zmianę, bo wyjątkowo zaczęła brać aktywny udział w śniadaniowej rozmowie.

– Jak powrót do zdrowia? – zwróciła się do Michaela jak nigdy z troską.

*A może złościwością?*

– Lepiej niż się spodziewałem – odpowiedział, z uśmiechem patrząc na mnie.

– Jeśli ją skrzywdzisz... – ciągnęła do Michaela wykładowym tonem, wskazując na mnie palcem. – To kolejny powrót do zdrowia nie będzie dla ciebie łatwy. – Popatrzyła na niego wrogo, po czym roześmiała się, dając do zrozumienia, że to był tylko żart. Oczywiście chciała, żeby tak wyszło. Czułam, że mówiła poważnie, jednocześnie nie chcąc mi sprawiać przykrości. Za dobrze znałam jej chwyt.

– Uprzedzała, że ma lepszą ochronę niż ja. Nie zaryzykuję. – Zmierzył ją bystrym spojrzeniem.

*Yhy... arcymistrz lechtania ego.*

– Ja tu jeestem – zanuciłam, by nie odbijali piłki tuż nad moją głową.

– To się rozumiemy. – Uśmiechnęła się kąśliwie i zabrała się za swoją bardzo małą porcję jajecznicę z awokado.

– Odchudzasz się? – Popatrzyłam na jej talerz z mikroskopijną porcją.

Zmiana tematu złagodziła obyczaje. Jak kawa. Nie potrzebowała odchudzania. Już wtedy, gdy rozbierałam ją przed jacuzzi zauważyłam, że schudła. Miałam nadzieję, że to nie była jakaś fobia modelki, a tylko przejściowy stres.

– Jakos dziś mi apetyt nie dopisuje. Muszę przestać zaczynać dzień jedynie od kawy. – Puściła mi oczko, uspokajając nieco. – Dobra, ptaszynki, uciekam i bawcie się dobrze. – Żywiołowo ucałowała mnie w czoło, odniosła zastawę i wyszła. Oparłam łokcie o stół, a brodę o dłonie.

– Co jest? – zapytał Michael, dostrzegając moje zamyślenie.

– Kiepsko wygląda. Ostatni czas dał jej popalić. Jedenasta koło stajni, przystojniaku? – Uśmiechnęłam się zachęcająco.

– I mam odmówić? – Brew z bliźną uniosła się zalotnie.

– Nie możesz... – Wstając od stolika, przesunęłam palcami po jego ramieniu. – Punktualnie! – dodałam, odchodząc.

\*\*\*

Kwadrans przed jedenastą czekałam ukryta w altance w nadziei, że mnie nie zobaczył w oknie swojego pokoju. Znając życie, zejdzie wcześniej. Przeważnie był wcześniej. Słyszac dźwięk kroków dobiegający z chodnika, skuliłam się za podmurówką altanki. Miałam plan, by podbiec do niego i rzucić się mu na plecy. Kroki zaczęły być głośniejsze, a ich kierunek nie wskazywał drogi do stajni, tylko do altanki. Mimo to nie uniosłam czarnego czubka głowy z kaskiem. W tym wypadku sama musiałam udać zaskoczoną. Kroki ustały, a ja roześmiałam się, czując, że stoi tuż nade mną. Odwróciłam się, uniosłam głowę i zobaczyłam kogo? Marka. Właśnie spierdolił mi dzień samym swoim widokiem. Nie wiem, które z nas było bardziej zaskoczone. Chrząknęłam i wstałam, rozglądając się za czymś, co mi niby wypadło.

– Ceść – powiedział, stojąc w kapeluszu, portkach z lampasami i białej koszuli.

– Z grzeczności nie odpowiem – burknęłam, próbując precyzyjnie się obok niego, by szybko zniknąć.

*Za proste. Wiedziałam.* Chwycił mocno moją rękę nad łokciem, jednocześnie uniemożliwiając mi wyjście.

– Pockej! Nie skończyłem... – powiedział góral, patrząc wściekle w moją odwróconą twarz.

– Marek. Puść mnie, bo zawiadomię policję! – ostrzegłam, tracąc cierpliwość do tego człowieka.

– Idziemy razem na wesele – oświadczył, jednocześnie wywołując mój ironiczny śmiech.

– W twoich snach! – odpowiedziałam ze wstrętem do woni nieumytych zębów, jaką czułam jeszcze po ostatniej rozmowie. Miałam ochotę wyszorować je czystym chlorem, ale teraz chętnie bym go do niego wrzuciła i patrzyła, jak się topi.

– Jakiś problem? – odezwał się mój wybawca za plecami Marka.

– Przetłumac no swojemu klientowi, żeby się w nase sprawy nie wciął – powiedział do mnie, jednocześnie zwalniając swój uchwyt.

Michael może i był nieco niższy od Marka, ale zabójczy wzrok, jakim go właśnie obdarzył, przewyższał każdą skalę.

– Dziewczynko... w takich momentach żałuję, że nie mogę sobie pozwolić na pełną swobodę w waszym kraju. Przetłumaczysz coś proszę temu człowiekowi? Wynagrodzę ci to. – Popatrzył na mnie z nadzieją, łagodniejąc na sekundę w prywatnym kontakcie ze mną.

– No właśnie ten człowiek kazał ci się nie mieszać – odpowiedziałam, obdarzając go

ślicznym uśmiechem, jaki Marek mógł zobaczyć u mnie tylko przypadkowo. – Ale skoro prosisz i będzie nagroda, to przetłumaczę...

– Powiedz mu, że nie życzę sobie więcej podobnego widoku, bo kolejnym razem nie będę uprzejmy... – Michael wypowiedział te słowa w swoim języku i miałam odczucie, że Marek najwięcej zrozumiał z wyrazu czarnych oczu.

– Mój klient prosi, by ci przekazać, że nie życzy sobie widzieć podobnego widoku – przekazałam Markowi.

– Wies, gdzie niech se ten panasek wsadzi swoje życzenia? – odpowiedział, obdarzając Michaela nieprzejętym wzrokiem.

Michael śmiało ujął moją dłoń, ciągnąc w stronę koni. Wściekłość Marka wręcz kąsała po naszych zwróconych do niego oddalających się plecach.

\*\*\*

– Widzisz, jakiego mam kandydata? – skomentowałam krótko całe zajście.

– Nie przejmuj się. – Objął moje ramiona, dzięki czemu poczułam się bezpiecznie. Był tu. I nie obchodziło mnie to, że Marek mógł to widzieć, czając się nadal w ukryciu. Tak jak musiał wiedzieć, że byłam w altance.

– Zjebał niespodziankę – wymamrotałam zamyślona.

– Nieprawda i nie myśl o nim, bo zaraz ja zrobię się zazdrosny. Dziękuję za swój profesjonalny wygląd jeździecki. Gorzej z umiejętnościami... – skomentował strój, w którym wyglądał nieprzyzwoicie dobrze.

– Czyli masz ochotę na Black? – zażartowałam, wiedząc jednocześnie, że był jedyną osobą, jaką ten koń tolerował.

– Mam ochotę na ciebie – odpowiedział karcącym uśmiechem na moje bałamutne pytanie.

– Yhm... Romeo... jeździłeś już kiedyś? – zapytałam.

Nie mogłam posadzić go na jakiegokolwiek konia bez tej wiedzy. Sprawdzałam poprawność założonego siodła Black, korzystając z jej spokoju przy Michaelu, by szybko się zdziwić, bo w jednej sekundzie znalazł się na niej.

– Pytanie nieaktualne – dodałam, widząc jego niebagatelny uśmiech. – Myślałam, że już wszystko mi o sobie powiedziałeś...

– Takie perełki zostawiam na dobry moment.

Black ani drgnęła jak nie ten sam koń. Jakby cały ten czas czekała właśnie na niego. Okazało się, że Pedro w swojej brazylijskiej posiadłości mógł pochwalić się stajniami, w których miał kilkadziesiąt koni. Wszystko to przez swoje zamiłowanie do polowania. Michael wychowując się pod opieką Pedro, miał okazję poznać niejednego koński charakter.

Jechaliśmy ramię w ramię, ciągle rozmawiając. Spokojna leśna przejażdżka łagodną trasą. Cień drzew i majowa świeżość powietrza przełamana porannym niesmakiem po Marku. Miałam problem z tym typkim, a problem zaczął narastać, bo robił się coraz bardziej natrętny i zuchwały. Staralam się o tym nie myśleć, ale Michael i tak to dostrzegał. Czułam to.

Cztery wspólne godziny w lesie upłynęły jak dwie minuty. Czułam się szczęśliwa. Z dnia na dzień byłam też coraz bardziej otwarta, a co gorsza, przywiązana do tego człowieka. Wróciliśmy na teren stajni i siedząc nadal na koniach, zatrzymaliśmy się przy bramie wejściowej.

– Wiesz, jakie jest idealne połączenie? – Jego wzrok skaczący z mojego konia na mnie i zmysłowy uśmiech mówił już za wiele.

– Mogę się tylko domyślać. Ale śmiało, nie hamuj się. Odrobinę przywykłam – odparłam, czekając na odpowiedź.

– Tylko mi się tu nie zawstydz... Kobieta wyglądająca pięknie przy ogniu... i na koniu...  
– Myślałam, że dolegliwość rumieńców ustąpiła, bo sam odgraniczył żart od działania, ale świetnie mu szło w temacie wyprowadzania mnie z błędu.

– Wiesz, jakie jest słynne polskie powiedzenie? – zapytałam świadoma jego rozbawienia z moich pąsowych policzków. – Wstyd to kraść... I z konia spaść! – Spięłam wszystkie mięśnie, porywając Korę do nagłego galopu w głąb łąki.

Momentalnie przyjął wyzwanie i od momentu startu siedział nam na ogonie. Nigdy w życiu nie starałam się tak jak teraz, by świadomie pędzić z maksymalną siłą uspiętego potencjału Kory. Niczym na profesjonalnym wyścigu konnym, tylko bez profesjonalnego toru. O ułamek sekundy, ale dotarłam pierwsza. Pełna satysfakcji, ustawiłam się przeciwnie, dotykając rozgrzanej Black. Uwieńczenie galopu mogło być tylko jedno i nie spodziewałam się, że krótki pocałunek dwóch osób siedzących w siodłach tych wspaniałych zwierząt, może być tak zbliżający jak ten, którym zakończyliśmy wyścig. To nie była Black, to nie był on, i to nie byłam już ja, ale z całą pewnością był to wyjątkowy moment.

– Dziękuję – powiedziałam, dając klaczy znak do powolnego ruchu.

– Za chwilę... To ja podziękuję. – Przeczesał palcami włosy i mrugnął okiem, dając znak do powtórki w drugą stronę. I tym razem Kora okazała się nieznacznie szybsza.

– Przynajmniej w jednym jestem lepsza. – Uśmiechnęłam się, łapiąc oddech i klepiąc klacz w podzięcie.

– Tego akurat nie wiesz... – Znów ten jego szarmancki uśmiech, który pokochałam i tajemnica, której nie znam.

– Tego akurat nie musisz mówić głośno – skwitowałam z ironicznym uśmiechem na twarzy i zesłam z Kory, gładząc ją po szyi. – Wiesz, że kobiety są pamiętliwe? – zapytałam, a on popatrzył badawczo, czekając na kontynuację. – Widzę po minie, że jednak wiesz... Więc... Miałeś mi wynagrodzić przetłumaczenie słów dla Marka... Mówiłeś, że kobieta dobrze wygląda na koniu... Zenka nie ma, bo dostał wolne popołudnie... Teren wolny... – wymieniałam i uśmiechając się zagadkowo, skinęłam głową w stronę stajni, na co Michael momentalnie się stonował i miałam wrażenie, że przez chwilę popatrzył na mnie, jakbym co najmniej była ograniczona umysłowo.

– Ktoś tu sobie ze mnie żarty robi? – Zeskoczył z Black, podszedł do mnie i uniósł mój podbródek by spojrzeć mi w oczy.

– Absolutnie nie – odpowiedziałam i z kokieteryjnym wdziękiem zagryzłam dolną wargę.

– Dziewczynko... Nie tego się spodziewałem... Ty sama nadajesz tempo, a ja swoich obietnic nie łamię. – Ufnie musnął moje usta i w tym momencie wcisnęłam mu w dłoń lejece Kory.

– To zaczekam tu na ciebie, a ty spełnij swoją obietnicę... Skoro zostawiłeś mi taką perełkę w postaci obycia z końmi na dobry moment, to zaprowadź je, proszę, do stajni, rozsiodłaj i nałóż im trochę siana... – powiedziałam mu w usta kusicielskim tonem i odwzajemniłam skromny pocałunek.

W tym momencie miałam zaszczyt zostać obdarzoną najbardziej zabójczym wzrokiem, jaki kiedykolwiek byłam w stanie dostrzec w jego oczach.

– Zaczekaj tu grzecznie – powiedział jednak krótko i bez pretensji w głosie.

Wraz z Black i Korą wszedł do stajni, a ja pełna satysfakcji oparłam się łokciami o belkowe ogrodzenie, chwytając każdy promyk słońca i ciesząc się zapachem majowej zieleni. Spodziewałam się ambitniejszej reakcji, ale jego opanowanie i spokój tłumaczyły mi jej wrodzony brak. Pan Adams właśnie wynagradzał mi przysługę swoją drobną pracą w stajni. Gdyby ktoś trzeciego maja puścił mi film z niedalekiej przyszłości właśnie z tą sceną, to dostałby

ode mnie Orła, Europejską Nagrodę Filmową lub nawet Oscara. Chociaż raz to ja mogłam być na tak zwanej górze. Zdejmując kask z głowy, byłam wręcz nieskromnie zadowolona ze swojego zachowania i tego, w jaki sposób wprowadziłam jego fantazję w błąd.

Upłynęło kilka minut i pożałowałam jednak swoich myślowych mądrości, bo dobiegło mnie kilka niepokojących odgłosów mocnych uderzeń drzwiczkami w boksie. Ogarnęła mnie nagła panika nasuwająca, że wewnątrz stajni stało się coś strasznego.

W popłochu wbiegłam do środka, szukając źródła hałasu. Poczułam ulgę, widząc, jak wszystkie trzy konie spokojnie jedzą świeżo nałożone siano. Usłyszałam za sobą kroki i dotarło do mnie, że dałam się zrobić jak dziecko, w taniutki chwyt przebiegłego człowieka, który jak cień stał już za moimi plecami. Uśmiechnęłam się z własnej naiwności i sama sobie przyznałam filmową antynagrodę Złotej Maliny.

– Wykonałem swoją pracę. Powiedz, czy dobrze... – powiedział górująco, odrzucając mój warkocz z pleców do przodu. Musnął ustami odsłonięty kark, a ja poczułam, jak moja silna wola powolutku zaczęła się poddawać. Był zawsze krok przede mną, a ja zawsze krok za nim. Imponowało mi to i zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno chciałam go wyprzedzić i za jaką cenę. I czy w ogóle teraz byłam w stanie to zrobić.

Odwróciłam się ku niemu i zarzuciłam mu ręce na szyję, patrząc w oczy.

– Bardzo dobrze. Widać, że się na tym znasz... – pochwaliłam łagodnie.

Z początku poczułam lekkie muśnięcie jego warg i rozchyliłam własne usta pod ich naciskiem. Wbrew woli topniałam i stawałam się uległa jak wino w przechylnym kieliszku. Z jednej strony czułam, że cała sytuacja była tak niewiarygodna, że pragnęłam się wyrwać i uciec. Z drugiej zaś głos z głębi serca podszeptował, że wszystko wreszcie nabrało dla mnie sensu. Przez całą swoją egzystencję na tym świecie byłam zagubiona i obca we własnym życiu, a teraz to zaczynało się zmieniać.

Zacisnęłam mocniej swoje splecione ręce na jego szyi, a jego silne ramiona docisnęły nas do siebie w zdecydowanym uścisku. W tym samym czasie pokierował nas małutkimi kroczkami do tyłu w stronę pustego boksu wypchanego sianem, z którego przed chwilą wyszedł, by mnie zaskoczyć. Pocałunek przestał być delikatny, a iskra nieoczekiwanie zmieniła się w płomień, gdy znalazł się na mnie, a moje ciało wylądowało na kopczyku siana. Chyba doznałam stanu nieważkości, bo jego ciężar nagle stał się przyjemnie lekki. Kaskada nowych doznań tryskała wraz z głębokim oddechem, rozpylając się dreszczem po całym ciele. Zaciśnięte na nim łydki sprawiły, że ocierał się o mnie pożądliwie, a moja pachwina stała się czytnikiem wszystkich jego napiętych jak struna mięśni. Jego dłoń przywarła do mojego policzka, a druga powoli i nieprzerwanie zsuwała się po mojej szyi przez pierś i zacisnęła się na udzie.

– Wróc ze mną na Florydę – wyszeptał nagle Michael, delikatnie muskając kciukiem mój rozpalony policzek i zalewając mnie falą czarnej nadziei wypływającej z jego oczu.

Zdecydowanie zatkało mnie w tym momencie. Ogarnął mnie nieokreślony strach, który sprawił, że zaczęłam widzieć cokolwiek przez gęstą mgłę, w której przed chwilą poruszałam się jedynie instynktownie.

– Daj mi jeszcze chwilę. Proszę... – wydusiłam z trudem. Nie mogłam podejmować takich decyzji pod wpływem chwili uniesienia.

Słyszając to, podniósł się i, podawszy mi dłoń, przyciągnął do siebie w objęciu. Nie spuszczał ze mnie swojego górującego spojrzenia mimo tego, iż jeszcze nie dostał żadnej odpowiedzi. Nie mogłam obiecać czegoś, czego nie byłabym w stanie spełnić.

– Co pani kierownik wyprawia ze swoim klientem...? – Uśmiechnął się i wyskubywał kłosek po kłosku suchej trawy zaplątanej w moje włosy.

Jego spojrzenie żartowało sobie z mojej niegdyś silnej woli, postanowień, siły, rozsądku

i ostrzegało, że próba wyprzedzenia go nie skończy się dla mnie tak, jakbym chciała. Właśnie przed chwilą udowodnił mi, że ma panowanie nad wszystkim. Nie jako władarz tego miejsca – a jako gość.

## Rozdział 23

Nędzówka

Majka

Jeśli czas spędzony z Michałem nadal będzie przelatywał mi przez palce jak piasek, to jutro będę już staruszką. Ktoś, kto nie wiedział o dynamice naszej relacji, powiedziałby, że byliśmy długoletnią parą. Patrząc schematycznie na początki związków, jakie tworzyli moi rówieśnicy, to najpierw iskrzyło i pojawiała się chemia. SMS-y, telefony, uśmiechy i randki, aż wreszcie upragniony pocałunek i kolejne spotkania, na których strona po stronie przerzucało się własny życiorys. To wszystko powinno dziać się powoli, trwać miesiącami, a niekiedy i latami. Pomijając mojego ojca – arcychemika, który przechodził przez wszystkie etapy za kogoś i łączył ludzkie preparaty w swojej pracowni. Ze mną i Michałem coś poszło nie tak. Pomijając to, że wszystko się działo poza równaniami chemicznymi ojca, to nastąpiła iskra, gwałtowna reakcja i jeb. A ja nadal sama sobie nie mogłam odpowiedzieć na pytanie: jak to wszystko było możliwe po trzech tygodniach? Takie rzeczy można było oglądać tylko na wielkim ekranie. Nie. A jednak nie tylko. I byłam tego żywym przykładem.

\*\*\*

Po piątkowym śniadaniu wróciliśmy z Renią do pokoju. Miałam zamiar tylko zmienić ubrania, by jak co dzień pobiec z Michałem w las, ale coś nie dawało mi spokoju odnośnie do jej osoby. Uśpiłam swoją czujność i pozwoliłam jej się ode mnie oddalić. Już przestała komentować. Przestała się czepiać, ale też przestała się interesować rozwojem mojej emocjonalnej sytuacji. Owszem, słuchała, ale odnosiłam wrażenie, że znacząco wycofała się z części mojego życia. Zdawało się, że tej przełomowej.

– Ej... czy nasz wypad za strojem na wesele aktualny? Może po południu skoczmy tu i tam? – zaproponowałam wspólne wyjście na zakupy i do spontanicznie zaplanowanej spa-niespodzianki. Tak dla poprawienia swoich mocno poluzowanych więzi.

– Pewnie, że tak. A może być poniedziałek? – zasugerowała, zmieniając tym samym mój plan na babską resztę dnia.

– Masz plany na dziś? – zapytałam zaskoczona, siadając na łóżku, bo rzadko gdziekolwiek wychodziła.

– Odrobinkę. Mam dziś spotkanie. Mało istotne – odpowiedziała zdawkowo, jedynie podsycając moją ciekawość.

*Odrobinkę za pobeżna odpowiedź, jak na kogoś, kto ze mną sypiał.* Przyglądałam się, jak zabrała eleganckie ubrania i zniknęła za drzwiami łazienki. Usłyszałam jedynie dźwięk odkręcanej wody pod prysznicem. *Okeeej.* Stroiła się, brała prysznic po śniadaniu – a nie wieczorem jak to miała w zwyczaju. Czyżby przeszła już żalobę po bolesnym związku, nic mi o tym nie mówiąc? Czułam, że przez te kilkanaście dni coś mi umknęło. Była u kosmetyczki, fryzjera, dbała o linię, jedząc minimalne porcje, nie interesowała się mną, a sama wydawała się nienaturalnie tajemnicza. Siedząc na łóżku, opadłam plackiem i wbiłam oczy w sufit. Miałam zamiar zaczekać, aż wyjdzie z łazienki, by wy badać cokolwiek więcej. Michael przecież mógł chwilę zaczekać.

*Naprawdę, Maju? Zaczeka?* Ledwo co o tym pomyślałam, od razu z rozważań wyrwały



mnie otwierające się drzwi poprzedzone krótkim pukaniem. Wchodził jak do siebie. W sumie ja ostatnio robiłam to samo, wchodząc do niego.

– Gotow...? – uciał zdziwiony moim widokiem na łóżku w śniadankowych jeansach.

– Prawie... – Uśmiechnęłam się, unosząc głowę i podpierając się na łokciach.

– Może... potrzebujesz pomocy? Pierwszą... i ostatnią mam opanowaną... – Podeszedł i stanął nade mną.

Pochylił się, opierając swoje dłonie na łóżku. Obdarzył mnie pierwszym dzisiejszego dnia pobudzającym pocałunkiem. Bezwiednie opadłam z powrotem na plecy, a on wraz ze mną. Nie wiem, co miało większy wpływ na odczuwalnie cieplejsze policzki – miejsce na łóżku czy ponownie jego ciało na moim. Czułam, jak na powrót wskrzeszony dreszcz przeszywał każdą tkankę w moim ciele.

– Nie przeszkadzajcie sobie. Zaraz wychodzę – odezwała się nagle Renata na nasz widok.

Poderwaliśmy się, siadając grzecznie, przyłapani bądź co bądź w niezręcznej sytuacji. To już kolejny raz, gdy straciłam poczucie rzeczywistości. Ubrana, z ręcznikiem na głowie, wzięła kosmetyczkę z toaletki i zamknęła się ponownie w łazience.

– Mamy minutę. – Michael popatrzył na zegarek, gdy odgłos włączonej suszarki do włosów zaczął dobiegać z łazienki.

Ponownie przygniótł mnie swoim ciałem, przywierając spragnionymi ustami. Jego miarowy i delikatny ruch ciała potęgował mocno wyczuwalny ucisk w odpowiednim miejscu. Po dokładnie minucie przerwał i stykając czubki naszych nosów, spojrzał mi w oczy.

– Serio jesteś wyjątkowa... – Musnął moje usta i wstał. – Będę dochodził... do siebie w altance – chrząknął, a ja niestety domyśliłam się, co miał na myśli. – Porozmawiajcie. – Uniósł kącik ust ze zrozumieniem i wyszedł.

– Ja jestem czy ty jesteś? – zadałam pytanie zamkniętym drzwiom.

Zapukałam do łazienki, wiedząc, że Renata robi sobie tylko makijaż.

– Wchodź – dobiegła jej odpowiedź. Oparłam się bokiem o framugę drzwi. Kończyła malunki, nakładając na usta odrobinę błyszczyku. Wyglądała bardzo ładnie. Upięła kok, założyła czarną, dopasowaną sukienkę do kolan i ciemnoszary lekki żakiecik.

– Powiesz mi coś? Cokolwiek? – zapytałam, widząc, że sama nie jest zainteresowana rozpoczynaniem tematu.

– A co chcesz wiedzieć, kochana? – Przeglądnęła się swojemu odbiciu w lustrze.

– Mam powód do zmartwień czy radości? – ciągnęłam, a ona zerkając na swój zegarek, dała tym jasno do zrozumienia, że nie udzieli mi pełnej odpowiedzi. – Poznałaś kogoś? – wypaliłam wprost.

Roześmiała się, jakby usłyszała dobry żart. To jednak pozwoliło mi swobodnie wypuścić oddech. Popatrzyła na mnie, widząc, że się martwię.

– Rozbawiłaś mnie, a teraz idę do lekarza – odparła, dopieszczając włosy lakierem na koniec.

– Do lekarza?! Jesteś chora?! – Wybałuszyłam oczy i otworzyłam usta, nie wiedząc kompletnie, o czym mówi.

– Majka, uspokoisz się? Idę do zwykłego lekarza... Na zwykłe badanie zwykłej cipki. – Stanęła przede mną, patrząc z ironią na moją nieadekwatną do powagi sytuacji twarz. Chciałam odpowiedź, to miałam. Przynajmniej uspokoiła mój histeryczny strach o jej dobro niematerialne.

– A poza tym wszystko w porządku? – dodałam z niewyraźnym uśmiechem, na co trąciła mój nos czubkiem palca, złapała za torebkę, otworzyła drzwi i ogładnęła się na mnie, pokazując serdecznym na łóżko.

– Pamiętaj... Ja też tu jeszcze śpię... – Z uśmiechem na ustach zostawiła mnie w pokoju.

\*\*\*

Nie dając dłużej czekać Michaelowi, przebrałam się migiem i pobiegłam do niego, by wspólnie wypełnić codzienny rytuał. Biegliśmy jak zwykle od trzech tygodni, a tak naprawdę od dwóch, rozmawiając. O życiu. Mógł mnie do woli męczyć opowieściami o kokainie. Rozmowa z nim była właśnie jak jej działanie. Ciągły niedosyt i narastające pragnienie. Dziwne. Nigdy, żaden artykuł w żadnej gazecie czy telewizji, nie był dla mnie tak wiarygodny, jak jego słowa. Relacja człowieka, który brał w tym czynny udział. Znał miejsca w kolumbijskich gęszczach, gdzie miała miejsce jej produkcja. Nadzorował transport i przemyt, by finalnie czerpać kosmiczne zyski z udanej dostawy. Było w tym wiele emocji i adrenaliny.

– Nie przeraża cię mój świat? Tam nie jest bezpiecznie. Przyjaciel może okazać się wrogiem, a wróg przyjacielem. Sytuacja się zmienia i potrafi być brutalna. Jak ktoś taki jak ty, mieszkający w teoretycznie bezpiecznym świecie, może z taką przyjemnością słuchać o tym wszystkim? Nie rozumiem. – Biegł, zerkając na mnie.

– Przeraża... i jednocześnie fascynuje... Myślisz, że moja rodzina jest mniej brutalna czy bezwzględna w tym moim TEORETYCZNIE bezpiecznym świecie? – parsknęłam z ironią.

– Każdy świat ma swoją skalę brutalności. W jednym śmiertelną bronią może być prawdziwy szczyryk, a w drugim niewidzialny sztylet... – stwierdził i zgadzałam się z tym całkowicie. Przeznaczony dla mnie niewidzialny sztylet był wbijany od dawna przez własnego ojca.

– Nie wiem, czy nie wybrałabym tego prawdziwego... A może to ty jesteś kluczem, a nie to wszystko... – Potrąciłam zaczepnie jego ramię.

– Kluczem do czego... – Zatrzymał nasz bieg, patrząc mi w oczy i odgarniając kosmyk przyklejonych do policzka włosów. Teraz to on czekał na odpowiedź.

– Kluczem do dobrego wyboru – powiedziałam i całkowicie zdobył moje serce, bo zamiast pocałować, objął mnie bezpiecznym ramieniem na naszej leśnej wybieganej ścieżce.

Michael

– Halo? – W piątkową noc Michael odebrał pierwszy telefon z Florydy.

– Cześć, bracie! Dobrze cię słyszeć. Nie, żebym się stęsknił. Chcemy wiedzieć, jak zdrowie. – W słuchawce wybrzmiał głos brata.

– Cześć, Jack. – Michael przywitał się z zadowoleniem. Liczył na to, że rozmowa naprawdę będzie dotyczyła troski o jego zdrowie. Odpalił papierosa na balkonie.

– To jak zdrowie? – przypomniał Michaelowi swoje pytanie Jack.

– Dochodzę do siebie – odparł, wiedząc już jednak, że nie chodzi tylko o to. Znał braci na wylot. Nie zawracaliby głowy pytaniem tylko o stan fizyczny, o który mogli zapytać Camillę, co zapewne już zrobili. – Pozdrów Camillę – podsumował od razu Michael.

– Widzę że nie tracisz czujności na urlopie, a tylko ją wyostrasz... – Michael usłyszał śmiech w słuchawce nie tylko Jacka, ale i Dylana. – Dobra, czyli to prawda... Będiesz nas całował po rękach za ten pomysł z wakacjami – dodał zadowolonym głosem Jack. – To coś poważniejszego czy tylko wakacyjna zabawa? – drążył.

– Czas pokaże – bąknął Michael, nie chcąc wypływać w tym temacie do Jacka, który nie rozumiał pojęcia „coś poważnego” nawet w kontekście własnych relacji. – Zaspokoiliście już ciekawość? – zapytał braci.

– My? Jaja sobie chyba robisz! Jak wygląda ta zaklinaczka węży? Przywieziesz ją ze sobą? – gnębił natarczywie, a w tle słychać było rozbawiony śmiech Dylana.

– Lepiej niż wszystkie twoje razem wzięte. Zadowolony?

– Potwierdzę ci, czy się nie mylisz, dopiero jak ją przywieziesz... Bo wiesz... więcej czasu, jak jeszcze miesiąc wolnego, ci nie obiecaliśmy. Camilla wspominała, że masz formę lepszą niż przed wypadkiem – zaznaczył Jack, a te słowa były dla Michaela jak sole trzeźwiące.

Przez dziewczynę, która śpi teraz w pokoju numer jeden, zapomniał, że jego życie na Tampie zostało jedynie zawieszony w śpiączce. Tak naprawdę jeszcze nie planował powrotu i nawet nie myślał o tym, do dzisiejszego telefonu. Liczyło się tylko to, co tu i teraz. Z nią.

– Wrócę planowo. Jak interesy? – zmienił temat i w zamyśleniu zaciągnął się papierosem.

– Wyśmienicie – odparł pewnie brat, wiedząc, że telefon nie był odpowiednim komunikatorem do tego typu rozmów. Ton brata utwierdził Michaela, że dają sobie radę bez niego. – W poniedziałek wypuścimy informację, że się wybudziłeś. Biorąc pod uwagę, że jakiś czas po niej musisz jeszcze fikcyjnie pobyć w klinice, to będzie odpowiedni moment – poinformował Jack.

Michael wiedział, że tak właśnie będzie musiało to wyglądać. Nie chcieli dłużej być oficjalnie osłabionym imperium Adamsów z warzywem w roli głównej. Gdy wróci na Florydę, przynajmniej jego ciało będzie gotowe na rozpoczęcie pracy pełną parą.

– Przyjąłem do wiadomości. Róbcie swoje – odparł, akceptując słuszną decyzję.

– Michael? – Telefon przejął tym razem Dylan. – Jesteśmy z tobą. Trzymaj się. – Michael uśmiechnął się do słuchawki, słysząc dźwięk stukających w toaście szklanek.

– Wiem, ale wiecie, która jest tu godzina? Do zobaczenia. – Rozłączył się, zaczynając myśleć na temat koniecznego powrotu, którego jednak nie planował wcześniej niż za miesiąc.

Skupiał myśli na kobiecie, która w tak krótkim czasie nagle zawładnęła jego myślami. Zakochał się, lecz tego nie mógł zaplanować. Był nienasycony jej obecnością i słowami. Zastąpiła miejsce pustki w jego sercu, skutecznie wypełniając przestrzeń swoją osobą. Gdy zamykał oczy do snu, już nie widział tonącego samochodu, a rumianą twarz z niewinnym uśmiechem i jasnym warkoczem. Delikatna i silna. Szczera i nieodkryta. Waleczna i uległa. Idealna. Pragnął być dla niej przyjacielem i mężczyzną. Teraz już nie mógł sobie wyobrazić samotnego powrotu na Florydę i pustego domu w Tampie.

## Rozdział 24

Nędzówka

Majka

Budzić się z taką energią? Z takim szczęściem w sercu? To wydawało mi się tak piękne, że aż nierealne. Planowałam samotny bieg do kapliczki, by posiedzieć w zacisznym miejscu i pouśmiechać się sama do siebie, wmawiając sobie, że to się dzieje naprawdę. Jednak gdy otworzyłam oczy, sobotnie strugi deszczu nie zachęcały nawet do podnoszenia się z łóżka. Musiałabym być zła, by pobiec w taką pogodę. A nie byłam. Ten nadęty dupek już nie był mi obojętny. Z jednej strony nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, jak to się stało, z drugiej każda cząstka mojego ciała poczuła, co to znaczy realnie się zakochiwać. Jedno było pewne. Już zrozumiałam, dlaczego Rose z *Titanica* puściła dłoń zamarznętego Jacka – to on chciał żyć jeszcze w jej bijącym sercu. Zrobiła to dla niego, dożywając wspólnej starości.

\*\*\*

– Dzień dobry Americo! – przywitałam się z równie wesołym okrągłutkim człowiekiem, przygotowującym nasze śniadanie.

– *Ola, Bonita!* – odpowiedział wesoło i jak codziennie.

Przez te dni tak bardzo przywykłam do porannego pakietu tych słów, że gdyby jednego z nich zabrakło, stałabym się podejrzliwa.

Wepchnęłam się, odsuwając go od stanowiska skubania jajek przy blacie. Uśmiechnął się presympatycznie, kręcąc bezsilnie głową. Bezspornie zmienił zajęcie na krojenie papryki.

– Jak ci się podoba koniec świata, Americo? – zażartowałam, wspominając naszą pierwszą wymianę zdań.

– Spokój tu macie, *Bonita* – odparł oszczędnie. – Ciesz się moje serce, gdy was widzę razem. Pasujecie do siebie, dziecko. Widząc go... Ty... oddałaś mu stare, dobre życie – powiedział, starannie dobierając słowa. Nie chciał rozmawiać o miejscu, w jakim się znalazł, a o tym, co się w nim wydarzyło.

Sporo mówił o Michaelu, potwierdzając to, co już wiedziałam. Ale nigdy nie komentował nas jako pary. Uśmiechnęłam się, dziękując za te słowa. To było miłe, gdy ktoś trzeci postrzegał nas w taki sposób.

– Americo, to się okaże... gdy podam mu pierwszy, własnoręcznie ugotowany obiad. Zobaczymy, czy w ogóle to przeżyje... – podsumowałam i śmiałyśmy się jak wnuczka z dziadkiem w reklamie Voltarenu Max. Bardzo polubiłam tego człowieka. Jego serdeczna aura mimowolnie rozweselała i sprawiała, że człowiek czuł się bardzo swobodnie w jego towarzystwie.

\*\*\*

Deszcz tego dnia nie odpuszczał. Przełożyliśmy bieg na popołudnie z nadzieją na późniejszą poprawę pogody. W najgorszym wypadku skończymy u Michaela w salonie, ale tam treningi przestały być takie efektywne. Przynajmniej wspólne. I nie dlatego, że coś było nie tak ze sprzętem, bo ten był pierwszej klasy. Chodziło o samo skupienie się na ćwiczeniach. Przebywanie z nim w zamkniętej przestrzeni jego pokoju, zaczęło skupiać moje myśli na

ocaleniu tego, co pozostało z mojego muru samodyscypliny etycznej. A zostało niewiele.

Nie mogłam się skupić na ukończeniu nawet krótkiej serii treningowej. Oczywiście chciałam ją skończyć, bo każda kolejna była poprzedzona dopingującym pocałunkiem. Ale fakt był taki, że bardzo mnie tym rozleniwiał i jednocześnie pobudzał – niekoniecznie do ćwiczeń na urządzeniach. Problem był w mojej głowie. Zgredek chyba zdechł, bo dawno się nie odzywał, a jego miejsce zajęły wizualizacje mojego pierwszego razu z Michaeliem w roli głównej, który przy każdej sposobności wyostrzał moje fantazje swoim czarnym spojrzeniem. To mnie mocno spowalniało, szczególnie na bieżni, gdy rosnące pożądanie dreptało mi po piętach.

Skończyć w łóżku z mężczyzną niespełna po miesiącu znajomości? Zdawało mi się to absurdalne i niepoważne. Kiedyś to było dla mnie nawet śmieszne. Teraz było to coraz bardziej oczywiste.

Chwila wytchnienia od rozszalałych uczuć była możliwa jedynie w towarzystwie Renaty. Dźwięk dudniącego deszczu za oknem i odgłos wbijanej do łuzy bili, idealnie ze sobą współgrały. Ostatnia czarna oznaczała wygraną. Niestety nie dla mnie. Dostałam wycisk od Reni. Stała wyprostowana, dumnie trzymając kij w dłoni. Z triumfem nacierała jego końcówkę kredą, ostentacyjnie zdmuchując nadmiar proszku. Obserwowała, jak wykonywałam upokarzający obowiązek ponownego układania bil po przegranej. Uśmiechałam się jednak, doceniając jej celność i ubolewałam, że z moją było coś nie tak. Swego czasu byłam w tym świetna. Grywałyśmy całymi weekendami w Krakowie i nawet piwo nie oziębiało mojego oka. Wtedy to ona dążyła, by wygrać chociaż jedną, honorową partię.

– Jak samopoczucie przed weselem? To już za tydzień – zaczęła temat.

– Niechętnie... Ale idę. Nie mam wyjścia. To najważniejsze wydarzenie w historii rodziny. Jakby nie było, jestem siostrą... Chyba – odparłam, nie czerpiąc najmniejszej radości z nadchodzącej imprezy. Była obowiązkiem ciężącym jak worek kamieni przewieszony przez ramię.

– Sama idziesz? – zapytała ze swobodą w głosie.

– A chcesz, żebyśmy wylądowały na ulicy dzień po weselu? – Teraz ja zapatrzyłam się na nią, chyba za mocno kredując własny kijek. – Z Markiem nie pójdę, bo rzygać mi się chce na sam jego widok. Ciebie nie wezmę, chociaż mamy łątkę lesbijek, a Michaela nie mogę zabrać, bo nas zabiją.

– Za co? Za to, że prawdopodobnie znalazłaś potencjalnego męża? – stwierdziła pytająco, jakby to było jedyne racjonalne wyjście.

– Nie za to, że znalazłam męża, a za to, że ojciec dostałby zawału na weselu pierworodnego syna... – oznajmiłam, przewidując przyszłość i pach! Wyszło mi piękne, mocne rozbicie. Grając, musiałam jednak myśleć o rodzinie.

– Może i racja... Nie Marek, a Michael. Nie góral, a ceper<sup>135</sup>... – Patrzyła, jak wbijam serię pełnych bil.

Nadeszła zmiana wbijania, a po niej kolejna i następna. Potem znów nastąpiła moja kolej, aż w końcu wypadło na jej szansę wbicia ostatniej bili, jaka została na stole. Przyjęła pozycję, skupiając się tylko na lewym narożniku i poprawnym uderzeniu czarnej bili.

– Kurwaaa – pisnęła, gdy słodka czarnulka jedynie zakołysała się o wlot do łuzy, dając mi pewną wygraną.

– Ojej, jak mi przykrooo. – Uśmiechnęłam się głupkowato i ostatni raz potarłam końcówkę kijka kredą.

Nie trzeba było być Ronniem O’Sullivanem, żeby trafić taką wystawkę.

– Obrazisz się, jeśli zmienię pokój na jakiś czas? – powiedziała to równo z moim uderzeniem, patrząc, jak wpada czarna... A za nią biała...

*Ronnie, gdybyś tu był... W końcu byś się uśmiechnął. Ale to zjebałam. Specjalnie to powiedziała... W takim momencie, mała jedna...*

– Jasne, że się nie obrażę. – Zniesmaczona kolejną porażką, rzuciłam trójkątem do ustawiania bil na stół. – Kwestia uzgodnienia z Michaeliem – dodałam.

– Już uzgodniłam. Rano na śniadaniu. Przeprosił za wczorajszą niezręczną sytuację w naszym pokoju i sam zaproponował pokój. – Wyciągnęła klucz do trójki, dyndając nim radośnie.

*Świetnie to rozegrał.*

– Skoro chcesz... To ja nie mam nic przeciwko. Ale wiedz, że nie przeszkadza mi twoje chrapanie. – Roześmiałam się, dając znak, że nie mam jej za złe tej decyzji.

Zrobiło mi się dziwnie żal, bo przyzwyczaiła mnie do swojej obecności. Nie dziwiłam się jej jednak. Odrobina swobody mogła jej wyjść na dobre.

– To się cieszę – westchnęła.

– Planujemy pościgać się jutro konno na łące. Pójdiesz z nami czy ograniczysz się już tylko do śniadania ze mną? – zapytałam z nadzieją i smutną błagalną miną.

– Nie rób tak! – powiedziała, wytrzeszczając oczy. – Pojeżdżę z wami. Pamiętaj, gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta. – Postukała w stół bilardowy, uśmiechając się triumfalnie.

\*\*\*

Nie sądziłam, że jeszcze tego samego dnia będzie chciała zmienić pokój. Ale zaczęła zmieniać. Stałam oparta o ścianę przy wejściu do recepcji, przyglądając się w zadumaniu, jak przetrzuca swoje rzeczy z jednego pokoju do drugiego. Zaoferowałam jej pomoc, ale ją odrzuciła i czułam rozdarcie między nią a nim. Spieszyła się ze zmianą pokoju, jakby musiała to zrobić tego samego wieczoru. Jedno się ode mnie odsuwało w podskokach, a drugie pędziło w objęcia. Taka była kolej rzeczy. Stanowczo nie był to równo rozłożony ciężar.

Wtedy przyszedł Michael, uśmiechając się na ten widok.

– To twoja sprawka? – zapytałam podejrzliwie, skinieniem głowy wskazując na Renatę i stosy przetrzucanych rzeczy. Nie mogłam się na niego złościć, gdy patrzył na mnie niewinnym wzrokiem. Jakby to mnie, a nie jej wyświadczył przysługę. Oparł się obok mnie o ścianę, zawieszając wzrok na naprawionym obrazku ze zdjęciem Giewontu.

– Wyjdzie wam to na dobre. Co to za góra? – ominął główne pytanie i zapytał, potwierdzając moje wcześniejsze przypuszczenia, że kompletnie nic nie wiedział o naszym miejscu na końcu świata.

– Właśnie dla tej góry większość ludzi przyjeżdża do nas. By zdobyć jeden z najpopularniejszych szczytów w polskich Tatrach... Giewont, nazywany też Śpiącym Rycerzem... Jeśli chcesz możemy tam iść... Razem – zaproponowałam, na co momentalnie pojawił się błysk w jego oku. – Ale ostrzegam... Nie licz na romantyczny spacer po górach. O tej porze roku szlak przypomina miejskie godziny szczytu, a turyści najpierw godzinami stoją w kolejce do kasy, a potem idą gęsiego w górę. – Jego błysk w oku od razu przybladł.

– *Beleza*<sup>136</sup> wytłumacz... Bo coś mi tu nie pasuje... – Uniósł mój podbródek szukając zrozumienia. – Rozumiem sam „Rycerz”, ale „Śpiący Rycerz”? I szczyt? – Powinnam zalać się rumieńcem, ale roześmiałam się tak mimowolnie, że nie mogłam przestać. Nigdy nie kojarzyłam tych dwóch rzeczy w ten sposób.

Rozbawienie trwało na dobre, gdy usłyszeliśmy pukanie do drzwi frontowych.

Otworzyłam je i nie dowierzałam, że on tu znów przyszedł. Marek. Śmiertelnie poważny.

Chciałam już zamknąć drzwi, lecz przytrzymał je dłonią, by mi to uniemożliwić. Bezspornie ten człowiek cierpiał na zaburzenia przetwarzania słuchowego. Dobrze, że Michael stał tuż za mną i dołączyła również Renata, bo przynajmniej nie czułam się samotna w tej konfrontacji.

Nie przywitał się. Ściągnął mokry kapelusz, odsłaniając posklejane blond włosy. Z ociekającą deszczem twarzą, patrzył na mnie z góry.

– Ostatni raz zapytom o wesele – zaczął, spinając widoczne mięśnie żuchwy. – Razem czy osobno? – zapytał wprost i sama nie wiedziałam, jaką odpowiedź spodziewał się usłyszeć, znowu tu przychodząc.

*Tak, kurwa, Marek, TAK! Pójdę...?* Przeszło mi nawet przez myśl, żeby tak odpowiedzieć. Dla żartu. Ale wiedziałam, że z tym człowiekiem nawet dla żartu się nie dało.

– NIE! – odpowiedziałam głośno i wyraźnie, maksymalnie przeciągając to krótkie i bardzo skomplikowane dla niego słowo.

Odwrócił się na pięcie i z całą wściekłością zmierzał w dół podjazdu, spluwając za siebie.

– Nie tłumacz. Wiem, o co chodzi – wyprzedził Michael. – Bieżnia?

– Bieżnia!

## Rozdział 25

Nędzówka

Majka

Przekreśliłam się na bok, nie otwierając jeszcze oczu. Przerzuciłam rękę na wolną już stronę łóżka, napotykając przeszkodę. Otworzyłam oczy i ujrzałam jego zapatrzoną we mnie twarz. Leżał na poduszce, na której jeszcze wczoraj była głowa Renaty. Mój ideał był tuż obok i obdarzał mnie spojrzeniem, które zarezerwowane było tylko dla mnie. Miał na sobie białą koszulkę i całkiem możliwe, że była to ta sama, którą kiedyś przyłapaną obwąchiwałam. Uśmiechnęłam się bo znowu mnie kompletnie zaskoczył swoją obecnością o tej porze. Koniec końców po każdej burzy przychodziło słońce. To konkretne było niepozornie czarne, ale efektywnie potrafiło rozgrzać moje serce.

– Hej, śpiochu. – Pocałował mnie na dzień dobry.

– Jak tu wszedłeś? – zapytałam z uśmiechem.

– Uczciwa wymiana kluczy – powiedział, nadal patrząc mi w oczy.

– Ahaaa. Uczciwa powiadasz... – westchnęłam, bo zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądały moje włosy, którymi się teraz bawił palcami. Bankowy szogun.

– Nawet jeśli nie... to na pewno warta każdej ceny. – Uśmiechnął się, wbijając we mnie czarne oczy. – Wiesz, co jeszcze najbardziej lubię rano?

*Ha. Mogę się tylko domyślać. Ale zrobiło mi się nader cieplej.* Znow zauważył mój rumieniec w odpowiedzi.

– To też... – odpowiedział moim policzkom. – Ale tym razem myślałem o... – sięgnął na półkę obok łóżka, by podać mój kubek – ...kawie, niegrzeczna dziewczynko. – Trzymał moją kawę i miło zaskoczona podciągnęłam się, leniwie opierając o wezłowie.

– Grzeczny chłopczyk – podziękowałam uśmiechem, który nie chciał zniknąć z mojej twarzy. Prócz narkotyków, hazardu i jeden Bóg wie, co jeszcze, sprawdziłby się w zawodzie scenarzysty. Zdecydowanie. Miał zaplanowany każdy ruch. Mało tego. Przewidywał każdy mój ruch, by realizować swoją własną wcześniej rozpisana scenę. Kiedyś to ja jego zaskoczę. Jakoś. Tymczasem jednak to on znow zaskoczył mnie. Moja idealna czarna jak jego oczy kawa. – Długo tu jesteś? – zapytałam po kilku pierwszych zbawiennych łyżkach.

– Chyba nie, bo się jeszcze nie napatrzyłem... – Muskał mój policzek za każdym razem, gdy zbliżyłam kubek do ust. To była najlepsza kawa *EVER*. Mimo że z cukrem. – Dobrą kawę zrobiłem? – zapytał, patrząc, z jaką uwagą skupiałam się na picciu. Udawaną uwagą.

– Lepszej nie mogłeś zrobić... Pyszna. – Uśmiechnęłam się do niego i zdałam sobie sprawę z jednego. Było mi bardzo miło, kiedy tak leżał na boku i z namaszczeniem patrzył, jak popijałam przygotowaną przez niego kawę. To było coś więcej niż tylko napój.

– Co powiesz na szybciotki bieg przed śniadaniem? Zamówiłem dobrą pogodę – powiedział pełen życia, uśmiechnięty i taki kuszący, siedząc tuż obok.

– No nie wiem... Nie wiem... – Odstawiłam kawę na stoliczek po swojej stronie. Spojrzałam na niego z pełną powagi miną. Pochyliłam się ku niemu i delikatnie ujęłam jego piękną twarz gorącymi od kubka dłońmi. Zetknęłam nasze ciepłe usta w zmysłowym i niespiesznym pocałunku. Nie przyspieszał mojego rytmu, tylko objął mnie, przytulając do siebie mocniej. Jakby siła objęcia mogła nam pomóc w opanowaniu. Tym razem to ja byłam



reżyserem porannego, najbardziej namiętnego i głębokiego pocałunku z energetyczną kofeinową nutą w naszych ustach. Coraz ciężej mi to przychodziło, ale opanowałam się, by przestać. – Teraz możemy biec. – Wyglądał na zawiedzionego. Igrałam z ogniem. Podsycalam ogień, po czym gasiłam wiadrem zimnej wody. Co gorsza zaczęła mi się podobać taka gierka. Byleby zdążyć ugasić i nie spłonąć za szybko.

– Jeśli miałaś zamiar mnie skutecznie spowolnić, to ci wyszło. – Spojrzał z aktorskim wyrzutem. – Ale spokojnie... Zanim się ubierzesz i ja dojdę do siebie – powiedział spoglądając na mnie z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

\*\*\*

Skoro niedzielne bieganie było już odrobione, to znacznie przeciągnęliśmy śniadanie. Dziś usiedliśmy wszyscy przy jednym stole. Ja i Renia w gangsterskim akompaniamencie. Nawet na chwilę dosiadł się Americo, żartując na tematy kulinarne. Czułam się tak, jakbym ich wszystkich znała od bardzo dawna. A znałam tak naprawdę tylko Renię, która zdawała mi się coraz bardziej odległa. Michael każdym spojrzeniem dawał mi znać, że jestem dla niego kimś wyjątkowym. Zaczęłam być coraz bardziej zachłanna jego spojrzenia i on o tym wiedział. Ochroniarze klasycznie wydurniali się jak mali-duzi chłopcy. Rick już nie patrzył na mnie jak pamiętnego dnia, gdy ostrzegał i rozkazywał, rzucając paszportami. Odnosiłam nawet wrażenie, że awansowałam u niego do rangi szefowej. Nie wspominając już o Bobie i jego zmianie cielesnych priorytetów. Bobowi ewidentnie brakowało damskiego pierwiastka, a Rick to efektywnie wykorzystywał w swoich żartach. Nawet Americo zasugerował dla niego dietę ubogą w afrodyzjaki i obniżającą poziom testosteronu, ale Bob w tym temacie był nie do ruszenia. Widać było, że ci dwaj czują się swobodniej niż Peter i Leon. Można było zauważyć nawet, że Michael traktował ich bardziej jak przyjaciół, a nie jak pracowników. Nie mówiąc już o tłumaczu. Ten ni w ząb do nich nie pasował. Był za spokojny, za cichy i za grzeczny. Ewidentnie bał się odezwać, był spięty i wystraszony. Nie wiadomo, czy po powrocie do rodziny, którą zostawił na Florydzie, będzie tym samym człowiekiem co przed nieplanowanym wyjazdem.

\*\*\*

Po śniadaniu założyliśmy nasze jeździeckie wdzianka i całą trójką ruszyliśmy do stajni. Zenek wiedział, że jeśli pogoda dopisze, będziemy jeździć konno. Zrobił, co trzeba, by wszystko było gotowe. Starał się, więc i ja potrafiłam to docenić. Wypłatą. Nie jak Szczepan, upijając go w nadziei, że nie upomni się o pieniądze. Zenek by się jednak nie upomniał, bo był zadowolony i wystarczało mu to, co dostawał i dzięki czemu funkcjonował.

– Panie Zenku, kijka i kawałek materiału potrzebuję. Może być worek po owsie – poprosiłam, wiedząc, że muszę ustalić czytelną metę.

Black, Kora i Prima. Michael, ja i Renia. Zasiedliśmy na koniach, Michael wspaniale wyglądał na Black. Dostojnie i z pełną klasą. Renia chudzina widząc nasze bojowe nastawienie, miała wyraz twarzy, jakby oddała nierozpoczęty wyścig walkowerem. Nie chciało się jej tu być i nie potrafiła tego ukryć. Zrobiła to tylko przez emocjonalną presję, jaką na niej wywarłam. Zrobiliśmy powolne rozgrzewające konie okrażenie wokół łąki, zaznaczając od razu metę kijkami i workami. Flagi godne Nędzówki.

Ustawiliśmy się równo na linii startu.

– Ustalamy jakąś nagrodę? – zapytałam, mrugając do Michaela. – Może przegrany rozsiódła konie? – Wskazałam na stajnię i znów igrałam z ogniem, widząc spojrzenie Michaela, który jako jedyny wiedział, o co mi chodziło.

– Lepiej ustalcie nagrodę pocieszenia... – powiedziała bez entuzjazmu Renata, drapiąc szyję łagodnej Primy.

– Nagroda niespodzianka? – zaproponował Michael z nieodgadnioną radością w głosie.

– Może być – odpowiedziałam ufnie.

Zenek jako fachowy arbiter rozpoczął odliczanie.

– Tzy – Dwa – Jeden – Start!

*Poszły konie po betonie!* Wedle planu. Maksymalne pochylenie sylwetki, maksimum skupienia psychicznego i napięcia mięśni. Jak w prawdziwych wyścigach konnych. W uszach świst wiatru i łomotanina końskich kopyt. Kilkanaście sekund i dziś ponownie Kora wygrała wyścig. Zrobiła to z klasą i bezkonkurencyjnie wraz ze mną na grzbiecie. To właśnie ona miała najczęściej okazji, by ze mną tak pędzić. Black dopiero teraz łapała wiatr w żagle w duecie z Michaeliem. Prima nawet w galopie zdawała się być kulturalna.

Odnosiłam wrażenie, że w starciu tydzień temu, Black była szybsza niż dzisiaj. Ale przecież i koń mógł mieć gorszy dzień. Kłusowaliśmy jeszcze kilka orbit łąki przy miłych rozmowach. Tak spędzony czas w towarzystwie koni i dwójki najważniejszych dla mnie osób nie mógł być zmarnowany.

Wracaliśmy już spokojnie, bez rywalizacji i pośpiechu. W połowie dystansu łąki dostrzegłam kilka osób poruszających się koło stajni. Byli jednak za daleko, by rozpoznać ich twarze. Nie był to nikt z naszego pensjonatu, bo nikt w naszym pensjonacie nie nosił czarnych kapeluszy. Michael również ich dojrzał, ale nie znalazłam w nim niepokoju czy zmiany nastroju. Zerknął tylko na swój sportowy zegarek, wciskając coś na tarczy.

– Ja pierdołę. Było miło – skwitowała Renata, poznając już wszystkich.

– Niewiarygodne. Ojciec – powiedziałam na głos, również rozpoznając znajome twarze. – Michael, będziesz miał teraz przyjemność ujrzeć mój świat na własne oczy. – Skręciło mnie w środku na widok ojca, Grzeska i Szczepana stojących wraz z Zenkiem.

Już prawie wpisałam ten dzień na listę bestsellerów w kalendarzu. Ojciec jednak nie wytrzymał. Trzy tygodnie temu powiedział „won”, i nie wzięłam pod uwagę tego, że było to jednostronne. Michael był nadto spokojny, czego nie można było powiedzieć o Szczepanie, do którego właśnie dotarło, że jego klienci są nadal w tym miejscu.

– Dzin dobre – powiedział Michael, kalecząc polski i patrząc z przesadnym uśmiechem na Szczepana.

– Dzień dobry – przywitałam się i ja w przymusie, dojeżdżając do nich. I w zasadzie na wspomnienie ostatniego potraktowania, zwróciłam się tylko do ojca.

Zeszłam ze swojego konia, czego nie zrobili obserwujący Michael i Renia. Ona ich знаła. Miała na nich wywalone. Ale on... Czulałam, że chociaż nie rozumiał języka, to starał się odczytać jak najwięcej z wyrazów twarzy i tonu rozmowy.

– Kope lot – powiedział z wyrafinowaniem Grzesiek, podśmiechując się pod nosem i stojąc przy surowej postaci ojca.

*Czyżbyś tęsknił za mną czy też może Aneczka przestała się czerwienić bez mojego towarzystwa?*

– Widze, że jednak psekonałaś klienta do pozostania. A może to robota cepruli? – powiedział Szczepan, patrząc na Renatę. Był podbudowany obecnością brata i ojca. Black natomiast już nie była taka podbudowana rozpoznaniem głosem Szczepana. Mimo siedzącego w jej siodle Michaela zaczęła parskać i dreptać niespokojnie, wyrażając zdenerwowanie obecnością swojego oprawcy. Zenek widząc to, przytrzymał klacz, by nie powtórzyć sytuacji sprzed kilkunastu dni. Ledwo Michael znalazł się na ziemi, a ta wyrwała się Zenkowi, by

pogonić dziko wraz z całym osprzętem na sobie. Uciekła w miejsce, gdzie niedawno stała bezpieczna w naszym towarzystwie po drugiej stronie łąki.

– Widzi ociec? No ba jako<sup>137</sup> godołem, ze z ty kobyły nic nie bedzie! – oznajmił Szczepan, patrząc na mnie lisim wzrokiem.

– Może gdybyś jej nie sprzał batem, sadysto, to by coś jednak było! – warknęłam do niego.

– Jo widze... ze nie wiela rozumu nabrałaś bez<sup>138</sup> te dni – odezwał się kochany tatuś.

*No jasne. Trzy tygodnie. Za duzo ci się, ojczcie, wredoty nagromadziło w tym czasie. Trzeba sobie trochę ulżyć.*

Lustrował wrogo mnie i przyjaciółkę, Michaela zaś złał całkowicie. Gdyby wiedział, jak bardzo zmądrzałam przez ten czas i kim stał się ten czarnooki człowiek dla mnie, obecność Adamsa nie byłaby mu już taka obojętna.

– Jak kobyła nieusłuchliwo, to i bata tza użyć. – Szczepan popatrzył na mnie, jakby nie mówił o koniu, tylko o mnie.

*Na tobie chętnie bym sprawdziła, czy to działa.*

– Świento prawda! – dodał nastroszony jak kogucik Grzesiek.

Teraz to oni wyglądali jak ludzie mafii. Nie w czarnych garniturach, a góralskich strojach z kapeluszami, stojąc dumnie u boku szefa całej zgrai. Jeszcze Maćka i Marka tu brakowało. Byłby komplecik. Ledwo myśląc o tym, dojrzałam tych prawdziwych, kierujących się w naszą stronę w czarnych garniturach i dopiero wtedy zaczęłam czuć prawdziwy niepokój. Nie o niebezpieczeństwo, a niepewność rozwoju całej sytuacji. Wprawdzie wyraz twarzy Szczepana był wart doczekania tej chwili, niemniej nie chciałam wywołać jakiegokolwiek bójk. To rozpętałoby piekło.

– Michael. Tych znam na wylot. Poradzę sobie. – Uśmiechnęłam się porozumiewawczo, widząc niemy opór na jego twarzy. – Proszę... – dodałam cicho, patrząc błagalnie na jego niepokojące spojrzenie.

– Dobrze. I robię to tylko dlatego, bo ty mnie o to prosisz – zgodził się na wycofanie. – Ale swoją sprawę chętnie domknę... Mike! – przywołał tłumacza, chowającego się za Rickiem i Bobem. – Powiedz temu chujowi, którego już znamy, że nadal mnie nie przeprosił za to, że nie miał moich zarezerwowanych pokoi. – Mike posłusznie wykonał rozkaz, przekazując słowa Michaela przełożone na polski. Ojciec nie za bardzo wiedział, o co chodzi, spoglądając raz na Michaela, a raz na Szczepana.

– Przepraszam – powiedział z musem Szczepan, co Mike od razu przekazał.

– Powiedz mu, że życzę sobie pełnym zdaniem... – drażył Michael, napawając się jego strachem.

– Przepraszam, ze nie miałem pokojów, które pan zarezerwowoło u mnie. – Upokorzony przy ojcu zacisnął zęby i spuścił wzrok na piasek pod nogami.

– *Beleza...* – zwrócił się do mnie. – Kazać mu powiedzieć, że to się więcej nie powtórzy?

– Trzymając fason, pokazał mi, jak delikatnie, lecz skutecznie stłumić w każdym nagły przypływ złych emocji.

– Michaelu, jednak jesteś odpowiednią osobą dla mojej przyjaciółki – pochwaliła go Renia, starannie wyrafinowanym uśmiechem skierowanym do Szczepana. Zeszła z Primy, również chcąc się wycofać z rodzinnej rozmowy.

– Dziękuję wam... Ale może już wystarczy? – prosząc, uśmiechnęłam się błagalnie do moich towarzyszy. Szybko zrozumieli moją prośbę czytelnym, niewidzialnym łączem.

Michael odpalił papierosa i odszedł spokojnym krokiem z resztą w stronę pensjonatu.

– Jo widze, ze tyś tako skolono<sup>139</sup> to tera i gości ucys<sup>140</sup> na koniach truchtać – zaśmiał się Grzesiek.

– Ozbuchałaś sie<sup>141</sup>, wnet cie Marek uspokoi – dołączył Szczepan, czując powracającą odwagę.

– Majka...! – Ojciec stanowczym tonem przejął głos i nadal trzymał fason surowego typu. Dreptał koło ogrodzenia, a ja czułam, że nie przyjechali tylko zobaczyć, czy w ogóle żyję. – Widze, ze do rodziny ci sie nie cni, a i Marek uskarżoł sie na obiedzie, ze nie dość, ześ niemiło, to na wesele nie kces z nim póść...

*Kurwa, wspaniale, pojechał na obiadek wyżalić się niedoszłym teściom.*

– To niech mi przestanie głowę zawracać i atakować po stajniach – odniosłam się z przyzwoćem do zachowania Marka.

– Dla chłopa baba mo dwa przywileje: siedzieć i nic nie godać. Rozumis? Jesce nie rozumis, widze. To tera posłuchej... Dostałaś Jagode, zeby Marek przyseł na kawalyrke<sup>142</sup>. Zdania nie zmienie! – Podeszedł do mnie, patrząc z pogardą dla braku wymaganego posłuszeństwa. – Abo pódzies z nim na to wesele, abo syćkie konie pójdo na handel. To na zaś ci godom. Przydziecie razem, zachowos konie. Przydzieś sama, stracis syćkie. – Wskazał palcem na konie pasące się w oddali. Zaniemówiłam na te słowa. Pierwszy raz nie wiedziałam, co mam myśleć i co robić. Jedyne, czego byłam pewna, to tego, że on nie żartuje. – Dło powagi tego, co godom, dzisioj Marek zabiero do siebie na przetymanie corno kobyłe. Moze tu wróci albo nie wróci – dodał.

Stałam jak bezbronna sierota okrażona przez zgraję bezpańskich psów. Nie dość, że ujadaly, to bezlitośnie kąsały najwrażliwsze odsłonięte miejsca. Serce mi pękło, zaczynało podcinać nogi, a do oczu chciały napływać łzy. Zacisnęłam zęby, by nie dać się złamać przynajmniej na ich oczach.

– Marek na bacie nie bedzie oscyndzoł<sup>143</sup> – dopowiedział Szczepan, wiedząc, że tymi słowami może mnie skutecznie dobić.

– Tyle? – zapytałam, powstrzymując łzy.

– Nie! – dorzucił przyszły pan młody. – Jak przylezes sama... To nie wybieroj sie do chałupy na błogosławieństwo. Leż prosto do kościoła i siadnij se na tyłach jak przyjezdne kuzynostwo. Nie jako siostra – rozplanował Grzegorz, by w razie gdyby nie poszło po ich myśli, upokorzyć mnie i odsunąć od rodziny jak wstydliwą rzecz.

\*\*\*

W środku krzyczałam i chciało mi się płakać. Odeszłam spokojnie targana niespokojnymi emocjami, by za rogiem i poza zasięgiem ich oczu nabrać własnego tempa. Wbiegłam do środka, trzaskając drzwiami tak, że mało szyba w recepcji nie wypadła. Wparowałam do pokoju, szybko zmieniając tylko buty na biegowe i kask na czapkę z daszkiem. Jeśli szybko nie spalę tego w komórkach, to one same spalą mnie od środka. Wybiegłam ponownie na zewnątrz, nie zwracając uwagi na to, że oni nadal stoją pod stajnią, rozmawiając z Zenkiem. Pobiegłam prosto do lasu. Zastanawiałam się, czy w takim stanie Michael dałby radę mnie doścignąć, czy to moja kolejna iluzja bycia lepszą. Nie minęłam jednak kapliczki. Weszłam do środka, padłam na kolana i jednym wściekłym wrzaskiem wylałam całą swoją gorycz. Myślałam o tym, za jakie grzechy spotykało mnie coś takiego i jaką siłę musiałam odnaleźć w sobie, by jednak zatrzymać konie. Byłam szmacianą laleczką w ich kukielkowym teatrze, a ojciec coraz mocniej pociągał za sznurek zawieszony na moim karku.

\*\*\*

Michael stał za mną na balkonie swojego pokoju, mocno obejmując mnie silnymi ramionami. Było mi tak dobrze, a jednocześnie tak źle. Robiło się ciemno i patrzyłam z góry na Marka prowadzącego stawiającą opór Black. Klacz, która pierwsza nieświadomie dała mi wskazówkę, ufając Michaelowi. Zapach gorzkiej zawartości kielicha, z jakiego będę musiała wypić za niespełna tydzień przysparzał mi omdłości. Stałam, patrząc ze smutkiem i szczerą nienawiścią, jaką zaczęłam czuć do górala, który zabierał swoją kartę przetargową. Żal do ojca i braci dziś osiągnął apogeum. Nawet matce zaczęłam mieć za złe, że patrzyła na to wszystko beczynnie. Bliscy tak nie robią. Więzy krwi i to było jedyne, co mnie z nimi łączyło. Nawet w mowie odstawałam od gwary.

– Co mam robić? – zapytałam z całkowitą bezsilnością człowieka wtulonego w moje włosy.

– Daj się poprowadzić intuicji – odparł ze spokojem.

– Żeby to było takie proste...

– Jest proste. Sama mówiłaś, że nie jesteś gorsza od pstrąga. – Wtulił się jeszcze mocniej, jednocześnie okazując swoje bezcenne wsparcie.

I tu miał całkowitą rację. Pstrągi nie płyną z prądem. I ja też nie będę. Tylko czy wybrać rybią trasę spokojnym nurtem pod prąd? Czy może obrać drogę przez wiry na rzece? Jedno było dla mnie pewne. Moje uczucia. I nawet jeśli pójdę na wesele, mając u boku Marka, to moim prawdziwym towarzyszem będzie Michael.

## Rozdział 26

Zakopane, Nędzówka

Majka

Renata przyglądała mi się w zadumaniu, jak przymierzałam swoje weselne wdzianko, a ja tępo patrzyłam na swoje odbicie w przymierzalni domu Stroju Ludowego. Strój, symbol silnej tożsamości z regionem Podhala. Górale między innymi strojem wyrażali swoje przywiązanie do obyczajów własnych przodków. Dlaczego u mnie było inaczej? Dla mnie był to jedynie symbol nacisku i zniewolenia. Co mi po tych radosnych roślinno-kwiatowych haftach na czerwonym materiale spódnicy, skoro dla mnie były bez zapachu. Pięknie wystrojona, lecz przygnębiona miałam brać pełny udział w weselu od początku do końca. Miałam udawać podziw dla uszytej przez Ankę białej koszuli Grzeška i portek z białego sukna zdobionego parzenicą<sup>144</sup> w kształcie serca. Filcowy kapelusz z muszlami i piórem, symbolem kończącego się stanu kawalerskiego. Miałam zobaczyć, jak druzycki uzupełniają jego weselny strój w spinkę, opasek i cuche, którą przewiążą czerwoną wstążką. Miałam patrzeć, jak ojciec z matką uronili łzę wzruszenia, błogosławiąc swojej pierworodnej dumie. Po czym wyruszyć w orszaku do następnego teatru w domu Anki, by finalnie zasiąść u boku Marka w kościelnej ławce. Z przodu. Tylko tyle by wystarczyło, żeby odzyskać Black i zachować resztę. Tylko i aż tyle.

– Majka tyś jest nieprzytomna jakaś. Patrz, jak pozapinałaś te guziki! – doprowadziła mnie do porządku Renata.

Wyrwana z bardzo realnej wizji myślowej zorientowałam się, że stworzyłam niezłe zestawienie guzików i dziurek.

– Co robić? – Ściągnęłam koszulę. Nawet nie zapinałam jej ponownie. Prócz Marka, nikt na mnie nie będzie zwracał uwagi. Chyba że ubrana po swojemu przyjezdna rodzina, dla której mój strój będzie atrakcją.

– Mówiłam ci już w styczniu, co zrobić. I później kilka razy. Nie posłuchałaś. I nadal nie słuchasz! A ja mam dość mówienia jak do słupa – skomentowała ostro wczorajszą sytuację.

– I co, mądrało? Myślisz, że ominęłaby mnie ta zabawa?! – zapytałam.

– Nie! Ale nikt by cię teraz koniem nie szantażował, żeby postawić na swoim! Teraz koń, żeby partnera wcisnąć na wesele... A co dalej?! – Podeszła bliżej. Była stanowcza i surowa. Nigdy wcześniej taka nie była w rozmowie ze mną. Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, bo miała rację. – No co dalej, pytam? Jak cię zmuszą do kolejnego kroku?! – wrzasnęła poirytowana. Prawda niewątpliwie w oczy kole, bo wyszły mi łzy. Najpierw mną potrzęsnęła słowem, a następnie objęła jak prawdziwa przyjaciółka i wiedziałam, że mimo wszystko mogłam na nią liczyć.

– Ale Black, Kora, Prima... – Patrzyłam bolesnym spojrzeniem w jej oczy.

– Wiem, że je kochasz. Ale nie są twoje. Miłość wymaga poświęceń i ofiar! Raz w życiu mnie wysłuchaj... Dasz się złamać raz... to zapewniam cię, że zrobią to ponownie. – Serce mnie bolało, kiedy to mówiła, ale miała całkowitą rację. Nie były moje i zawsze będą tylko czyjś pilotem, by mną sterować. – Zresztą... zrobisz po swojemu. Poznałaś Michaela. Jak on się poczuje, kiedy dla konia pójdziesz z innym na wesele? Nie bój się, że stracimy miejsce do spania. Poważnie... to ja rozważam Gdańsk... Ale tylko wtedy, kiedy ty będziesz szczęśliwa. Gdziekolwiek będziesz. – Przymrużyła oczy w skromnym uśmiechu. – Rozumiesz?!

– Uciekasz? – Popatrzyłam na nią smutnym wzrokiem.  
– Naprawdę mam dość tego miejsca i tych ludzi. Przyjaciółkami będziemy zawsze i miejsce pobytu tego nie zmieni. – Uśmiechnęła się do mnie, zmieniając ton na łagodny.  
– Dziękuję ci – odpowiedziałam, całkowicie rozumiejąc jej szczerą intencję.

Zabrałyśmy torebki z zakupami i wyszłyśmy na wspólny obiad do karczmy, po czym spędziłyśmy zaległe popołudnie w spa. Docelowo chciałam wynagrodzić Reni ostatni brak czasu wspólnym relaksem, a nieplanowanie pomogłam również sobie w podjęciu kolejnych kroków.

\*\*\*

Obładowane zakupami wróciłyśmy do pensjonatu. W korytarzu wyczuwalny był zapach gotowanej przez Americo kolacji. Z dołu dobiegały śmiechy chłopaków i odgłos zaciętej gry bilardowej. Zapragnęłam przytulić Michaela po całym dniu rozłąki. Najpierw jednak musiałyśmy zanieść rzeczy do mojego pokoju.

Zaświeciłam światło i dostrzegłam leżące na łóżku czarne, skórzane pudełko ozdobione jedwabną, czerwoną kokardą. Bez słów wymieniliśmy między sobą tylko spojrzenia. Renata przystanęła obok, bacznie obserwując, jak pociągam za końcówkę wstążki. Podniosłam pokrywę i zobaczyłam jeden z najsłynniejszych markowych emblematów na miękkim papierze wyścielającym wnętrze i zawartość pudełka. Oniemiała wyciągnęłam kreację, prezentując całą jej klasę. W życiu czegoś podobnego nie trzymałam w dłoniach. W życiu czegoś podobnego nawet nie widziałam. Długa, czarna, lekko mieniąca się koronkowa suknia z piękną kryształkową górą bez ramion.

– Chanel... Ma się gest. Nie ma co – skomentowała w podziwie Renata, przejmując ją i sunąc po pięknym materiale dłonią.

– Daj to. – Odebrałam jej sukienkę i schowałam ją na powrót do pudełka.

Bez chwili namysłu wzięłam nietuzinkowy prezent i zbiegłam na dół.

– Bob. Gdzie Michael?

– U siebie – odpowiedział, nie przerywając zabawy.

Pobiegłam z pudełkiem w rękach na górę. Stał na balkonie, paląc tego swojego papierocha. Wkroczyłam pewnie, a on tylko uśmiechnął się na mój widok.

– Co to jest ja się pytam?! – zapytałam stanowczo, a ten natomiast zamiast odpowiedzieć, objął mnie, patrząc stęsknionym wzrokiem.

– Stęskniłem się. – Chciał mnie pocałować, ale nie zamierzałam mu na to pozwolić, nim nie usłyszę odpowiedzi na swoje zignorowane pytanie.

– Nagroda niespodzianka za wyścig konny. Drobiazg. Przecież się zgodziłaś...

*No tak. Oczywiście oczywiście*, pomyślałam. Dostałam drobiazg o wartości połowy pensjonatu za trzydziestosekundowy wyścig konny.

– Drobiazg?! Chanel? Oszalałeś? Gdzie ja w tym pójdę? – Zaśmiałam się, stwierdzając fakty.

– Nie podoba ci się? – zapytał zmieszany i przejęty.

– Michael, jest piękna, cudna i... na pewno cholernie droga... Ale to nie było potrzebne, bo nawet nie mam okazji, by ją założyć.

– A wesele? – zapytał zdumiale.

Zaczęłam się śmiać, bo zupełnie nie wiedział, o co chodzi i dlaczego nie mogę jej włożyć.

– Mój drogi... Na tym weselu obowiązuje mnie strój regionalny, który właśnie dziś zakupiłam. – Został właśnie uświadomiony i wyraźnie zaskoczony. Chociaż raz coś poszło nie po jego myśli. I mnie udało się go jednak czymś zaskoczyć. – Wiesz... czerwona spódnica, kwiaty, kokardy, gorset, biała koszula... – Rozbawiona jego planem ubrania mnie w tę niezwykłą kreację od Chanel nie mogłam opanować śmiechu.

– To nic. – Przykleił do twarzy ten swój czarujący uśmiech. – Jestem pewien, że kiedyś się przyda i że znajdziesz jednak w szafie miejsce dla niej. – Pocałował mnie, rekompensując cały dzień bez siebie. Zalegająca sukienka w szafie za kilkanaście tysięcy dolarów.

*Vinted... nie nosisz? Sprzedaj i leć pozwiedzaj... Paryż.*

– A co jeśli się w nią... na przykład nie zmieszczę? – zapytałam, bo nie mieściło mi się w głowie, jak można kupić coś takiego w ciemno. Należałam do grupy osób, które nawet rajstopy wyciągają, by sprawdzić, czy faktyczny rozmiar zgadza się z opisem na opakowaniu.

– Była szyta na sześćdziesiąt kilogramów – odparł i tym razem to on się roześmiał. Odłożyłam pudełko i palnęłam go w ramię. Zdałam sobie sprawę z tego, jak zostałam wkręcona już wtedy, gdy ściągał ze mnie miarę niby przed komputerowym badaniem kondycji.

– Jesteś przebiegły! – Zmrużyłam oczy. – Czy wczoraj też dałeś mi fory w wyścigu, żeby móc mi to podarować...? – Wskazałam na pudełko, a on już nie musiał odpowiadać. Miał to wypisane na twarzy. Nie wydawało mi się, że Black w rzeczywistości była szybsza. Zrobił to celowo, a ja ponownie dałam się zrobić w konia jak mały Jasiu. Dosłownie w konia. – Jesteś niereformowalny – podsumowałam tylko, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Naprawdę ci się podoba? – zapytał, obejmując mnie w pasie i przyciskając do siebie.

– Jest piękna. Dziękuję, ale poranna kawa od ciebie nie przebije żadnej innej nagrody.

– Poranną kawę masz u mnie w standardzie. – Pogładził dłonią mój policzek i odgarnął włosy za ucho, odsłaniając twarz.

– A co jest poza standardem? – zapytałam, flirtując tym razem.

– Powiedzmy, że mój standard ma szeroki zakres. Wolałbym pokazać, niż mówić... – Delikatnie nami kołysząc, musnął moje usta i docisnął całą do siebie.

On cały. Jego opanowanie i cierpliwość. Tajemniczość i wyższość. Oczy i spojrzenie. Ciało i siła. Bliskość i dotyk. Woń lasu i jego zapach z nutą drzewa agarowego pobudzały wszystkie moje uspięne zmysły i usypiały wszystko, co nieistotne dookoła nas.



## Rozdział 27

Nędzówka

Majka

Dziwne uczucie niepokoju towarzyszyło mi w przeddzień ślubu brata. Renata miała rację, dlatego nakierowała mnie na podjęcie decyzji. Słusznej i jedynej. Gdybym się poddała, byłby to początek końca mojej wolności. Nie chciałam też zranić Michaela i iść pod rękę z innym mężczyzną na wesele. Kosztem zwierząt, ale nie mogłam się ugiąć. Nie teraz. Jutro pójdę sama, ale z Michaeliem w sercu. Powiedziałam mu o tym we wtorek przy śniadaniu. Nie skomentował i nie doradzał. Wspierał swoją obecnością i wyglądał, jakby odczuł ulgę zrozumienia dla mojej decyzji. Wedle życzenia brata pojedę prosto do kościoła, usiądę w tylnej kościelnej ławce wraz z dalszą rodziną, po czym pojedę do wystawnej restauracji weselnej, będąc jedną z trzystu w tłumie gości. Ofiara była straszna i bolesna. Stracę nie tylko Black, ale też pozostałe konie. Czułam jednak, że postępuję słusznie, stawiając niemy opór. Już nie byłam tą pokorną, cichą dziewczynką i wiedziałam, że mogę znieść więcej.

W niewidzialnym napięciu i skupieniu kończyliśmy właśnie nasz leśny bieg po śniadaniu, dobiegając do kamiennych schodów pensjonatu. Renia siedziała z telefonem i kawą na naszej babcinej ławce. Doznałam ukłucia wspomnienia, bo przecież jeszcze tak niedawno siedziałyśmy na niej razem, ciesząc się z nadchodzącego wyjazdu luksusowych gości. Teraz siedziała na niej sama, myśląc nad swoim własnym wyjazdem. Beze mnie.

Michael pożegnał mnie całusem. Wiedział, że z nią zostanę. To niesamowite, jak dojrzałe odczytywał moje uczucia i potrafił przełożyć moje emocje na własne zachowanie.

Usiadłam obok Reni, wpatrując się w uspokajającą zieleń świerków wzdłuż podjazdu.

– Nieźle się porobiło, co nie? – Musiałam jakoś zacząć. Nie było to najbystrzejsze rozpoczęcie dialogu, ale zawsze był to jakiś początek.

– Pamiętasz, jak kiedyś chciałaś poczuć to, co ja czułam do Kamila? Jak mi tego zazdrościłaś? I jak rozmawiałyśmy o twoim ideale, za który ojciec by cię rzucił niedźwiedzim na pożarcie? – Uśmiechnęła się na wspomnienie beztroskich chwil. – To jest dopiero wyższa szkoła magii, bo wykrakałaś go sobie... – Potakiwała z podziwem i subtelnym uśmiechem na ustach. – Ślepa nie jestem i widzę, jak na siebie patrzycie. Jak teraz wam szczęście uszami wychodzi... I życzę ci, żebyś walczyła o to... Ile się da... Bo prawdopodobnie masz więcej szczęścia i nie jest twoim bratem. – Roześmiała się i jednocześnie popłynęły jej łzy. A o to akurat nie było u niej łatwo.

– Ej! głupia... Co jest? – Szturchnęłam ją ramieniem. To nie było w jej stylu, by reagować tak emocjonalnie. Coś się w niej zmieniło i pierwszy raz nie wiedziałam, co było tego przyczyną.

– Rozmawiałam już z rodzicami o przeprowadzce. Czas na zmiany. Tu nie dam rady, za dużo wspomnień. Dam sobie jeszcze tydzień z tobą. Z wami... – poprawiła się, dobierając mnie z Michaeliem w parę.

Do mnie namacalnie zaczęło docierać, że ją tracę. Że domykał się pewien etap naszego życia, a zaczynał nowy. Sama nie wiedziałam, co będzie dalej. Co Michael zaplanował. Co ojciec zaplanuje z babcinym pensjonatem. Za wiele pytań miałam teraz w sobie.

– Rozumiem. – Oparłam czoło na jej ramieniu, zrobiło mi się potwornie żal.

– Nie myśl sobie, że masz mnie z głowy. Po pierwsze jest telefon. Po drugie masz zaplanować obowiązkowe opalanie dupska na plaży w Gdańsku – zaznaczyła.

– Nad naszym morzem chcesz dupsko opalić? Prędzej na Giewoncie opalisz – stwierdziłam z uśmiechem.

– Jesteśmy siostrami, co nie? – Złapała moją dłoń. – Ja jestem z tobą, a ty ze mną.

– I nieważne gdzie. Siostró – odpowiedziałam, bujając w obłokach.

– Bądź jutro sobą... czyli upartym osłem, a Kaśka zrobi resztę z twoją buźką. – Planistka, umówiła nawet Kaśkę do makijażu. A szczerze? Nie zależało mi na żadnym wyglądzie dla towarzystwa, w jakim się znajdę.

\*\*\*

Tego wieczoru stałam z Michaelem na jego balkonie. Widzieliśmy zapalone światło w stajni i kończącego pracę Zenka. Zapadał zmierzch, a wraz z nim coraz więcej czarnych scenariuszy napływało do mojej głowy. Dobrze, że miałam go obok siebie. Jego spokój, chcąc nie chcąc, mi się udzielał. Nie chciałam przy nim pokazywać swojej niestabilności wewnętrznej, a tylko on był w stanie utrzymać mnie w jednym kawałku. Dodawał mi energii i otuchy. Oplatając mnie zapewniającymi poczucie bezpieczeństwa rękami w pasie, dawał mi do zrozumienia, że wyczuwał moje zdenerwowanie. Delikatny podmuch wiatru przez otwarte okno łagodził napięte mięśnie, a cykanie świerszczy było jak orkiestra skrzypków rozsiana po pastwisku wzdłuż lasu. Pohukiwanie sowy raz po raz przełamywało monotonną melodię. Nagle usłyszeliśmy kroki zmierzające chodnikiem w stronę stajni i głos nawołujący moje imię. To był Marek – dzika świnią, która swoim kwiczeniem zepsuła wieczorny koncert świerszczy i sowy. Prócz swojego wariackiego ciśnienia poczułam również narastające napięcie mięśni rąk Michaela.

*Jasne, przecież jutro wesele i Mareczek nie wie, czy ma po mnie wpaść, czy też nie. Myć zęby czy nie myć...*

– Skończę z tym raz na zawsze – skomentowałam, wyswobodziłam się z bezpiecznych ramion i puściłam biegiem na dół.

\*\*\*

– Był tu Marek. Powiedziałałam mu, że cię nie ma – poinformowała Renata siedząca na recepcji.

Nie miałam zamiaru iść za nim do stajni. Stałam w otworzonych na oścież drzwiach frontowych, czekając, aż będzie wracał. Ponownie czułam się nie tylko pewniejsza, bo miałam ich dwójkę u boku, ale też wściekła, bo jego napastowanie zaczęło mnie poważnie drażnić.

– Gnój szlachetny – odezwała się Renata równie zmęczona Markiem.

– Szlachetny? – zapytałam zdumiona i wtedy usłyszałam kroki. – Marek! – przywołałam sylwetkę wyłaniającą się zza bocznej ściany budynku, a tuż po nim wyłoniła się druga w osobie Zenka, który ledwo szedł. Pewnie znów nadużył piątkowego wieczoru. Renata wyszła i usiadła na ławce.

– Kłamiwa suka z ciebie! – Marek wrogo zwrócił się do Renaty, grożąc palcem.

– Marek, daruj sobie uprzejmości – odpowiedziała spokojnie, czym jeszcze bardziej go zdenerwowała.

Wyszedł na pierwszy stopień. Miał zaciśnięte i zakrwawione pięści. Jakby uderzał nimi o betonową ścianę. Kipiał złością. Michael wyłonił się do przodu, stojąc teraz na szczycie schodów ze spokojnie włożonymi rękami w kieszeniach, spoglądał z góry na Marka. Jego spokój

w tej sytuacji mnie przerażał. Stałam jednak przed Michaeliem, nie chcąc widzieć zaciętej walki dwóch kogutów na podjeździe Jagodowej Chaty.

– Tak cy nie?! – zapytał wściekły, widząc mnie po raz kolejny w obecności obcego mężczyzny. Jego oczy były przekrwione. Wyglądał, jakby nie spał od tygodni i tylko pijany z ust brakowało, by sprawiał wrażenie wyraźnie chorego.

– Nic się nie zmieniło, Marek. Znowu mówię NIE! – wrzasnęłam ostatnim słowem.

– Twój ociec miał racje. Nie godnoś<sup>145</sup>, żeby cie mieć w rodzinie. Nieobyczajna dziwka!

*Alć, Mareczku, jeszcze nie. Ale dobrze, że zrozumiałeś słowa mojego tatunia.*

Wszyscy patrzyliśmy, jak odchodził, a w zasadzie prawie biegł. Zenek stał oniemiały. Podeszłam do niego. Owszem, tak jak przypuszczałam był pijany, ale miał też zakrwawioną twarz i rozdartą koszulę na ramieniu.

– Matko kochana! Panie Zenku, co się stało? On to zrobił? – zapytałam, a Zenek tylko przytaknął ruchem głowy, strużka krwi obficie kapłała mu z nosa.

Posadziłam go na dolnym stopniu schodów. Renata przyniosła apteczkę i zatamowałyśmy krwisty wyciek.

– Dlaczego pana uderzył?

– Pytał o panienkę. Powiedziałem mu ino, że o ty godzinie to pewnie z tym panaskiem, bo tako w niego zapatzono.

*Oj Zenuś, Zenuś, sprzedałeś mnie. Jeszcze dostałeś po mordzie za cenną informację.* Byłam wściekła. Okładać pijanego starca to tak, jakby okładać niewinne dziecko. Marek przesadził.

– Kurwa... Nie godna jestem. Słyszeliście?! – Zamiast tupać ze złości, roześmiałam się.

\*\*\*

Wróciłam tam, gdzie mi dobrze. Na górę. Ulokowaliśmy się na kanapie w salonowej siłowni. Michael siedział wygodnie i patrzył na mnie, głaszcząc moje włosy, a ja leżałam z głową na jego udach, patrząc w biały sufit... Lawirowałam myślami, zbierając siły na jutrzejszy dzień. Spokojny nurt własnych rozmyślań nagle przeobraził się w rwący potok szalonej idei. Odjechało mi, w jednej sekundzie przewracając wewnątrz mojej głowy na lewą stronę. Nie zwlekałam, by powiedzieć to na głos.

– Michael? Chyba popełniłam błąd...

– Jaki? – Jego oczy zrobiły się bardziej wyraziste.

– Nie powinnam tam iść sama. – Był wyraźnie zdziwiony moją refleksją po tym, co zobaczył na dole. Podniosłam się gwałtownie. Pod napływem myśli i nie zastanawiając się nad tym, co myślę, a tym bardziej, co robię, poderwałam się i usiadłam na nim okrakiem. Ujęłam jego twarz w dłonie, spoglądając z ekscytacją w jego oczy. – Masz silną psychikę? – zapytałam ożywiona.

– W tym momencie... to już sam nie wiem. – Zaskoczony moim zachowaniem roześmiał się tylko.

– Pójdiesz ze mną na wesele? – zapytałam cholernie zdecydowanie jak na swoje możliwości, a on momentalnie spoważniał na te słowa.

Tonęłam w nadziei jego czarnego spojrzenia. Przejechał dłonią po moim policzku, przyciągnął do swoich ust i delikatnie zaczął całować. Zatopiłam palce w jego włosach, odwzajemniając najdrobniejszy ruch jego zmysłowych ust.

– Z przyjemnością będę twoją osobą towarzyszącą – wyszeptał mi do ucha, przyciągając mocniej do siebie i jednocześnie całując z narastającą namiętnością.

Gdyby w tym momencie zdarł ze mnie górę, nie miałabym nic przeciwko, by poczuć na

spragnionej i nagiej skórze jego dłonie. Ledwo o tym pomyślałam, a jego ręce nie rozdarły bluzki, a wsunęły się pod nią, dając mi namiastkę ukojenia, wodząc po całych plecach. Nie do opisanego było uczucie dreszczu, jakie zostawiał pod swoimi palcami na moim ciele. Nasze oddechy przyspieszyły i czułam, że on również tracił panowanie nad sobą, bo jego dłoń w magiczny sposób z pleców znalazła się pod materiałem stanika, delikatnie otulając moją pierś. Przy nim nie miałam panowania nad własną świadomością, która zachłannie wymagała czegoś więcej od ciała. Również zapragnęłam poczuć pod palcami więcej niż wzór na jego szyi, dobierając się do guzików jego koszuli, lecz pochwycił moje nadgarstki.

– A ty, moja panno... – zatrzymał pędzącą lokomotywę, przerywając coraz bardziej odważne pieszczoty. – Postępujesz ze mną teraz baaardzo niehumanitarnie... Jeśli to twój kolejny żart, to zapewniam cię, że jeszcze chwila i nie będę czekał na pozwolenie na cokolwiek. – Teraz on wylał na mnie wiadro lodowatej wody, gasząc coś, czego nie chciałam już gasić. Ale zgasił, bo mi to wytknął. Dotarło do mnie, jak siedziałam i jak zareagowało jego ciało na nasze mimowolne ocieranie.

Oblałam się rumieńcem, wtulając rozpaloną głowę w jego klatkę piersiową i słuchając jego mocno bijącego serca. Życie bez jego bliskości nie miało już żadnego sensu. Zakochałam się i pragnęłam, aby wypełniał każdy mój dzień i sekundę życia. To tyczyło się również wesela.

## Rozdział 28

Nędzówka, Zakopane

Majka

– Stary cię zajebie! – podsumowała Renata, patrząc, jak Kaśka zaciska usta w skupieniu, prezentując swoje nowo zdobyte umiejętności na mnie.

– Sama proponowałaś, żeby tak zrobić – odpowiedziałam, siedząc jak manekin w swoim pokoju, na krześle skierowanym w stronę okna.

Kaśka nakładała pędzlem jedno mazidło po drugim, skupiając całą swoją uwagę na mojej twarzy. Wyglądała jak francuski malarz stojący przy sztaludze w oknie mieszkania z widokiem na wieżę Eiffla. Pełne skupienie i profesjonalny wyraz twarzy, jakby to, co właśnie tworzy, miało jej otworzyć drogę do sukcesu. Brakowało jej tylko beretu, który i tak byłby sprany po kilku latach spędzonych z moim bratem.

– Tak! Sugerowałam... Bo byłam pewna, że jednak tego nie zrobisz. Stary naprawdę może zejść na zawał. Wtedy to wesele zapamiętają wszyscy. Nie, żeby mi było przykro... Odjebiesz numer roku. Tyle ci powiem. – Wytrzeszczyła na mnie oczy, stojąc obok z założonymi rękoma. Gdybym mogła się ruszyć, nie ryzykując utraty oka, wzruszyłabym ramionami.

– No i? Jak niegodna, to przynajmniej będzie miał powód, by tak mówić...

– Co wy kombinujecie? Bo chyba nie jestem w temacie... – Wyrwana z artystycznego transu tematem zawału niedoszłego teścia Kaśka naprzemiennie obrzucała nas podejrzliwym spojrzeniem.

– Jej zapytaj. – Renia kiwnęła w moją stronę, rozkładając na łóżku ubrania zakupione w poniedziałek.

Kaśka patrzyła na mnie teraz nie jak na nieskazitelnie piękne dzieło sztuki, a jak na nieskazitelne dzieło sztuki z przypadkowym kleksem.

– Nie idę z Markiem i tatuś ma mi to za złe – przybliżyłam Kaśce, na co nie wydała się specjalnie zaskoczona.

– No słyszałam co nieco... Anka popłynęła ostatnio z komentarzami na twój temat... – oznajmiła, przeciągając pierwszą kreseczkę na powiece.

– Taaak? – zapytałam wewnątrznie niezaskoczona. Byłam ciekawa, na jaki poziom uszczypliwości weszłyśmy w relacji bratowa-szwagierka. – Co mówiła? – zapytałam.

*Dajesz, Kasiu, wiem, że chcesz mi powiedzieć. Już przecież jestem niegodną dziwką.*

– W czwartek odbyła się pokaźna kolacyjka u niej w domu. Takie tam obrady z dopięciem wszystkiego na ostatni guzik. Byli wszyscy. Anki rodzice, dwie siostry, dwóch braci z rodzinami, twoi rodzice, Maciek i ja ze Szczepanem. Stary Anki pytał o ciebie. Twój ojciec powiedział, że odłączyłaś się od rodziny, bo jesteś odmieńcem. Wtedy do akcji wkroczyła Ania, mówiąc, jaka to ty jesteś głupia. Że sama nie wiesz, co dla ciebie dobre. Że to przez staropanieństwo ci tak odbiło, kończąc na pocieszaniu twojego ojca tym, że chętnie zastąpi mu córkę... A twój ojciec jej odpowiedział, że już dawno mu ciebie zastąpiła...

*Grubo.* Jeszcze miesiąc temu poderwałabym się z krzesła i pobiegła w las, ile sił w nogach. Ale teraz siedziałam z uśmiechem na twarzy. Spokojna jak Michael. Mniejsza o brak zaproszenia do tego gniazda żmij i ich obrad dotyczących momentu odpinania kawalerskiego

piórka z Grześkowego kapelusza. W dupę niech mu wsadzą to piórko. Albo Ance. Niech ojciec zdecyduje.

– Odmieniec mówisz... – Mówiąc melancholijnie, patrzyłam w okno, ogarniana przez nieodpartą rodzącą się we mnie żądę.

– Maluj ją, Kacha, bo nie zdążysz z główną gwiazdą dzisiejszego dnia – wtrąciła Renia czując moje fale elektromagnetyczne odbite od okna. Jakby łąpały się na szybie i pod kątem prostym trafiały wprost do jej głowy.

– Ha! Gotowe! – Kaśka dumnie klasnęła w dłonie, przyglądając mi się z podziwem. Podała mi lusterko, czekając na werdykt. – Tak, jak chciałaś. Delikatnie i zadziornie – zaznaczyła, gdy popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

Makijaż był piękny. Dawno tak nie wyglądałam. Prawdopodobnie na studniówce. Troszkę podkładu, pudru i różu, którego, bądź co bądź, ostatnio miałam w nadmiarze. Oczy były subtelnie zaakcentowane ciemniejszym cieniem, równiutka kreszczka czarnym eyelinerem, rzęsy podkreślone czarnym tuszem i soczyście czerwona szminka. Włosy spięła mi w luźny kok, z którego gdzieniegdzie wypuściła pasemko naturalnie pofalowanych włosów.

– Ładnie – skomentowałam, patrząc na siebie z cwany półusmiechem. Nie skupiałam jednak myśli na wyglądzie, a przeznaczeniu wirujących kurwików we własnych źrenicach.

– Też zamawiam takie czary przed swoim wyjazdem – zażyczyła sobie Renata.

– Wyjazdem? – Kaśka wybałuszyła oczy w zdumieniu.

– Przeprowadzam się do Gdańska. Długo by tu mówić... a ty nie masz teraz czasu.

– Zajebicie mnie informujecie. Czemu wcześniej nic nie mówiłaś?! Dobra, dziewczyny, aż taką czarodziejką nie jestem, żeby Ance twarz dorobić w godzinę. Uciekam. – Kacha nerwowo popatrzyła na zegarek i żwawo pakowała swój kuferek. – Reniu, widzimy się po niedzieli. Maja, widzimy się o trzynastej...

– O czternastej – skorygowałam. – Dalsza rodzina przyjeżdża prosto do kościoła.

– Wiesz gdzie ich miej? – powiedziała w drzwiach, puszczając mi oczko.

– Dzięki! Masz talent! – krzyknęłam do zamykanych drzwi.

\*\*\*

– Śliczna jesteś. Naprawdę – skomplementowała już sam na sam Renia.

– A teraz? – zrobiłam najgłupszą minę w życiu, wybałuszając oczy i marszcząc usta. Roześmiała się, a ja wraz z nią.

– Czemu nie powiedziałaś jej, że z kimś idziesz?

– Po co psuć sobie zabawę?! Niech mają niespodziankę. Jestem niegodnym odmieniec, którego miejsce zajęła Ania. Ojciec już się mnie publicznie wyparł... Nie wiem, co dla mnie dobre? Ja już im pokażę, co dla mnie dobre! – Wzięłam przygotowany góralski strój i cisnęłam nim o ścianę. Wyciągnęłam sukienkę od Michaela i ostrożnie rozłożyłam ją na łóżku. Renata zdębiała doszczętnie.

– Nieee. Naprawdę?! Zrobisz to?! W niej?! Z nim?! – Kręciła w niedowierzaniu głową i zawiesiła oczy na połyskującym materiale nietuzinkowej kreacji.

– Być odmieniec to na całego, a czarna sukienka z pewnością doda wyrazu tej imprezie.

– Co ja bym dała, żeby tam być i to widzieć... Jesteś popieprzoną wariatką! – Objęła mnie, dodając odwagi i śmiejąc się do ucha.

– Marek ma wolne miejsce na zaproszeniu... – zasugerowałam i roześmiałam się, bo tyle mi zostało.

– No, no, no. Aż tak ciekawa, to nie jestem! Szczęki im opadną... I nie tylko.

\*\*\*

Przez malowanie zasiedliśmy do bardzo późnego wspólnego śniadania. Moja determinacja w zrealizowaniu samobójczego planu była nad wyraz silna, co nie oznaczało że się nie bałam. Cholernie się bałam. Michael zerkał na mnie podekscytowany, ale spokojny. Nigdy nie widziałam, żeby się bał. Ani w starciu z galopującym na niego koniem, ani z Markiem, ani w żadnej innej sytuacji, która wymagała chociaż odrobiny reakcji obronnej. Na wykładach z podstaw psychologii wmawiano nam, że strach to automatyczna reakcja łańcuchowa zachodząca w naszym organizmie. Zaczynał się od stresującego bodźca, a kończył uwolnieniem substancji chemicznych do krwiobiegu, którego efektem był tak zwany *fight-or-flight response* – walczyć lub uciec. To podstawowy mechanizm przetrwania obecny u wszystkich zwierząt. Ale w jego wypadku coś poszło nie tak, bo szlag trafiał wszelkie teorie ani nie walczył, ani nie uciekał. To przerażające, że mogła go kiedyś spotkać krzywda na własne życzenie.

– O trzynastej piętnaście na dole? – Uśmiechnął się, potwierdzając realizację przedstawionego wcześniej planu działania.

– Zgadza się – potwierdziłam i odwzajemniłam uśmiech.

Byłam szczęśliwa, że brnęliśmy w to razem. Mimo wszystko.

Ucałował mnie, dodając otuchy, i poszedł do siebie.

\*\*\*

Czułam się i wyglądałam jak milion dolarów. Jak można było mieć na sobie tak dopracowaną w każdym calu obrzydliwie piękną rzecz. Mieniąca się w czerni koronka fałą opadała do samej podłogi i układała się idealnie na każdym milimetrze ciała. Dopasowany gorset i swobodnie luźny dół, pas kryształków na dekolcie połyskiwał jak promienie słońca odbijane na śniegu w bardzo słoneczny dzień. Prosty z przodu dekolt zjeżdżał ku plecóm stromym zjazdem, kończąc się na tylnym pasku sukni i podkreślając nagość pleców setkami mieniących się brylancików. Założyłam czerwone korale i kolczyki na znak tego, co zostało po mojej tożsamości góralskiej.

– Kurewsko na TAK! – Renata przemówiła ze łzami w oczach. – Gdyby była biała... Chciałabym taką do ślubu... – zaszlochała wzruszona moim widokiem.

– Zmiękaś mi, pipko. – Uśmiechnęłam się, również nie kryjąc własnego wzruszenia. Obróciła mnie do stojącego w rogu pokoju lustro, stając za mną z rękoma na moich ramionach.

– Ślepa jesteś? Widzisz, jak wyglądasz? Nie skończy się na jednym zawale! – Przetarła łzę ze swojego policzka.

– No już! Już! Bo makijaż mi zaraz spłynie. – Wzięłam czerwoną kopertówkę, wkładając do niej zaproszenie z podarkiem na nową drogę życia.

– Kopciuszkule! – Podała mi do rąk czerwone szpilki. – Powodzenia!

\*\*\*

Zmiana planów to ja. Kwadrans przed, a nie po, weszłam na górę. Cichutko otworzyłam drzwi i widząc zamkniętą łazienkę, wbiłam do środka. Wyszłam na balkon, patrząc z góry w stronę lasu, gdzie kończyła się i zaczynała moja ścieżka. Zamknęłam oczy, mając przed oczami moje spokojne aniołki. *Tak, to dla ciebie, babciu.* Ja nie pozwolę się nikomu zniewolić. Babcia nie chciała tego dla mnie, tak jak nie chciała tego dla siebie. Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi łazienki.

Stanęłam na środku przejścia na balkon i czułam, jak ciepłe promienie słońca otulały moje nagie plecy. Patrzył na mnie z podziwem i nawet odniosłam wrażenie, że tym razem to on się zarumienił, a już na pewno dał się zaskoczyć. Klasycznie wyszedł z łazienki bez założonej

góry i stanął przede mną tylko w czarnych garniturowych spodniach. Umięśniony tors pokryty tatuażem miał częściowo przysłonięty białym ręcznikiem przewieszonym przez szyję. Podszedł jeszcze bliżej i zmierzył mnie wzrokiem tak pociągającym, że trudno mi było skupić myśli na czymkolwiek prócz jego drapieżnego spojrzenia.

– Nie żałuję, że się zgodziłem. – Ucałował moją dłoń jak prawdziwy dżentelmen. – Wyglądasz... zjawiskowo to mało powiedziane. – Jego oczy nie kryły podziwu.

– Ty też niczego sobie... – Zawiesiłam wzrok na nagiej i wilgotnej skórze okrytej jedynie tatuażem.

– Chyba jednak wezmę broń, bo zmieniłaś mój plan na kolory... – Uśmiechnął się, biorąc nie już przygotowaną białą, a czarną koszulę.

– O nie! Bez pistoletów, proszę. To ja ich wystarczająco dobiję swoją obecnością... – Spuściłam wzrok na drewnianą podłogę. Objął mnie, wywołując dreszcz, z którym już nawet nie walczyłam.

– Słuchaj... mój czarny aniele... Z każdym kolejnym dniem zaskakujesz mnie coraz bardziej swoją odwagą. Jestem przy tobie i... – skierował moje oczy na swoją twarz – ...zdania nie zmienię.

– Mam nadzieję, bo sama nigdzie nie idę.

– Możemy zostać. Załatwimy muzykę i może nawet nauczę się tańczyć przy tobie... – zaproponował z nutą obietnicy.

– Kusząca wersja... – Musnęłam jego usta. – Jednak mój drogi... Najpierw musimy rozkręcić inną imprezę.

\*\*\*

Bob i Rick przywieźli nas na boczny parking kościoła w Zakopanem. Za nami przyjechał kolejny mercedes z Leonem, Peterem i biednym Mikiem. Było tuż przed czternastą, kiedy wjechaliśmy pod Sanktuarium Matki Bożej. Zerknęłam ku górze. Piękny kościół był jak wielostozkowa piramida pnąca się do nieba, do wnętrza której prowadziły potężne dębowe drzwi. Pod nimi stał już tłum w oczekiwaniu na uroczyste wprowadzenie do świątyni. Czułam, jak Michael ścisnął moją dłoń, sygnalizując, że nie byłam sama w tym bagnie.

– Po co ci słuchawka? – Zauważyłam mały, czarny punkcik w jego uchu.

– A myślisz, że za co płacę Mike'owi? – Roześmiał się.

*Przezorny zawsze ubezpieczony.*

– Będzie ci transmitował mszę ślubną? – Rozbawił mnie tą wizją.

Wzięłam głęboki wdech i wysiedliśmy z Michaelem z auta. Chłopcy zostali w samochodach.

Będąc u podnóża bocznych schodów, spoglądałam w stronę frontowego wejścia. Udaliśmy się w stronę licznych gości, by wtopić się w tłum. Zdawałam sobie sprawę z obecności tych wszystkich zorientowanych w mojej sytuacji rodzinnej głów, które DYSKRETNIE zerkwały w naszym kierunku.

*Siostra młodego tu, a nie w orszaku?* Na pewno zadawali sobie w myślach to samo pytanie. A jeszcze bardziej byłam świadoma tego, że byliśmy ubrani jak na pogrzeb. Poniekąd tak się czułam. Jakbym dziś paliła pozostałości po swoich korzeniach rodzinnych. Jak odchodzić to z przytupem. To oni popełnili błąd. Kazali mi tu przyjść z osobą towarzyszącą, więc posłuchałam i przybyłam. Dumna i podparta silnym ramieniem swojego towarzysza. Obdarzyłam całkowicie szczerym uśmiechem wszystkie znajome twarze, które zdążyłam dojrzeć.

Dołączyliśmy do gości pod kościołem w oczekiwaniu na orszak weselny, w którym na



szczęście nie dane mi było brać udziału, a który właśnie dotarł na miejsce z konnymi pytacami<sup>146</sup> na czele okrytymi w czarne cuchy. Wszyscy byli w obowiązkowych strojach. Młodzi przyjechali osobnymi powozami. Anna z družbami i Grzegorz z druhanami. Jak śpiewali pytace: „Do Kościoła jedno, a z Kościoła dwoje...” Za ich powozami przybywały kolejne z rodzicami, starostami i przygrywającą orkiestrą.

Ksiądz w pięknym góralskim ornacie z białego sukna wyczekiwał młodych pod dębowymi drzwiami kościoła. Pierwszoplanowe gwiazdy imprezy szły samym środkiem głównych, kamiennych schodów w kierunku przeznaczenia.

Orkiestra grająca na skrzypcach, basach i akordeonie wybrzmiewała w uszach, znikając jako pierwsza we wnętrzu kościoła. Michael wyglądał na miło zaskoczonego usłyszczanymi melodiami. Podobnie zresztą słuchał ze swojego okna pamiętnej nocy konfesjonałów przy ognisku.

Za orkiestrą podążył ksiądz, rozpoczynając pochód. Za księdzem, w towarzystwie družek i rodziców, podążył Grzegorz ze swoim okazałym kawalerskim piórem w kapeluszu, spinką na koszuli, portkach, kierpcach oraz białą cuchą zarzuconą na ramionach. Był hardo zapatrzony przed siebie.

Nie zauważyli nas nawet rodzice, tylko moja bystra Kasia, jako jedna z družek, zrobiła oczy, jakby ducha zobaczyła. Albo jednak dwa. Puściłam jej szybkie oczko zrozumienia.

*Przybyła nowa córeczka mojego ojca* – Aneczka w towarzystwie swoich rodziców i družbów okazała się bardziej spostrzegawcza niż mój rodzony brat. Ubrana była w bluzkę, gorset i spódnicę, a wszystko to w bieli z cekinowym motywem kwiatowym. Jej głowę zdobiła cuba<sup>147</sup>, z przypiętą wstążką i mirtem.

*Róż, Aniu, róż. Pamiętaj, że róż nie spełni swojej funkcji na czerwieni*, pomyślałam i mimo wszystko uśmiechnęłam się do niej. Nie zawsze jednak uśmiech był odbierany jako objaw uprzejmości, bo zdążyłam dostrzec wszystko, co wyzierało z jej oczu – niedowierzanie, wzburzenie, dezorientacja, osłupienie. Jak na jeden rzut oka, to zauważyłam sporo emocji. Nie miałam zamiaru łapać kontaktu wzrokowego z nikim więcej.

Weszliśmy do środka jako ostatni wraz z pozostałymi gośćmi, kierując się wedle życzenia na tylne ławki, które zajmowali przyjezdni i ubrani tak jak my. Odświętnie, lecz nie tutejszo. Usiedliśmy, zawieszając wzrok na kolorowej witrażowej ścianie przed nami, sięgającej swym trójkątnym kształtem aż do szczytu. W takt skrzypiec poczułam, że mogłam już swobodnie wypuścić powietrze.

– Gangsterzy chodzą do kościoła? – wyszeptałam Michaelowi do ucha.

– Kiedyś mi się zdarzało... Dawno temu. – Uśmiechnął się subtelnie jak przystało na powagę miejsca i wybiła czternasta.

– A na góralskie śluby? – dodałam z uśmiechem.

– To mój pierwszy raz – odparł zalotnie, odwzajemniając uśmiech.

Grzesiek i Anka zasiedli na swoich przystrojonych tronach ustawionych na środku przed ołtarzem. Ania puściła krótką informację, szepcząc do ucha za lada moment męża. Grzesiu próbował się dyskretnie obejrzeć, lecz pod takim kątem nas nie zauważył.

Ceremonia rozpoczęła się na dobre. Zastanawiałam się, jak długo potrwa ich szczęście i czy tak ustawione małżeństwo będzie kolejną tragedią dla ich dzieci, które zapewne się pojawią. Tak jak byłam w stanie zrozumieć Ankę, bo faktycznie trafiło się dziewczynie jak włóczędze dycha, tak nigdy nie zrozumieć samego Grześka. Przecież był dorodnym i zdrowym mężczyzną. Bez stwierdzonej wady słuchu. Mniejsza o wzrok. Był facetem z krwi i kości, więc będzie cierpiał z taką kobietą. Zawistną, niegrzeszącą urodą zmiłą, której charakter górował nad wyglądem.

Z własnych przemyśleń wyrwały mnie melancholijne, wolno wypowiedane przez księdza słowa kazania...

– Dlaczego dziś tak trudno młodym ludziom podejmować ważne, odważne decyzje? One zawsze łączą się z jakimś ryzykiem... W ogóle miłość jest wymagająca... Miłość i wzięcie odpowiedzialności za drugą osobę – jest wymagające... To jest jakieś ryzyko! Przecież nigdy nie wiemy, co będzie za rok, za dwa, za dziesięć czy dwadzieścia lat... Nikt nie wie. Dlatego miłość jest zawsze odważną decyzją. Jest zawsze też świadomością, że bierzemy na siebie także i możliwe cierpienie, które może się pojawić. Że to, co wybieramy to... choć może nam się tak nieraz wydaje... To nie zawsze tylko same szczęśliwe, piękne chwile i momenty. Ale to prawdziwe szczęście właśnie wykuwa się wtedy, kiedy umiemy razem dobrze pokonywać trudności i cierpienia. Że to na tym polega prawdziwa miłość... Że na tym polega prawdziwe szczęście...

Wzruszyłam się. Ale nie przez pryzmat miłości Grzeška i Anki, a swój własny, bo dotarło do mnie więcej niż powinno. Spojrzałam na Michaela, wiedząc, że to on właśnie jest moją odważną decyzją i cokolwiek robi za oceanem, to właśnie to coś będzie dla mnie nie tylko wyzwaniem, ale i nowym życiem. Odnajdę się w jego świecie i zrobię to dla niego.

– Dobrze mówi ten wasz pastor – wyszeptał do mnie Michael po chwili.

*Biedny Mike w aucie naprawdę tłumaczy mu wszystko.*

– To ksiądz, a nie pastor – poprawiłam Michaela.

– A to jest jakaś różnica? – zdziwiony podniósł brew, na co pokiwałam głową, uśmiechając się pod nosem.

Michael nie pasował do tego miejsca, prowadził nietuzinkowy tryb życia, był nieskromnie piękny, wyróżniał się i ściągał wzrok, a mimo wszystko byłam dumna z tego, że siedział obok mnie. Emanował spokojem jak moja leśna kapliczka. Teraz to on stał się moją oazą, a ja miałam zamiar czerpać z niej tyle uczucia, ile w sobie zdołam pomieścić.

Podnieśliśmy się w oczekiwaniu na kluczowe słowa ceremonii. Ksiądz stanął przed Anką i Grzegorzem, by dopełnić formalnych pytań.

– Czy chcecie dobrowolnie i bez żadnego przymusu zawrzeć związek małżeński? – rozpoczął ksiądz, zerkając na młodych.

– TAK. – Narzeczeni odpowiedzieli równo.

*Jestem na tak. Jak na castingu. Na to pytanie powinien odpowiedzieć ojciec, a nie oni.*

– Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia? – kontynuował duchowny.

– TAK.

*To akurat było bardziej niż pewne, góralska upartość miała swoje zalety.*

– Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym Bóg was obdarzy? – Ksiądz spojrzał na nich po raz ostatni.

– TAK – odpowiedzieli na finalne pytanie.

*Trzy razy tak. Przechodźcie do kolejnego etapu tragedii rodzinnej i nieszczęśliwego życia.* Rozkminiałam, jak można było sobie tak spieprzyć życie na własne życzenie. Anka z opłacalnego wyboru, natomiast Grzesiek w pierwszym etapie skłamał.

– Ja, Grzegoz, biore ciebie, Anno, za żonę i ślubuje ci: miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz ze cie nie opuszcze aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wsechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

*I to ja miałam miano Pinokia. Przynajmniej przed Bogiem nie będę strugała wariata.*

– Ja, Anna, biore ciebie, Grzegozu, za męża i ślubuje ci: miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz ze cie nie opuszcze aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wsechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

*Gratuluję, Aniu. Ciekawe, jak bardzo będzie cię kochał.*

– Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. Małżeństwo przez was zawarte ja powagą Kościoła katolickiego potwierdzam i błogosławię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – skończył kapłan, wykonując dłonią znak krzyża.

*Amen.* Jeszcze tylko obrączki i będziecie w domu. We własnym, wyreżyserowanym pustym życiu z pięknymi pensjonatami. Bez szczęścia. Bez wyboru. Bez miłości.

*Nie chcę takiego życia.* Ich widok mnie tylko w tym utwierdził. Tatuś był zadowolony do tego stopnia, że w pierwszej ławce łzę wzruszenia przecierał. W końcu to pierwszy matrymonialny sukces. Wzruszenie jak na rozdaniu Oscarów za najlepszy scenariusz w Hollywood. Tylko TO było niesamowicie przykre i tragiczne dla kolejnych pokoleń.

Uroczystość ślubna dobiegła końca. Za przewodnictwem skrzypiec ponownie rozbrzmiała wesoła gra orkiestry. Nie chciałam uczestniczyć w tym kłamstwie ani minuty dłużej. Zaczęliśmy tłumnie wychodzić z kościoła, by już pod nim patrzeć, jak ziarna ryżu i monety hojnie sypią się na parę młodą. Ryż ryżem, ale monety miały tu szczególniejsze znaczenie, niżeli by się komu mogło kojarzyć jedynie z symboliką dobrobytu. Przestałam się bać i rozpatrywać, co sobie o mnie pomyśli ojciec czy matka, gdy mnie wypatrzą w tłumie. W rzeczy samej od dawna mieli o mnie wyrobioną opinię. Lecz dojrzenie nas w tłumie musiało się wydarzyć. I się wydarzyło. Najpierw wypadło na Szczepana, którego opadnięta szczęka, zamiast na oczekującą poklasku parę młodą, zwróciła oczy wszystkich tych, których wzroku nie chciałam doznać.

*Ja pierdolę...* Poszło jak fala na trybunach, tylko zamiast podnoszenia rąk, kierowali spojrzenia w naszą stronę, a ich uśmiechy z twarzy lawinowo znikwały jak... Iskierka? Jeden za drugim. Gdyby nie przygrywająca wesoła muzyka, zrobiłoby się bardzo, ale to bardzo ponuro. Pośmiałyby się tylko ktoś, kto by to wszystko neutralnie obserwował z boku. Anka klasycznie mocno poczerwieniała. Kiedy Szczepan nadal nie panował nad opadniętą szczęką, Grzesiek wytrzeszczył oczy. Kaśka mrugała dorobionymi rzęsami, wachlując wyteżone źrenice. Matka pobladła, a ojciec... Surowa postura starego górala nawet mu nie pozwoliła na chwiejny gest słabości. Przetarł jedynie oczy, jakby chciał się upewnić, czy to, co widzi, nie jest omamem.

*Tak, tato. To ja. W czarnej sukni Chanel z facetem poznanym miesiąc temu. Gangster z zajebistym tatuażem. Mam zamiar stracić z nim dziewictwo i nie jest to Marek. Nie góral. Nawet nie Polak.* Przesadziłabym, gdybym te myśli wykrzyczała, i bez tego wszyscy z orszaku skupili się na nas. Czyli cała góralska rodzina moja i Anki.

– Jak się czujesz? – zadałam Michaelowi pytanie kontrolne, zerkając na jego irytująco spokojną twarz.

*Głupie pytanie.* Zbeształam się za to w myślach.

– Mam się uśmiechnąć czy pomachać? – Próbował mnie rozweselić w takim momencie.

*Mój dowcipny partner.* Ale udało mu się to wybitnie.

– Oni mają ochotę nas zabić – uświadomiłam Michaela. Uśmiechnęłam się subtelnie, widząc ich wściekłe twarze.

– Ważne decyzje... One zawsze łączą się z jakimś ryzykiem... – przypomniał, cytując słowa kazania.

*Masz rację.* Zaskoczył mnie nie tylko pamięcią do słów, ale i znaczeniem, jakie z nich wypłynęło.

Dołożyłam swoją drugą dłoń na pierwszej przełożonej już przez rękę Michaela, dając znać, że podjęłam ryzyko. Wyprostowałam się dumnie i wtedy podeszła moja mama. Nie była wściekła czy zła. Ona była przerażona.

– Na litość boską... – zachrypięła ściszym tonem. – Myślałam, żeś jest bardziej rozumna... – Patrzyła na mój blady uśmiech i zmierzyła mój ubiór karcącym wzrokiem. – Co to za kiecka? Co to za człowiek? Ty kces na siebie dziecko niescynście sprowadzić?! – Była cała roztrzęsiona i drżały jej ręce. Doskonale wiedziałam, że chodziło jej o ojca. Czułam, że przesadziłam i zdawałam sobie sprawę z tego, że ona sama nie mogła mi już pomóc.

– Mamo... Uspokój się. Ojciec już się mnie wyparł... Nie zaciągnie mnie pod ołtarz na siłę jak Grzeška. Już podjęłam decyzję. Jestem tu z człowiekiem, u boku którego chcę być.

– Co ty, dziewczyno, godos?! – powiedziała uniesiona ze łzami w oczach.

– O tym, że babcia Jagoda... kochała kogoś innego. I nie był to... mój dziadek, za którego wyszła. Nie z pensjonatu... Z mojego wyboru byłaby teraz dumna... Tego chciała dla mnie – powiedziałam, raniąc matkę, a łzy wypływały z jej błękitnych oczu. Żal mi było patrzeć na nią w tym stanie. Prawo do jej własnego słowa odebrano jej dwadzieścia siedem lat temu.

– Lepiej, żebyście tera odesli – oznajmiła z bólem, z jakim na zawsze żegna się matka z córką.

– Tak zrobimy, mamo – potwierdziłam, pozwalając jej odwrócić się do nas plecami.

Nie staliśmy dłużej jak pełnowymiarowe manekiny na wystawie. Wracaliśmy w stronę czekających mercedesów i oboje poczuliśmy wyraźną ulgę wyproszenia z uroczystości.

– To mój pierwszy raz... Takie krótkie wesele – oświadczyłam Michaelowi i roześmialiśmy się obydwój na te słowa.

– Majka! Majka! – dobiegający głos Maćka przerwał wesołe śmiechy na parkingu za kościołem.

Szli w naszą stronę ze wściekłym ojcem na czele – on, Maciek, Szczepan i Marek. Jeden kogut i trzy piórka. Panu młodemu przecież nie wypadało. Stałam jak na rozstrzelanie oko w oko z człowiekiem, który miał mi coś jeszcze do powiedzenia. Bo ojciec może i był po sześćdziesiątce, ale nadal potrafił wzbudzić strach swoim surowym wyglądem i bojową postawą. Przynajmniej we mnie. Michael ustawił się u mojego boku, opierając się spokojnie o drzwi samochodu. Założył jedną rękę na piersi, a drugą podparł brodę. Jak to on, spokojnie sobie czekał na ostatni pokaz cyrkowy tego dnia. Pełen relaks i harmonia wewnętrzna. Nieodpowiedni moment na myślenie, ale sprawdziliby się nie tylko jako scenarzysta, ale i trener jogi.

Mniejsza ze wściekłym i złamanym sercem Marka. Nie przejmowałam się obecnością tego pawiana. Nigdy nie dałam mu powodu do jakiegokolwiek nadziei, uroił ją sobie. Podobnie jak Szczepan i Maciek, których rola polegała na wsparciu ojca i to bardziej fizycznym niż duchowym. Co mi mogli zrobić? Tyle co ojciec. Zabierze mi wszystko i wyrzuci mnie z rodzinnego życia. Lada moment swoje własne myśli usłyszę z jego ust. Widziałam napływającą falę nienawiści, jakiej nigdy nie widziałam w jego oczach. Zakopiańskie tsunami nadciągało, aż wąsy drżały mu z wściekłości. Co dalej? Znów obrazi? Obrzuci wyzwiskami? Postraszy? Zbije jak za dawnych lat pasem? Nie bałam się. Już nie...

– Ostatnio sanse ci daje. Abo idzies z nami na wesele bez tego frjyra<sup>148</sup> – przerwał, chyba po to, żebym przetrawiła słowa. Spojrzał dobrze znanym mi pogardliwym wzrokiem na Michaela.

*Albo, kurwa, co. Pomyślałam.*

– Abo ni mom dziywki. Zniknies i byle najdali, zebym nie musioł sie hańbić<sup>149</sup> – powiedział stanowczym i wrogim tonem. – Idzies abo zostajes! – ryknął wprost w moją twarz, rozbryzgując ślinę.

*Czy kiedykolwiek miał córkę?* Zadałam sama sobie pytanie w myślach. Czułam, że Michael już znał na bieżąco tłumaczone słowa ojca. Mimo to stał nadal spokojnie. Namacalnie doznawałam wściekłości rodziciela wlewającej się w moje źrenice. Jego twarz była zroszona gorąco krwistym potem, a powieki nerwowo drgały w cieniu filcowego kapelusza.

– Zostaję. Nie jestem ani twoją, ani niczyją własnością – powiedziałam, wskazując palcem na Marka z nieznaną sobie odwagą i pogardą do jego postawy.

Nigdy w ten sposób nie odezwałam się do ojca. Nigdy. A on nigdy nie patrzył na mnie tak jak teraz – jak na coś, czego się całkowicie brzydził i czym całkowicie gardził.

Zamachnął się, by ostatni raz poczuć satysfakcję z mojego upokorzenia. Wtedy jego ręka uniosła się i zawisła kilka centymetrów od mojego policzka. Dotąd biernie przyglądający się Michael uchwycił nadgarstek mojego ojca. Odrzucił jego dłoń, dając wszystkim do zrozumienia, że nie pozwolił mi skrzywdzić. Szczepan, Maciek i Marek zwarli się przy ojcu gotowi na przedweselną bójkę. W jednej sekundzie również u naszych boków pojawiła się śmiertelnie poważna ochrona studząca bojowy zapach ludzi Podhala.

– Carownica Jagoda cie pobabrała<sup>150</sup> – Ojciec wygiął usta z odrazą. – Dla nos jezdeś umarta! – wrzasnął, spluwając w pogardzie pod nogi. Odwrócił się i nerwowo odszedł.

Teraz już mógł świętować. Za ojcem poszli Szczepan i Maciek, a Marek nadal stał i patrzył na mnie z niesmakiem nadziei.

– Co się tak gapisz?! – zapytałam. – Idź! Baw się dobrze – warknęłam.

– Cym wyzjy furgies<sup>151</sup>, tym nizyj spadnies... – wypłynęła kolejna złota myśl Mareczka. *Filozof zasrany, ja już mu powiem złotą myśl...*

– Choćby jakie były chyńci, bica<sup>152</sup> z gówna nie ukrynci – odpowiedziałam pierwszy i ostatni raz temu tępakowi gwarą i raczej zrozumiał, bo oczy poczerwieniały mu bez zachwyty. – Marek... mało ci? – Zmrużyłam oczy, widząc, że jednak mu mało. – To mój sucny<sup>153</sup> chłop. – Mówiąc to, rzuciłam się w objęcia Michaela, całując go z uczuciem, na jakie Marek mógł tylko popatrzeć w tym momencie.

Chwilę to trwało, bo gdy przestaliśmy jego już nie było.

– Dziękuję – powiedziałam, wtulając głowę w jego szyję.

– To ja dziękuję – odparł, całując czubek mojej głowy. – Powiesz mi teraz, jaka jest różnica między księdzem a pastorem? – wypalił, jakby to była jego jedyna zgryzota.

– Ten, który żyje w celibacie, to ksiądz... – odpowiedziałam rozbawiona jego zainteresowaniem i całkowitym spokojem.

– To ja wolałbym być pastorem... – Ten człowiek właśnie tak na mnie działał. Wywoływał mój uśmiech na zawołanie.

– Dobrze. Rick... Teraz ja prowadzę. – Uśmiechnęłam się tajemniczo, na co tylko przytaknął i zajął miejsce pasażera.

\*\*\*

Skoro już wyglądaliśmy całkiem przyzwoicie, to zorganizowałam pamiętny spacer. Na pewno niezapomniany dla moich stóp. Czerwone szpilki nie były najodpowiedniejszym obuwiem na przechadzkę brukowaną drogą Krupówek. Wzięłam Michaela pod rękę, ochronił mnie przed ręką ojca, to i ochroni przed niekontrolowanym upadkiem. Wyglądaliśmy nie jak wyrzuceni z wesela, a jak wyjęci z bajki. Postawny i przystojny czarny ksiądz w eleganckim garniturze i kopciuszek w sukni Chanel. Za nami łysi rycerze w garniturach i przeciwsłonecznych okularach zaczepiający kobiety spacerujące uliczką. Chwilami miałam wrażenie, że robimy większą furorę niż samo to miejsce. Ludzie oglądali się za nami, szepcząc między sobą. Moja czarna kreacja mieniła się, przyciągając wzrok niemal każdego turysty. Widziałam również, że Michael

zawładnął żeńską częścią spacerowniczek, bo nie wszystkie były skromne w okazywaniu podziwu dla jego osoby. Nawet miś-przebieraniec wyglądał tak, jakby to on chciał sobie zrobić zdjęcie z nami. I zrobił w ramach handlu wymiennego. W przeciwieństwie do przechodniów nie zauważyłam specjalnego entuzjazmu mojego partnera ani naszych kompanów. Dla nich była to zwykła przechadzka zwykłą zatłoczoną ulicą. Nie dziwiłam się, bo oni kompletnie nie czuli naszego klimatu.

– Podoba ci się tu? – zapytałam, znając odpowiedź. Skupiałam się na każdym stawianym przez siebie kroku.

– W tym momencie tak – odpowiedział, obdarzając mnie uśmiechem. – Ale nie powiem, żebym nie wolał zwykłego lasu tylko w twojej obecności – określił się.

Skoro już tak wyglądałam, to miałam ochotę przynajmniej zjeść w porządnej restauracji przy lampce wina. Lecz gdy to powiedział, zrozumiałam, że męczy go to miejsce, ci ludzie i szedł tylko ze względu na mnie. Po pierwsze, nie uszczęśliwiaj nikogo na siłę. Zmieniałam plany. Droga pod rękę i z górki, to była pestka. Poczułam już płomień, który ogarnął podeszwy moich stóp. Powrót nierówną kilometrową trasą pod górkę zdawał mi się nie do przeskoczenia. Postanowiłam zorganizować dla niego własny orszak. Skręciliśmy w stronę postoju dorożkarzy, którzy jak sępy wrywali sztukę kalorycznego turystycznego mięska.

– Co ty na to? – Wskazałam na wolną dorożkę i uśmiechniętego powożącego nią górala. Nie trzeba było go namawiać. Chętnie uchwycił moją dłoń, pomagając mi zająć miejsce, po czym sam dołączył. Odesłał chłopaków do aut, informując, że zobaczymy się w Jagodzie. Poczułam swobodę. Po pierwsze bez chłopaków, których szczerze polubiłam. Po drugie dorożkarz słysząc naszą obcojęzyczną wymianę zdań, nie wysiłał się nawet na tatrzańskie opowieści, jakimi raczył turystów. Ograniczyłam się więc do przekazania mu wizytówki z adresem.

– Dzięki. Bałam się, że zechcesz tu iść na jakąś imprezę – przyznał się do niechęci, jaką wyzwalają w nim takie miejsca.

– Bo chciałam, wynagrodzić ci... Hmmm kłapa, co? – Rozpogodziłam się, poprawiając wyswobodzone przez wiatr pasemka włosów.

– Żałujesz? – Jego zagadkowy wzrok rozwinął całe niedopowiedziane zdanie.

– A wyglądam, jakbym żałowała? – zapytałam, mając nadzieję, że nie, bo radość z uwolnienia się rozpięła mnie od środka. – Michael... – zwróciłam się do niego całkiem poważnie. – Ten dzień jest nie tylko pierwszym dniem nowego życia dla mojego brata. W przeciwieństwie do niego... ten dzień dał mi możliwość wyboru... i wolność. – Na podparcie wypowiedzianych słów wyswobodziłam włosy z koka, pozwalając im swobodnie fruwać na wietrze, i zdjęłam te cholerne szpilki.

– Nie jestem przekonany co do twojej całkowitej wolności w tym momencie... – Pocałował mnie czule, nie zważając na nic dookoła.

Czułam się, jakbym znała go dłużej niż w rzeczywistości, a czas i otoczenie przestały mieć znaczenie. Całą drogę smakowaliśmy swoich ust, nie zważając na nikogo i na nic. Dopiero chrząknięcie dorożkarza wytrąciło nas z pocałunkowego transu. Nawet nie zwróciliśmy uwagi na to, jak długo siedzimy już na podjeździe pensjonatu. Jak na gości wracających z wesela, wróciliśmy za wcześnie. Było po siedemnastej. Karoca kopciuszka za szybko przemieniła się w dynię, a dorożkarz w szczura, upominając się o zapłatę wyciągnięciem ręki. Bezdyskusyjnie to było najlepsze wesele w moim życiu.

– Zamiana stroju na sportowy? – zapytałam już na schodach wejściowych, trzymając swoje buty w dłoni.

– Ogranicz się do butów... Pewne zwyczaje są wszędzie... – Mówiąc to, podniósł mnie i przewiesił przez swoje ręce.

Śmiałam się jak upojona, przerzucając rękę ze szpilkami przez jego szyję. Przeniósł mnie przez próg i zaniósł po schodach na samą górę. Jedyne, na co zdążyłam zwrócić uwagę, to brak obecności Renaty i zamknięta recepcja. Wniósł mnie do salonu i kierował się do swojej sypialni. Nie musiałam rozważać pierwszej intencjonalnej myśli. Gdyby rzucił mnie na łóżko od razu byłam pewna, że nie będę walczyć ze sobą. Jednak nie rzucił mną, a nadal trzymał.

Zasłonięte masywne zasłony nie wpuszczały ani odrobiny dziennego światła, natomiast falowały delikatnie na wietrze wpadającym przez otwarte okno. Nakryty stolik na dwa miejsca, wszechobecne tańczące płomienie świec i czekająca kolacja lub późny obiad. Ustawione stereo na komodzie i klimatyczna muzyka jazzowa dopeściły romantyczny klimat. Szczeka mi opadła na ten widok. Postawił mnie na nogach i czekając na moją reakcję, spoglądał na mnie. Rozejrzałam się po półmrocznych ścianach przestronnego pomieszczenia. Inny płomienny wymiar, który idealnie współgrał z jego mrocznym kolorem oczu.

– Wiedziałaś, że tak będzie... Prawda? Zaplanowane wszystko w każdym detalu... – dukałam zdumiona. Otworzyłam usta w zachwycie, a jednakowo byłam niezaskoczona jego wyprzedzającym mnie krokiem. Nie musiał nic mówić. Wystarczył subtelny uśmiech i zadowolenie moją reakcją. – A ja ci chciałam wynagrodzić zabawę weselną... Krupówkami. – Pokręciłam głową i parsknęłam śmiechem z własnego pomysłu.

– Ktoś mi kiedyś powiedział... że z dołu bywają lepsze widoki. I miał całkowitą rację. Wynagrodziłaś mi wszystko sobą. Niezwykła kobieta w tym zwyczajnym miejscu... – Jego słowa i to, jak na mnie patrzył w tym momencie, rozbudzało moje zmysły. – Ale nie zaplanowałam wszystkiego w każdym calu, bo nasza uczta odrobinę wystygła... – stwierdził z zawodem i odsunął mi krzesło, zapraszając do stołu.

– Jesteś niemożliwy... – Usiadłam, czując się tak naprawdę niegłodna. Prawie jak w wykwintnej restauracji. Prawie, bo pomijając wymownie stojące kilka metrów dalej łóżko i zimną pieczoną gęś, chyba na winie...

– To twoja wina... – Uśmiechnął się, walcząc z zimnym daniem. – Już wiem, skąd się wzięło twoje zaciekawienie ciemną stroną świata, w którym żyję – powiedział, a ja czekałam na rozwinięcie tej myśli, mrużąc oczy. – W twoim życiu wcale nie było piękniej niż w moim. Znalazłaś wspólny mianownik dla naszych światów... I w moim, i w twoim są ważni i ważniejsi... Pamiętasz historię ze starym Tifficante?

– A powiedzieć ci o etapach produkcji kokainy? – zapytałam przemądrzale, dając mu do zrozumienia, że pamiętałam każde jego słowo...

– Pilna dziewczynka... – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Twój ojciec mocno mi się z nim kojarzy. A twoi bracia z jego synami. W ogóle taka... swoista, regionalna mafijna klita. Sposób postępowania, traktowania... Masz doświadczenie, dziewczyno. Trzeba mieć w sobie trochę siły, by w pojedynkę dawać radę... tyle lat – skomentował dzisiejszy dzień, patrząc mi w oczy. Wsparł łokcie o stół, wpatrując się we mnie w zamyśleniu.

– Miałam czas, by przywyknąć. – Uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Nie skończyłam swojego posiłku. Ściśnięty żołądek nie chciał niczego prócz czerwonego wina.

– To dobrze... Bo i dla mnie odnalazłaś coś, co jakiś czas temu straciłem. – Jego spojrzenie na ułamek sekundy posmutniało. – Wesele bez tańca? – Wstał, wieszając marynarkę na krześle i włączył wolny kawałek. – Mogę? – Stając nade mną, wyciągnął rękę, by zaprosić do tańca.

Myślałam, że już miałam z głowy tę przypadłość, ale moje policzki na powrót załały się rumieńcem. Chciałam wierzyć, że w świetle świec nie rzucało się to w oczy.

Przyciągnął mnie pewnie do siebie, wywołując rozbiegane ciarki. To on grał pierwsze skrzypce w tym tańcu, ja tylko chłonełam każdy ruch, dając się prowadzić. Przyłgnęłam ulegle

do jego ciała, wdychając jego wabiący agarowy zapach wymieszany z nutą leśnej rzeźkości wdzierającej się przez okno. Unikalne połączenie dwóch zmysłowych zapachów, które mnie skutecznie odurzało. Policzek do policzka, kołysząc się w rytm muzyki, czułam go tak wyraźnie, że najdrobniejszy ruch jego dłoni na plecach był chcianym doznaniem. To był moment, w którym byłabym nawet w stanie uwierzyć w przypadki samospalenia.

Nie liczyłam, ile piosenek zostawiliśmy za sobą, bo rzeczywistość przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wiedziałam jedno – mogłam tak trwać wiecznie. Z nim, bez słów i na bosy...

– Łamiesz obietnice – wyszeptalam, mimowolnie muskając jego ucho swoimi ustami. Popatrzył na mnie i zdałam sobie sprawę, że gdyby oczy mogły płonąć, to jego zajęłyby się żywym ogniem. – Mielisz rozmawiać szczerze... A ty byłeś pewien, że nie potrafisz tańczyć... Michael? Co odnalazłeś dzięki mnie? – dodałam, a wyraz jego twarzy niebywale złagodniał, gdy przeniósł wzrok z moich ust na oczy.

Nie był wylewny. Nie mówił tego, co czuł do mnie, a ja idąc w ślad za nim, robiłam to samo. Nie utwierdzaliśmy się nawzajem nieustannymi słowami jak bardzo się sobie podobamy. Nasze oczy i rodzaj spojrzenia robiły to za nas. Mogłaby z tego powstać obszerna encyklopedia znaczenia niewerbalnych rodzajów spojrzeń.

– Uczucia wróciły z potworną siłą od pierwszego dnia, kiedy stanęłaś na mojej drodze... Zatraciłem się w tym i sam nie wiem, jak się to stało, bo... Cię kocham – powiedział bez wahania, patrząc mi wprost w oczy.

Zapatrzona na usta, które niemal przypalały, wypowiadając te dwa przełomowe słowa, uświadomiłam sobie, że to był klucz do zdjęcia mojej wewnętrznej blokady.

Chciałam odpowiedzieć od razu, ale nie byłam w stanie, bo obdarzył mnie tak emocjonalnie wiążącym pocałunkiem. Nastąpił w końcu ten moment, w którym chciałam być gorsza od pstrąga i płynąć z prądem. Już bez walki, wątpliwości i myślenia.

– Bądź pewien, że... – oderwałam od siebie nasze usta – ...czuję to samo. Kocham cię, Michael... Jak nigdy nikogo przed tobą. – Po raz pierwszy w życiu powiedziałam mężczyźnie te słowa, czując ich znaczenie całą sobą. Duszą i ciałem należałam już do niego.

– Nie wyobrażam sobie już życia bez ciebie... Wróc ze mną na Florydę... Proszę... – Jego oczy były pełne miłości, nadziei i blasku. A na moich pojawiła się tafla wzruszenia...

– Ja nie w... – Przerwał mi, przykładając palec do moich ust.

– Nie rób tego znowu. Wiedz tylko, że jeśli się nie zgodzisz, to cię uprowadzę i zamknę w złotej klatce... Jak na złego człowieka przystało... – Patrzył na mnie przez chwilę, a w jego oczach tliła się przejmująca i zachłanna iskra.

Przycisnął mnie do siebie w gorącym pocałunku i z iskry pojawił się ogień rozpalający każdą żywą tkankę w moim ciele. Teraz namacalnie poczułam, że tak właśnie smakuje prawdziwe pożądanie, któremu nie byłam w stanie dłużej się opierać.

– A co jeśli... chciałabym być uprowadzona... Mój gangsterze? – Przygryzając dolną wargę, wymownie odpięłam pierwszy guzik jego koszuli.

– Jest zdecydowanie przyjemniej, gdy porwany jednak nie stawia oporu... – Jego oczy jak palnik dodatkowo przypalały moją rozpaloną skórę.

Nie wiedziałam, co we mnie wstąpiło i skąd się to wzięło, ale to coś przejęło całkowitą władzę nad moją duszą i ciałem. Pragnienie jego bliskości i dotyku było silniejsze niż cokolwiek, czego w życiu doświadczyłam. Już nie tylko mnie przytulał, ale i całował moją szyję, doprowadzając mnie tym do obłędu. Cichy jęk rozkoszy mimowolnie wydobył się z moich ust. Rozpalona do granic wytrzymałości złapałam za jego koszulę i szaleńczo wyciągnęłam ją ze spodni. Chciałam natychmiast dotknąć nagiej rozpalonej skóry i poczuć pod palcami jego twarde



ciało. Najwidoczniej potrzebowałam tego równie mocno jak on, bo jego spragnione ręce błędziły po nagich plecach, jakie odsłaniała sukienka. Zwyczajne pocałunki i fantazje już mi nie wystarczały.

Ogarnęło mnie obezwładniające pragnienie, by poczuć go w sobie i stać się jego częścią. Chłonał mnie tak zachłannie, jak ja chłonełam jego. Nie odrywając swoich ust od moich, zerwał pozostałe guziki, zrzucając jednym ruchem koszulę na podłogę. Nasze serca biły w równie szaleńczym tempie. Zatopił swoje palce w moich długich włosach i niespiesznie sunął nimi w dół w kierunku suwaka sukienki. Jeden drobny gest i zsunęła się jak jedwab po gładkiej poręczy, drażniąc dodatkowo każdy milimetr mojego ciała. Mój puls dudnił w wariackim rytmie, napędzając startujący samolot linii VirginFly. Rozkoszowałam się tą chwilą nie tylko podziwiając, ale i zmysłowo dotykając wytatuowanej skóry jego piersi, która również zareagowała gęsią skórką. Sunęłam dłońmi po rozpalonej i wilgotnej skórze brzucha w stronę skórzanego paska spodni. Byłam tak pewna tego, co robiłam, że wydawało mi się, jakbym rozpięła go jednym precyzyjnym ruchem dłoni.

Nie zatrzymując szaleńczego pocałunku, powędrował dłońmi na moje pośladki, zaciskając się na nich w rozkosznym objęciu. Moje nogi zaplotły się na nim, zaciskając się jak wąż boa na apetycznej zdobyczy. Podniósł mnie, sadzając na swoich biodrach i docisnął do najbliższej ściany ozdobionej deskami. Wydał z siebie niski, pożądliwy jęk, przywierając mocniej do mnie zaciśniętej na sobie. Wszystko było nagłe i chaotyczne, a reakcja chemiczna stała się przyjemnie gwałtowna. Zaczął się o mnie zachłannie ocierać, przygotowując na to, co się zaraz wydarzy. Zawieszona między nim a ścianą, z zaplecionymi na nim nogami czułam, jak rozpalał moje zmysły.

Przeniósł usta i zaczął całować mnie po szyi, coraz niżej aż dał mi poczuć dotyk jego cudownie palących warg na piersiach. Nie byłam świadoma, czy wydobywający się odgłos z moich ust był jeszcze ciężkim oddechem, czy już przeciągłym jękiem, bo wszędzie tam, gdzie mnie dotykał, rozkwitała rozkosz, która pozbawiała mnie tchu.

Małymi kroczkami kierował nas na łóżko, delikatnie opadając na nie i na mnie swoim ciałem. Już nie chciałam odwrotu. Nie mogłam dłużej czekać i walczyć z pragnieniem, by poczuć, że należę do niego, a on do mnie. Wszystko, co obiecywałam sobie przed jego poznaniami i tuż po, rozbiło się jak tłusty ptak o skałę.

– Jesteś pewna? – wyszeptał, dysząc i z trudem panując nad tym, co mówił. Chciał jednak ostatecznego potwierdzenia, jak Hubert w pytaniu za milion.

– Kocham cię i tylko tego teraz jestem pewna... – potwierdziłam, łapczywie chwytając powietrze.

Obydwoje straciliśmy panowanie nad sytuacją. Chaotycznie pozbył się spodni, a mnie ostatniego kawałka koronkowej bielizny. Opadł na mnie ponownie, wspierając się na napiętym ramieniu. Był taki piękny. Idealny i tylko do mojej dyspozycji. Oplotłam go ponownie nogami, a on przeniósł moje ręce nad głowę, utrzymując nadgarstki w uścisku swojej dłoni. Palcami drugiej dłoni sunął od ud przez talię po piersi i z powrotem, kołysząc moimi zmysłami do granic wytrzymałości. Wyraźnie czułam ucisk wzrodu na skórze, gdy miarowo falował biodrami. Zachłannie wczepiam się w niego, dryfując na fali nieznannej rozkoszy...

– Jesteś piękna. – Oddychał ciężko, najpierw wnikając we mnie głębią swoich czarnych oczu, by następnie zatracić się w kolejnym zmysłowym pocałunku, zalewając wrzątkiem moje usta.

Odchyliłam głowę, a gdy on jak drapieźnik przeniósł się na szyję, mimowolnie wypięłam pierś w delikatny łuk. Sekundy wydawały mi się ciągnąć w nieskończoność. Gdy wyswobodził moje dłonie – swoją pierwszą położył na moim rozpalonym policzku, a drugą sunął w dół

brzucha i niżej, między nogi.

*O jeeej!* Pieścił moją niezdobytą twierdzę, przyspieszając wzbierające spełnienie, które jednak nadeszło zbyt szybko, rozchodząc się rozkoszną falą po ciele i wydobywając melodyjny dźwięk ekstazy osiągniętego szczytu.

– Ufasz mi? – mruknął, gładząc mój policzek i zapowiadając nadchodzącą i długo wyczekiwaną chwilę w moim życiu.

Odpowiedziałam tylko gestem, przyciskając usta do jego ust w pożądliwym pocałunku.

*Ufam, tylko sama nie wiem, w jakim stopniu...* pojawił się przeblysłk myśli, ale jego dotyk sprawił, że pragnęłam mu zaufać jeszcze bardziej. Bałam się tej chwili całe życie.

Jeszcze mocniej poczułam szaleńcze bicie naszych serc, gdy ponownie wsunął dłoń między nasze złączone uda. Był subtelny i zdecydowany, utrzymując mnie na kolejnej granicy spełnienia. Poczułam paraliżujący przypływ zdenerwowania wymieszany z niepohamowanym pożądaniem.

– Mała, to może zabołec – ostrzegł.

*Ktoś tu się właśnie pochwalił swoim doświadczeniem*, pomyślałam.

– Może ciebie nie zaboli... Zrób to... kompetentnie, szefie – odparłam i zarzuciłam mu ręce na szyję, przyciągając do siebie.

Całował mnie głęboko, odwracając moją uwagę od realnie prawdopodobnej i nadciągającej niedogodności. Zaczął wsuwać nieskromnego rozmiaru członka w moje ciało do momentu, gdy napotkał barierę, a ja poczułam nieprzyjemny nacisk. Nagle zaczął całować mnie z identycznym żarem, jaki naraz poczułam w sobie, gdy jednym, mocnym i zdecydowanym pchnięciem bioder zadał mi ostry ból.

Z moich ust wydobył się stłumiony jęk. Michael zawahał się przez moment, jednak dałam mu znak, by nie przestawał.

– Kochaj się ze mną – wyszeptałam mu do ust.

Zachęcony zaczął się we mnie poruszać coraz pewniej, a ja coraz intensywniej czułam go w sobie. Wszystkie emocje i nowe doznania tłumili cielesny brak komfortu. W moich żyłach płynęła góralska krew, odporna na taki ból.

Poruszając się lekko i płynnie, nagle ustał w pocałunku i spojrzał mi wprost w oczy. Znieruchomiał, a mięśnie zadrżały mu w napięciu. Z jego ust wydobył się melodyjny męski pomruk, zalewając od środka rozkosznie ciepłą lawą wszystkie zmysły. To doznanie przebiło moje najśmielsze oczekiwania. Nie sądziłam, że widok szczytującego mężczyzny może być na równi przyjemny z własnymi doznaniem cielesnymi. Dotarło do mnie jedno. Moje fantazje o tej chwili były bardzo, ale to bardzo ubogie. Stało się. Opadł spoconym ciałem, wtulając się w moją wilgotną szyję. Napawaliśmy się sobą, trwając w objęciu naszych splecionych ciał.

Jak on to, do cholery, robił? Potrafił być czułym kochankiem i nieczułym gangsterem. Po raz kolejny całkowicie zatraciliśmy się w czasie i rzeczywistości...

## Rozdział 29

Nędzówka

Majka

Niczym jak za naciśnięciem magicznego przycisku uniosłam powieki, walcząc z porannym światłem nowego dnia. Niby nadal ta sama, ale już zupełnie inna. Starsza. Poważniejsza. Już nie dzikie dziewczę, a kobieta. Kochająca i kochana. Odmieniona przez człowieka, któremu irracjonalnie szybko zaufałam. Którego niemalże od pierwszego wejrzenia podświadomie pokochałam. Popatrzyłam na białe prześcieradło narzucone na moje nagie ciało, a następnie w jego wnikliwe czarne oczy na obnażonej miłością twarzy.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się i czule pocałował w usta. – Jak się czujemy? – zapytał z troską.

Zamknęłam oczy, uśmiechając się na to pytanie.

*Co mam ci, skarbie, powiedzieć? Jestem szczęśliwa, spełniona, odrobinę zaspokojona, przerażona, obolała, zakochana i miło zaskoczona?* Grzebałam w głowie, myśląc nad odpowiedzią. Uniosłam głowę, zbliżając nasze usta do siebie.

– Lepiej nie mogłam sobie tego wyobrazić... Warto było czekać – wyszeptalam jedynie. *Maju, geniuszu ty.* Pochwaliłam się w myślach za odpowiedź.

– Nie żałujesz? – zapytał kontrolnie, szukając jednocześnie poparcia dla czegoś więcej.

– Jak na kogoś, kto całe życie czekał na tego jedynego... By po miesiącu znajomości skończyć w jego ramionach. To nie. Nie żałuję. A pan Adams nie żałuje?

– Jak na kogoś... Dla kogo kobiety mogły nie istnieć przez ostatnie trzy lata... By po miesiącu znajomości spędzić noc z dziewicą. To nie. Nie żałuję. Przewróciłaś moje życie do góry nogami i oddałaś mi tę spokojniejszą jego część. Nie mogę cię teraz wypuścić.

– Nie, kochany. To ja ciebie nie wypuszczę... Masz ochotę zobaczyć kilka aniołów? – zapytałam, mając zamiar podzielić się z nim swoją leśną oazą.

– Jeden mi wystarczy... – Założył mi pasmo włosów za ucho, jednocześnie kciukiem muskając mój policzek. – Jedno pytanie chodzi mi po głowie... – Popatrzył na mnie z powagą.

– Pytaj śmiało...

– Czy moja blizna, hmmm... Nadal wygląda apetycznie?

Roześmiałam się na wspomnienie, kiedy to wysypałam się ze swoimi wewnętrznymi spostrzeżeniami.

– Hmmm... Nie. – Spoważniałam na chwilę. – Nie tylko wygląda... ale również tak smakuje. – Oblizałam prowokacyjnie usta.

– Hmmm... A wiesz, że nasz nocny bieg był wyjątkowo nierówny? – Uniósł tę swoją apetyczną bliznę w geście zamyślenia.

– Hmmm... Bo pierwsza dobiegłam do mety?

– Yhy... – potwierdził mój tok myślenia, przenosząc kciuk z policzka na moje usta.

– Chciałeś dotrzeć do niej pierwszy? – Zapatrzona w niego chciałam usłyszeć intencję myślową.

Przywarł do mnie, zawieszając swoje ponętne usta tuż nad moją twarzą, a dzikie mroczyki rozbiegły się dreszczem w dole brzucha.

– Nie, kotku... – przerwał, by wtargnąć językiem w moje usta. Byłabym w stanie

zamienić moją poranną, gorącą czarną kawę na jego usta. – Największą satysfakcją jest... – znów przerwał wypowiedź, pieszcząc językiem moją szyję – ...dobiec... – sunął językiem w stronę piersi, a rozkoszna poranna tortura ponownie rozpałała wszystkie moje zmysły – ...tam wspólnie... – Uśmiechnął się wyzywająco, widząc mnie w stanie widocznego podniecenia.

– Chętnie wezmę w nim udział... – powiedziałam, chcąc w tym momencie powtórki wczorajszej nocy.

– Niegrzeczny anioł... – dodał pożądliwie, patrząc na mnie. – Cierpliwie zaczekam, żebyś w odpowiednim momencie poczuła tylko to, co najlepsze...

*Znowu punkt dla ciebie za kolejne wiadro zimnej wody. Żądza – żądza, ale moje ciało, naprawdę było obolałe i to w miejscach, o których istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia.*

\*\*\*

Szybki prysznic u siebie, zmiana Chanel na jeansy i białą bluzeczkę zrobiła mi dobrze. A nawet lepiej, bo miałam wrażenie, że tryskałam nadprzyrodzoną energią. Zeszliśmy wspólnie na bardzo późne śniadanie, trzymając się za ręce. Żartowaliśmy i śmialiśmy się z Michaeliem dosłownie z niczego, wymieniając się wymownymi spojrzeniami. Nie mogłam się na niego napatrzeć i nie opuszczało mnie wrażenie, że on również nie spuszczał mnie z oka. Jakby chciał mieć pewność, że jestem prawdziwa i nie zniknę ot tak sobie.

Ja nie wiem, czy miałam wypisane na twarzy, że minionej nocy straciłam dziewictwo, ale nie opuszczało mnie wrażenie, że chłopaki, a w szczególności Rick, Bob, a nawet Americo, przyglądają mi się jakoś... Inaczej.

Czy człowiekowi zmienia się wygląd? Postarzałam się? I gdzie jest Renia?

– Americo, widziałeś dziś Renię? – zapytałam z nadzieją, że była na śniadaniu.

– Skowroneczku mój drogi... Jest prawie południe... – odpowiedział z uśmiechem. – Była koło dziewiątej, mówiła, że musi coś załatwić i zobaczycie się, jak przyjedzie. A powiedz mi no... Gęś smakowała? Wydaje mi się, że ją nieco przetrzymałam w piekarniku... Nie była przepieczona, sucha lub twarda? Tylko szczerze, a nie tak jak z krewetkami! – wypomniał mi moje niewinne kłamstewko i mimowolnie parsknęłam śmiechem, a za mną Michael. Americo zmarszczył brwi. – Za sucha?! Tak?

*Rozjebałeś mnie, amigo. W tym momencie padłam. Nie mogłam mu pozwolić na użycie zwrotów typu zimna, sucha, mokra, twarda itd.*

– Americo! Mówię całkowicie szczerze... Była idealna i bardzo, ale to bardzo dziękuję. Jesteś mistrzem! – Uśmiechnęłam się, tłumiąc wzbierające rozbawienie.

Michael natomiast czego jak czego, ale rozbawienia nie ukrywał. A w tym momencie mógłby, bo wypadłam całkowicie niewiarygodnie w tym, co mówiłam. Do tego stopnia, że Americo nie zadawał więcej pytań, zmarszczył podejrzliwie brwi i zaszył się w kuchni.

Duzi-mali chłopcy udali się na bilard, zostawiając nas samych przy stoliku. Wtedy pozwoliliśmy sobie na partnerski śmiech, który bądź co bądź, odwracał ich głowy w naszym kierunku, jakbyśmy się nabijali tylko z nich.

– Muszę ci kogoś przedstawić. Strój sportowy obowiązkowy. Za pół godzinki na dole? – zapytałam rozanielona.

– Tak jest, szefowo... Chyba znajdę ci zajęcie związane z ustawianiem ludzi na szlaku przemytu. – Roześmiał się, jednocześnie pomagając mi odnieść talerzyki do kuchni.

Swoją drogą – to musiał być niespotykany widok, bo zdumiony Americo aż upuścił jeden z talerzy, mamrotając coś pod nosem.

\*\*\*

Wspólny bieg po pierwszej wspólnej nocy? To było jak zupełnie nowa trasa starą ścieżką. Wysłałam z pokoju podekscytowana. Sprawdziłam, czy Renia już wróciła, ale jej nie było. Ciekawiło mnie, dokąd pojechała w niedzielne przedpołudnie.

Czekałam na Michaela przed frontowymi drzwiami. W przeciwieństwie do mojego nastroju pogoda była taka – O. Było bardzo ciepło, jakoś już niewiosennie, a letnio. Parno, bez słońca i bez deszczu. To zwiastowało tylko jedno. Nadciągającą burzę. Absolutnie mi to nie popsuło nastawienia, wręcz przeciwnie. Kiedy mój mężczyzna wyszedł, wyglądał inaczej. Jakoś lepiej. Ale czy można było wyglądać lepiej? Pomijając idealne męskie ciało – jego twarz z czarnym spojrzeniem była seksowna sama w sobie. Miniona noc rzuciła mi nowe światło na jego osobę. A może zakochani już tak mają. Nie zaczęliśmy biegu od razu. Założył mi rękę na ramiona i pomaszzerowaliśmy spacerkiem najpierw do stajni, by zobaczyć, jak się mają Kora i Prima.

– One są takie piękne... Serce mi pęka, że Black jest w rękach Marka, a za chwilę i te będą... – stwierdziłam ze smutkiem do Michaela. Objął mnie czule. – Kochała cię... Tak jak ja teraz... Nawet byłam przez chwilę zazdrosna... – wspomniałam nostalgicznie.

– Nawet nie chcę wiedzieć, o które z nas. – Zaśmiał się, rozcierając moją rękę.

– O was. O waszą relację. To było niesamowite. Skrzywdzone i nieufne zwierzę było tak całkowicie oddane i zupełnie uległe obcemu człowiekowi, zaufała ci od pierwszej chwili. Wiedziałeś o tym, prawda? Dlatego byłeś pewny, że cię nie staranuje...

– Bardziej bałem się ciebie w tamtym momencie... Ale na moje szczęście okazało się, że wolałabyś sama spaść...

– Nie miałam wtedy nad nią żadnej kontroli...

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz... Miałaś. Od początku miałaś nie tylko nad nią, ale i nade mną. – Ucałował moją głowę.

– O Sęć Boże! – Zenek podniósł kapelusz, witając się z nami.

Jego widok niezmiernie mnie ucieszył i jednocześnie zasmucił, bo oczy podeszły mu fioletowym siniakiem. Wyglądał, jakby miał jednak złamany nos po uderzeniu Marka, który wyładował się na biednym, pocziwym Zenusiu.

– Panie Zenku, przykro mi, że się panu dostało. Dobrze się pan czuje?

– Majecko droga. Morda nie sklancecka. Zagoi się. Marek tu był o poranku. Sponiywiryany to pewno prosto z wesela przysął, bo o wybaczenie prosił i syseckę przyniósł. Gzech się gniywać!

– Aaaa! Niech pan na niego uważa i za wiele do niego nie mówi... – poprosiłam.

Jeszcze miał tu czelność wchodzić jak do siebie. Zresztą. Niech robią, co chcą. Byle z dala od nas.

– Dobra jest! – odparł, narzucając siano do paśników.

– Do zobaczenia! – pożegnałam się z Zenkiem i wyszliśmy ze stajni, zaczynając wolny trucht.

– Zenek powiedział, że Marek był u niego rano. Przyszedł go przeprosić wódką – przetłumaczyłam w biegu rozmowę w stajni, co Michael przemilczał.

Ten temat musiał go mocno drażnić od środka. Mnie również, ale po tym, co między nami zaszło minionej nocy, byłam jeszcze bardziej pewna swoich uczuć i wewnętrznej siły. W milczeniu biegliliśmy do naszej skałki ku górze. W oddali dało się słyszeć wyczuwalną zmianę pogody. Powiew nadchodzącej burzy podpowiadał nam, by wracać. Chciałam go jeszcze poznać z moją leśną koką, więc pociągnęłam go za rękę, zbaczając ze ścieżki, i weszliśmy do środka. Właśnie doznałam déjà vu, przebywając z nim w tym wnętrzu. Być może przez nadciągającą burzę, która tamtego dnia, gdy wrócił do mnie, również nakryła już ciemne anioły dodatkowym

mrokiem.

– Pamiętasz, jak tu przybiegłeś? Pytałeś, za co przepraszałam... Chciałam byś je poznał.

– Rozejrzałam się dookoła po wiszących figurach. Rozglądał się z zaciekawieniem, zawieszając wzrok na przedniej ścianie z krzyżem. Chciałam mówić dalej, chociaż nie było to dla mnie łatwe.

– Znalazłam to miejsce całkiem przypadkiem i od tamtej pory przyciągało mnie spokojem. Tu mogłam wyrzucić wszystkie problemy i słowa, z jakimi sobie nie radziłam. Przybiegałam tu za każdym razem, kiedy coś poszło nie tak i za każdym razem pomagało. Tamtego dnia, gdybyś nie przyszedł tutaj... Chyba nic by nie pomogło. Rozsądek kazał mi się uspokoić, a serce podpowiadało, że za łatwo pozwoliłam ci odejść... I się nie myliło... Bo okazałeś się prawdziwym aniołem. Widzisz tego białego? – Wskazałam przednią ścianę, na którą już patrzył.

– Pomogłam go zawiesić pewnemu miłemu starcowi. Podarował mi go... Opowiadał, jak kiedyś podarował swojej miłości te wszystkie wokoło i nagle ją stracił... Moją babcię. Przymuszona życiem i sytuacją wyszła za innego. Pewnego dnia po prostu przestała tu przychodzić. Zostawiła ukochanego, to miejsce i te czarne smutasy na ścianach. Może dlatego tak mi tu dobrze...

– Teraz rozumiem – powiedział. – Twoje słowa pod kościołem do matki... Wydaje mi się, że ona też rozumie. – Trzymał mnie za rękę, a z zewnątrz dobiegały nasilające się grzmoty. – Wiesz, mała... Los potrafi dać pstryczka w nos i potrafi być w tym bardzo okrutny. Wiesz, skąd moja... Blizna? – Dotknął palcem brwi i kolejny grzmot ubrał słowa w grozę. Chciał kontynuować, a ja nie chciałam mu przerywać. – Została właśnie po tym feralnym dniu, gdy wiozłem Case do szpitala. W dniu, gdy miała urodzić nasze dziecko... Bardzo się cieszyliśmy i bardzo na to czekaliśmy. Chciała, żebym się uspokoił i... zapaliłem wtedy w samochodzie. Pewnie dlatego to ja żyję, a nie oni... Bo miałem odsuniętą szybę. Nagle poczuliśmy uderzenie z tyłu. Przyspieszyłem, a wtedy z przeciwka wjechało w nas auto... Identyczne jak to, które jechało za nami, taranując naszym autem barierę ochronną. Ona była nieprzytomna, a woda wdarła się w kilka sekund do wnętrza... Staralem się ze wszystkich sił, ale nie mogłem otworzyć tych pierdolonych drzwi. Gdy w końcu wypłynąłem z nimi na powierzchnię było za późno. Odeszli... Od tamtego dnia przeżywałem to noc w noc. Łapiąc łąpczywie oddech, zrywałem się zlany potem z sennego koszmaru... Dopiero ta zemsta... Śpiączka i leki wyciszające pozwoliły mi uwolnić się od tego... Myślisz, że niczego się nie bałem? Bałem się, ale nie o siebie, a o to, co los mi zabrał. Teraz, kiedy ty zakorzeniłaś się w mojej głowie, przeraża mnie wizja, że coś ci się może...

– Ciii – przerwałam mu, wiedząc, co chce powiedzieć. – Pamiętasz? Miłość wiąże się z ryzykiem... – Przytuliłam się do niego, wiedząc, że poczuł to samo co ja. Ogromną ulgę.

Przeżył ogromną stratę, niemalże tracąc samemu życie – i to dwukrotnie. Moje zmartwienia przy jego przeżyciach stały się banalne. Każdy człowiek posiada własną skalę tragedii. Dla jednego będzie to wędnący storczyk na oknie, a dla drugiego wędnące życie ludzkie. Czy byłabym w stanie sama go teraz stracić? Zdecydowanie nie chciałam dopuszczać do siebie takiej myśli. Moje serce by nie wytrzymało. Nie teraz, kiedy już tyle o sobie wiemy i jak jest nam ze sobą ZA dobrze. Obydwoje obnażyliśmy się już totalnie we wszystkim. Z życia, bólu i ciała.

Wracaliśmy po burzy w szerokim znaczeniu tego słowa. Zatrzymaliśmy się przed wejściem Jagodowej Chaty, a on objął mnie mocno i obdarzył zażyłym pocałunkiem, który przerwały otwierające się drzwi frontowe. Stała w nich Renia. Była mocno zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Musicie wyjechać. Słyszysz?! Oni nie odpuszczą – mówiła po angielsku, by i Michael mógł zrozumieć.

– Co się stało? Gdzie byłaś? – zapytałam mocno zaniepokojona jej chaotycznym

zachowaniem.

– Majka. Byłam u Kaśki. Twoja matka kazała ci przekazać... Żebyście uciekali. I to możliwie szybko. Tylko tyle wiem. Kaśka też się o was martwi. Włożyłaś kij w gniazdo czerwonych mrówek... – Wyglądała na poważnie przerażoną i tak samo brzmiał jej głos.

– Renia, chodź... Usiądziemy i porozmawiajmy. Spokojnie – studziłam jej emocje.

– Kurwa mać! Majka! Nic nie jest spokojnie! Mam bardzo złe przeczucia... Ostatnio mi się wszystkie sprawdzają! Macie wyjechać. Zrozumiałas? Michael! Jeśli ci na niej naprawdę zależy... Proszę... zabierz ją stąd! – wrzeszczała drżącym głosem. Po raz pierwszy widziałam ją w takim rozchwianiu emocjonalnym.

– O jakich przeczuciach, do cholery, mówisz?! Co się sprawdza?!

– Wystarczy! – krzyknęła na mnie jak rodzona matka. – Pakujcie się! Dziś poprawiny, więc nie będą sobie wami głowy zawracać. Najpóźniej jutro się zmywamy. Wyjeżdżam do Gdańska... A wy gdzie chcecie. Byle daleko stąd! Tu nie jesteście bezpieczni. – Trzęsa się z nerwów jak osika.

– Dobrze. Już dobrze. Tylko się uspokój – zgodziłam się, chcąc ją wyciszyć.

– Jedź z nami... – zwrócił się do Renaty Michael z propozycją.

Doskonale wiedział, że sprawiłby mi tym ogromną radość. Dostrzegłam tylko, jak jej oczy wzbierają łzami.

– Nie mogę. Muszę jechać do Gdańska – odparła zdawkowo.

*Co się z nią, kurwa, dzieje? Chce wracać do starych, by przewalać papiery, zamiast wiać na słoneczną Florydę ze mną.*

– Kurwa, Renata, co jest z tobą?! – zapytałam wprost.

– Mam dość! Proszę was... spakujcie się. – Obróciła się na pięcie i zniknęła w korytarzu, a następnie za drzwiami swojego pokoju.

– Co to było? – zapytałam bardziej siebie niż Michaela.

– Nie wiem. Ale bardzo się cieszę, mała, że szybciej niż planowałam użyjesz klucza do mojego domu. Muszę powiedzieć Rickowi, by zamówił samolot i powiadomić braci o naszym powrocie.

– W sensie zamówić bilety?

– Nazywaj to, jak chcesz. – Uśmiechnął się z ekscytacją i pobiegł na górę.

Michael

– Michael! Cóż za niespodziewany telefon przy lunchu – odezwał się stonowanym głosem Jack w słuchawce telefonu. – Miałem dziś do ciebie dzwonić... – urwał w zamyśleniu.

– Stało się coś? – Michael czuł, że tak. Doskonale odczytywał emocje z tonu najbliższych.

– W zasadzie to... – Jack nie wiedział, jak ubrać myśli w słowa.

– Do brzegu, Jack! Nie jestem upośledzony! Gadaj, co się stało.

– Musisz wracać. Chcieliśmy uspokoić sytuację sami, ale tracimy kontrolę. Puściliśmy informację o twoim wybudzeniu. Kilka dni później... dostaliśmy ostrzeżenie.

– Jakie, kurwa, ostrzeżenie?! O czym ty do mnie mówisz?

– Widocznie ktoś liczył na to, że jednak z tego już nie wyjdiesz... Gdy dostali informację o wybudzeniu, chcieli cię zabić w szpitalu. Wjebali się z planem, bo ciebie tam nie było. Zamiar jednak pozostał.

– Kto? – zapytał Michael, przeczuwając nadchodzące kłopoty.

– Ricardo... syn Tifficante żyje i ma się świetnie. To nie on był wtedy w Tampa's

Diamond. Ten, co zginął w strzelaninie, był pierdolonym przebierańcem. Dochodzą nas słuchy, że chcą zasadzić się na nasze szlaki.

– Jutro wracam. Podwój ochronę pod moim domem. Nie będę sam – podał krótkie informacje, kończąc rozmowę.

Teraz już wszystko układało się Michaelowi jak trzeba. Santo Tifficante chciał zażegnać stare spory, wystawiając naćpaną podobiznę własnego syna w ramach zadośćuczynienia. Stary cwany lis kłamał do samego końca. Michael cieszył się, że sprawy z Majką same potoczyły się po jego myśli, ale niestety sytuacja w jego własnym świecie przestała być stabilna. Jego życie okazało się być bogate w niespodzianki. Niespodziewany wyjazd z Tamy, niespodziewana miłość w Tatrach i niespodziewany powrót we dwoje. Przynajmniej ze swojej strony nie musiał jej namawiać na nagły wyjazd. Jej sytuacja życiowa właśnie ją do tego zmusiła, oszczędzając jego własne słowa. Nie wyobrażał już sobie życia bez niej. Marzył o niekończących się długich nocach i porannej kawie, jaką miał zamiar ją budzić. Miała być dla niego motywacją i celem, dla którego będzie z ulgą zrzucał czarny garnitur po pracy. Snuł plany, by bieg w leśnej przestrzeni w sportowych butach zamienić na bieg o świcie po piaszczystej plaży wybrzeża na bosą. Miła wizja wspólnego życia pozwoliła mu na głęboki wdech dzikiego powietrza, bo jedyne, czego nie mógł zabrać ze sobą, to tutejszy zapach iglastego lasu. Dla Adamsa nadszedł najważniejszy czas, by ostatecznie usunąć przeszkody i zaprowadzić spokój przynajmniej w Tampie. Musiał zachować maksymalną ostrożność, by dziewczyna była z nim bezpieczna i jednocześnie szczęśliwa.

Majka

*O co chodzi...* Ta myśl nie dawała mi spokoju. Renata unikała nas, by nie wdawać się w dyskusję. Ścisnęłam skrzydlate drewno od staruszka w dłoni i kolejny raz tego roku zaczęłam pakować swoje rzeczy. Ponownie było mi niesamowicie żal zostawiać swoją względnie poukładaną przestrzeń. Pomijając już cały ogrom pracy poświęconej Jagodowej Chacie, to włożyłam tu mnóstwo żywego serca. Doświadczylam przekonania, że to miejsce zawsze będzie dla mnie wyjątkowe zarówno ze względu na babcię, las, kapliczkę, konie jak i przeżyte w nim chwile z Michaeliem. Zakręciła mi się łezka w oku, gdy upychałam ostatnie rzeczy do walizek. Wraz z nimi musiałam zamknąć za sobą pewien rozdział, otwierając kolejny. Z jednej strony piękny, bo z Michaeliem, a z drugiej smutny, bo bez Renaty i znanej mi przestrzeni. Zamykanie formalnych spraw ograniczyłam tylko do zrobienia przelewu własnej wypłaty za kilka miesięcy wstecz.

Zapukałam do Renaty. Ona nie otwierała, a ja nie odpuszczałam, pukając, dopóki nie otworzy. Wygrałam. Z bólowymi kostkami, ale wygrałam. Bez pardonowo i nachalnie wpadłam w jej ramiona.

– Na pewno nie lecis z nami? Floryda. Opalanie dupska. Pamiętasz? – zachęcałam, podsycając tłąc się iskierkę nadziei.

– Muszę poukładać trochę własne życie. – Posmutniała nagle. – A gdy już to zrobię... przylecę i pokażę ci, jak wygląda opalenizna z Bałtyku na mojej dupie. – Była jak jedyny w swoim rodzaju kalejdoskop mimiczny wyświetlający stonowany uśmiech.

– Zrobiliśmy TO. Z duchowo-cielesną chemią... – zwierzyła się. – Nawet nie wiesz, jak bardzo go kocham... – Ścisnęłam przyjaciółkę ze wszystkich sił. – Dziękuję ci za wszystko... Za pracę i twoją obecność.

– Wiedziałam, że się nie oprzesz. Mówiłam ci, że twoja wizja męczeńskiej śmierci się nie spełni... – Jej twarz wyrażała szczerą radość z mojego szczęścia. – To ja tobie dziękuję... Pamiętaj. Masz być szczęśliwa tak jak teraz. – Patrzyła mi w oczy wyraźnie wzruszona.



– Będę... I ty też masz dążyć do szczęścia. Obiecuj – poprosiłam z pełną stanowczością. – Jakiś dokładny adres dostanę? Swoją dopiero ci wyślę, jak będę na miejscu.

– Obiecuję... – Uśmiechnęła się delikatnie. – Już masz adres na biurku w recepcji. Zatrzymam się u rodziców. Przynajmniej na jakiś czas. Wyjeżdżam dziś w nocy... – oznajmiła, po czym padłyśmy sobie w objęcia i dopiero bliska obecność przybyłego Michaela nas z nich wyrwała.

– Jeśli ją skrzywdzisz... – Pogroziła palcem w jego kierunku. – Znajdę cię na końcu świata... – Uśmiechnęła się, ściskając na pożegnanie również jego.

– Zaproszenie do Tamy masz bezterminowe. – Uśmiechnął się, zapraszając ją ponownie.

Podzióbalismy wspólną pożegnalną kolację i rozeszliśmy się do swoich pokoi. Było mi potwornie ciężko rozstawać się z nią po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. We wspólnej życiowej przygodzie, jaką była nasza przyjaźń, najcenniejsze było wzajemne wsparcie, które pomagało nam przetrwać te lepsze i te gorsze chwile. Teraz nasze drogi się rozchodziły i chociaż duchowo zawsze będziemy nierozłączne, tak swojej obecności sam duch nie zaspokoi. Michael wiedział, czego potrzebowałam tej nocy – bliskości i podparcia, które od teraz mogły mi zapewnić tylko jego bezpieczne i silne ramiona. Chciałam jedynie wtulić się w niego i spokojnie zasnąć, tym razem w moim łóżku.

## Rozdział 30

Nędzówka

Majka

Gdy ponownie otworzyłam powieki, zauważyłam, że patrzył na mnie z podekscytowaniem. Wcisnął mi kubek do ręki, witając się pocałunkiem również o smaku kawy. Rozpieszczał mnie takim zachowaniem. Nadal nie dowierzałam, że to się działo naprawdę. Dziś miałam porzucić to życie i uciec za ocean z pokochanym gangsterem, a to wszystko w nieco ponad miesiąc. Istne szaleństwo.

– Śpiochu kochany, już szósta... Chętnie zaproponowałbym ci inny wysiłek, ale to jeszcze nadrobimy... – Przejechał palcem wzdłuż brzegu dekoltu mojego podkoszulka. – Musimy wyjechać na lotnisko po śniadaniu... Wcześniej jednak musimy pożegnać się z lasem... Nie sądzisz?

– Sądzę. – Przeciągnęłam się leniwie, prostując kości.

Narzucałam na siebie sportową koszulkę, dresy i obowiązkową czarną czapeczkę z daszkiem, dopijając swoją ostatnią poranną kawę w tym miejscu.

Wyszliśmy z mojego pokoju, a otworzone drzwi pokoju Renaty i kluczyki w zamku świadczyły o tym, że zgodnie z planem wyjechała nocą. Przystanęłam w drzwiach jej pokoju, widząc wgniecione miejsce na poduszce. Westchnęłam głośno, na co Michael ze zrozumieniem pocieszył mnie swoim objęciem. Kierowaliśmy się w stronę drzwi frontowych. Złapał za klamkę, otwierając drzwi.

– Wolisz szybko czy woln... – uciał, zmywając swój uśmiech z twarzy.

Nasze głowy i spojrzenia skierowane były na podnóże kamiennych schodów wejścia do Jagody. Leżał tam czarny plastikowy worek, z którego wyciekał bordowy płyn na surowy kamień podjazdu. Coś spowodowało mój całkowity paraliż. Michael bez namysłu zbiegł po schodach, by do niego zaglądnąć. Otworzył usta ze zdumienia, a w jego oczach było wszystko co straszne i złe.

– C-co... – jęknęłam, ale nie mogłam wydobyć nic więcej, widząc wyraz twarzy Michaela.

– Kurwa! Nie patrz na to. Czekaaj tu! Idę po chłopaków. Nie ruszaj się stąd! – powtórzył raz jeszcze i wbiegł do środka.

Stałam jak paralytyk, którego ogarniała nieokiełznana panika. Wytrzymałam, stojąc kilka sekund.

*Jeśli mówisz do mnie – Nie... To NIE zadziała.* Zerknęłam w stronę pustego miejsca, w którym wczoraj stało auto Renaty. Trochę mnie to pocieszyło i zdjęło jedną mroczną wizję.

Bez dalszego namysłu zbiegłam po schodach i zaglądnęłam do zakrwawionego worka. Pochwyciłam jego brzeg i momentalnie wypuściłam z dłoni, bo ten widok zostanie już ze mną do końca życia. Strumyk krzepnącej krwi cedził się leniwie, podążając słabnącym nurtem po nierównym brzegu jasnego kamienia. Zamglone, szeroko rozwarte oczy w obciętej głowie Black patrzyły na mnie... z żalem.

*Mój Boże...*

– NIEEEE! – wrzasnęłam przeraźliwie, ile sił w płucach, i nie mogłam zapanować nad chęcią porwania się dzikim pędem. Sama. W stronę lasu.

Tym razem nie czułam palącego bólu mięśni, a palący ból serca przepleciony wściekłością i nienawiścią, jaką poczułam do człowieka, który to zrobił. Nie patrzyłam pod nogi, nie uważałam, jak biegnę. Widziałam tylko jej skrzywdzone i pełne cierpienia oczy. Gnałam na oślep, by chociaż częściowo wyrzucić ten potworny widok z głowy.

Już prawie dobiegałam do kapliczki, kiedy nagle coś rzuciło się na mnie, powalając na ostre brzegi wystających kamieni. Poczulałam jedynie przeszywający ból skroni uderzonej o jeden z nich. Czułam pulsowanie w brwi i spływającą po moim policzku ciepłą krew. Gdy zamroczona uniosłam uderzoną głowę, zobaczyłam postać Marka. Stał nade mną jak barbarzyńca z zaciśniętymi pięściami, który przybył, by i mnie wymierzyć karę.

– Oddałem ci kunia, suko – wysyczał przez zaciśnięte zęby i przykucnął tuż koło mojej twarzy.

– Ty pierdolony zwyrodnialcu! – wrzasnęłam przez łzy i z całą pogardą, jaką miałam w sobie.

Wziął mocny zamach i uderzył mnie w już ranne miejsce. Otumaniona czułam, jak krew zaczęła obficie zalewać moją twarz, wdzierając się metalicznym posmakiem do ust. Położył się na mnie, całkowicie ograniczając moją swobodę ruchu.

– Renata... ta zakłamana kurwica kiedysik sama padnie, bo ponoć jej zdrowia brakuje... Ale tobie... Zrobisz to samo, co tyj nieposłusnej kobyle! Ino napoprzodku wezme, co moje, a ty poźrysz mi w ocy jak tymu Hamerykańcowi... – Dysząc mi w usta, zaczął nachalnie całować i z bezwzględną brutalnością wodzić rękoma po moim ciele. Podciągnął mi koszulkę i boleśnie wbił palce dłoni w moją pierś. Zaczęłam się szamotać, a on bezskutecznie próbował wcisnąć rękę między moje zaciśnięte uda. Wtedy potężną łapę zacisnął w duszącym uścisku na mojej szyi, a drugą odpinał pasek od swoich spodni. Czułam, jak sekunda po sekundzie słabnę i dotąd wyraźny obraz otaczających nas świerków zaczął się rozmazywać. Poluzował uścisk na szyi, pozwalając mi wziąć ostatni oddech.

– Dej gymbusi<sup>154</sup>... – Polizał mój policzek ohydny jęzorem. – No dej jak swojemu frajyrowi! – Patrzył na mnie, charcząc jak psychopata-zwyrodnialec.

Resztką sił splunęłam mu w twarz krwią wymieszaną ze śliną, zamykając oczy przed kolejnym uderzeniem. Nagle poczułam szarpnięcie i usłyszałam podwójny KLIK, jaki znałam jedynie z filmów, kiedy ktoś przeładowywał broń. Marek leżał na ziemi tuż obok i zamarł, nadal nienawistnie patrząc na mnie. Zobaczyłam, jak dostał kopniaka i usłyszałam znajome głosy.

– Podnieście go... – powiedział Michael do chłopaków, na co dźwignęli go do góry.

Czy poczułam ulgę? W pewnym sensie. Przetarłam oczy i dostrzegłam, jak Rick z Bobem uderzali głową Marka o drzewo świerkowe. Michael widząc wszechobecną krew, z przerażeniem w oczach pomógł mi usiąść.

– Nic mi nie jest – uspokoiłam. – To chyba tylko brew... I chyba też będę miała podobną bliznę do twojej... – Przetarłam nadmiar krwi dłonią, a on przytulił mnie z ogromną ulgą.

Szybko jednak przeniósł całą swoją uwagę na Marka. Wstał, skupiając wściekły i obcy wzrok na sfatygowanej głowie mojego oprawcy, który teraz klęczał z opadniętą głową. Rick pociągnął go za włosy, kierując wzrok na stojącego nad nim Michaela.

– Mam pytanie do swojego anioła... – zwrócił się do mnie Michael. – Co mam z nim zrobić? – zapytał, spoglądając na broń obracaną w swoich dłoniach.

Marek nie rozumiał słów, ale z całą pewnością wyczuwał naszą więź.

– Zwykła kurwa – wycedził Marek z nieustępliwą pogardą.

*Gdybyś rozumiał angielski, to byś wiedział, że twój los jest teraz w moich rękach... Nie powiedziałbyś tego na głos. Ale powiedziałeś... Ty skurwielu. Mniejsza o mnie. By mnie ukarać, obciął głowę mojej kochanej Black. Zabił naszą Black... Niedośły mężu, tym właśnie wydałeś na*

*siebie wyrok...* Przykucnęłam przy Marku, by wyszeptać mu do ucha pożegnalne słowa.

– Zanim ten Hamerykaniec cię zabije, to wiedz, że to właśnie on ściągnął mój wianeczek... – Uśmiechnęłam się ironicznie. Spojrzał na mnie z zawziętą wściekłością i splunął na ziemię.

Przetarłam krew własną koszulką i przystanęłam obok Michaela, obdarzając go delikatnym pocałunkiem, by ostatni raz pokazać Markowi... Ile dla mnie znaczyło jego życie.

– Zrób to po swojemu... – podpowiedziałam bezwzględnie, jednocześnie delikatnie muskając jego dłoń z pistoletem.

Odwróciłam się, będąc w pełni świadoma ciężaru, z jakim zmierzałam powolnym krokiem do swojej kapliczki. Nie chciałam na to patrzeć.

Weszłam do środka i podeszłam wprost do swojego aniołka. Pogładziłam go po białym skrzydle, zostawiając na nim czerwoną pręgę własnej krwi. Usłyszałam stłumiony krzyk i jeden strzał. To był koniec.

Usiadłam, uspokajając własny oddech i wtedy dotarły do mnie słowa Marka „...sama padnie, bo ponoć jej zdrowia brakuje...”.

Oczy zaszyły mi łzami. Miłość jednak miała jedną, ale istotną wadę – odrywała od rzeczywistości i uwsteczniała pozostałe zmysły. Dopiero teraz to zrozumiałam i cholernie było mi przykro, że niczego wcześniej nie zauważyłam. Miałam być dla niej siostrą, a okazałam się kiepską przyjaciółką. Schudła, nie miała apetytu, jeździła do lekarza i cały ten wyjazd do Gdańska. Znałam jednak jej schemat działania. Widziała, że postawiłam swoje życie na jednej szali. Że pierwszy raz w życiu byłam naprawdę szczęśliwa. I Renia nie chciała mi tego zabierać. Nie chcąc blokować mojego spełnienia, sama usunęła się z drogi.

Bezpieczne ramiona objęły mnie, przytulając moje plecy do siebie.

– Już nigdy nie zrobi nikomu krzywdy – powiedział Michael, odwracając mnie do siebie.  
– Przepraszam... że za wolno biegłem – powiedział ze smutkiem ciemnych wyrazistych oczu, dotykając palcem mojej brudnej skóry twarzy.

– Pamiętasz? Nie przepraszaj za dużo... – Uśmiechnęłam się, jednocześnie nie mogąc opanować łez rozpuszczających zaschniętą krew na policzku.

– Kocham cię i zawsze będę przy tobie. Musimy już wracać – powiedział z bólem w oczach z powodu mojego widoku.

– Wracajmy – przytaknęłam.

\*\*\*

Wróciliśmy do pensjonatu i poprosiłam Michaela, by zostawił mnie na moment samą w moim pokoju. Stałam dłuższą chwilę, obmywając się chłodną wodą z prysznica i beznamietnie patrzyłam, jak różowa struga znika w odpływie. Musiałam mieć pewność, że to, co powiedział Marek i moje przypuszczenia, były prawdą. Niestety, intuicyjnie czułam, że jednak coś było nie tak.

Wyszłam z łazienki, założyłam zwykłe dresy i opatrzyłam łuk brwiowy. Nie przejmowałam się raną ani bólem, z jakim się wiązała, i nawet śladem, jaki po sobie zostawi. Usiadłam na skraju łóżka, trzymając telefon i chwilę patrzyłam w jego czarny ekran. Wybrałam numer Renaty, licząc kolejne sygnały.

– Haaalo – odebrała zmęczonym głosem. – Już się stęskniłaś? Wiesz... jechałam całą noc i dopiero zaczęłam zasypiać, ale skutecznie mi to przerwałaś... – dodała z wyrzutem.

– Zaraz pójdziesz spać... Tylko najpierw pozwól, że opowiem ci ciekawą bajkę pod poduszkę... – zaczęłam i usłyszałam, jak wzięła potwornie ciężki wdech. – Był sobie Pinokio. Haha! Ale tego przecież znasz... No więc, może nie był najlepszy w mówieniu o swoich

wszystkich drewnianych uczuciach, ale finalnie powiedział je na głos. Wersja mojej bajki jest taka, że Geppetto wystrugał Pinokiovi również siostrę, którą nazwał Rinokia. I zajebyście zrobił, bo przecież co dwa kawałki drewna, to nie jeden. Potem całe życie było im raźniej, dorastali i wywijali nieprzeciętne numery. Niestety po pewnym czasie część materiału, z którego została zrobiona Rinokia zaczęła próchnieć. Nie chciała martwić brata, więc bez słowa potraktowała go jak zwykły kawałek drewna bez uczuć i sama nawiała. Tylko Pinokio... dowiedział się o wszystkim i wtedy jego drewniane serce ożyło i zaczęło cholernie boleć. Bez jebanej wróżki i jej różdżki...

– Przestań... – przerwała mi załamany głos. – To tylko rak – zaszlochala do słuchawki.

– Jak mogłaś mi o czymś takim nie powiedzieć? – zapytałam, spokojnie oblizując słone łyzy cumujące na moich ustach. – Pytam się... jak, kurwa, mogłaś?! – wrzasnęłam do telefonu i zorientowałam się, że Michael stoi w otwartych drzwiach pokoju.

Rozłączyłam się i pospiesznie zaczęłam ocierać łyzy.

– Jak się czujesz? Coś nie tak? – zapytał niepewnie.

– Kurwa. Michael... Wszystko jest nie tak! Wszyscy mnie okłamują! Wszyscy mnie ranią! – Rzuciłam z impetem trzymany telefonem o lustro, tłukąc jedno i drugie. Przysiadłam na łóżku, chowając twarz w dłoniach.

– Nie wszyscy cię okłamują... Bo ja cię kocham... Naprawdę – oświadczył, złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie, mocno obejmując. – Chodź... – powiedział, prowadząc mnie pod ramię w stronę samochodów przygotowanych do odjazdu na podjeździe.

Stałam u podnóża schodów i wlepiłam wzrok w miejsce, na którym został krwawy ślad po czarnym worku.

– Michael. Nie mogę teraz lecieć z tobą na Florydę... – oznajmiłam, czując cały ciężar wypowiedzianych słów. – Muszę jechać do Renaty. Jest chora i mnie teraz bardzo potrzebuje. Jedź ze mną do Gdańska... – zaproponowałam jedyne rozsądne wyjście i przeniosłam spojrzenie na jego oczy, w których w jednej chwili zgasło wszystko, co do tej pory mnie ogrzewało. Namacalnie czułam, jak niezrozumiale dla mnie narastała krzywda w jego pociemniałych źrenicach.

– Ja też cię bardzo potrzebuję, ale widzę, że to się przestało liczyć – odpowiedział, raniąc mnie chłodem wypowiedzianych słów.

– Nie mów tak. Kocham cię i nie przestanę. Zostań ze mną... Proszę... – dodałam błagalnie.

– Nie mogę spełnić tego życzenia i nie mogę dłużej zostać w Polsce. Nie musisz tego rozumieć, ale nie mogę. Jeśli uważasz, że ktoś cię bardziej potrzebuje niż ja... to zostań... – Podszedł do mnie i krótko pocałował, wlewając cierpki smak rozłąki.

– Jesteś niesprawiedliwy – odparłam, a łyzy spływały mimowolnie po moich policzkach.

– A ty bardziej brutalna niż ja... – Spojrzał mi po raz ostatni głęboko w oczy i otworzył drzwi samochodu.

– Wysuwasz zbyt pobieżne wnioski... Czy... z nami koniec? – zadałam najtrudniejsze zdanie w życiu.

– Ja nie łamię obietnic... – Popatrzył z wyrzutem dla moich słów. – Dla swojego dobra nie dzwoń do mnie, chyba że uznasz, że będę dla ciebie już wystarczająco ważny – dodał, szybko wsiadając do samochodu. Zamknął drzwi i schował się przed moim spojrzeniem za przyciemnianą szybą czarnego mercedesa.

Rick przełożył mój bagaż do mojego auta i ze skromnym uśmiechem machnął dłonią na pożegnanie.

Nigdy w swoim życiu nie byłam tak rozdarta jak w tym momencie. Jakąkolwiek podjęłabym decyzję, byłaby zła i krzywdząca dla niej lub dla niego. A już na pewno dla mnie. Serce pękło mi na pół – niesprawiedliwie po równo.

**C.D.N.**

## Podziękowania

Tak naprawdę maszyna ruszyła latem 2020. Późne popołudnie spędzałam klasycznie z sąsiadką. Pandemia, izolacja, upał. Obydwie byłyśmy zmęczone, siedząc na drewnianej ławce przy stole na tarasie, czując, jak nasze dzieci efektywnie osiagają cel dogaszenia tłących się resztek naszej cierpliwości. W pewnym momencie, ni z gruchy, ni z pietruchy, wywlekłam na głos własne myśli: „Iza... Chyba muszę zająć czymś myśli, bo zwariuję... Może by tak napisać książkę?”. Spodziewałam się raczej życiowej odpowiedzi. Być może też liczyłam na to, że sprowadzi mnie na ziemię, wskaże palcem na nasze małe demony i odpowie: „Zgłupiałaś? Przy nich?!”. Zamiast tego usłyszałam entuzjastyczny CLICK zapalnika: „Lila! Pewnieeee! Pisz...!”. I stało się... Oddelegowałam się do innego świata, budząc się w nim i z nim zasypiając. Okazało się to nie tylko fantastyczną podróżą i świetną zabawą, ale też kołem ratunkowym rzuconym w idealnym momencie. Czy było lekko? Nie. I prawdopodobnie nigdy całkiem nie będzie. Niemniej jednak dzięki wspaniałym otaczającym mnie ludziom, na pewno jest znacznie lżej.

Dziękuję całej wspaniałej armii wydawnictwa NieZwykłe, za dojrzenie potencjału tej historii, za cenne lekcje, wskazówki, za pracę nad moją książką i przede wszystkim za podarowanie szansy.

Dziękuję mężowi, człowiekowi mocno stąpającemu po rzeczywistej stronie świata. Mimo iż przez chwilę spoglądał na mnie jak na przypadek niezdiagnozowanej choroby, to sumarycznie nie marudził i swoją własną pracą umożliwił mi moją własną – nad książką.

Bez przyjaźni życie byłoby puste i prawdopodobnie nic, ale to NIC, nie miałyby sensu... Tak więc... Serducho na dłoni wyciągam w kierunku: Izabeli Urban – jesteś najlepszym słuchaczem pod słońcem! Ania Magoń Sikora – Najdroższa, Ty nie tylko słuchasz, ale i dodatkowo jesteś telepatycznie powiązaną ze mną. Katarzyna Jurek – uwielbiam nasze posiedzenia i cenię Cię za to, że jesteś mistrzynią w wbijaniu konstruktywnej szpili. Ponadto, Renata Solarz, Wiola Świder, Kinga Kozyra... Kochane moje, dziękuję za to, że jesteście :) Monia – siostrzyczko, Amelko – bratnia duszo z odległej krainy... Już mi się od Was dostało, więc najpierw Was przepraszam, po czym również Wam dziękuję! Wy wszystkie i Wasze pierwsze opinie, przegadany czas, bezmiar wiary we mnie, szczerść, nieocenione wsparcie dały mi motywacyjnego kopa, który, jak się okazuje, często potrzebny jest każdemu.

Dziękuję rodzinie i znajomym, za niebywale ciepłe przyjęcie informacji o wydaniu książki.

Kończąc, najbardziej dziękuję Wam drodzy Czytelnicy. Każdemu z osobna mówię głośno: „DZIĘKUJĘ CI” za to, że trzymasz cząstkę mnie w swoich dłoniach i pokładam nadzieję w tym, że nie będzie ona ostatnia. To właśnie WY nadajecie pełnię sensu wszystkim stworzonym historiom przelanym na papier. Nikt inny.

- <sup>1</sup> Dziywka (z gwary podh.) – 1. córka 2. młoda kobieta 3. panna (przyp. aut.).
- <sup>2</sup> Kces (z gwary podh.) – chcesz (przyp. aut.).
- <sup>3</sup> Poźreć (z gwary podh.) – spojrzeć (przyp. aut.).
- <sup>4</sup> Nikcemna (z gwary podh.) – 1. chuda, słaba 2. marna (przyp. aut.).
- <sup>5</sup> Syćko (z gwary podh.) – wszystko (przyp. aut.).
- <sup>6</sup> Zakónica (z gwary podh.) – zakonnica (przyp. aut.).
- <sup>7</sup> Ociec (z gwary podh.) – ojciec (przyp. aut.).
- <sup>8</sup> Ozwozać (z gwary podh.) – rozważać, rozmyślać (przyp. aut.).
- <sup>9</sup> Ino (z gwary podh.) – tylko (przyp. aut.).
- <sup>10</sup> Jegomość (z gwary podh.) – ksiądz (przyp. aut.).
- <sup>11</sup> Wyświyncować (z gwary podh.) – wyświęcić (przyp. aut.).
- <sup>12</sup> Poconoć (z gwary podh.) – zacząć (przyp. aut.).
- <sup>13</sup> Zyniacka (z gwary podh.) – ożenek (przyp. aut.).
- <sup>14</sup> Wielgi moj (z gwary podh.) – koniec maja (przyp. aut.).
- <sup>15</sup> Dzielba (z gwary podh.) – podział (przyp. aut.).
- <sup>16</sup> Napoprzedku (z gwary podh.) – najpierw (przyp. aut.).
- <sup>17</sup> Odpisać (z gwary podh.) – zapisać komuś coś w spadku (przyp. aut.).
- <sup>18</sup> Spólnikować (z gwary podh.) – sąsiadować (przyp. aut.).
- <sup>19</sup> Od terazja (z gwary podh.) – od teraz (przyp. aut.).
- <sup>20</sup> Włóscizna (z gwary podh.) – własność (przyp. aut.).
- <sup>21</sup> Je (z gwary podh.) – wyraz używany na początku wypowiedzi, wyraża niechęć, negację (przyp. aut.).
- <sup>22</sup> Stryśka (z gwary podh.) – owca (przyp. aut.).
- <sup>23</sup> Anglicki (z gwary podh.) – angielski (przyp. aut.).
- <sup>24</sup> Wte (z gwary podh.) – wtedy (przyp. aut.).
- <sup>25</sup> Ostać (z gwary podh.) – zostać (przyp. aut.).
- <sup>26</sup> Bocula (z gwary podh.) – kobieta nadąsana o gniewnym spojrzeniu (przyp. aut.).
- <sup>27</sup> Durknońć (z gwary podh.) – wypić (przyp. aut.).
- <sup>28</sup> Wtej (z gwary podh.) – wtedy (przyp. aut.).
- <sup>29</sup> Spominać (z gwary podh.) – wspominać (przyp. aut.).
- <sup>30</sup> Sparty (z gwary podh.) – uparty (przyp. aut.).
- <sup>31</sup> Cemu (z gwary podh.) – dłączego (przyp. aut.).
- <sup>32</sup> Dudki (z gwary podh.) – pieniądze (przyp. aut.).
- <sup>33</sup> Kiela (z gwary podh.) – 1. kilka 2. wiele 3. ile (przyp. aut.).
- <sup>34</sup> Nawodzić na diabły (z gwary podh.) – doprowadzić kogoś do złości (przyp. aut.).
- <sup>35</sup> Pockać (z gwary podh.) – zaczekać (przyp. aut.).
- <sup>36</sup> Popierdas (z gwary podh.) – człowiek bez charakteru (przyp. aut.).
- <sup>37</sup> Telem ze (z gwary podh.) – ledwo co (przyp. aut.).
- <sup>1</sup> Ojcowicka (z gwary podh.) – córka bogatych rodziców (przyp. aut.).
- <sup>2</sup> Kany (z gwary podh.) – gdzie (przyp. aut.).
- <sup>3</sup> Ocenta (z gwary podh.) – oczy (przyp. aut.).
- <sup>4</sup> Groty (z gwary podh.) – sprzęty domowe (przyp. aut.).
- <sup>5</sup> Smykać (z gwary podh.) – kraść (przyp. aut.).
- <sup>6</sup> Fto (z gwary podh.) – kto (przyp. aut.).
- <sup>7</sup> Ceprula (z gwary podh.) – kobieta spoza gór, nie góralka (przyp. aut.).
- <sup>8</sup> Lekućko (z gwary podh.) – lekko, łatwo (przyp. aut.).



- <sup>9</sup> Abo (z gwary podh.) – albo (przyp. aut.).
- <sup>10</sup> Sarpacka (z gwary podh.) – bójka, bitka (przyp. aut.).
- <sup>11</sup> Wysłyseć (z gwary podh.) – przypadkiem usłyszeć (przyp. aut.).
- <sup>12</sup> Jakisik (z gwary podh.) – jakiś (przyp. aut.).
- <sup>13</sup> Z nicego (z gwary podh.) – nie ma za co, odp. na podziękowanie (przyp. aut.).
- <sup>14</sup> Cegosik (z gwary podh.) – czegoś (przyp. aut.).
- <sup>15</sup> *Buonasera* (z wł.) – dobry wieczór (przyp. aut.).
- <sup>16</sup> *Amico* (z wł.) – przyjaciel (przyp. aut.).
- <sup>17</sup> *Oh sim!* (z port.) – o tak! (przyp. aut.).
- <sup>18</sup> Kiedysik (z gwary podh.) – kiedyś (przyp. aut.).
- <sup>19</sup> Cnić się (z gwary podh.) – tęsknić (przyp. aut.).
- <sup>20</sup> E dyj (z gwary podh.) – ano (przyp. aut.).
- <sup>21</sup> Zocynek (z gwary podh.) – pomieszczenie na siano znajdujące się z boku zabudowań (przyp. aut.).
- <sup>22</sup> Filecka (z gwary podh.) – za chwileczkę (przyp. aut.).
- <sup>23</sup> Przysel (z gwary podh.) – przyszedł (przyp. aut.).
- <sup>24</sup> Gródzo (z gwary podh.) – wydzielona przestrzeń w stajni dla zwierząt, przegroda (przyp. aut.).
- <sup>25</sup> Bica (z gwary podh.) – bata (przyp. aut.).
- <sup>26</sup> Wiencyl (z gwary podh.) – więcej (przyp. aut.).
- <sup>27</sup> Spocońć (z gwary podh.) – spocząć (przyp. aut.).
- <sup>28</sup> Godać bez zymby (z gwary podh.) – mówić polszczyzną ogólną, a nie gwarą (przyp. aut.).
- <sup>29</sup> Palamynter (z gwary podh.) – włóczęga (przyp. aut.).
- <sup>30</sup> Chyńci (z gwary podh.) – ochota, potrzeba, chęć (przyp. aut.).
- <sup>31</sup> Gibko dyrdać (z gwary podh.) – zwinnie biegać (przyp. aut.).
- <sup>32</sup> Abo (z gwary podh.) – albo (przyp. aut.).
- <sup>33</sup> Powiecerzać (z gwary podh.) – zjeść kolację (przyp. aut.).
- <sup>34</sup> Psio mać (z gwary podh.) – przekleństwo wyrażające niezadowolenie, zaskoczenie, zdenerwowanie (przyp. aut.).
- <sup>35</sup> Jakosi (z gwary podh.) – jakoś (przyp. aut.).
- <sup>36</sup> Pościel (z gwary podh.) – łóżko (przyp. aut.).
- <sup>37</sup> Zwyrtać się (z gwary podh.) – uwijać się (przyp. aut.).
- <sup>38</sup> Ancychryst (z gwary podh.) – łajdak (przyp. aut.).
- <sup>39</sup> Lobidzić (z gwary podh.) – narzekać (przyp. aut.).
- <sup>40</sup> Mieć płono we łbie (z gwary podh.) – mieć źle w głowie (przyp. aut.).
- <sup>41</sup> Bździna (z gwary podh.) – bzdura (przyp. aut.).
- <sup>42</sup> Pockać (z gwary podh.) – zaczekać (przyp. aut.).
- <sup>43</sup> Uwozać (z gwary podh.) – uważać (przyp. aut.).
- <sup>44</sup> Mieć się za co (z gwary podh.) – mieć o sobie wysokie mniemanie (przyp. aut.).
- <sup>45</sup> Kierpce (z gwary podh.) – skórzane buty góralskie (przyp. aut.).
- <sup>46</sup> Corny (z gwary podh.) – czarny (przyp. aut.).
- <sup>47</sup> Okropecnie (z gwary podh.) – okropnie (przyp. aut.).
- <sup>48</sup> Hale (z gwary podh.) – ale (przyp. aut.).
- <sup>49</sup> Konistwór (z gwary podh.) – potwór mający zwierzęcą postać (przyp. aut.).
- <sup>50</sup> Bez (z gwary podh.) – przez (przyp. aut.).
- <sup>51</sup> Niescyńście (z gwary podh.) – nieszczęście (przyp. aut.).

- <sup>52</sup> Polywka (z gwary podh.) – rosół (przyp. aut.).
- <sup>53</sup> Pieklica (z gwary podh.) – awanturnica (przyp. aut.).
- <sup>54</sup> Kiepkować (z gwary podh.) – kpić, naśmiewać się (przyp. aut.).
- <sup>55</sup> Fnet (z gwary podh.) – wnet (przyp. aut.).
- <sup>56</sup> Hulać (z gwary podh.) – tańczyć (przyp. aut.).
- <sup>57</sup> Wnet (z gwary podh.) – niebawem, wkrótce (przyp. aut.).
- <sup>58</sup> Ochłopić się (z gwary podh.) – żartobliwie o ożenku (przyp. aut.).
- <sup>59</sup> Pambóg (z gwary podh.) – Pan Bóg (przyp. aut.).
- <sup>60</sup> Kuśka (z gwary podh.) – żart. żeńskie narządy płciowe (przyp. aut.).
- <sup>61</sup> Jadacka (z gwary podh.) – usta (przyp. aut.).
- <sup>62</sup> Na odwyrтке (z gwary podh.) – na odwrót (przyp. aut.).
- <sup>63</sup> Zalubić (z gwary podh.) – 1. polubić 2. pokochać (przyp. aut.).
- <sup>64</sup> Kawalyrka (z gwary podh.) – odwiedzanie panny z zamiarem ożenku (przyp. aut.).
- <sup>65</sup> Opacniok (z gwary podh.) – człowiek, który robi inaczej niż inni (przyp. aut.).
- <sup>66</sup> Namysłunek (z gwary podh.) – namysł (przyp. aut.).
- <sup>67</sup> Haj! (z gwary podh.) – wyraz będący sygnałem końca wypowiedzi (przyp. aut.).
- <sup>68</sup> Litworówka (z gwary podh.) – nalewka korzenna robiona od setek lat w góralskich domach (przyp. aut.).
- <sup>69</sup> Nakastlik (z gwary śląskiej) – szafka nocna (przyp. red.).
- <sup>70</sup> *Totamente* (z port.) – całkowicie (przyp. aut.).
- <sup>71</sup> Z pocontka (z gwary podh.) – na początku (przyp. aut.).
- <sup>72</sup> Za biółego ranka (z gwary podh.) – gdy jest już jasno (przyp. aut.).
- <sup>73</sup> Jednego casu (z gwary podh.) – pewnego razu (przyp. aut.).
- <sup>74</sup> Godacka (z gwary podh.) – gadanie (przyp. aut.).
- <sup>75</sup> Noinacyj (z gwary podh.) – całkiem inaczej (przyp. aut.).
- <sup>76</sup> Ryzować (z gwary podh.) – rzeźbić, żłobić (przyp. aut.).
- <sup>77</sup> Dokiela (z gwary podh.) – dopóki (przyp. aut.).
- <sup>78</sup> Zywy (z gwary podh.) – żywy (przyp. aut.).
- <sup>79</sup> Krzyceć (z gwary podh.) – płakać (przyp. aut.).
- <sup>80</sup> Palic (z gwary podh.) – palec (przyp. aut.).
- <sup>81</sup> Zmarnić (z gwary podh.) – zmarnować (przyp. aut.).
- <sup>82</sup> Scęście (z gwary podh.) – szczęście (przyp. aut.).
- <sup>83</sup> Kwasielnica (z gwary podh.) – niepogoda (przyp. aut.).
- <sup>84</sup> Dysc (z gwary podh.) – deszcz (przyp. aut.).
- <sup>85</sup> Jaruga (z gwary podh.) – błoto (przyp. aut.).
- <sup>86</sup> Obiecadło (z gwary podh.) – obietnica (przyp. aut.).
- <sup>87</sup> Despetna (z gwary podh.) – psotna (przyp. aut.).
- <sup>88</sup> Chodzić bez wionecka (z gwary podh.) – nie być dziewicą (przyp. aut.).
- <sup>89</sup> Pokuśnica (z gwary podh.) – kusicielka (przyp. aut.).
- <sup>90</sup> Kopa (z gwary podh.) – stóg siana (przyp. aut.).
- <sup>91</sup> Scyńść Boze! (z gwary podh.) – Szczęść Boże! (przyp. aut.).
- <sup>92</sup> Lejba (z gwary podh.) – ulewa (przyp. aut.).
- <sup>93</sup> Hojnica (z gwary podh.) – łąka (przyp. aut.).
- <sup>94</sup> *Bom dia!* (z port.) – dzień dobry! (przyp. aut.).
- <sup>95</sup> *Hola amigo!* (z port.) – cześć przyjacielu! (przyp. aut.).
- <sup>96</sup> Utropa (z gwary podh.) – kłopot, zmartwienie (przyp. aut.).
- <sup>97</sup> *Ola Bonita!* (z port.) – Cześć, śliczna! (przyp. aut.).

- <sup>98</sup> Ceper (z gwary podh.) – człowiek spoza Podhala, nie góral (przyp. aut.).
- <sup>99</sup> *Beleza* (z port.) – piękna (przyp. aut.).
- <sup>100</sup> No ba jako (z gwary podh.) – no przecież (przyp. aut.).
- <sup>101</sup> Bez (z gwary podh.) – przez (przyp. aut.).
- <sup>102</sup> Skolona (z gwary podh.) – wykształcona (przyp. aut.).
- <sup>103</sup> Ucyć (z gwary podh.) – uczyć (przyp. aut.).
- <sup>104</sup> Ozbuchać się (z gwary podh.) – stać się swawolnym, rozpustnym (przyp. aut.).
- <sup>105</sup> Kawalyrka (z gwary podh.) – odwiedzanie panny z zamiarem ożenku (przyp. aut.).
- <sup>106</sup> Oscyndzać (z gwary podh.) – oszczędzać (przyp. aut.).
- <sup>107</sup> Parzenica – motyw zdobniczy w kształcie serca wyszywany na spodniach góralskich (przyp. aut.).
- <sup>108</sup> Nie godnoś (z gwary podh.) – nie być godną (przyp. aut.).
- <sup>109</sup> Pytace (z gwary podh.) – tzw. czarni družbowie, prowadzą konno orszak weselny w ustalonym szyku do kościoła, zapraszają gości i czuwają nad prawidłowym przebiegiem ceremonii (przyp. aut.).
- <sup>110</sup> Cuba (z gwary podh.) – włosy upięte w kok, tradycyjny element stylu góralskiego (przyp. aut.).
- <sup>111</sup> Frajyr (z gwary podh.) – kochanek (przyp. aut.).
- <sup>112</sup> Hańbić się (z gwary podh.) – wstydzić się (przyp. aut.).
- <sup>113</sup> Pobabrać (z gwary podh.) – rzucić urok, zaczarować (przyp. aut.).
- <sup>114</sup> Furgnies (z gwary podh.) – pofruniesz (przyp. aut.).
- <sup>115</sup> Bica (z gwary podh.) – bata (przyp. aut.).
- <sup>116</sup> Sucny (z gwary podh.) – przystojny, okazały (przyp. aut.).
- <sup>117</sup> Dać gymbusi (z gwary podh.) – pocałować (przyp. aut.).

